



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

### **Usage guidelines**

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

### **About Google Book Search**

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

### **Zasady użytkowania**

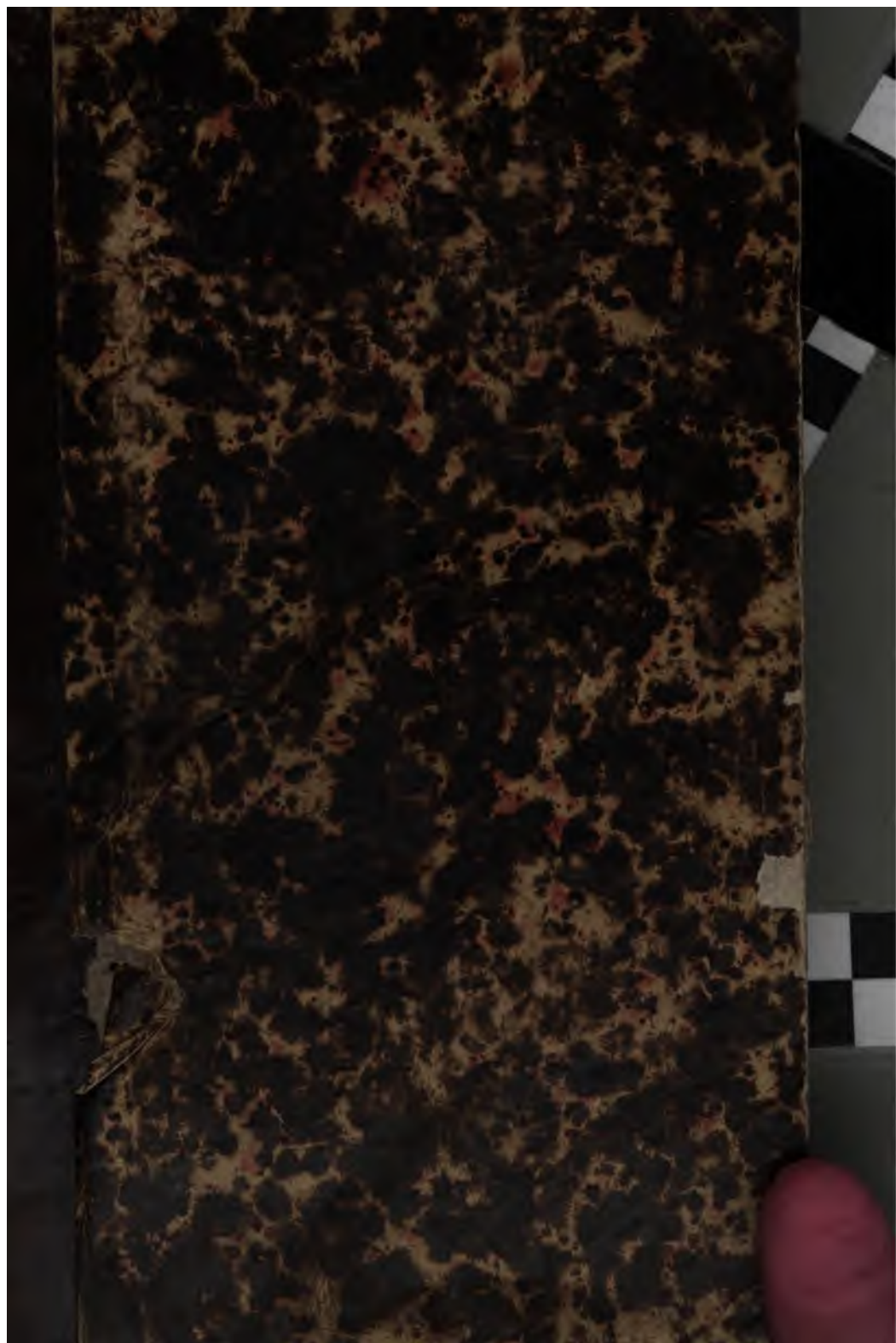
Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych  
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań  
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań  
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa  
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

### **Informacje o usłudze Google Book Search**

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>



32  
KSIĘGOZBIÓR  
EDWARDA NEPROS

M. 355



STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES



No 189



**L I S T Y**  
**Z K R A K O W A.**

**Wydanie Adama Zawadzkiego.**

**LISTY**  
**Z KRAKOWA.**

*NAPISAL*

**JÓZEF KREMER.**

---

**Tom Drugi.**

---

***DZIEJE ARTYSTYCZNEJ FANTAZJI.***

**CZĘŚĆ PIERWSZA.**

---

**W I L N O.**

**NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.**

---

**1855.**



VX 65  
K 7  
1855  
V. 2

Pozwolono drukować, z obowiązkiem złożenia w Komitecie Censury  
prawem oznaczonej liczby egzemplarzy. — Wilno, 22 Kwietnia 1855 roku

*Cenzor PAWEŁ KUKOLNIK.*

# LIST XI.

## *Fantazya i bliższy jój rozbiór.*

Wstęp.— Wspomnienia przeszłości nie są samém przypomnieniem.— Fantazya posagiem ducha ludzkiego.— Fantazya, mądrość, cnota.— Fantazya i rzeczywistość.— Fantazya, jako czynność duchowa, wszystkim ludziom spólna.— Fantazya strojąca rzeczywistość, ale takowa fantazya nie jest jeszcze fantazyą artystyczną.— Warunki, aby być mistrzem i powołanie mistrza.— Walka mistrza z trudnością techniczną.— Henryk Statler.— Jeżeli treść dzieła będzie pierwiej w myśli poczęta niż forma, wtedy nie zrodzi się dzieło sztuki.— Rzeczywistość mogąca być treścią dla sztuki.— Allegorya nie jest dziełem prawdziwej fantazy.— Chwila natchnienia jest chwilą rodzenia ideału.— Zdanie Platona.

*(Dwanaście lat później.)*

**M**łodości porannej wspomnienie, to zielnik stary, bo w niém wszystko przechowane z dawnych lat;— co serce niegdyś ukochało, co szczęsna podała chwila, lub przygoda ciemna w tęsknej zrodziła godzinie, toć spoczywa wszystko oznaczone w duszy głębi to listkiem róży, to gałązką cyprysową, to ułamkiem wawrzynu lub fijołkiem cichym. A zmarły róże jak miłości młode, zbladły zawczesne tryumfy młodzieńcze jak wawrzynu listki; a uczucia wonne duszy zżółkły jak fijołek biedny i umilkły w piersiach pogrzebione żywcem; dochowały się same jedne pamiętki cyprysowe — owe niezabudki młodych łąz.

Młodości lata — one rajske ogrody strojne kwiatów rodem, pojone niebios rosą,—one dziś głuchym, rozłożystym cementarzem; wśród jesiennój szarugi życia, na grobie czarodziejskiej ułudy, wśród mroźnego świata tchu, stanęła posągiem troska blada. One radośne kwiaty wszystkie oddały niby dusze swoje;— a te ich dusze uniosły się w górę i dziś przyświecają nam gwiazd ogrodem; więc też człowiek, w tęsknocie swojój, tak chętnie okiem w gwiazdach tonie i powierza im serca boleści i łamania swoje; a gwiazdy, cieżą stopką po niebie chodząc, słuchają tych żalów jego, w serce chore pociechą świecą i płonącą drózką swoją na niebios przestrzeni wodzą pielgrzyma po zamroczonej ścieżce ziemskiego żywota.

Świecą w chore serce gwiazdki niebiańskie, rozjaśniając ciemne ducha tęsknice! Więc—patrz! w miejsce zmarłych miłości róż, laurów zawodnych, a wonnych ogrodów marzeń, zapłoną w sercu firmamentem światła, których nie przyćmią nigdy ziemskie burze, ani przygaszą wichry jesienne żywota. Poznasz, że jedynie co doczesne umarło—co zacne, wiekuiste, uniosłeś z sobą po wszystkie twój wiek.

Tak, komu zacnego ojca uśmiech był jutrznią ducha a nieskażona cnota wzorem, kto jego błogosławną modlitwę wziął posągiem w świat; z kim za dziecięcych lat matka, miłości pełna, prawiała o kochaniu ludzi, o bojaźni Bożej, o zmarłych braciśkach, co dziś już aniołkami proszą za pacholątkiem pozostałym na ziemi, by było dobre i pobożne; kogo wypiastowały zacność i święty obyczaj domowy — ten zaiste nie będzie samo-

tnym na świecie, bo nieśmiertelna jest puścizna miłości rodzinnej i cnoty ojcowskiego domu. Choć mu nie jedno w sercu zgaśnie, choć mu życie zbiednieje, a nie jedno uczucie lodem zajdzie, nie będzie samotnym na świecie. W chwilach szarych, ckliwych cofnie się w siebie, zamknie się w sercu własném, jakby w przenaświętszej świątynicy istoty swojej; w cichocie uroczystej, sam na sam z Bogiem będąc, tajemniczej treści ducha swojego da posłuchanie,— i pojawi mu się postać ojca, co napoi pociechą i posili otuchą w sobie;— i stanie przed nim matka i pochwali i przytuli i scałuje boleści trud ze znękanego czoła. A te postacie ich, wolne i swobodne od ziemskiej niemocy, odziane będą nieskończonym niebiańskim wdziękiem, i wstaną z martwych najdroższe młodości kwiaty, a wszystkie jój radośne obrazy wypłyną z przepaścistych duszy głębin; zbudują się znowu stare ściany ojcowskiego domu, i znowu zahuczą ochotą wesołą towarzysze z chłopięcych lat; a roztoczą się barwą tęczową malowane wizerunki gajów, łąk, potoków, onych świadków dawnych młodzieńczych marzeń. A te wszystkie obrazy, te wszystkie postacie, ochuchane czarodziejskim urokiem, zabrzmią światłem i cieniem, barwą i harmonią, jakby z innego świata wystanniki. Wszak w chwilach takowych i to nawet życie rzeczywiste, obecne nam, co tak ubogie, tak puste, co nie dostało przyrzeczeniom szczęścia, co nie dotrzymało słowa młodości nadziejom, i to nawet życie zrzuca z siebie żebracze szaty i uśmiechem, jakby czarnoksiężniczka w bajce, okaże ci w głębokim podziemnym szybie górskim gorejące skarby i klejnoty błyszczące, których się dobierzesz, bylebyś je w imię Boże zaklął

miłością i zacząć a niestrudzoną nigdy pracą. I tak pogodzisz się ze światem.

Lecz powiedz, skąd tym dawno zmarłym postaciom ten wdzięk nadziemski i ta uroda jakby od aniołów pożyczona? skąd im ta wieczna młodość, co nigdy nie starzeje choć się zjawia w najgłębszej życia twójgo jesieni? skąd tym obrazom ta czarodziejska barwa, co nie spłowiła, nie przygasła, choć one tak długie lata przeleżały w otchłani pamięci twójg? Wszak gdy wzrokiem serca obaczysz twójg matki wizerunek święty i to jég ostatnie pożegnalne spójrzenie, co utonęło na zawsze wiekiuistości promieniem w duszy twójg, już i sam siebie widzieć będziesz w ówczesnej młodocianég, prawie pacholęcég postaci; tak to dawno, tak bardzo dawno od owég boleści pełnéj a uroczystég chwili. Wszak i grono szkolnych towarzyszy od tak wielu lat przebrzmiało gdzieś echem po świecie;—ten spoczął w małég jeszcze trumience, tamtego znów wysoko podrzucił świecisty los; ów przepadł gdzieś w młaku; owemu znowu dawno na skon »zadzwończyły konie kopytami a wojacy ostrogami — a wypięła oczy wrona z dalekich stron.» (Stara pieśń).

Pytasz skąd te dziwy? — pytaj się własnych piersi twoich; wszak to ty sam te obrazy odziałeś pięknoscią, ty sam w nie tchnąłeś anielskie wdzięki poczęte we własnym duchu twoim. Tyś własnymi oczarowany czarą. Ot patrz, w cichég istocie duszy naszég składa zewnętrzny świat wizcrunki swoje, wnykają się w nią tłumne postacie, zrodzone w rzeczywistości ziemskiég; więc też nie dziw, że te postacie a obrazy tak są niby prozaiczne, powszednie, bez barwy, blasku i dźwięku;



one tam gdzieś na dnie ciemnej otchłani duszy leżą zapomniane, przyprószone. Gdy atoli życie uderzy w nas brzemieniem swoim, gdy urazi dawne, bolejące jeszcze rany, lub gdy dźwięki radośne świata rozbudzą dawne, onemiałe w sercu wesela; wtedy odpowiednie im wizerunki zadygocą w sobie, wtedy duch nawróci ku sobie i wstępuje w głębie swojego wnętrza; wtedy on zajaśnieje płomieniem jakby z nieba spadłym, a owe wizerunki i postacie zapomniane, przyćmione, jakby na kryształowych szklach malowane figury latarni magicznej, przepromienione teraz poświatą czarodziejską ducha twojego, zjawią się zewnątrz ciebie i przesuwając się będą po przed oczy istoty twojej wiekuistej; będziesz je widział pływające we falach nieskończonej, niebiańskiej piękności. Tak jest, to twoja własna sprawa; te uroki, jakby z nad gwiazd zrodzone, to duch twój własny, który się z nich do siebie samego uśmiecha niebiańskim obliczem; on to we własnych zrodzeniach swoich tak się rozmiłował rzewnie i siebie w nich uwielbił i do nich serdecznie się zamodlił. Nie pytaj przeto już skąd przyszła tym postaciom owa piękność nadświatna, skąd one tak anielskie, tak przeczystego uroku — oto, w duszy twojej rzewnie i uroczyście. Te przeto wszystkie obrazy są jedynie naczyniem ducha twojego, jego szatą widomą, mową niebian przetłómaczoną na język ziemski.

Przecież potęga duchowa, która dokonywa tych cudów, która zdoła nadać nieskończoności ciało, nie jest samém tylko przypominaniem, nie jest ona jałową wyobraźnią, umiejacą jedynie cucić kopie wierne, dagerotypy niewolnicze, choć zwietrzałe, przedmiotów zewne-

trzych ; tą potęgą, odziewającą wiekiistość we formy doczesne, jest — *fantazyja*.

Widzisz przeto że fantazyja będzie w człowieku ogniskiem piękności wszelkiej. Jeżeli tedy powyżej rozprawiałem z tobą raczej o sztuce samej przez się, teraz rozsunąć ją jeszcze wypada ze stanowiska mistrza, zbadać bliżej tajemnice zrodzenia się jej w duchu człowieka. Jak atoli tam rzecz sama często niewoliła nas do mówienia o mistrzu, tak niechaj ci nie będzie dziwno, że teraz znowu tu i ówdzie znajdziesz dotknięte prawdy, roztoczone już w poprzednich listach. Co tedy sobie jeszcze teraz powiemy, będzie w części istotnie nowym przedmiotem, a w części rozwojem bliższym dawniejszej treści lub nowém jej powiązaniem. A nie pomału nas też wszystkich obchodzi rzecz o fantazyji, bo przecież każdy z nas wziął ją choć w pewnej mierze udziałem.

Wszak z tego, cośmy sobie już dziś rzekli, zgodzisz się że fantazyja nie jest jedynie ową drwiącą czarodziejską królową, panującą w państwie zaklętém złocistych ułud sennych, która pieszcząc się a igrając z biednym ziemskim synem, jakby z dziecięciem płaczącém, podaje mu zrazu zabawki błyskotne, świecidelka i fraszki figlarne, a później upaja gusłami, usypia w brylantowych pałacach, a kołysząc śpiącego w wonnym kielichu kwiatów otacza chórem rusałek cudownych, co, urzekając uśmiechem miłośnym, śpiewają mu pieśni o szczęściu niewypowiedzianém i muzyki falami unoszą po nad padoły trosk i kłopotów, aby po krótkim oczynieniu obudzić niebożę wśród pustek jałowych

zwyczajnego życia, wśród bied i zawodów. Nie, zaiste, fantazyja ma inne, wyższe jeszcze znaczenie.

Patrz— w Syxtyńskiej kaplicy Rzymu, w tej kaplicy Wiary i piękności cudów, choć kopciem znieważone, płoną w nigdy niewygasłym majestacie myśli Michała-Anioła. Rzekłbyś, że tytaniczny geniusz jego zbuntował się i zgruchotał ciasne szranki ludzkiej siły, że powstał w groźnym zuchwalstwie swojej potęgi, że nie barwą, nie pędem, ale gromem wywołał te dzieła swoje na podziw wszystkim pokoleniom a na chwałę ludzkiego imienia. Gdy na ścianie ów Sąd Ostateczny mrozem ścina pulse duszy twojej i zagłada strachem w głębiny serca, gdy z niego grzmi wołanie onej pieśni straszliwej:

Quantus tremor est futurus.

Quando iudex est venturus.

Cuncta stricte discussurus!

Po wyżej pełnego zgrozy sądu tego, na wysokim stropie roztocone są obrazy Księgi Rodzaju, a występuje tam jeden z nich co każdemu, który go raz obaczył, zostanie w duszy na życie całe.— Już jakby uczyniony był »rozdział między światłością a ciemnością« już stał się zaranek natury, i, jak orlęta młode, już wykluły się z zamętu materyi światy a brzmiała weselem harmonia sfer; ziemia nowo zrodzona drgała z radości, że była zrodzoną, i ustroiła się świątecznie w płaszcz swoich puszczy, kwiatów, łąk, woni i barw, i śpiewała uwielbienie Ojcu a wtórowały jój piorunne mórż organy; a wszelkie żyjące odetchnęło już życiem młodem i cieszyło się że było wezwane na gody natury. Wśród powszechnej radości atoli sam jeden człowiek omdlały

głuchą niemocą leży na jałowej skale, najuboższy ze wszystkich jestestw stworzonych. W tém od ostatnich biegunów wszech światów zagrzmiały wichry Boże; zatrzęsły się wiekuiste przestrzenie, ich nieskończoność znikła, tuż przed Adamem unosi się Bóg; — Pan owiany szatą wszechmocności, pod jęj rąbek tuli się aniołów grono — wysłańcy opatrznej miłości jęgo; — Adam w niedoli dźwiga ociężałą błagalną rękę ku ojcu. Pan dotyka się jęj palcem; gromem błyskawicznym zadygotał duch człowieka — iskra wiekuistości wstąpiła w praojca ludzkiego rodu.

Tę to chwilę ujął nieśmiertelny mistrz a dzieło jęgo świadczy, iż w nim samym buchnęła spotęgowanym płomieniem owa iskra Boża. Ten płomień, dany z nieba ludzkiemu rodowi posagiem, przechodzi już z pokolenia na pokolenie i przepływa świata dzieje.

Gore w człowieku iskra nieskończonej prawdy. Stąd dana mu wiedzy potęga, by poznał prawdę we wszechistnieniu; dana mu wola by żył wedle ustawy wiekuistęj, dana mu jest moc, by tworzył istnienie wedle wiekuistęj prawdy. Niechaj tedy człowiek, ile sił swoich, iści tę wiekuistość; niechaj duchem swoim ogarnia świat i w nim się przegląda.

W Bogu wiedza, wola, moc są nieskończone, są więc w jedności; w Bogu wiedza jest wola, wola jest mocą. Lecz w duchu stworzonym wiedza a wola, wola a moc różne od siebie są. Stąd ów wiekuisty płomień rozszczepia się w człowieku na trzy różnobarwne promienie, lubo wszystkie trzy pochodzą od jednego światłości stoku. Tak w człowieku po wszystkie wieki prze i robi pragnienie dosłużenia się ciężkim trudem

wyższej a wyższej mądrości; w nim pracuje nieukończona tęsknota nastroszenia woli swojej do harmonii nieskończonej która wszechświatami władnie. Stąd to łamanie się i pasowanie jego z sobą, by nie był dźwiękiem fałszywym w hymnie wszechduchów stworzonych, by nie był pysznym aniołem, odstępca od Bożego zakonu, aby się uczynił jego wyrazem, jego żywem słowem dorabiając się coraz wyższej a wyższej zacności. Nakoniec człowiek dokonywa zadania swojego stwarzając znikomą ręką uwidomioną postać wiekuistości przebywającej w sercu jego; a tak w dziele własnym oczyma, uszyna swojego ciała widzi i słyszy nieskończoność. Tęj twórczości sprawą, dziełem jest piękność a jej poczęciem w mistrzu jest— fantazyja.

Stąd mądrość, zacność, piękność, tak różne od siebie obliczem, są jednej niebiańskiej matki córą (\*).

Bóg stwarza nie dla siebie ale z miłości dla jestestw stworzonych; człowiek tworzy, bo nie może nie tworzyć, twórczość jest mu daną; on tworząc wykonywa zakon który był przed nim; on tworzy nie dla ubocznego celu jakiegoś, ale dla tego że jest człowiekiem, by nieskończoność własną ujrzał w dziele swoim. Fantazyja przeto nie jest przypominaniem żywcem przedmiotów rzeczywistych i marnym ich naśladowaniem; ona nie jest wyrobnicą płochą błyskotek; ona z nieskończoności człowieka ma swoje pochodzenie i dla tego właśnie świeci iskrą Bożą we wszystkich ludziach i po wszystkie wieki. Przeto też ten Boży pierwiastek żarem płonie w potędze a uroku cudownym fantazyji.

---

(\*) Poznanie, wola i pierwiastek bezwzględny tkwiący w duchu człowieka. Wykład Filozofii T. II. str. 231 i następną



Fantazyja, jakby stulona w pączku, śpi i marzy w sercu; gdy zaś na nią przyjdzie godzina, już rozsadzi pączek korny, urosnie, wzniesie się majestatem wszechwładnym. Ona rozpina loty swoje od bieguna do bieguna, mierzy niebiańskie przestrzenie niemające granic, mija gwiazdy, wywołuje z kośnicy Historji zapadłe dawno ludy, podśluchuje oddech przyszłych stuleciów kroczących przez dzieje świata i słyszy radości robaczka klującego się na listku. Fantazyja, ta pani Natury, jest mistrza służebnicą.

Zrazu czarnoksiężka fantazyji moc stroi wdziękiem ową rzeczywistość powszedniego żywota; ona to magiczném światłem ochuchała nam wspomnienia z dawnych lat; ona to z promieni i barw, z woni i muzyki utkała im szaty niebiańskie;—wszak to ona, co, rozkochana w rzeczach stworzonych, codziennie nam zakrywa ich biedotki i ułomności ziemskie a wymyśla im powaby i uroki. Fantazyja patrzy na dzieła natury sercem matki, co nie spostrzega tego, czem jój dziecię istic jest, ale widzi jedynie to czego dusza jój gorącym pragnieniem wymodlić rada. Bo natura jest państwem ułomności i niedostatków; tu wszystko, co jest, zostaje w zależności od innych również tak zawistych jestestw; tu żadne jestestwo nie stoi o sobie, ale ma warunki bytu i rozwoju swojego zewnątrz siebie. O ile więc każde zdoła być odpowiedniem wyrażeniem myśli, więc ciałem idei swojej, toć zawisło od zewnętrznych wypadków; piękność jest w naturze tylko przypadkiem szczęśliwym, ślepym trafem, i dla tego piękność najwyższa nie jest zjawieniem ze świata rzeczy przyrodzonych.

Tu przypadkowość, to jęctwo zawisłości, cięży pierworodną klątwą na jestestwach Natury, bo daje się we znaki ich ułomnościom a w końcu naszyła im śmierć. Przyłóż ucho duszy twojej do tajemniczego państwa przyrody a usłyszysz gwary zrodzenia i skonu: bój wrogich mocy, i pasowanie się nienawiści, i miłośne tęsknoty, jęki rozpaczy i gwałtów tryumfy. W tej walce nie jedno zamrze jeszcze w zawiązku, inne przepada śmiercią za nim się wzmoże i rozkwitnie w sobie; a te biedne doczesności dzieci, które przebędą ten trud twardy i przeżyją tę ciężką walkę o byt swój, wychodzą z niej spaczone, zwichnięte, pełne śladów doznanych krzywd. Te więc fantazyja bierze w objęcie serdecznej miłości, tuli je do siebie, by je wyleczyć, odchowac, by odchuchać w nich tę piękność, którą miały w odwiecznej idei, zanim idea ta spadła w sidła materialnego świata; fantazyja je pieści i mili, by je uczynić na podobieństwo modły świecącej w duchu naszym.

Widzisz one róże — owa ostatnia, owa sama jedna przeżyła w ogrodzie swoje siostry starsze; ona nie roz tuliła jeszcze namiotku wonnych liści swoich, a już umiera bo ją skrzywdziły słotne jesieni chłody, bo ją przycisnął chwast i nie dał napoić się rosą i niebios promieniem; a serce jej, co miało być gniazdkiem gieniuszków miłości, toczy robak. Fantazyja, litując się niebogięj, odrodziła ją w przepyszną panią kwiatów i godło gorących uczuć kochanków, uczciła ją pieśnią i przypięła do piersi młodej dziewczyny by na jej sercu skonała — i znajdzie się muzyk co jej w skonaniu wdzięczną przyśpiewa melodyą (Flotów, Marta). Patrz na tę

niewiastę— i ona była różą w ogrodzie piękności ziemskich; na tych zgasłych dziś ustach igrały niegdyś miłości uśmiechy; z tych ześlonych oczu, przed laty, jakby gwiazdami swojemi, poglądało niebo; ona dziś pozostała samotna wśród chwastów i cierni życia; niedostatek, troska, szarugi świata, znieważyły jęj postać uroczą i sponiewierały tę szlachetność rysów— a może i robak własnej winy gnieździ się w sercu. Lecz fantazyja po przez ślady krzywd i obelg wzrokiem ducha dowodzi w niej natury arcydzieła, i płoszy wady i wywołuje do życia dawno umarłe uroki i zgasłe na zawsze wdzięki.— Tak fantazyja, sama się radując swoim dziełem, zapomina o sromie i przebacza winy!

Stań na mogile, przez stare wieki usypanej; natura, nie znękana nigdy robotnica, roztoczy do koła u stóp twoich widoki haftowane cudem barw. Wysyłasz jak sokoły myśli twoje w świat szeroki— w świat daleki; rozpuszczasz je po błoniach w kwiaty szytych, po górach hardych, po skałach, po obłokach, po dolinach; puszczasz je na zwiady w tajne lasów mroki i przejrzyste rzek pałace; a zewsząd, zdala i zbliż, wracają do ciebie uskrzydłone myśli twoje niosąc pragnienia i i chęci, którym nie podoła nawet ten rajski świata obraz. Tak radbyś, aby to niebo, co dziś jakoś nie swoje, spójrzało na ziemię jasności powodzią i rozbudziło wszystkie dźwięki farb i cieniów i światła; żal ci że ów pagór, tak ubogi a jałowy, nie ubrany wiankiem dębów starych; temu potokowi życzysz wód bujniejszych, zuchwalszych; i znów uważasz u siebie jakby to onym skałom pięknie było w szacie odwiecznych bluszczów; i znów w myśli wycinasz sobie bory i o-

twierasz w nich okno, by owo dumające zamczyłko stare, co, choć zapomniane dawno od ludzi, choć w rozsypaniu, tak jest harde i wspaniałe, mogło swobodnie patrzeć na mogiłę, a w nocnej ciszy posyłać jej westchnienia swoje.

Otóż, co jeno obaczysz w rzeczywistości doczesnej, już fantazyą ubierasz, krasisz i w duszy poprawiasz, bo duch tęskni w tobie, by siebie ujrzał choć w ułomnych rzeczach, a tak rozszerzył w nieskończoności istotę swoją. Fantazyja jest podobna miłości. Samolubstwo odwraca się od wszystkiego i patrzy samo w siebie,— dla tego też tak biedne, tak litości godne. Miłość zaś nie tracąc siebie, przecież w drugim samą siebie widzi, a tak, nie tracąc na głębi swojej treści, zyskuje na jej obszarze. I dla tego też właśnie każdy z nas o tyle uboższy, o ile nienawidzi, a o tyle bogatszy, o ile kocha. Nienawiść odgranicza się od świata ciasnotą serca swojego, przez co sama się czyni ograniczoną; miłość nie wie co granica; ona się rozlewa w nieskończoność, ona, tak jak i fantazyja, jest córą nadobłocnych światów.

Strzeżmy tedy pilnie świętego ognia fantazyi, co gore w piersiach naszych; strzeżmy go od nawalnic namiętności grubych, od wichrów zmysłowej natury naszej; zachowajmy ten najdroższy żywota skarb w jak najpóźniejsze lata.

Jeżeli atoli chcesz by fantazyja, by ten pociechy zdroj wśród skwarów świata nie wysechł w tobie, jak wysycha strumień w piaskach śpiekłej pustyni; jeśli chcesz by na zawsze był krynicą czystą, bogatą, co wyzdrowia, co uleczka niemoce duchowe i koi boleści rany, podsy-

caj go całą serca twojego potęgą. Miěj oko i słuch rozswarty, świeży, na ten szeroki boży świat, na te wszystkie pojawy, co w nim świecąc i grając przemycają się to orszakiem żalobnym, to weselną drużyną; uchwycić, obejmij siłą zmysłów młodą, ostrą, wszystkie kształty te, przeniknij je wskrós, nie przepuść choćby nawet drobnostce pozornój; »patrz się na ten świat wesoło, bystro, rześko, jakieś nań patrzył za chłopięcych lat,« (\*) gdy ani cętką na skrzydełku motylém, ani świergot niedosłyszany na wysokim dębnie, ani mrówka w trawce, ani szczerbka na szabli, ani wonny dech fiojka, nie uszły sto-uchój, sto-okiej bacności, wiecznie nastrojonój, ciekawój a czujnej; a przedewszystkiém kochaj tę naturę, kochaj ten świat i ludzi, zrzuć z serca zbroję lodową; roztwórz szeroko, na oścież piersi twoje; niechaj ci świat cały i wszystko, czém cię chwila obdarzy, zagra na strunach duszy twojój; niechaj ci nie będzie obojętném, cudzém; bierz wszystko gorąco sobie do serca, a choć cię nie miną rany bolesne, toć znów znajdziesz miłość, co je ukoi, uzdrowi. Technij, całym żarem kochania twojego, uczucia swoje we wszystkie przedmioty; niechaj ci w nich własne twoje serce zapuka; i nie pożałujesz, bo im więcej im dasz, tém więcej od nich odbierzesz; co nieme, toć przemówi do ciebie własną mową twoją; co martwo, żyć będzie ciepłem życia twojego, będzie czuło i cieszyło się i smuciło po twojemu. Ty znajdziesz siebie w świecie całym jako w ulubienicy swojój; dusza ci się rozszerzy jak kaplica pańska cudów pełna, i cały się świat w niej po-

---

(\*) Vischer Aesthetik §. 385.

mieści; zamieszkają w niej wszystkie dziwy jego, ale rozpięknione, ale w świątecznej, uroczystej postaci.

Zaiste tak bogatym na duchu, tak szerokiego, głębokiego oddechu zdoła być każdy z nas; więc wynieśmy te skarby z pożaru płonących nadziei młodych, jako opiekuńcze bogi domowe, a nie będzie nam się cniło, choćby na pogorzeliśku smętném wszystkich rojeń najdroższych i ulud młodości naszój. Ale biada temu, kto te bogactwa w sobie przemarnił, kto je przepuścił w jałowiźnie chęci i pragnień swoich, żądzą skalanych; jego serce wysuszone i skurczone nie zazna już nigdy, czém życie się stroi, czém się goją blizny duszy; lichy syn lichego czasu sam nie wie jak ubogi, nie wie że jest opuszczonym sierotą na ziemi. Niechaj zwraca ochoty swoje za fetyszem wieku, lecz niechaj nie zasiada do rady, gdy mowa o godach nieśmiertelnych ducha.

Zważmy atoli czyli ta fantazyja, nam wszystkim spólna, powszechna, jest już całą fantazyją, całą oną potęgą, daną człowiekowi przy zrodzeniach świata? Czyli to ukochanie przedmiotów doczesnych, to ich strojenie, milenie, piększczenie, wystarczy by duch w nich na prawdę siebie obaczył? Czyli ta fantazyja już zdolna utworzyć artystyczną piękność i czyli ona już nas czyni rzeczywiście mistrzem?

Może powiastka o upadłym aniele stanie nam za odpowiedź.

Świat młody kwitnął jeszcze pierwszą wiosną natury i liczył dopióro na dni życie swoje świeże; ziemia nie zaznała jeszcze ni boleści ni cierpienia; wina nie rozpięła jeszcze ciemnej opony między niebem a czło-

wiekim, a niebo to bliższe było ziemi niż później, gdy wśród ludzi powstała pałaca rozpacz i zbrodnia ponura. Wtedy śmiertelni bez lęku wpatrywali się jeszcze w aniołów co, przelatując po nad doliną doczesnego żywota, wiekuistości spójrzaniem poglądali na ziemskie dzieci i pływali w promieniach bożych jak igrają pyłki w jasnościach słońca.

Otóż, jeden z Aniołów, niosący od Pana posłannictwo, zbliżał się polotem ku ziemi i z wysokości swoich obaczył najcudowniejszą z cór przyrody całej. Z lekka się kołysząc na tęczowych skrzydłach, spuszczał się z wolna by się nasycić tém czarodziejskiem widziadłem, a światłopióre loty jego, drgając dreszczem rozkoszy, zaszumiały radością i sypały niby rosę jasnych iskier tłumy. Te ognie niebiańskie, ten szum skrzydeł przejęły trwogą dziewicę i spłoszyły w głębokie cienie gaju. Lecz obraz jęj piękności pozostał już na zawsze w myśli anioła. Stąd, dniem unosił się niewidzialny nad swoim kochaniem i przyświecał dumaniom i tęsknotom dziewiczym, a nocą, gdy rozum w senném omdleniu tlił tylko przygasłą jasnością a mroczna poświata otuliła duszę kochanki, anioł stwarzał jęj czarodziejskie światy marzeń, które, zaledwie co poczęte, gasły w chwili, by się znów odrodzić w cudowniejsze kształty. To jęj z kolei zajaśniał promienną postacią od Pana użyczoną, odziany światłości szatą; to okrywał się ciemnym obłokiem; tak naprzemiany roztwierały się jęj niebiańskie rozkosze i rozpływały zawodną nadzieją. A widma niebiańskie, we śnie widziane, śpiewały i na jawie cudowną muzyką w duszy dziewicy, a rozebrała ją nieskończona, bezdenna tęsknica; aż oczyniona nie-

znaną potęgą, której już podołać nie mogła, uchwycona mrozem i żarem roskoszy wezwała rozpaczając naniebnego kochanka, by się jój na jawie okazał. Cherubin na stropie gwiazdzistym składa płomienisty wieniec od nieba mu dany, zwija promienne skrzydła wiekuistej chwały, a odziany urokiem najwyższym, który mogą przenieść oczy śmiertelne, staje przed ulubienicą.

W pożarach uściśnienia spłynęła miłość anioła i dziewicy, a jeden płomień palił w oczach obojga kochanków, a jeden płomień stopił dwa serca tak dalekie od siebie ojcowizną swoją. Upływały dni, upływały lata w morzu roskoszy najwyższej, na którą się tylko miłość zdobyć może. A Cherubin, dumny swoim kochaniem, bogactwa świata składał u stop miłośnicy swojej i stroił ją w brylanty, co świecą, jakby źrenice, w ciemnej nocy przepaści głębokich, i zdobił ją w perły, co uwiecznione w skorupie, zakłete na dnie oceanów, kędy nie docho- dzi słońca poświata; lekkim jakby myśl polotem przeby- wał lądy i wody i powietrze, by zdobić ziemskie kocha- nie swoje. Tak upływały dni, upływały lata w morzu najwyższej roskoszy. Wśród atoli szczęścia i błogiego wesela, wśród rajskiej uciechy i zachwytu dusz, pa- dały niekiedy na anioła, jakby zły sen, chwile ciemne żałości i cierpień i niewypowiedzianej tęsknoty. Owe stroje pożyczone od lądów, od wód, od słońca, nie mo- gły zastąpić u kochanki niebiańskiego rodu; wszystkie skarby natury nie zdołały zatulić znamion tutecznego pochodzenia. Anioła trwogą ziębiła myśl, że ulubie- nica jego jest tylko doczesności kwiatem, że on, wie- kuistości syn, światowém kochaniem oddał się śmiertel- nej dziewicy. W tych chwilach przyszość zakrywała



się jakby dymem czeluści piekielnych, obsłaniając mu Niebiosą — otwartą ojczyznę jego.

Razu pewnego dziewica, jakby echem wspomnień, rozbudziła w sobie obrazy onych czarownych marzeń sennych, w których niegdyś jój Cherubin pojawił się w nieprzyćmionėj światłości niebiańskiėj, w jaką się odziewa, gdy służy Panu na wysokościach Jego majestatu. Więc rzewną prośbą, więc z najgłębszych toni duszy błagała, by ziscił one sny cudów, by znowu z postaci jego płynęły światłości strumienie, jak płyną z kwiatów wonie rajskie, by tchnął na nią ducha swojego, by i ona stała się duchem jemu podobnym. A Cherubin, zdjęty miłością bez granic, uniół się pragnieniem, by ją z sobą zrównał, by się z kochanką podzielił wiekuiścią swoją i ją wyzwolił od skonu. Rozpromienił się tedy jaśnią, zaświecił gorejącą wiekuiści pięknością; tryskały światła niby słońca z postaci anielskiėj, oblicze jego zapłonęło miłości i niebios urokiem, i tak otulił objęciem kochankę. Ale zaledwie dotknął się olsnionėj, drżącėj dziewicy, już żar ziemskich ogniów ochłonął ulubienicę ziemską. A ona wśród walki skonu ucałowała raz jeszcze czoło jego. Z wdzięków cudownych, z natury arcydzieła, pozostała jedynie garść ciemnego prochu. Ucałowanie jój ostatnie wypaliło na czole Anioła piętno grzechu — bo on utonął w ziemskich urokach. On na wieki z nieba wygnańcem; zgasła na wieki jego piękność nieskończona — a wieniec promienny jego chwały pozostał na zawsze na stropie gwiazdzistym.

Rozumiem, iż może bez naciągania samowolnego

mogę tę powiastkę zastosować do owego naszego pytania (\*).

Otoż człowiek, rozkochany w piękności rzeczywistego świata, jęć się w zupełności oddając, daremnie ją stroi w skarby fantazyi, daremnie ją pieści miłością; on zawsze i zawsze będzie tym aniołem upadłym, który w przedmiocie doczesnym nigdy nie obaczy ducha swojego, nigdy się w nim nie przejrzy, nigdy go do siebie nie podniesie i z sobą nie zrówna. A będzie tęsknił w objęciu wdzięków tutecznych, on, wiekuistości syn; gdy zaś zapragnie tchnąć ducha swojego w te kwiaty śmiertelne, spali je tchem swoim; one umrą w jego objęciu, one nie wytrzymają tchu wieczności, a duch za zapomnienie siebie straci gwiazdzisty wieniec istoty swojej nieukończonój.

Zaiste, przedmioty materyalne, choćby najwyższego uroku, są przecież dziećmi z tego świata, są tylko względnie piękne, bo są oddane na łaskę bezokiego przypadku, który, jak wiemy, gospodarzy w świecie rzeczywistości. Niechaj tedy człowiek zdoła, stroi i umaja te ziemskie pojawy, niechaj w tém kochaniu swoim posiadzie niewyczerpane szczęśliwości zdroje; ale niechaj zarazem pomni, że te istoty, w rzeczywistości zrodzone, nie napoją, nie ukoją jego tęsknoty, którój się cni i przykrzy bez kształtów wprost z ducha zrodzonych; bo w tych dopięro siebie zupełnie obaczyć zdoła. Przedmioty rzeczywiste, jakieśmy powiedzieli, są ułomkami

---

(\*) W téj powiastce poszedłem za T. Moore'm; odważyłem się atoli dwa jego odrębne poemata złąć w jedną powieść, a tak nie tylko skróciłem, ale nadto ośmieliłem się popaczyć ich piękność stosując rzecz do mojego celu i opowiadając ją po swojemu.

tylko; one nawzajem trzymają się na uwięzi, a miłość serca najgorętsza nie wykupi, nie wybląga ich z jęctwa tego; w nich przeto nie zdoła się zwierciadlić duch, bo on nie zna zawisłości téj.

Uważmy iż to właśnie ta fantazyja, spólna nam wszystkim, którą my już to wszędzie fantazyją *powszechną* zwać będziemy, jest tą mocą strojącą, miłą jestestwa z tego świata; ona przeto nie wystarczy, ona tedy nie jest jeszcze fantazyją w najwyższej potędze, nie jest jeszcze fantazyją *artystyczną*. Ona, choć tak bogatym skarbem w posagu nam danym na życie całe, choć bywa geniuszem pocieszającym w opuszczeniu i sieroctwie ziemskim, nie uczyni nas jeszcze mistrzem, bo ona sama jest jeszcze ziemianką. Ta fantazyja powszechna, która się wszystkim, choć w nierównej mierze, udziałem dostała, daremnie sili się i roztacza skrzydła swoje; wszak te skrzydła jój są obciążone biedą i ułomnością; ona zaledwie wznosi się na turnie, na Alp szczyty, gorzące dopiero pierwszą pięknosci świtem, ale niemożna by się wzbiła nad ziemię i aby uleciała w wysokości nadgwiazdne, kędy nie dochodzą żale tutecznego świata, kędy nie słyhać westchnień, i walki i pasowania się doczesnego żywota; ona nie mocna uderzyć w głębie idealnych światów, by ztamtąd sprowadzić niebiankę wśród ludzi. A choć duch odzieje te ziemskie przedmioty czarodziejską szatą, toć przecież one będą tylko przyswojone jego dzieci, nie staną się nigdy krwią, kością z krwi i kości jego. Uważ, iż ta fantazyja powszechna, już tém samém, że piękność umiła, stroi przedmioty z rzeczywistości wzięte, już istic je odmienia, przetwarzając, jest tedy już i twórczą; ale ta jój twórczość nie

jest jeszcze twórczością prawdziwą; jój utwory nie będą jeszcze zupełnie wolne od niedostatków rzeczywistości i natury, bo ta fantazyja sama jest jakby dziełem rzeczywistości powszedniej, sama nie jest wolną od jój niedostatków. Aby duchowa wiekuista istota przejrzała się w zmysłowych przedmiotach, niechaj wskrósł będzie twórca; stwarzanie strojów, zdobiących wdzięków nie wystarczy; niechaj tedy postaci będą całe w duchu poczęte; a wtedy przyzna się do nich bogini piękności, a ty staniesz się świętym sztuki pomazańcem, uwieńczonym mistrza koroną. Ta fantazyja powszechna, jak obaczymy w listach następnych, wyjawi się jako fantazyja ludu, gminu; ona tedy dostarczy mistrzom wieszczowej osnowy, którą ich fantazyja artystyczna przetworzy na prawdziwe dzieła sztuki. (\*)

Jeżeli zaś ta fantazyja zwyczajna, *powszechna*, co przecież jest tak czarodziejską, tak lubą malowniczą zło-cistych marzeń naszych, tak bogatą w pociechy i radości, nie zdoła jednak jeszcze być fantazyją *artystyczną*, jeżeli ona nie zdoła jeszcze wybrańców swoich wyświęcić na kapłanów sztuki pięknej, cóż dopiéro rzecz o téj szarój czeladzi, która, mając się za natchnioną, woła: »est deus in nobis« choć w niej i ta nawet zwyczajna powszechna fantazyja tleje zaledwie mdłą iskierką? Ów rozumie że trocha brzęku i dźwięku w rymach, szczypta imaginacyi, lada koncepcik, trocha czułości a dużo zrozumienia, dają prawo do wieńca poety; ów znowu robi wiersze, cacka go tedy admiracyą rodzina, a kółko

(\*) Ob. obszerniejszy wywód o fantazyi powszechnej i artystycznej w Estetyce Vichera §. 379 i następne; jest to dzieło z którego często w tych Listach korzystałem, a godne by było poleczone czytelnikom młodym.

przyjaciół z jego parafii raduje się wieszczem swojego chowu; a jeżeli sentymentalnością rymowaną zdobył sobie jakieś serduszek, i tak nie bardzo warowne, albo popisze bez składu i ładu niestworzone rzeczy, co mu przez głowę przejdą, nazywając to fantastycznością genialną, wtedy już mizdrzy się sam do siebie i jest pewien że dójdzie Parnasu na wielką radość Homera i Sofoklesa, którzy tam już na niego u drzwi czekają. Ów znów drugi, że się podlił wierszami przelotnym, spaczonym wyobrażeniom, że sobie wylokaił wziętość chwilową, radby ukryć pod laurem poety znieważone czoło. Tamten znów cieszy się że wierszami swojemi poruszył serca zacne i poczciwe, że pieśń jego rozlegała się po świątnicy duchowej czytelników; stąd wierzy że jest wszechwładnym prorokiem, a nie chce baczyć, że te głębokie boleści, radości i bez niego rzewną muzyką już od dawna żyły i w tych żyjących ciepłych sercach, i żyły po grobach, a zapomina tego, że on tylko podszył lichy wiersze swoje pod tę nutę świętą, wspaniałą i uroczystą, a tak sztuczka zdobył upodobanie przechodnie publiczności swojej.

Przepuść mi jaskrawość tych uwag kilku, ale trudno być obojętnym, patrząc ile zdolności młodych u nas umiera na wierszowanie, które wcale inaczej mogłyby służyć społeczności. Wszak tych niewydarzeńców powiększej części podrzuca chętką dania sobie dyspensy od trudu nauki, lub innéj jakiej uczciwéj pracy w życiu, a zjednania przecieź sobie imienia bez mozolu. Kto atoli tak opojony własną miłością a prózną pochwałką nie obliczył się z sobą, zmańdrzeje po szkodzie i pozna że życie młode przegrał w rymy; doczeka się tedy śmierci za życia i téj pociechy, że był na własnym pogrze-

bie. Jeżeli tedy kogo z młodych opadnie ochota do wierszowania i poezji, niechajże ją uważa za ospę, za kur, odrę lub inną chorobę dziecięcą, którą trzeba odbyć za młodu jak pierwsze kochanie; ale umrzeć na te słabostki—nie uchodzi.

Zaiste fantazyja, o której mówiłem, nie stanowi jeszcze twórczości, mistrza, zaprzeczyć jednak trudno, iż ona i mieni się w każdym człowieku właściwą sobie barwą, i jest różną w ludziach wedle różnego stopnia swojej potęgi. Chętnie się też zgodzisz ze mną, iż w kim ta fantazyja wzmoże się całą głębią swoją, już niekiedy zagrzebie wszystkim akordem swoich strun i uniesie ducha prawie na pogranicze artystycznej twórczości; zabraknie mu może jeszcze tylko jednego uderzenia jęj skrzydeł, by go przenieść w ojczyznę mistrzów piękności. Uważ nadto, iż nie ma mistrza bez tęg fantazyji powszechnej, wszystkim nam spólnej, że i on się nie obejdzie bez czynników a pierwiastków, które są jęj warunkiem. Mistrz nie byłby tem, czém jest, bez onęj bacznęj czujności na naturę i życie, bez onęj tklivości goracęj, przybierającęj do serca tak głęboło i namiętnie wszystko, co tylko świat w koło porusza. Nigdy nie będzie z ciebie mistrz jeżeli Natura, ludzie, świat zatrzęsły się w koło serdeczną radością a w sercu twojém nie ocknęło się Hosanna brzmiaćém weselem. Nie będzie mistrzem, kogo do żywego nigdy nie przejęły piekące cierpienia, »kto nigdy nie przepłakał długich samotnych nocy« (Göthe), i żarem boleści nie wytopił z siebie żuzelicy ziemskiej. Nie będziesz mistrzem bez wyobraźni potężnej, co silnym, ostrym konturem, żarzącym kolo-rytem nie wznowi mu rzeczywistości obrazów. Te

wszystkie moce będą równie i mistrzowi w służbę oddane, a będą atoli w nim kipiały i robiły daleko wyższém tętnem niż w nas powszednich ludziach.

Ale nie tutaj jeszcze koniec istoty mistrza.

Mistrz, na mocy potęgi danéj mu łaską, z otchłani duchowych na jaw zmysłowy wywołuje postaci, wiekui-stości człowieka zwiastuny. Ciała ich, choć okiem doczesném widziane, choć uchem doczesném słyszane, nie są z tego świata. One, lubo stają na nizinach tutecznego żywota, wiodą ród swój z nadświatnéj krainy; ułomność, skon, jęctwo materyi, tracą tutaj prawo swoje, a starta ich jest moc. Jeżeli ową powszechną fantazyą stać jedynie na to, aby otulić jestestwa zdobiącą szatą duchową, fantazyja mistrza ubiera wolne córy duchowe szatą doczesną, ciałem, by były widziane na ziemi. Tak przeto te szaty, te ciała, te powłoki ducha, same są czystém przezroczem, tchem duchowym, przez który świeci nieskończoność w jasnym majestacie swoim. Te ciała są tylko przyborem czasowym; rzekłbyś, że chwila jeszcze, a przybory te spadną i niebianka uleci oczom śmiertelnym.

Patrz, dziewica, przeczysta w sercu i niewinności rajskiej, rozraduje się w duchu, gdy na nią przyjdzie nieznane jeszcze miłości przeczucie — ona zapłonie rumieńcem; lecz te róże na licu dziewiczém nie są przecież wstydlivosti ziemskiej oznaką, bo one nie z ciała się rodzą, one są ducha wykwitem. Tak i ciało, w które mistrz ubiera treść swoją, nie jest ciałem zmysłowém, ale tylko duchem widzialnym. Te postaci, to splot promieni, woni, uczuć, barw, tonów i światła. W nich niebo i ziemia obchodzą zrękowiny swoje. Tutaj do-

czesność ziemską zwlokła z siebie ciężkie śmiertelności ciało, a tak, przerodzona w niebiankę godną ulubieńca, rzuca się w objęcie jego. W tych dopiero postaciach do prawdy duch się przejrzy, w nich siebie znajdzie i powita równiennicę swoją.

I stanęły te postacie przed okiem ludzi, goście ze świata ideałów; uroczysto i świątecznie patrzają się na nas z podnoża swojego; a spojrzenie ich tak tkliwe, tak miłości pełne, iż przenika do dna duszy naszej; a radbyś je ująć uściśnieniem rzewności nieskończonój, ale braknie ci śmiałej odwagi, bo jakby urzeczony tym cichym spokojnym majestatem ich, staniesz nieporuszony\* (Schiller). Umilkną też wrzawy światowe, oniemieją w koło gwary i hałasy jarmarczne powszedniego życia, i w około umilkną zwady uczuć w piersiach ludzkich, a dawno w nich zapadłe wyrocznie ożyją i odezwą się proroctwem o wszystkiem co wielkie, zacne i wiekuiste. I w koło ucichną wrzawy światowe i gwary i hałasy; w milczeniu uroczystém, głębokiém, dosłyszysz w tych postaciach marmurowych oddech niebiańskiego żywota, dosłyszysz, jak w nich tętni sercem nieskończoność. Co się zrodziło w jednej chwili, staje się dziedzictwem, drogą puścizną dla późnych pokoleń i następnych wieków.

Tak mistrz jest królem duchów a kapłanem, co słubem miłości wiąże ducha i materją. W jego dziele treść i forma, myśl i obraz, dusza i ciało w jedności są, nawzajem się przenikają i są stopione w jedną całość. Ta jedność dwóch światów nie jest zewnętrznym spojem. Obie strony nie są dobierane w czasie. One powstają jedném uderzeniem ducha, jednym gromem, one razem



się rodzą, razem żyją, razem umierają. Obie strony mają się jako potęga dwóch odwrotnych biegunów elektrycznych; nie ma jednej bez drugiej; gdy się wzmogą, jednoczą się spólnym płomieniem. U mistrza treść jest już formą, a forma już jest treścią; on, gdy myśli, obrazuje, a obrazowanie jest myśleniem jego. U mistrza ciało jest tylko uwidomieniem ducha, a duch istnąc uwidamia się ciałem. I to jest fantazyja twórcza, artystyczna; ta fantazyja jest mistrza żywotem. A pytacie skąd mu ta potęga? Ona mu łaską przysłała; jest to wielka jego wygrana, w chwili gdy się na świat rodził. On jest szczęśliwym niebios wybrańcem.

Są chwile, gdy świat wydaje się jako olbrzymi dom roboczy, w którym mrówcze krzątaniwy i prace i trudy ku temu wyłącznie się mają, aby każdy, o ile tam może, opatrzył jakoś codzienne potrzeby swoje, i, jeżeli się uda, aby wydarł jeszcze na losie jakieś osobne dogódki dla siebie. Rzekłbyś, że w takich czasach jest zaiste obawa, aby człowiek na prawdę nie ugrzązł w tém życiu duszném i ekliwém, aby mu się samemu kiedyś może nie sprzykrzyły te zabiegi, i aby mu się nie zmierzziły i to życie własne i ten świat stęchły i czezy. Jednak, wierzaj mi, nie ma strachu! I najprozaiczniejszy człek, i w tak zaśniedziałym czasie, ma swoje marzenia, co choć we śnie odwiedzają biedaka. Śpiącego otacza ród swawolny gnomków i geniuszków i barwi mu życie senne, i szepce i śpiewa mu tak dziwne powiastki, że choć go wstyd na jawie przyznać się do nich, i choć nawet jakoś niemi pogardza i płoszy je ważnemi sprawami giełdy, kursów, akcyi, diwidendy i t. d., owe piosenki i rusalki i gnomki brzęczą mu przez sen i bur-

czą mu na jawie, jakby muszki złociste, około uszu, i brzęczą w duszy. A zbierają się znowu natrętki na nocne odwiedziny i stroją niewczesne żarty i figle. Otóż, zważ, ci figlarze i próżniacy, gdy się bardzo zagęszczą, wyprzedzają rzeczy świetne i pełne grozy; wtedy one są zapowiedzią, iż nastaje czas, w którym światu mistrze się zrodzą, co zetną pleśń ze życia i poruszą zastate serca i dusze ludzi.

Znasz te ciche, święte nocy, gdy natura obchodzi uroczyste nabożeństwa swoje; gdy księżyc poświęca drzącą marzy po dolinach i wzgórzach kwiatem i ziołem szytych i zagłada srebrnym spójrzeniem w tajne głębie boru, świeci krzyżem na domach Pańskich, mru-ga na szczytach grodów starych; gdy brylantem zapalając okienko pod strzechą niską, drży w rosy kropelce na lisciu zawieszonój. Doliny i góry, drzewa i jeziora, przybytki Boże i mieszkania ludzi, otulone tajemniczą fantazją nocy, zasnęły i marzą, stając się jakby własnym widmem swoim, a tłumy skoczne iskier srebrnych płasają w potoku; więc i on śni o kąpiących się w nim rusałkach cudnych i przez sen coś mruczy; przez sen też całują się rozkochane kwiaty. Lekkie, rozwiewne obłoki, co niewiedzieć skąd przyszły i dokąd uchodzą, gadają śpiącój ziemi bajeczki czarodziejskie, a ona zapomina o troskach i znojach dziennych — i śpi. W tych nocach cichych sama natura jest artystą i chuchem poezji odziewa świat, by zacie przyjął posłannicę z piękności krainy, co, jakby kochania dreszcz, przelatuje śpiące życie. W tych nocach świętych Venus-Urania zstępuje na ziemię. Żaden z ludzi powszednich nie ujrzał nigdy przychodniój zwiastuny; nikt z nich nie dotrzymał.

by obliczu niebianki. O jój nawiedzinach szeptają tylko wieść, co z pokolenia na pokolenia falami spływa, krzepiąc je wiarą i otuchą. A zwiastuna niebiańska z cicha i niewidzialna wstępuje do komnaty, kędy dopiero co gość młody, mający odbyć pielgrzymkę przez życie, płaczem i kwileniem powitał pierwszą chwilę ziemskich trudów. Matkę po pracach boleści ukołysały snem łązy rozkoszy i szczęścia uśmiechy. Posłannica ze świata Fantazy stanęła nad kolebką niemowlęcia i położyła mu na czole jedną z swoich gwiazd; po tój gwiazdzie go pozna, gdy kiedyś ją złoży nieskalaną, nieprzyćmioną u stóp wiekuistego tronu, dokonawszy zacie swoje go posłannictwa na Ziemi.

I gore gwiazda na dziecięcóm czole, a gore wróżbą przyszłych cierpień i przyszłój chwały, a nikt z ludzi nie dostrzega tego nieskończoności znamienia; jedna tylko matka, czuwając nad kolebką długie tęskne noce, niekiedy obaczy jasność na skroniach dziecięcia swojego; bo miłość matki, to także gwiazda Boża; ta miłość także nieskończona i bez granic; a więc serce matki miewa chwile, gdy błysnie jasnowiedzeniem i magią przeczucia. Dla tego gwiazda Boża w sercu matki poznała gwiazdę Bożą na dziecięcóm czole.

Wyrosło dziecię w pachole—huczy i szaleje radością z innymi po łączkach i krzewach. Lecz gdy się wyhasa, wyhuka, znów czegoś dumające i smętne; w głowie coś mu ciśnie i boli, a gdy samo jedno z daleka od zabaw hałaśnych chowa się w zacisze, wtedy nawiedzają je niekiedy jakieś śliczne i grzeczne chłopięta skrzydlate a tak miłe i cudne, jak te dzieci niebiańskie na obrazie w kaplicy; i podają mu złociste jabłuszka, i obrazki

świeciste, i wianuszki pachnące, i z nim się bawią i prawią powiastki tak ciekawe i cudne, że już chłopczyna i na łączce, i w ogrodzie, i w szkole, i w domu myśli i marzy o tych ładnych i maluchnych przyjaciółkach swoich. Nikomu też o nich nie powiada, choć nie wie gdzie mieszkają i skąd przychodzą, a czasem nawet siadają mu na łóżeczku i coraz śliczniejsze opowiadają powiastki i pieścą go i całują, póki nie usną.

Chłopczyna wykwitnął młodzieńcem; on marzy o czarodziejskich latach dziecięctwa swojego, a tak mu czegoś ciężko na sercu, tak ciasno na tym świecie, że mu dusza zaszła tęsknotą; pragnie puścić się wędrownym obłokiem, co płynie po niebie i pozęglować gdzieś daleko. W piersiach mu duszno, parno, w nich roje słońce radeby na świat się rodzić; w duszy coś mu śpiewa, i gra i płacze, coś się rusza jakoby ożyły w nich nuty do przyszłych tryumfów, do hymnów na przyszłe dzieje ludzkie; ale jemu tak ciężko i tęskno w sercu! Mozół młodego życia, nauk trudy, powołanie przyszłe, co olbrzymem pełnym grozy staje przed nim i napomina i przestrzega, nie zdołają spłoszyć jakichś postaci dziwnych, co choć nigdy niewidziane, przecież znane od dziecięctwa, to nurzą się w głębi duszy jego, to znów wyświecają się na jawie kształtem czarodziejskim. Mozoły, trudy, grozy żywota nie zdołają ostudzić kipiącego waru serca i zagłuszyć w niem tych rozmów cichych, a przecież tak głośnych a wymownych, co szepcą językiem nowym, przecież tak jasnym i rzewnym. On sam siebie nie poznaje; jakby oczyniony, urzeczony obcą mu siłą, przeczuwa że już sam do siebie nie należy; on nie swój, a coś mu gada że go obca posię-

dzie potęga, której przemódz nie zdoła, której się nie obroni. On choć nie wie, co go czeka, oczekuje jednak sam stanowczej chwili, to z jakimś tajemniczym lękiem a trwogą, to znów z radością i przecuciem tryumfu. »On dziwaczy« mówią jedni, »to marzyciel« mówią drudzy, a matka myśli o światłości widzianej niegdys w kolebce, i biedzi się i troszczy, bo jój syn chory. Miotany jakby strachem i niepokojem miłości, stroni od gwaru ludzi, od zamieci i kurzawy codziennego życia; spina się po szczytach obłocznych turni co z wysokości podniebnych patrzą w gwiazdy, nie słyszą wrzawy kłopotnej i bitki o chleb powszedni. Tu bliżej Nieba radby odetchnąć— ot tak, całym, pełnym sercem! Radby skapać ducha w powodzi oddechów natury, w jój światłach i barwach przezczystych. Pragnie zwierzyć się przyrodzie, wypowiedać się jój ze swojej tęsknoty boleśnej, ze swojej dumy zuchwałej i z lęków trwożliwych; on u natury spodziewa się utulenia niepokojów i ochłody dla serca trawionego zarem.

Turnia skalna samotna, wzniesiona nad świat; w koło cisza głęboka, natura się modli, powiew wieczności ucałował świat. W koło majaczą gorzkie tchy, roją się lotne mgły; a tchy i mgliste ziewy jakby westchnienia ziemskie spływają z farbami Nieba, co je maluje wieczorną purpurą, ogniem zachodu i błękitem nieskończonej przestrzeni; a te barwy natury splotły widziadło, co jest jakby powietrznym zjawiskiem, jakby niewieścią postacią. A postać po imieniu go wita i pozdrawia, jako piękności wybrańca. »Rzuc« woła »rzuć, coś polubił ziemskiem kochaniem a pójdz za moim zakonem; sięj siejbą kwiatów nieśmiertelnych, co zacne

»i wielkie na świecie! Tobie dane władztwo nad ser-  
 »cami, tobie oddana natura w posługi, tobie roztworzą  
 »się przeszłości groby, zrozumiesz mowę ludów, co od  
 »lat tysięcy zasnęły w całunie historii; tobie dana  
 »wyrocznia przyszłych pokoleń, które dopiero zrodzić  
 »się mają; słuchać cię będą głazy, technij a ożyją.  
 »Posłuszne ci będą światłości i cienie, barwy i tony,  
 »rozwiązuję ci usta byś wieszczęł światu. Co tajemnicą  
 »dla dumającej myśli, toć serce odgadnie, gdy w swych  
 »głębich zadygoce od ciebie wezwane. Lecz bądź  
 »prawdy kapłanem, bo co ty uczysz, będzie uczzone,  
 »choćby od dawna było w zelzeniu. Za dotknięciem two-  
 »jém w proch się rozsypią skłamane wieńce, a kłamstwo  
 »potępione przez ciebie nie zazna już pokoju; pokuto-  
 »wać będzie przez wieki w twoich marmurach, w pie-  
 »śniach twoich, a złoczyńca niby upior gnany będzie  
 »przez scenę dramatu twójego, sobie na karę, ludziom  
 »na ohydę i wstręt. Bo tobie oddane są w rękę szale,  
 »byś ważył i sądził.”

Słońce spójrzało raz jeszcze na naturę i oblało po-  
 topem złotego rumieńca świat,— a świat zabrzmiał ni-  
 by arfa Eolska pod nieskończoności tchem. Z nizin  
 mieszkań ludzkich słychać dzwon kościołka wołający na  
 nabożeństwo.

Zaiste, mistrz staje się mistrzem przez łaskę, jest  
 to los szczęścia wygrany z urny ludzkich doli.

Zważ, dziw przejmuję ludzi, gdy w naczynku krysta-  
 licznój wody, pod potęgą li promieni i ciepła wystrzeli  
 świat zielony. Zrazu widzisz jakąś bezkształtną powło-  
 kę, tkankę martwą, lecz gdy ją ujmiesz szkłem dro-

bnowidza, państwo roślinne roztoczy się w cuda tysiąca nocy i jednej. Obaczysz zmagła okolicę pełną wdzięków i rozkoszy; tu wija się jakby na żarty krzewy i kwiaty misterne, tam powiewają śmigłe drzewka o formach fantastycznych; ondzie ciągną ciemne bory, puszcze nieprzebyte, straszliwe, gdybyś ich nie mógł zatopić jedną wody kropelką; oto wglądasz w ojczyznę figlarną chichocących gnomków co tu hulają, niedójrzone okiem ludzkim. Skąd się wziął, pytasz, ten światek, co sobie niby drwi z naszych ziemskich widoków? czyli posiewem jego chuch powietrzny, promień słoneczny i niebiańskie lazury? Patrz znów w przepaści najgłębsze nocnego nieba. Widzisz tam w onej bezdeni ciemnej, nie ludnej w gwiazdy, ów samotny, lekki, lotny dymek, co jakby dech natury bieli się marą?— to zawiazek przyszłych światów, powiada umiejętność; ten dech lekki zetnie się kiedyś w planetę, może nawet w słońce, może nawet w cały system ciał niebiańskich; to ziarno w tym ogrodzie bożym stanie się pączkiem, kwiatem pod ciepłem i światłem miłości nieskończonej. Tak, kędy rzucisz bacnością natrafisz na tajemnice zrodzeń; zewsząd na ciebie patrzą się sfinxowe zagadki i pytają o tworzenia święte misterye. Czyliż nas tedy mniej obchodzą te tajemnice rozwijających się światów w duchu mistrza, te misterye rozdzenia się słońce, firmamentów całych w piersiach śmiertelnego człowieka?

Zaiste, warto podpatrzeć te otchłanie, w których robi i pracuje duch, warto i podsłuchać boleści i tryumfów jego. Zanim atoli wstąpimy do téj przenajświętszej świątynicy piękności, zechciej baczyć na prawdy już

powyżej wspomniane. Wszak mistrz ma treść swoją wcielić w dzieła swoje, wszak ta treść duchowa i ciało, w które się ona przyodziewa, winny razem się zrodzić; treść a ciało powstają razem wywołane do istnienia błyskawicznym gromem ducha twojego.

Widzisz przeto już że mistrz winien sam mieć treść w duchu bogatą i głęboką, aby również treść pełną ciężkiej wagi mógł przelać w dzieło piękności;—niechaj tedy duch jego będzie jednego odlewu, niechaj myśl jego będzie spotęgowaną całym zasobem wiedzy i uczuć, niechaj umie rozmówić się z duchami natury, niechaj cała przyroda roztworzy mu serce swoje, niechaj on przejrzy wskrós sprawy codzienne ludzkie i dzieje świata. Naród płytki, człek płonny z biedną myślą a głuchém sercem, nieuk, nie będzie mistrzem; dzieła jego przeminają, jak one jednoroczne kwiaty, co, wychuchawszy z siebie wonny dech, nie wytrzymają burz i zamieci zimowej w ludzkich dziejach i pójdą jakby liść suchy wiatrom na poniewierkę. Niechaj mistrz panuje obszernym dzielnicom w rzeczywistości, niechaj umie duchem zanurzyć się w prawdach wiekuistych, co nie konają nigdy; bo jeżeli się zakocha w jakiejś treści skłamanéj, co jedynie żyła życiem przypadkowém, zmyśloném, w jednym rychło przemijającym ustępie czasu,—wtedy ta treść będzie jako kochanka którą umarłą z grobu wywołał; on tchem ożywczym, najgorętszym uściśnieniem nie zdoła zbudzić jéj serca pukania, on sam przy niej skrzepnie śmiertelnym mrozem.

Powtóre, mistrz winien przelać treść duchową w ciało, ale ciało to jest przecież własnością ślepych potęg



natury; t $\acute{e}$ m cia $\acute{e}$ łem jest materya, owa dzika, ci $\acute{e}$ żka, gruba osnowa zmys $\acute{l}$ owego  $\acute{s}$ wiata, a mistrz ma j $\acute{a}$  przestoczyć na szat $\acute{e}$  dla t $\acute{e}$ j tre $\acute{s}$ ci ducha, na owo przezroczyste czyste, w kt $\acute{o}$ r $\acute{e}$ m promieni $\acute{e}$  b $\acute{e}$ dzie niesko $\acute{n}$ czono $\acute{s}$ ć wiekuist $\acute{e}$ m  $\acute{s}$ wiat $\acute{l}$ em swojego majestatu; ta szata, to cia $\acute{ł$ o materyalne ma b $\acute{y}$ ć tym lekkim, lotnym przyborem, w kt $\acute{o}$ r $\acute{y}$ m si $\acute{e}$  zjawia go $\acute{s}$ ć z nadzwyczajnej dziedziny.

Tutaj, przeto, rozpoczyna si $\acute{e}$  dla mistrza mocowanie si $\acute{e}$  na zab $\acute{o}$ j, walka o  $\acute{z}$ ycie z matery $\acute{a}$  surow $\acute{a}$ , nieużyta a zazdro $\acute{s}$ n $\acute{a}$  i duchowi wrog $\acute{a}$ . Kto pragnie wygrać pie $\acute{s}$ ni z innego  $\acute{s}$ wiata na sercach ludzkich, kto chce duchom w $\acute{l}$ adać i stać si $\acute{e}$  ich panem, winien wprz $\acute{o}$ d poddać w j $\acute{e}$ ctwo swoje matery $\acute{a}$  i uczynić j $\acute{a}$  pos $\acute{l}$ uszn $\acute{a}$  skinieniom swoim i rozkazywać j $\acute{e}$ j jako mistrz. Naucz si $\acute{e}$  istoty tych pot $\acute{e}$ g upornych, zawziętych. Umi $\acute{e}$ j obchodzić si $\acute{e}$  z marmurem, by $\acute{s}$  przem $\acute{o}$ gł jego dumny hart; wiedz jako rozkazywać barwom,  $\acute{s}$ wiat $\acute{l}$ u i cieni $\acute{o}$ m, przestrzeni i tonom, by $\acute{s}$  je mia $\acute{l}$  na zawo $\acute{l}$ anie, jako czarnoksi $\acute{e}$ źnik ma na zawo $\acute{l}$ anie demony swoje. Naucz si $\acute{e}$  w $\acute{l}$ asnego j $\acute{e}$ zyka twojego, naucz si $\acute{e}$  jego sumienia, jego serca, podpatrz jego tajemnice; poznaj si $\acute{e}$  z czarami jego pot $\acute{e}$ gi, co w nim  $\acute{z}$ yj $\acute{a}$  zak $\acute{l}$ ete; umi $\acute{e}$ j z niego wskrzesić pioruny i burze, p $\acute{l}$ acze i muzyki anielskie, je $\acute{z}$ eli chcesz by ci mowa twoja zagra $\acute{l}$ a i za $\acute{s}$ piewa $\acute{l}$ a pod pi $\acute{o}$ rem, je $\acute{z}$ eli chcesz, by ci by $\acute{l}$ a talizmanem do pot $\acute{e}$ g, do uczuć, co  $\acute{s}$ pi $\acute{a}$  nieznan $\acute{e}$  w topielach piersi naszych! Tak jest, naucz si $\acute{e}$  j $\acute{e}$ zyka twojego, naucz si $\acute{e}$  jego sumienia; ale pami $\acute{e}$ taj,  $\acute{z}$ e tu g $\acute{l}$ owa,  $\acute{z}$ e tu rozum nie wystarczy; przy $\acute{l}$ o $\acute{z}$  serce do serca twojej mowy, bo tak jedynie uczujesz j $\acute{e}$ j t $\acute{e}$ t $\acute{n}$ o tajemnicze,

pokochaj ją z duszy jeżeli chcesz być od niej kochanym. Jeżeli ta mowa twoja nie będzie ci potulną, jeżeli nie będzie powolną twoim myślom i uczuciom, nadaremnie będziesz przysięgał, że ją znasz, że ją kochasz,—nikt ci nie uwierzy!

Słowem, zanim się pokusisz być mistrzem, umiej wprzód być technikiem, zanim urościsz sobie prawo do posłuszeństwa materji i do jój służby, wprzód sam bądź jój sługą, polecaj się jój pilnością niez mordowaną, nie folguj sobie w pracy, zjednaj ją sobie wytrwałością niesprzykrzoną; bądź jój poddańcem, byś się stał jój władzcą;—bo zważ, ten świat zmysłowy ma przeciwieź własne prawodawstwo, które uznaje, któremu hołduje a obojętny jest dla praw duchowych człowieka. Jeżeli tedy człowiek zechce, by materya stała się wyrażeniem jego duszy, winien opłacić jój potulność krwawym trudem, sileniem się, wprawą, cierpliwością bez granic. Jeżeli materyą hardo pominiiesz, ona się nad tobą mścić będzie za lekceważenie; tyś nie uznał jój potęgi, ona twojój nie uzna, a wtedy daremne będą twoje zrodzenia duchowe; te piękności, wypiastowane w głębi piersi twoich, gdy wystąpią z tajników wewnętrznych, rozbiją się, zgruchocą o tę materyą, którąś poniewierał; ona cię odepchnie od siebie z urąganiem a wyśmiechem. Przyszły mistrz niechaj oswoi się z każdą wiadomością, z każdą wprawą i zręcznością mechaniczną, ze wszystkiem, co tylko ze sztuką jego w związku zostaje; niechaj nie ominie żadnego pośredniego szczebla w kształceniu swojém; niedouczenie się stworzy jedynie partactwo, a w najszcześliwszym razie wyda lubownictwo, amatorstwo, co nawet mimo świetnego ta-

lentu nie będzie przecież nigdy mistrzostwem (\*). Człowiek w tej ziemskiej gospodzie swojej niczego nie dokona bez biedzenia się i mozołu. Po tym świecie naszym nie przeszedł jeszcze nikt, choćby najświetniejszy geniusz, któryby się chwały swojej dokupił bez znoju i silenia się a łamania z sobą, tudzież z osnową którą sobie podbił hartowną pracą. Ludzie widzą tylko sam świetny laur na skroniach mistrza wielkiego, którego postać olbrzymia wgląda w późne pokolenia jako strażnica przyświecająca im na wędrowce przez życie, a którego chwala idzie na cześć jego wieku i narodu; ale już dawno ktoś powiedział że mistrz ma laur ten tylko dla ludzi, dla świata, dla siebie zaś zachowuje tajną, niedostrzeżoną od ludzi, koronę z passiflory, wieniec skrycie przebytych boleści i trudów. Zaiste ten smętny wieniec z kwiatów cierpień mistrz bierze z sobą do trumny; on go razem z ową gwiazdą, odebraną przy urodzeniu, złoży u stop wiekuistości tronu, dokonawszy zanie posłannictwa swojego na ziemi.

Mistrz tedy przemógłszy ślepą, głuchoniemą materyą, już nią gospodarzy wedle woli swojej, a tak zdo-

---

(\*) Przykładem i wzorem świetnym w tej mierze jest młodociany Krakowianin *Henryk Statler*; on od wczesnego dzieciństwa łamał się z techniczną stroną swojej sztuki rzeźbiarskiej i pracą wieloletnią, wytrwałą przewycięzał npor materyi; a dziś, gdy przemógł one wszystkie trudności, już rozwija swobodnie skrzydła swojego natchnienia unosząc się do ideału piękności. Dziś, mężowie sławy szerokiej jak świat, bo *Kornelius* i *Overbeck* piszą o tym młodzieńcu dwudziesto-letnim, że dzieła jego mogłyby być zaszczytem dojrzałego i ukończonego znakomitego artysty, i wrożą mu najświetniejszą przyszłość. A tak *H. Statler*, krom geniuszowi swojemu, zawdzięcza usilnej pracy swojej że dzieła jego rosną jemu na chwałę a miastu rodzinnemu i krajowi całemu na chlubę wielką.

ła z niej uczynić formę, postać odpowiednią treści duchowej.

Lecz przypuśćmy że np. mistrz-rzeźbiarz umie już obchodzić się z marmurem, że już gład potulny mięknieje kornie pod uderzeniem dłuta, jakąż postać, śpiąca jeszcze w bezkształtnym bałwanie opoki, ma z niego wyskoczyć na jaw? — czy Gracye, czyli Mojżesz Michała Anioła, czyli Boga-Rodzica? — Toć zależy, powiadasz, od treści, którą ma przelać w tę postać a formę.— To prawda! Zważ atoli że jeżeli już będzie treść poczęta w tajnikach duszy, i jeżeli z tą treścią nie zrodziła się zarazem odpowiednia jój forma, postać czyli obraz, mający być wyrażeniem zewnętrzném, bo wcieleniem téj treści, już wtedy dzieło będzie spaczone w związku swoim. W razie takowym treść dzieła przyszłego, właśnie dla tego iż zrodziła się bez ciała, jest myślą gołą, jest dziełem rozumu i refleksyi zimnej, a tém samym nie będzie bynajmniej wolnej fantazyi kwiatem, więc nie będzie i dziełem artystycznym. Choć później dla treści takowej przybierzesz zewnętrzną formę, ciało, wyrażenie, przecież obie te strony, bo wewnętrzna i zewnętrzna, bo duch i ciało, bo treść i forma nigdy już nie spłyną w jedność doskonałą, a zespolenie ich nie będzie ślubem, w którym niebo i ziemia spłynęły gorącą miłością; będzie to związek naciągany, będzie to skojarzenie dokonane mocą gwałtu i przymusu, a dzieło będzie skręcone i pożali się jękiem jakby struny zerwanój.

Przecież o téj jedności koniecznej wspomniałem powyżej, gdym rzekł, że treść a jój uobrazowanie, to jest forma, winny się począć jednym i tym samym gromem w głębinach duchowych, że u prawdziwego mi-

strza myśli są obrazem, a obrazowanie u niego jest myśleniem; ale o tém wszystkiém jeszcze później mówić będę, bo ta jedność obu stron stanowi właśnie istotę dzieła sztuki; nie zawadzi tedy wyłożyć ją najdokładniej.

Tutaj zaś wyraźnie już widać, iż gdy rodzenie się treści nie powinno się odbywać przed poczęciem formy i ciała dla téj treści, zatem też pierwsze potrącenie twórczości mistrza nie powinno pójść od ducha jego, ale od zewnętrznego, rzeczywistego świata. Zjawiska tego świata same przez się już są formą, uwidomieniem pewnej myśli i treści w nich zamkniętej. Jeżeli tedy te zjawiska uderzą mistrza, a staną się zarodem dzieła sztuki, już go natchną; on je chwyci i w jednej chwili przeistoczy po swojemu, da im treść i formę, a dzieło piękności urodzi się światu. Ale o tém obszernie jeszcze pomówimy, tutaj rzućmy tylko wprzód okiem na ten rzeczywisty świat, o którym wspominamy. Jakóż cała rzeczywistość otacza nas do koła oceanem bijącym falą nieskończonych zjawisk. Zrazu potęgi natury tu odgrywają ten dziwny a magiczny dramat swój i występują na scenę całym orszakiem widziadeł to lubych i wdzięcznego uśmiechu, to straszliwych i groźnych; to przyroda piastuje człowieka jakby matka tkliwa, i karmi go i kołysze i pieści i bawi; to znów naszyła na niego tytany wrogie, nieubłagane, co głuche na jęki, na cierpienia, na płacze ludzkie, dławią i dręczą i męczą. A człowiek to zwija się boleścią za dotknięciem tych śleپookich demonów, to uspiomy rozkoszą w ich objęciu marzy i śni o szczęściu rajskim, niezamąconém nigdy. Pogoń wzrokiem znów w świat du-

chowy—tu historia zasiadła wysoko nad ludzkim rodem, a na stolicy opocznej, wyniesionej po nad lat tysiące, nad państwa i ludy, w cichym majestacie patrzy się na przepływające pokolenia i zapisuje mocowanie się narodów i stuleciów i ich służby w sprawie uczłowieczenia człowieka; i znów domaga się liczby od bohaterów dziejowych naszego rodu, tych robotników swoich, i nie policza im na rzecz pańszczyzny, odrobionej wiekuistemu Panu, wszystkich, choćby najświetniejszych dzieł, które nie poszły na chwałę ich posłannictwa, a światu na zdrowie duchowe i moc. Tu się odbywają »sądy ostateczne« nad światem.

Albo, gdy z tych wysokości zawrotnych spuścisz oko w nizkie padoły powszedniego życia, już, byleś miał oczy ku widzeniu a uszy ku słuchaniu, ockną się koło ciebie, wprawdzie nie światogłośne, nie grzmiące przez stolecia, nie mniej jednak zajmujące dramaty codziennej historii człowieka. Te tragedye, te komedye, choć odegrane w rodzinném zaciszu, przy ognisku domowém, staną się dla mistrza głęboką jak morze, nigdy nieprzebraną, wciąż się odradzającą osnową, co rozrzewni i wzniesie radością, i znów rozkwili wszystkie uczucia duszy naszej. Wszak każda rodzina, każde serce ma swoją biografią, swój tajny żywot, co, będąc małym jej światem, poda też cały świat bogatej treści prawdziwemu mistrzowi. Któż zdoła zliczyć te głębokie i wysokie tony, te mrozy a upały, te tęsknoty i nadzieje, uciechy i smutki ponure, zgrozy i miłości, te uczucia, to mętne i skalane, to czyste i anielskie, te trwogi, radości, co w ciągu życia na przemiany miotają, pieszczą, szarpią i usypiają to biedne serce człowieka, zanim nie spoźnie na zawsze, jakby w kolebce, w cichym grobie swo-

im. Bądź wieszczem tych wewnętrznych a tajnych dziejów piersi naszych, a zaśpiewasz poematem ogromnym, cudownym; każdy jego ustęp będzie jako rozstopne rzeźwne adagio lub allegro hoże.

Nie ma co, podobno, wspominać ci o innych jeszcze osnowach; natracę tu jeszcze tylko jedną, a zaiste najwyższą, bo wrażenia a uczucia religijne, co tak proste i naiwne, jak paciorek poranny z ust dziecięcia, a tak głębokie, jak najgłębsze mądrości słowo, tak łagodne i miękkie jak tchnienie wieczornego powiewu, co unosi fiołków woń, a tak potężne jak owe moce, co obracają wszechświatów bieguny i słońca i gwiazdy.

Słowem wszystko, co się w Naturze, wszystko co się w duchu święci, co tylko porusza serce człowieka, rozkłada się nieprzeliczoną cizbą przedmiotów przed obliczem artysty; a każdy z tych przedmiotów może potrafić fantazyą do czynu, rozplomienić w niej stwarzania potęgę. Duch mistrza patrzy się na świat, jako na własną wewnętrzną treść, rozłożoną w przestrzeni, a rodzącą się w czasie. Świat ten jest jakby uwidomioną symboliką własnego wnętrza artysty. Jeżeli przeto z tych tłumów zjawisk jeden przedmiot spotężnieje i uderzy fantazyą mistrza, już zatrzęsie nią do dna; odgłos uderzenia rozlegnie się po przybytkach duchowych, jakby grzmotne wołania archanioła, i z głębokiego snu przebudzi uspioną w nim treść, właśnie temu przedmiotowi odpowiednią. Lecz ziemski przedmiot ten zarazem uchwycony przez wiekuiste potęgi ducha, zanurzony w jego tajnicach świętych, zmiera śmiercią, a ogarniony żarem duchowych mocy wypala z siebie co doczesne; tak przetopiony, przeistoczony fantazyą staje się pro-

mienném ciałem owój treści razem z nim poczętój. Jest to przemienienie rzeczy skończonój na dzieło duchowe piękności, co teraz na podziw ludziom występuje w świat.

Takowe przeto są zrodzenia sztuki pięknej; o nich jeszcze poniżej obszernie wspomnimy. Chciój tylko pamiętać, że istotnie piérwsze potrącenie idzie od zewnątrz przedmiotu; pamiętaj, co stara wschodnia wieść niesie o »onój muszli biednój, niby śpiącój w ciemnych wód topielach.« Ona daleko od światłości barw niebiańskich, przykuta do skalnego oceanu dna; lecz gdy się szalem rozhukają mórz przepaści, i z zewnątrz ziarnko piasku wpadnie do maluchnego przybytku jój, i podrażni ją z lekka, już ze snu rozbudzi się muszla śpiąca, i sili się biedna i mocuje z niém, aż je odzieje osnową kosztowną swojego żywota. Tak, co było tylko ziarnkiem piasku, występuje na świat z tajemie wnętrza przemienione w perłę drogą — co w ciemnicy zrodzone, świeci teraz we wszech niebios barwy. Podobnie niechaj mistrz, wieszcz, osnowę bezkształtną, surową, którą mu narzuci świat, odzieje ducha promieniem, przemieni na perłę kosztowną, którą zaświecić ma w koronie piękności niepokalanój. Jeżeli zaś odwrotnie dzieć się będzie, jeżeli do treści już w nas rozwiniętój zechcemy dobierać formy, jeżeli będziemy chodzili po świecie, by od rzeczywistości wyprosić, wykwestować jakies ciało dla duszy, którą mamy już gotową, na podóręczu,—wtedy, jakeśmy rzekli, obie strony nigdy nie stopią się w jedną całość; nie stworzy się tutaj bynajmniej dzieło piękności, ale się skleci jakaś sztukowana łatanina, robota samój zimnój reflexyi, a choćby nawet dowcipu; jak to jawnie pokazują owe biedne poemata mę-



kami wyciśnione ze samego mózgu, którym atoli nie przyświecał ani jeden promień natchnienia. W takich razach treść owa, właśnie dla tego, iż nie ma ciała, będzie wprost myślą, abstrakcją, czémś ogólném, a wtłoczona przeto we formę, w obraz, uczyni z nich również abstrakcją, zabije ich życie, zetrze z nich wszelką indywidualność, zamieni je na ogólnik czyzy i głuchy w sobie. Dobitnym przykładem jest tu allegorya; w której wyraźnie widać, że treść a forma, że dusza a ciało bynajmniej się nie trzymają siebie. To ciało, będąc ogólném, bez indywidualności, mogłoby wielce wygodnie obejść się bez téj treści, którą mu narzucono, i stać się gospodą dla innéj jakiejś osnowy, nie mającéj gdzie się podziać. Oto np. ta figura skrzydlata ma znaczyć niby los szczęścia, niby Fortunę, ale onaby mogła równém prawem wyobrażać chwile ulotne, miłość, westchnienia, uciechę, sen, tony, sławę; bo to wszystko jakies skrzydlate, płoche, ulotne. Wszak figury geometryczne właśnie dla swojej istoty ogólnej, abstrakcyjnej, beztreściwej, od wieków są sławne z cierpliwości swojej; to istne gospody przy gościńcu, kto tylko chciał w nich się mieścić. Koło, kwadrat, a mianowicie trójkąt, tak od ludów pradiadowych jak i za naszych czasów, mianowicie gdy o jakieś sekreta chodziło, były używane za godła, za symbole różnych a różnych znaczeń; a te biedne figury poddawały się różnym konceptom z bezprzykładną rezygnacją.

I na wzajem, ta treść rozumowa, któraś samowolnie wcisnął w to ciało, mogłaby się zupełnie bez niego obejść, i siedzieć komorą w innéj jakiejś formie; a im treść będzie ogólniejsza i mniej ocechowana, tém

łatwiej jej przyjdzie znaleźć dla siebie łupinę, a jeżeli już stanie się czystą myślą, prawdziwie abstrakcyjną, wtedy może się zupełnie obejść bez obrazu i ciała. Wszak umiejętność w najściślejszym znaczeniu, właśnie w prostej, bezbarwnej, najprozaiczniejszej prozie znajdzie najwłaściwsze wyrażenie swoje; boć umiejętność takowa ma tylko sprawę z myślami samemi. Tutaj fantazyja zupełnie bez kredytu.

---

Jeżeli tedy w dzielnicy piękności wprzód w myśli wykończymy treść, duszę naszego dzieła, a potem dopiero ją odziejemy jakimś ciałem, już wtedy nie spodziewajmy się żadnych związków ścisłych obu stron, rozlecają się lada kiedy. Treść owa może mieć ten sam przypadek, który się przytrafił duszy Hermotymusa.—Co to Hermotymus? — Ba, jest to stara historia, bo się wydarzyła, jakoś temu dwa tysiące sto lat z górą. Hermotymus był to filozof, ale wcale nieosobliwy. Przecież zebrało mu się na imię w historii, bo był nauczycielem wielkiego Anaxagoresa, który materyalistom swojego czasu wprost rzucił w oczy prawdę, że to nie materya, że to nie żadne atomy budują świat, ale że wszechrzeczami rządzi rozum wiekuisty, czego mu, mówiąc między nami, jeszcze nie jeden z dzisiejszych badaczy przyrody zapomnieć nie może. Otoż, co do tego Hermotymusa rzecz się tak ma. Ciało i dusza nie były u niego wcale zbyt silnie połączone. Dusza jego, jak czysta abstrakcyja, mogła wedle zechcenia zwlec z siebie ciało, zostawić je jako kapotę w izbie, a sama puszczając się na przechadzki i bałamucić się po świecie

jak się jój żywnie podobało. Nie odmawiał sobie też Her-  
motymus tój przyjemności, zwłaszcza w czasach gdy  
zachodziły jakieś nieporozumienia między nim a pię-  
kniejszą połowicą jego istoty. Bo trzeba ci wiedzieć,  
że nasz filozof miał żonę; co mu właśnie było na  
zgubę. Jakoż posłuchaj. Pani Hermotymusowa od da-  
wna krzywo się patrzyła na te absentowania się swo-  
jego małżonka. Więc pewnego razu, gdy po nader zwa-  
wój sprzeczce domowej, dusza Hermotymusa, pragnąc  
dystrykcyi, wyprawiła się na jakiś dalszy spacer, jój-  
mość u siebie uchwaliła położyć koniec tój konduicie  
mężowskiéj i wypłatać mu figła, coby raz na zawsze  
popamiętał. Zatem, jak weźmie płakać, krzyczyć, de-  
sperować, aż na ten lament zbiegły się sąsiady, przy-  
jacioły i komoszki; nuż im pokazywać ciało martwe naj-  
ukochańszego męża, mówiąc, że z nienacka umarł zo-  
stawiwszy wdowę w nieutuloném nieszczęściu. Skoń-  
czyło się na tém, iż przyjacioly i sąsiady i komoszki,  
życząc serdecznie pofolgować biedaczce i usunąć z jój  
oczu widok tak żałośny, czém prędzéj zawinęły się około  
pogrzebu, i co tchu wedle ówczesnego zwyczaju spaliły  
ciało. Zgadnąć nie trudno wcale, jak się zafrasował bie-  
dny Hermotymus, gdy wróciwszy z owéj wycieczki  
zmiarkował despekt, jaki mu wyrządziła małżonka;  
w końcu jednak sobie wyperswadował, bo pomyślał, że  
sobie przecież gdzieś dobierze jakieś ciało, coby było  
jako tako prawie na niego, a nadto wiedział, iż w naj-  
gorszym razie, gdyby się uparł, mógłby i zupełnie obejść  
się bez ciała.—Więc.... i t. d. i t. d.

Chciéj tylko zwazyć jeszcze mimochodem, że gdy  
myśli abstrakcyjne znajdują najwłaściwszy sobie wyraz

w prozie bez postaci bez przenośni żadnych, zatem też znać, że myślenie filozoficzne, abstrakcyjne, myślące bez obrazów przeszkadza fantazyi, niby myślącej w obrazach.

Baczmyż dalej, że lubo pierwsze potrącenie pochodzi od zewnętrznego przedmiotu, toć jednak dzieło piękności, wywołane tém potrąceniem z ducha artysty, będzie różne wedle różnego nastrojenia jego fantazyi. Ten sam przedmiot błysnie jednemu jakby zwierciadłem magiczném i pokaże mu postaci i metamorfozę obrazów, opowiadających dzieje życia ludzkiego, a tak poda osnowę do romansu; drugiemu tenże przedmiot znów wskrzesi chóry geniuszków, co w głębi duszy zaintonują cichą, niedosłyszaną od świata muzykę, a będą mu śpiewać i grać i nie dadzą pokoju, dopóki nie zaklnie tych tajemniczych śpiewaków i graików w nuty, w owe hieroglify tonów; ten sam przedmiot znowu w trzecim zapali barwą i światłem, niby dźwiękami ducha, figury i oblicza misterne, a będą świecić, mienić się i ruszać, i wzdychać i nawiedzać go we dnie i w nocy, a upominać się i żalić, aż ich nie ubierze w malowane ciała, z któremiby już było każdemu z nich do twarzy.

Prawda, że nie każdy przedmiot jest równéj potęgi, by wzniecił ochotę i twórczą siłę w mistrzu, zwłaszcza jeżeli nie jest samowolnie obrany, ale podjęty na polecenie i żądanie; i to też prawda, że nie w każdej chwili mistrz jest równego nastrojenia, że niekiedy wyda się gnuśnym i bezczynnym; przecież wiedzmy, że właśnie mistrz prawdziwy tém okaże dzielność swoją, iż z każdego przedmiotu, byleby był stosownym dla rodzaju

sztuki jego, stworzy dzieło, mające na sobie mistrzostwa znamię.

Pozwól zatrzymać się nieco jeszcze przy owęj tajemnicy zrodzeń dzieła piękności, dotkniętych właśnie już powyżej. Naprzód zważ przedmiot sam. On stanął w obec mistrza tak, jak go podała żywcem rzeczywistość; on tedy jeszcze siecią misterną, utkaną przez demonów natury, trzymany jest w jęctwie ziemskim; na nim ułomkowość i niedostatki tuteczne wycisnęły piętno swojego panowania. Wszak przedmiot ten ma treść, on też ma formę, postać, którą się ta treść wyjawia; ale tak treść ta, jak i ta forma jego nie odpowiadają warunkom piękności; a to właśnie dla tego, iż ta treść i ta forma należą jeszcze do rzeczywistego świata, który sam tak jest niedoskonałym i tak biednym w sobie. Dla tego jeżeli ma wystąpić na świat jako wyobraźnik nieskończonej treści duchowój, ludziom na podziw i cześć, winien wytopić z siebie zuzelice ziemskich niedostatków, winien przez śmierć swoją wyzwolić się z pod służby ślepek mocy przyrody, a skonaniem ziemskim odrodzić się wolnym piękności synem; tak dopiero przedmiot ten napęlni się treścią nieskończoną, która się w duchu mistrza zrodzi, a zarazem odzieje się nową, świetlistą postacią.

Z drugiejj strony staje mistrz; on sam w życiu codzienném również trzymany jest w jęctwie potęg doczesnych; tysiące niewidzialnych nitek wiąże go magicznym spletem ze światem tutecznym i z całą ułomną rzeczywistością. Stąd też jeżeli on ma przedmiot ów przetopić, przeistoczyć i nadać mu treść wiekuistą, niechaj w tych chwilach twórczych wprzód sam siebie przeisto-

czy i wytopi z duszy swojej ułomność i biedy powszednie; niechaj sam wprzód roznieci w sobie wiekuistości ognie, niechaj w nim zamrze, skona człowiek powszedni, doczesny; a gdy w tych chwilach uroczystych porzuci ten świat, z którym się spoufalił, w którym się zakochał, wtedy obejmie go powiew innych nadziemskich światów, i wstąpi w niego dech twórczy, i uświęci na piękności proroka. Gdy przeto wybije godzina rodzenia, gdy gość nadziemski ma nawiedzić głębinę duchowe mistrza, a potęgą obcą, a przecież swoją, posiąść całą istotę jego, już serce zdrzy w sobie, jak gdyby mu ginąć przychodziło; trwogi mrowie przejmują duszę, jakby się jój już na skonanie miało; lęki mrozą, gorączki palą. W gałęziach liści coś gada, w koło coś szeptce. To duch już kroczy. Zawiało jakoby technienie od gwiazd. Po jednej targają się nitki, co wiążą życie z doczesnością lubą, poufałą; otoczenie powszednie, ukochane znikło; w koło kłębią się obłoki, wiją mgły; w koło wszystko utonęło; obłok promienny pokrył ów przedmiot; przedmiot zniknął — skonał. Mistrz traci siebie; on sam na sam z duchem pozostał; rozebrały go strachy i niewymowne rozkosze; bo w nim kona człek powszedni, codzienny;— przytomność siebie zgasała. Niby wichry wywrotne uderzyły skrzydłem; rzekłbyś, iż się zerwały w piersiach burze i łomoty, że grają organy oceanów, a gromy biją jakby fale potopu. Dusza mistrza roztworzyła się na oścież; on patrzy się w jój bezdna; w duszy jasności świecą, w niej gwarno, ludno — ożyła milionem życia. Ciagną gromadnie postaci, płynie ciżba za ciżbą, garną się tłumy nieprzeliczone widziadeł. Kto to? — to widma, to

cienie jestestw, co kiedyś, bardzo dawno istniały w świecie, z którymi niegdyś mistrz spotykał się w żywocie, w przeszłości; jestestwa te dawno przebrzmiały, umarły, ale ich wizerunki wemknęły się w duszę jego, ułożyły po grobach zapomnienia; tam zaczajone spoczęły pochowane. A dusza mistrza głęboka, szeroka rozłogiem jak morze; w jej głębinach niby cmentarz — grób przy grobie; ale teraz groby się ruszają, niby żyją, rozsypuje się, pęka na nich ziemia; ciągnie, kroczy tłum widziadeł, świat postaci; są to niby dusze zmarłych niegdyś jestestw, co teraz przerodzone świecą barwą, tonem, pięknnością nadziemską; to nie są wierne wizerunki onych jestestw, niegdyś spotkanych, one są zrodzone twórczością ducha; to istne wiekiowości mieszkańce. Przesuwają się orszakiem te smętne, płaczliwe, owe wesole i radośne, tamte znów otulone ponurym majestatem. A szybciej, chylżej przelatują około oczu mistrza te tłumy innego świata; to mącą się z sobą i splatają, to znów się rozstępują i uciekają od siebie; a coraz śpieszniej, gwałtowniej pędzą i wirują zawrotnym kołowrotem to dzikie, chichotne zapusty, to znów pochody grobowe, a przyświeca im jakby pożarem jasna nieskończoności łuna. Ale już szary ranek zaświtał w duszy, kur pierwszy raz zapiał, przytomność siebie bieleje już wschodem na niebie myśli; mistrz, już na pół obecny sobie, błyskawicznym przeglądem przebiega te postaci; one stanęły, zatrzymały się na rozkazanie mistrza; on ujmuje je w szranki ładu; on czyni wybór z tłumy widziadeł mocą budzącego się rozumu; blednieją nie wybrane, jeszcze czekają, jeszcze chwilka, ale już pełna przytomność myśli purpurą zarania zapa-

liła dzień gorejący w duchu; wszystko znikło, owe postaci wybrane same pozostały; inne wróciły do grobów swoich. Występuje na jaw obraz owego przedmiotu, co był niegdyś rzeczywistym, a ten obraz jego promieni pięknnością, bo jego pierwiastkami są owe postaci wybrane z tłumu;—on się stał *ideałem*.

Te chwile rodzenia są przeto stanem obłąkania, stanem zachwycenia, wieszczego szału; w nim mistrz traci siebie unosząc się po nad świat doczesny, bo tu sprawa z wiekiutością, żyjącą w piersiach człowieka, a ideał, w tym stanie zrodzony, jest téj wiekiutości świadectwem a najwyższém naprężeniem i spotęgowaniem własnego jego ducha.

Przedmiot, wzięty żywcem z-rzeczywistości, ma, jak wiemy, treść i formę niedoskonałą. Otóż w stanie zachwyty rodzi się nowa treść, bo czysto duchowa, a zarazem nowa, bo duchowa, forma i postać dla téj treści. W chwili owego wrzekomego obłąkania powstają w teniach duchowych, jak wiemy, tłuny postaci promieniących pięknnością; one, choć tak różne między sobą, są atoli wszystkie skutkiem potrącenia, idącego od przedmiotu owego, a tém samém są z nim wszystkie w pewnym związku magicznym; przedmiot ten jest ich niby spólnym kontrapunktem. Przecież te postaci już się zrodziły jakby z duszą swoją, z nową treścią, a treścią duchową, nieskończoną, i toć właśnie jest przyczyną iż one świecą tak nadziemskim wdziękiem. Widzieliśmy atoli równie, iż nie wszystkie te obrazy wchodzą do przyszłego dzieła sztuki, że mistrz następnie kombinuje je, rozłącza, wiąże, czyni wybor między niemi, a tak wybrane postaci będą właśnie najwyższéj pię-



kości obrazy i ciała, zawierające w sobie treść najwyższą.

Z tego wynika iż stan natchnienia wieszczego rozdziela się niby na dwie epoki. W pierwszej panuje zachwycenie, bezprzytomność zupełna twórczości; są to chwile, w których nowe a ciągle nowe obrazy występują dzikim zamętem z głębin duszy; jest to stan niby bierny, a przecież tak ogromnej dzielności duchowej. Późem rozpoczyna się druga epoka tego zachwyty wieszca, bo rozpoczynają się te chwile, w których duch jego wybiera a przebiera w tych postaciach, które mu się pojawiają w głębiach jego; ta czynność atoli właśnie jest dowodem, że przytomność wraca mistrzowi, że zaczyna być świadom siebie, bo odróżniając obrazy między sobą, odróżnia też siebie samego od tych przemijających się obrazów. Mówimy że przytomność, że świadomość wraca, a zatem że teraz nastąpił stan duszy pośredni, z którym duch jest już na poły świadomy siebie, a na poły jeszcze bezprzytomny, bierny, bo poddający się jeszcze potędze twórczej, która w nim robi i tworzy. Bo zwaz, gdyby duch w tych chwilach był w zupełności siebie świadom i rozumowo sobie przytomny, jużby nie miał tych widzeń, jużby nie widział tych obrazów i uroczych postaci; i na wzajem, gdyby jeszcze trwał w całej pełni swojej poetycki szal epoki pierwszej, toby duch nie był jeszcze zdolny czynić wyboru między obrazami. Widzisz tedy iż ta chwila wyboru jest stanem przejścia, w której wraca przytomność; ów rozsądek waży się ze znikającym już zwolna zachwytem twórczym, w którym obie strony duchowe są równe sobie co do potęgi. Ta druga epoka jest przeto

dramatem, w którym duch sam jest widzem i sam autorem.

Lecz »obok tych wybrańców szczęśliwych manii jest »inna, która także odstępuje od powszedniego żywota; »lecz już nie do kapitolium ludzkiej czci, ale do tarpejskiej skały prowadzi; tu nie potęga jasna, nie anioł »w światłość odziany zstępuje z góry, by zamieszkał »w duszy człowieka na miejsce powszedniego rozsądku; tu z nocnych, przepaścistych głębin lęgnie się demon zły, co okrywa skrzydłem ciemnym duszę i emi »rozsądek i wzrok. Wtedy umiera w duchu człowiek »z tego świata, czekając póki go nie zbudzi z martwych »łaska Boża, lub ostateczne wołanie archanioła—jest to »bezdenne nieszczęście choroby umysłowej» (\*).

Zachwył bezprzytomny, obłąkanie mistrza jest najwyższym południem fantazyi, jój potęgą rzetelną. Bez tego zachwytu nie ma mistrza. Techniczność, wprawa, choć są koniecznym warunkiem w sztuce, same jedne uczynią cię jedynie majstrem ale nie mistrzem, a w najszczęśliwszym razie świetnym wykonawcą obcych dzieł, może jeszcze wirtuozem, który olśni społeczny świat, ale dla najbliższych potomków zaledwie w tradycji żyć będzie,—zamrze w zapomnieniu.

Chciej posłuchać jak Plato maluje zachwycenie; przyznasz iż to jest iście sędzia właściwy; wszak on i tu bierze rzeczy po swojemu; więc z całą głębią spekulacyjną wiąże natchnienie z nieskończonością, z nieśmiertelną istotą ducha człowieka. »Wierzajcie, powiada, »wierzajcie, najzacniejsze dobro płynie z zachwycenia

---

(\*) Wykład filozofii, §. 446.

»szału. Wszak Delfów prorokinie i kapłanki Dodony,  
 »wróżąc w sprawach publicznych, darzyły Helladę zba-  
 »wieniem w twardych potrzebach. A kto czcią i mo-  
 »dlitwą zwracał ku bogom serce, ten widzeniem wie-  
 »szczém przezierał tajemnic oponę i doznawał we wróż-  
 »bie przecucia ratunku i przemożenia ciężkiej niemo-  
 »cy. Inne znów jest obłąkanie i zachwyty nasłany od  
 »wielomocnych muz. Lecz zachwyty ten a szal promie-  
 »ni jedynie w duszy niewinności nieskalanéj i świętością  
 »uczczonéj; on w niéj rozpala hymny święte, uroczy-  
 »ste, i wyzywa do pieśni na chwałę pradziadowych lat,  
 »a tak wślawiając stare wieki sieje dzielność późnych  
 »pokoleń. Kto zaś bez tego szału Muz stanie w świętym  
 »Poezyi przybytku, zuchwale mniemając, iż samą sztu-  
 »cznością może wieszczem zostać, tego śpiew omdleje,  
 »gdy obok niego uderzy pieniem ów Muz obłąkaniec....  
 »Bogowie nasyłają natchnienie owe na uszczęśliwienie  
 »człowieka. Toć okazać zdołam badając Boską istotę,  
 »i istotę ludzkiéj duszy, bo macie naprzód o tém wie-  
 »dzieć, że dusza ludzka jest nieśmiertelna, i t. d. (Phae-  
 »drus).



## LIST XII.

### *Fantazyja i bliższy jój rozbior.*

*(Ciąg dalszy).*

**Kompozycya.**— Natchnienie i kompozycya i w innych dziełach duchowych człowieka.— Ogólne zasady estetycznej kompozycji.— Kompozycya charakterów, przykłady z Korzeniowskiego, Rzewuskiego, Kraszewskiego i Chodźki.— Dalsze uwagi nad kompozycją.— Powód częstych wad w kompozycji i przykłady z malarstwa i muzyki.— Improwizacya.— Deotyma.—

Talent i gieniusz.— Powołanie gieniuszu.— Stosunek jego do świata.— Rozmałość fantazyi artystycznej.— Stąd podział jój.— Treść listów następujących.—

**R**zekłem, że wypadkiem zachwycenia, natchnienia a zarazem świadomego siebie rozumu jest ideał. Póki w duszy burzą kołyszają się fale, obraz idealny na nich się łąmie w tysiące jasnych promieni; gdy się rozkołysane fale ustoją, już na cichém krystaliczném zwierciadle naszego wnętrza unosi się obraz duchowy—ideał. Lecz o ideale rozprawiałem ci zaiste już do syta, bo dawniej wypowiedziałem czém on jest sam w sobie (VII); w liście zaś poprzednim (XI) przypatrzyliśmy się jak ideał rodzi się w duszy mistrza, a teraz zapytamy, cóż mistrz dalej poczyna z ideałem już w nim zrodzonym? Ideał ma się przeistoczyć na dzieło sztuki, owe

widziadło promieniste duchowe ma się stać ciałem! Widzisz przeto, iż tutaj nowe metamorfozy, nowe przemienienia się zrodzą, zanim ten cichy olimp bogów, żyjący dopiero w piersiach mistrza, odzieje się materią, stanie w śród ludzi i przemówi ich językiem, zanim będzie przemożona ta otchłań głęboka, szeroka, rozdzielająca świat duchowy a doczesny.

Jeżeli przygasisz te wszystkie świeczki, co ci rozjaśniają żywot zewnętrzny i przygłuszysz gwary hałaśne a gadatliwe wrzawy jego, jeżeli przymrużysz ziemskie zmysły twoje, a cofnąwszy się w siebie nawrócisz duszy źrenice ku onemu idealnemu obrazowi, co płynie po przezroczach bezdennych ducha twojego; zda ci się z razu, iż ten obraz i wzór widzisz w każdym odcieciu, że on żywy, że tylko co nie przemówi do ciebie, że ci tylko kopiować ową modłę wewnętrzną; a dzieło już gotowe, od stóp do głów ukończone, w całym uroku a wdzięku niebiańskim wystąpi w obec świata a poruszy najgłębsze tony ludzkich serc. Lecz zabierz-no się do wykonania, a obaczysz, jak cię zawiodą otuchy twoje; poznasz, że ten obraz idealny nie wystarczy; on ci się zrysuje tylko ogólnym, bardzo ogólnym konturem, okaże się być widmem uroczém, rozpląnném, przejrzystém; a choć je rozświecisz poświatą księżycową twojej wyobraźni, nie dowidzisz w niém przecieź szczegółów; one będą niepewne, niby zachuchane, zamglone i nie dostoją ci w pracy twojej, gdy je przyjdzie przetłumaczyć na świat materji. Stąd nowe pole chwały a pracy dla mistrza. Choć i tu nie obejdzie się bez potęgi twórczej a siły natchnienia, toć jednak rozważa głęboka i baczność rozumowa będą teraz głównemi po-

mocnicami jego. Mistrz przeto zajmie się teraz uzupełnieniem niedostatków idealnego obrazu, silnie poprowadzi zarysy, a głównie zrodzi brakujące szczegóły i części i połączy je harmonijną jednością. To stwarzanie szczegółów i łączenie ich w jedną harmonię, to zradzanie i składanie części w jedną całość jest *kompozycją* (\*).

Zwykle mówimy o kompozycji, gdy rozprawiamy o dziełach sztuki a zwłaszcza o muzyce; ale po prawdzie wszędzie, gdzie tylko chodzi o dzieło duchowe, winno się znaleźć natchnienie szczęśliwe i kompozycya, choć w dziedzinie umiejętności ideał i kompozycya mają inne znaczenie niż w dzielnicy sztuk pięknych. Człowiek pasuje się i biedzi, by przełamać zadanie przeznaczone mu na ziemi; ale prace jego i mozoły odbywają się zwykle w szarym mroku codziennego żywota i wloką się, jak ich tam stać, już raz na zawsze utartą koleją. Jak atoli się niekiedy zdarza, że w ciemnej izbie, w śród grubej nocy jakieś światło fosforyczne zajaśnieje na chwilkę w oczach i niby błyskawicą rozświeci komnatę całą i wszystkie w koło przedmioty, tak też niekiedy szczęśliwszym ludziom, w szczęśliwszych chwilach, coś w duchu strzeli jasnością, łyśnie nadziejskim światłem; wtedy zniemacka mignie się przed oczy prawda dawno śledzona, a rozwiązana jest nagle tajemnicza zagadka, o którą rozbijały się trudy myśli i nuże długiej twardej pracy. W tych jasnych chwilach natchnienia staje przed oczyma wzór, ideał, który, jakby gwiazdą

---

(\*) Porów. Estetykę Vichera II. 2 na którym to dziele często wspaniałem się w tej książce mojej, a które godne by je polecić młodym czytelnikom.

przewodnią, zaprowadzi już do celu wieloletnich pragnień.

Przecież i tutaj ten wzór wewnętrzny, co zaświecił przed oczyma duszy w godzinie natchnienia, jest również tylko obrazem ogólnie skreślonym, niepewnym i rozpiętnym, i on wyzywa do trudu a pasowania i wymaga, by wprzód jego części szczegółowe stworzyć i złożyć w jedną całość, zanim będzie gotów wystąpić w świat.

Patrz na tę maszynę wymyśloną z taką bystrością misterną; ona jest tryumfem mechaniki, ona wyręcza tłumy pracowników, oddaje się w korne jęctwo ludzkiemu rodowi; a hucząc, sapiąc, dysząc jako coś żywego służy celom duchowym i ucłowieczeniu człowieka. Jakoż główna myśl téj maszyny, ogólna jój modła stanęła od razu w chwili natchnienia przed duszą szczęśliwego wynalazcy; lecz on nie mało się napracował, nakombinował zanim ją »skombinował,« zanim wymyślił wszystkie jój części i szczegóły, zanim te wszystkie kawałki żelaza krótkie i długie, okrągłe i rogate, proste i krzywe, gładkie i zębate złożyły się w jedną całość i ożyły tchnieniem myśli, zanim ten potwór o siłach tytana, uparty i zuchwały, zażegnany mistrza słowem, poddał się w pokorze skinieniu jego.

Gruba noc nierozumu przygniatała ludzki ród, ponury zabobon, próżnia czeza przygłuszała świat, nikt nie słyszał proroctwa, co wróżyło z dalekich zamorskich stron; a przylatywały na skrzydłach wichrowych z ostatniego zachodu jakieś dziwne głosy, a niewidome zwiastuny przyływały na obłokach żaglowych i na grzmotach łamiących się fal; wszak te fale oceanów same

przynosiły skądś brzegom stariej Europy jakies gałazki dziwne, niewidziane jeszcze, jakby nadziei wróżby zielone, niby wieści bajeczne o krajach cudów. Nikt nie dosłyszał, żadne oko nie dopatrzyło się ducha przyszłości, co już chodził wśród ludzi, szukając, toby zrozumiał mowę jego. A był jeden wśród wszystkich mąż o szerokiem sercu; on myślą głęboką zapadał w dumanie nad światem, co rozwinięty mapami przemawiał do niego wyrocznią cichą. I stanął przed nim ów duch proroczy przyszłości w godzinie natchnienia, i dał mu posłuchanie Kolumb, i w tajemnej poufnej rozmowie wywiedział się od ducha o tych nowych światach, co od bieguna do bieguna zbudowawszy twierdzę swoich lądów zaległy całe nice ziemskiej kuli. Ufając tedy wyrocznicy w sercu zamkniętej a Ojcu na niebie, puścił się na przestworza nieznaunych oceanów, pytając gwiazdy boże o drogę; lecz razem z nim wstąpiły na kruchy statek niewidome sterniki, anioły-stróże Historii ludzkiego rodu. Wiemy atoli, co przeniósł, co przecierpiał, ile przemógł Kolumb, zanim półświatem obdarował onego Ferdynanda smętnej pamięci, zanim dosłużył się onych kajdan, zanim już razem z tą nagrodą swoją mógł złożyć się spokojnie w grobie i zdrzemnąć na chwilę, aż go »Bóg nie powołał do swojej chwały« jako żywego a naocznego świadka mądrości wiekuistej.

Inny znów mąż, umiejętności mistrz, zamknął się sam na sam z duchem swoim; trawi go pragnienie, by zajrzał w serce świata, a poznał nieskończoną prawdę, co żyje a tętni we wstęku wszech stworzonych rzeczy. W koło niego Natura i państwo duchów odegrywa



dramat; ale akторы tego dramatu, to zjawiska przepłynne, znikome, to tylko hieroglify i symbole, to widome ciała, w które się przebierają myśli, idee będące znów tylko pojedynczemi ogniwami jednéj nieskończonej myśli Bożéj. Mistrz ufa, że pragnienie wiedzy, że miłość prawdy, włożone w serce jego, nie są zawodną ufudą, a choć tęskno i ekliwo, choć mrozy powątpiewania o wiedzy człowieka przejęły serca ludzi, choć między niemi chodzi wieść, iż przepaść bezmierna rozwarła się między ludzkim badaniem a prawdą, że one myśli i idee zostały na wysokim Niebie, otaczając chórem wszechmocności tron i że w niziny rzeczywistości naszej spadły jedynie ich powłoki kłamliwe a puste łupiny, mistrz atoli ufa głosom wewnętrznym, ufa że nie są kłamstwem zawodnym. Powiedz, dla czego ta drobna, maluczka igielka magnesowa, co zamknięta w ciasnym biednym domku swoim, przecież zawsze i wszędzie zwraca się do światów bieguna? powiedz, czego jéj tak tęskno do téj piasty, około której wirem chodzi niebo całe? — Zaiste ta igielka mała zwraca się i tęskni do bieguna świata, bo choć tak drobna i biedna, spokrewniona jest przecież z oną niebios piastą; a im więcej ta igielka drobna wzmoże w sobie tę miłość tęskną, tém też więcej zaiste jéj udzielony jest pierwiastek, co ją wiąże ze światów biegunem i tém ona jemu podobniejszą się staje, tém silniejszy jest, choć niewidzialny, prąd co łączy obie te ostateczności. Bo miłość rodzi miłość!

Stąd też i człowiek tak tęskni do nieskończonych prawd, bo w najgłębszej głębi istoty jego tleje wiekuistości iskra; dla tego człowiek gore tak miłością ku

Bogu, bo Bóg sam technął w niego dech własnej istoty swojej. Otoż widzisz, ten pierwiastek wiekuisty, od Boga dany, żyje w duchu człowieka, jak w świątyni swojej; więc gdy się obaczy w świecie rzeczy doczesnych, tęskno mu, jest jakby sierotą samotnym, wygnanym z ojcowizny swojej. I dla tego też niekiedy wśród wrzawy tutecznej coś w nas boli, coś płacze; otoż to, co boli, co tęskni a płacze w nas, toć jest ów pierwiastek niebiański; on też rad śmierci, bo dla niego śmierć ciała jest powrotem przed ojca tron; nim zaś doprawdy ten powrót nastąpi, dusza gore żądzą umiejętności, by tymczasem poznała ojca choć w stworzeniach jego, aby choć w tych ułamkach onej kompozycyi wszechstworzenia odgadła ideał, który się niemi wyraża.

Tak tęskni w człowieku iskra wiekuistości od Boga mu dana, i tęskni ona i pragnie gorąco; tęsknota różnięca miłość, a miłość wzmagą tęsknotę, a potężnieje coraz miłości moc w duchu człowieka, potężnieje i wzmagą się prąd płynący w serce nasze od nieskończonej miłości, od nieskończonej mądrości, aż owa iskra, zrazu tylko w nas tlejąca, buchnie płomieniem, błysnie pochodnią, zaświeci mądrością, i tak staje przed oczyma nową umiejętność ideał, nowy system wiedzy ludzkiej. Lecz gieniusz, ów szczęśliwy wynalazca, wprzód nałamię się ciężkiem pasowaniem z sobą, wyrzeknie się świata i uciech ziemskich, a życiem opłaci, zaum ten ideał rozwinie w szczegóły, zanim ujrzy wszystkie części i ułamki téj całości i powiąże je w system, w kompozycyą organiczną, zanim wszystkie myśli i idee szczegółowe, grające w dramacie natury i w państwie duchowém, nawlecze na nici jakby jaśniejące paciórki

kosztowne, zanim wśród tych paciorków promiennych zabłyśnie i krzyż rubinowy, zanim na tym rozańcu mądrości duch stworzony zamodli się Panu.

Dość nam tych poważnych przykładów, wszak i w życiu powszedniem, zdawkowem, codziennem widzimy, że pomysł tutaj jakby ideał, a kompozycya, niby wykonanie pomysłu są rozłączone od siebie całym światkiem trudów i znów drobniejszych pomysłów. Oto, czegoż ów młodzian tak naperzony zasiadł przy stole, jedną rękę wbił w gęstwinę rozburzonéj czupryny, a drugą podparty trzyma pióro pogryzione na strzępki? W koło stołu walają się papiery o złocistych brzegach zmięte, podarte.— Proszę mu nie przeszkadzać, biedaczysko »komponuje« list do swojego ubóstwionego bóstwa. W oczach jego duszy rozkochanéj ideał listu już zupełnie gotów i oświecony bengalskim ogniem sentymentów, a przecież co napisze, to przekreśli, poszarpie a rzuci o ziemię;— jeden list jakiś letni, nie dość strzelisty, a jednak potrzeba, aby każdy wyraz był wyostrzony na brusku samego Kupidyna; i druga epistola znów jakoś za nadto butna, wichrowata, pisana niby z czapką na bakier, a zbyt śmiałe gruchanie mogłoby spłoszyć turkawkę trwożną; w trzeciej znów afekta, uczucia, zakłęcia takie jakieś wymuszone, wymuskane, chodzą jakby w sztywnych krawatach a w ciasnych butach; czwarty list wprawdzie niezego, wyrażenia bardzo śliczne, ale cóż z tego, kiedy nie wiążą się z sobą, kiedy nie trzymają się siebie i rozbiegają się na wszystkie strony; piąty jest i t. d. i t. d.

Tam znów dama wieczorem siadła w salonie, zalanym jasnością tłumną światła, co snopami goreje po

ścianach, po stropach; rząd pokojów ustrojony niby pałac czarnoksiężki, zdobny wdziękiem uroczym i smakiem oryginalnym, lśniącym, błyszczącym; a przecież ta dama wśród tego raiku cywilizacji jakaś znękana, znużona, dziś wyprawia bal, co tylko się goście nie zjadą. I cóż z tego? Oto na początku jeszcze zimy natchnęła ją myśl śmiała, szczytna, przyćmienia swoim balem okolicy całej; fantazyja, co zawsze gotowa służyć damie, chwyciła za pędzel, a umaczawszy go w barwach, któremi maluje pan E. Sue zapomnianej pamięci bale swoje, w mgnieniu oka, co tchu skreśliła widok przyszły pokojów przeistoczony na ów pałac mitologicznego uroku. To zrobiła fantazyja, pokłoniła się i uleciała zostawiwszy pani domu dokończenie zuchwałych pomysłów; ale po co ci wyliczać one trudy, wątpliwości a prace, które tak znękały naszą piękność, po co nam wymieniać one kłopoty, zanim wszystkie szczegóły zostały utworzone; ile razy były spinane i przepinane draperye, rozdzielone światło, ustawiane i przestawiane kwiaty, drzewka, umieszczone zwierciadła i t. d. A cóż dopiero, gdy w końcu kolej przyszła na arcydzieło smaku, bo na własną toaletę; nie sądź, że to tak łatwo; tutaj artystyczna kompozytorka w swoim kwiecie najwyższym, tutaj schodzą się wszelkie tony harmonijnym akordem; daremniebym chciał wyliczyć te wszystkie misterye sztucznej natury i naturalnej sztuczności, bo »są rzeczy pod księżycem, o których się ani śniło naszym filozofom«, powiedział król Hamlet; i ja tak myślę, więc rzucam bliższe opisy i t. d.

Wreszcie przyznasz, iż ktokolwiek nie na żarty chodził około nauk, doświadcza że ogólne, choćby trafne,

wyobrażenie o jakimś przedmiocie bynajmniej nie wystarczy, jeżeli przyjdzie zabrać się do niego piórem. Wtedyto bowiem dopiero z podziwieniem a strachem spostrzegamy, ile szczegółów jeszcze nie jasnych, ile ich nam brakuje, jak wiele jeszcze douczyć się wypada; a ileż dopiero ślęczenia, by to, wszystko jako tako zwić w jedną całość ukończoną. Zaprawdę, pisanie własne jest jakby istną próbą ogniową naukowości każdego, i dla tego też taką jedynie drogą dokupić się można prawa do sądenia o pracy drugich. Ale o tém nie chcą wiedzieć owi panowie, co nie nauczywszy się niczego porządnie, niczego sami nie dokonawszy, a przestając na jakimś ogólném wyobrażeniu o rzeczy, uważają że nie równie wygodniej żyć obcym chlebem, więc sami mianują się krytykami, obgryzując cudze zasługi. Ale cóż na to robić? I literatura ma swoich pasożytków!

Otóż, kędy spojrzysz, wszędzie obaczysz że, co w duchu poczęte, z boleścią dopiero a trudem twardym na świat się rodzi; praca artystyczna około kompozyceji jest ogniwem łączącym ideał a rzeczywiste dzieło sztuki. Jakie zaś są prawidła kompozyceji, toć już dziś nie trudno wyłożyć; estetyka nam społeczna dostatecznie roztoczyła te prawidła; nie wymyślając przeto rzeczy nowych będziemy z niej korzystali. Dla snadniejszego atoli porozumienia się z sobą, chciój choć z lekka rzucić okiem na dzieła »skomponowane« wiekuistą mądrością; one są wzorem sztuki komponowania.

Zważ-no, jak to natura jest mistrzowską kompozytorką, ona zaiste doskonale wyuczyła się generał-bassu wszech jestestw. Wszak już Plato, co to wygaduje na poetów, a sam był natchnionym wieszczem mądrości,

cudownie nam prawi o harmonii sfer. I zaiste nie lada też to koncertem popisują się na niebie one światy świecące, one gwiazdziste błyszczące muzykanty, co, chodząc w takt po przestrzeni niebiańskiej, niby po kopulastej świątyni Bożej, wyśpiewują sobie i wygrywają partyturę odwiecznego hymnu; oni rozebrali te różne głosy między siebie, a żaden z nich się nie zmyli, a żaden nie chybi, choćby na cząsteczkę nuty. Prawda, że niektóre z nich, zwłaszcza te małe asteroidy, tak z cicha się odzywają i tak cienko śpiewają, że Astronomia dopiero po jednym ich się dopatruje w orkiestrze niebiańskiej; ale przecież znów każdy z tych żaków jako dyskantysta wielce jest potrzebny do całości harmonii, a każdy z nich o tém wie, przeto się też tak trzyma i pilnuje. Cała muzyka ma na oku swojego kapelmajstra słonecznego, co, stojąc w środku, obracając się w kółko, przyświeca im, wybija takt i dyryguje wszystkimi. Nie dziw przeto, iż tak dzielnie nawzajem się spierając, nie dadzą się zbałamucić onym wędrownym grajkom-kometom, co jak wałęsające się muzykusy, bez prawnego zamieszkania, bez pasportu włóczą się po niebie, i radeby się przypytać do onój zacnej kapeli i zarzępolić po swojemu, ale słysząc tę harmonią cudowną, widzą że nie nie poradzą, zatem czém prędzej się wynoszą, szukając gdzieindziej dla siebie kariery.

A własne ciało twoje nie jestże arcydziełkiem onój kompozytorki natury! Tutaj muzykantami misternego koncertu są organa, części i członki szczegółowe tak różne, rozmaite a nawet sobie odwrotne, a przecież tak ściśle z sobą połączone spólnym akordem. Gdy jeden z tych organów wyjdzie z taktu, już rzuci cię biedaka

na łoże lub przyprawi o coś gorszego; wszystkie te organa składają jedność pełną harmonii. Wszak one nawzajem się uzupełniają, nawzajem się wywołują. Każdy z tych organów jest takim, jakim jest, dla tego iż całość jest właśnie taką a nie inną; każdy z nich ma się do każdego jak przyczyna do skutku, więc zarazem jak skutek do przyczyny; jest to spłot a system mistrzowski powodów i następstw. Dziś kto żyje powtarza za Cuvierem, iż z jednej kości choćby nieznanego zwierza wywróżyć można wszystkie inne, więc nawet całą budowę, ba! cały sposób życia a obyczaj tego mieszkańca zapadłego świata. Tém tedy jeszcze doskonałym ideał żywota iści się w kompozycyi ludzkiego organizmu. Boć jak dzieło sztuki jest materyą, w której promieni się ducha nieskończoność, tak i cielesność ludzka, choć z materyi zrodzona, jest przybytkiem wiekui-stego ducha, który świeci i płonie nieskończonością. Chciej jeno nie zapomnieć o ułomności, będącej klątwą wszystkich jestestw natury, więc i cielesności naszej, chciej ją ująć z jej idealnej strony, a będzie dla nas wzorem kompozycyi artystycznej.

Widzisz naprzód że jedność a całość ideału winna się ziścić w kompozycyi; niechaj tedy treść, myśl główna, o którą chodzi, będzie tak wyrażona w dziele, jak się duch ludzki wyraża w cielesności swojej; niechaj przeto kompozycya nie zawiera ani więcej ani mniej w sobie, niż treść, którą ma urzeczywistnić, bo inaczej nie będzie ani całości ani jedności. Jeżeli w dziele już skomponowanym będzie mniej niż w treści, to nie będzie całości, uczujesz jakiś brak a niedostatek, jak gdyby w ciele organiczném, żywém brakowało jakiegoś organu; głó-

wna myśl nie będzie dostatecznie rozwinięta. Nie dostaje np. w dramacie, w powieści, w obrazie malowanym i t. d. jakiejś figury, jakiejś sceny, ztąd całość taka jest biedna, chuda, ciemna, niezrozumiała. Takowy brak rzeczywiście pochodzi najczęściej z braku bogatjej fantazy, którą niestać by w całej pełni roztoczyła myśl swoją.

Lecz częściej jeszcze, a mianowicie między nami, znajdziesz wadę odwrotną; zdarza się bowiem gęsto, iż kompozytka zawiera w sobie więcej niż treść, a tak chybja jedności; to znów dzieje się różnym trybem. Jakoż naprzód spotykamy w kompozycyi zbytek w tym znaczeniu, że do niej niekiedy przyplącze się jakiś ustęp, figura, scena, która jest wcale obcą dla treści, o której trudno wiedzieć skąd się wzięła; jest to organ obcy przypięty do obcego ciała. Tej wadzie ulegają najczęściej młodzi artyści i poeci, których bujność wyrównywa ich tkliwej miłości ojcowskiej dla dzieci własnej fantazy; przeto gdy je zrodzą, już niemi nacieszyć się nie mogą, a serce ich boli na samą myśl pożegnania się z niemi. Jeżeli zaś w razach powyższych jakiś szczegół dla tego jest zbytecznym w kompozycyi, iż nie zostaje w żadnym związku z jej całością, tak znowu w innych przypadkach zbytek pochodzi stąd, iż albo jakiś szczegół należy wprowadzić do treści, lecz wybują za nadto w porównaniu do innych części kompozycyi, albo iż ta sama myśl wyrażona jest w kompozycyi dwoma lub więcej szczegółami.

My, Krakowianie, zhardzieliśmy nie pomału od czasu, jak zaney Mieczysław Potocki udarował Akademią naszą Światowidem, co długie wieki przeżył w Zbruczu, zanim w poselstwie od zamglonej przeszłości stanął przed



dwoma laty w starych jagiellońskich murach; otacza go i podziwienie i radość nasza, a przecież nikt nie powie że mu pięknie z temi czterema twarzami, bo téż on sam nie ma pretensyi do wdzięków artystycznych; jemu weale o co innego chodzi! Zamknij się sam na sam, w cichocie samotnej, a kto wie, może roztworzą się kamienne usta jego, może i powiedzą o czém marzył pod wodą przez lat dziewięćset!

Widać atoli jak trudno uniknąć w kompozycyi wyrażenia téj saméj myśli dwoma lub więcej szczegółami, skoro tę wadę znachodzimy u arcymistrzów, u geniuszów, które już będą we czci u ludzi, póki świat wielbić będzie co wielkie i piękne; a odwołuję się tu do dwóch przykładów zwykle przytaczanych przez estetyków. Tak w Shakespearze nienawiść demoniczna niecnego Jago do Otella ugruntowana jest na dwóch powodach, bo naprzód Jago mniema, iż mu Otello wyrządził krzywdę mianując Cassia a nie jego porucznikiem swoim; powtóre że sam w siebie wmawia, jakoby Otello uwodził mu żonę; ten to drugi powód jest niesłusznym, bo się nie zgadza ze zaernością bohatera sztuki, co więcéj jest zbytęcznym, gdyż ów piérwszy powód zupełnie wystarcza. Podobnie zarzucają Rafaelowi, iż w Stanzach Watykańskich dopuścił się podobnéj pomyłki: na jednym bowiem z tych obrazów widać Attyllę, który na czele swojej tłuszczy nadsięgnął pod mury świętęj Romy; występuje naprzeciw niemu papież Leon święty, otoczony orszakiem arcykapłanów, i wymową natchnioną, przestrogamii pełnemi grozy skłania do odwrotu barbarzyńca; lecz po nad grupą tą unoszą się jeszcze postaci ŚŚ. Piotra i Pawła, a z mieczem w ręku grożą zuchwałemu najezd-

cy; ten uderzony cudem wpatruje się pełen strachu w niebiańskie widziadła; same nawet konie dzicy zzymają się i drżą. Tak tedy na tym obrazie albo namowa Papieża, albo pojawienie się Apostołów jest zbyt czynnym; a przecież to Rafael! w tém imieniu żyje cały świat piękności! Rafael! rzekłbyś i on sam jest piękności aniołem, który przelatując z Nieba na Niebo, odpoczął chwilkę na ziemi, przybrawszy na się mistrza ciała! Rafaelowi wytykamy usterki! Czegoż sobie tedy tak do serca bierze najmłodsza bracia artystów, gdy krytyka, byle sprawiedliwa i z miłości udzieloua, wykazuje im błędy?

Kompozycya wiąże różnaitość szczegółów w jednosc, w całość; tak znać, że wypada naprzód mieć gotowe te wszystkie szczegóły różne i części; trzeba je wprzód od siebie wyraźnie oddzielić, odróżnić, tak jak się oddzielają od siebie części i członki w organizmie naszego żywota. Ckliwym będzie np. twój malowany obraz, powieść, dramat, jeżeli figury w nim będą jednostajne, jeżeli na każdój z nich nie wybije się silnie piętno właściwej indywidualności, a tak niby tony a barwy różne wystąpią z sobą do gry. Zważ, iż kompozycya wcale nie wymaga koniecznie wielości figur. Wenus kapitolńska, Kopernik warszawski, kapitolński gladiator, tak są kompozycją jak grupa Laokoona lub Rafaelowska bitwa Konstantyna, albo Ostateczny Sąd Buonorottego (\*).

---

(\*) Godzi się też tu wspomnieć o pomniku Ks. Sapieżanki, wykonanym przez młodego a tak wielce znakomitego artystę Statlera. Postać młodej dziewicy, śpiącej skonem na tym grobie swoim, obłana jest najwyższym wdziękiem; patrząc się na ten jój spokój cichy, święty, żyjący

Postać ludzka, figura pojedyncza, już sama z siebie, jakęśmy rzekli, jest arcydziełem kompozycji przyrodzonej, tém więcej przeto będzie najbogatszą a najcudniejszą osnową dla kompozycji artystycznej. Różne położenie rąk, przeważniejsze ciężenie całego ciała na jednym z boków, trzymanie głowy, kompozycja samego oblicza i wyrazu jego i t. p. słowem, te niewyczerpane przemiany postaci ludzkiej staną się dla mistrza odą, elegią skamieniałą, co, choć o marmurowych ustach, wyśpiewa mucałe dzieje Nieba i Ziemi, wszystko co w sercu ludzkim żyje, wszystkie grozy i smętki, rozkosze i zachwyty.

Lecz jeżeli już rzeźba dokazać zdoła tych cudów, ona, co chwytą jedną tylko chwilę duchowego żywota, jakież dopiero światy roztworzą się dla poezji roztaczającej swoje figury w czasie, rozwijającej charakter w następstwie ich żywota. Wszak charakter figury jest właśnie różnaitością szczegółów zestrojonych w jedność. Chceszli by charakter był bogatym? ustaw go tak wśród świata i ludzi, aby potęgi zewnętrzne, a między sobą tak różne, wygrywały na duszy jego, jakby na organach, wszystkie tony weselne i bolesne, posępne i radosne; niechaj cała ta tajemnicza treść jego z głębin swoich wystąpi na jaw, będąc wywołana z kolei zewnętrznymi przygodami. Okaż charakter w jasnych i ciemnych chwilach żywota, w trudnych i niespodziewanych wypadkach; niechaj wylatują z głębin piersi jego dotych czas w nim milczące i uśpione mieszkańce one, światliste anioły lub nocne demony.

Pamiętaj atoli, aby ta cała różnaitość treści miała

---

mogą pozazdrościć tego śmiertelnego snu. Tutaj jedna tylko jest figura, a przecież kompozycja rozkwita w całym bogactwie swoim.

przecież spólne piętno indywidualne, aby po uczuciach, po mowie, po czynach, choć tak różnych, było znać, iż są objawem jednego i tego samego człowieka, aby każdy, znający serce ludzkie, patrząc się na tę kompozycyą twoją mógł zawołać: »tak jest, człowiek taki, w takim wypadku, właśnieby tak a nie inaczej postąpił!« Jeżeli nie zdołasz utworzyć jedności takowej a wymyślisz swawolną rozmaitość bez spólnego tła, wtedy nie będzie kompozycyi, a figura przez ciebie utworzona będzie bez charakteru.

Jeżeli zaś odwrotnie we figurze jakiej twojego romansu, dramatu, zachowasz wprawdzie tożsamość charakteru, ale nie zrodzisz rozmaitości jego osnowy, wtedy ta jego jedność nie będzie jednością rzetelną, ale jednostajnością ekliwą; braknie zatem i tutaj prawdziwej kompozycyi; charakter takowy będzie jałowy, ubogi, nie rozwinięty, abstrakcyjny. Dla czego np. nasze północne naczynia gliniane tak nieładne, niby istne potworki? bo one są abstrakcyą, są jednostajne, bez rozmaitości. Dla czego znowu te naczynia, które nam zapadła Pompeja zostawiła puścizną, choć także z gliny, są najczęściej tak pełne wdzięku i uroku? bo w nich jest kompozycya, w nich części są rozmaite a ściśle od siebie odgraniczone; tak podnoże, środek, szyja, cefka, kształtne ucha nawzajem się od siebie odznaczają, a przecież harmonijną stanowią jedność,—i one mają charakter! Bo teżto był dziwny ten świat-artysta, co tam śpi pod popiołami od blisko dwóch tysięcy lat! on czego się dotknął zamienił na dzieło piękności i smaku; on spał spokojnie przez długie wieki, a teraz wydobyliśmy go na dzień jasny, na własne upokorzenie nasze.

Jak ta różnaitość szczegółów jednoczy się w jednćj figurze, tak wiele figur znów, różnaitych mićdy sobą, tworzy całość a spotćgowaną kompozycyą. Bez przykła-  
 dów dalszych się obejdzimy; łatwo zrozumiesz, ileby tu można rozprawić o grupach rzeźbionych, malowa-  
 nych i t. d.; mićj tylko na uwadze, iż ta różnaitość róż-  
 nych figur może się wzmódz aż do odwrótności, do osta-  
 teczności; i tutaj nie brakłoby przykła-  
 dów mistrzow-  
 skich, wspominam tylko o tych co nas bliżćj obchodzą; biorę więc z naszćj literatury, a biorę z kraja, co pod  
 ręką np. te wrćcz sobie przeciwnie figury, jakiemi są  
 Józef a Henryk, Prezes a pani Włódzimierzowa w Ko-  
 lokacyi, pan August a Marszałek w Spekulancie Korze-  
 niowskiego. Zważno tych dwóch braci w Listopadzie  
 Rzewuskiego; oni mają znaczenie głćbokie, ale przecieź  
 nie są jałową allegoryą; to ludzie indywidualni ze krwi  
 i kości; treść, znaczenie ich i forma pewnie zrodziły  
 się w jednćj chwili, a potracenie do ich stworzenia zaiste  
 przyszło z zewnątrz. W »Interesach familijnych« Kra-  
 szewskiego ileź różnaitości i odwrótności w pokrew-  
 nych Kasztelanica, a przecieź, rzekłbym, mają jakieś  
 wspólne familijne pićtno; Siekierzyński znowu, to istny  
 charakter: on różny w różnych życia przygodach, a prze-  
 cieź wszćdzie to jeden i ten sam człowiek; on sam so-  
 bie dochowuje słowa, czyli go korci grzyb wyrosły  
 w izbie, czyli obchodzi chrzciny synowskie, czyli się  
 żegna ze swoimi na łózu śmierci. O Radziwille, jakim  
 go kreśli z mistrzowska Chodźko i Rzewuski, mówiłem  
 już na innćm miejscu.

Te szczegóły atoli w kompozycyi jak są różne co  
 do barwy i pićtna, tak też są różne co do wagi a znacze-

nia swojego. Jedne są główne, istotne, bo są rzeczywiście wyrazem myśli panującej, istotnej treści dzieła sztuki; drugie nie mają tego znaczenia, są poboczne, aloli i bez nich się nie obejdzie. W obrazie historycznym nie obejdzie się np. bez otaczającej architektury lub przyrody, a przecież one są tylko szczegółami ubocznymi; w pejzażu odwrótnie figury będą ubocznym szczegółem, a natura główną treścią. Widać tedy, iż gdy mistrz za nadto pozwoli urosć szczegółom, które nie należą do istoty dzieła jego, już wtedy zatrze cechę którąby w niem panować winna. Małoż jest obrazów, w których nie wiedzieć, czyli pejzaż dla figur, czyli figury dla pejzażu!

Te szczegóły uboczne jednak, choć nie są istotne, nie są przecież dowolne i powinny się rodzić razem z całością, bo one wtórują treści głównej. Prawda, że inny mistrz, tworząc taką samą osnowę, byłby innych użył szczegółów podrzędnych; ale bądź pewien, iżby wtedy i treść główna była w inny sposób wyrażona i całe dzieło byłoby odmienne. Madonna della Seggiola odziana jest chustką kraciastą; prawda że to niby drobnostka, ale ona razem z całością pojawiła się w duszy Rafaela; a lubo nie przeczę że mistrz to odzienie nastroił do całej postaci Madonny, to wszakże pewno, że gdyby nie był użył tej chustki, ale innej, pewnieby był i Madonnę samą odmienił. To prawidło stosuje się równie tak do architektury jak do muzyki, tak do romanusu lub dramatu jak i do rzeźby.

Nie trudno się nam przekonać, że i główne szczegóły między sobą znowu nie są równe, co do znaczenia. Wszak wszystkie szczegóły dzieła artystycznego

ściśle się w spólną jedność splatają; niechaj tedy będzie jeden szczegół, który nad wszystkie inne staje się wyrazem téj jedności, a zatém panującej myśli dzieła, więc ogniskiem i sercem całej kompozycyi, około którego obracać się będą wszystkie inne jako około piasty swojej; one będą tylko środkiem dla niego, i będą miały, ściśle mówiąc, jedynie to przeznaczenie, aby rozwinąć z niego treść w nim zamkniętą, aby treść ta jego stała się jawną, aby mu dać sposobność okazania, czém on jest w sobie. Stąd wynika, że ten szczegół pierwszy, będący wyobraźnikiem głównej myśli całego dzieła, zamyka także w sobie, jakby w pączku, wszystkie inne szczegóły, a tém samém znać, że one wszystkie są owym głównym szczegółem, ale już we formie rozwiniętej. Gdy atoli ów wyobraźnik główny jest upostaciowaniem jedności całej kompozycyi, zatém zachowanie się innych szczegółów do niego okaże zarazem zachowanie się ich do jedności całego dzieła. Wypływa ztąd, że gdy w jednej wielkiej, bogatej kompozycyi znajdzie się wiele szczegółów, one wszystkie mogą się ugrupować w osobne podrzędne całości, z których każda będzie dla siebie osobną jednością, mającą znów jeden główny szczegół, który będzie jój ogniskiem. Te całości podrzędne będą znów różnej wagi wedle różnego stosunku swojego do głównej myśli całej kompozycyi. Chodzi tylko tutaj o to, ażeby żadna z tych całości osobnych nie była luźną, aby wszystkie były splecione w jedną wielką całość, którą jest właśnie całe dzieło i panująca jego myśl, jak to widać np. w bitwie Konstantyna w Stanzach Rafaelowych, w sądzie ostatecznym Michała Archanioła, w wieczerzy Leonarda, w grupie Nioby,

w sztukach Shakspeara (np. król Lear), w budowlu katedr naszych średnich wieków i t. p. Po bogactwie i harmonii w kompozycjach znać też mistrza. Łatwiej też podobno utworzyć szczegóły piękne i mnogie; ale zestroić je w jedną całość, na tém właśnie sztuka. Widzisz, jakto człowiek całą naturę sobie pokrajał na szczegóły, jak ją smaży i męczy i dręczy w retortach chemika i pod nożem anatoma, młotem geologa; jakto wszystkie przyrodnicze nauki rozebrały przyrodę między siebie na oddzielne warsztaty swoje; a rusza też ta uczciwa praca rzeško, ochoczo i dzielnie; szczęście im Boże! Dzięki tym trudom zacnym, znamy też nie mało tych różnobarwnych kamyków, onój cudownej mozaiki Bożej. Ale kiedyż zabrzmi owo magiczne słowo, co wyrzeczone wszechmocą ożywi te kamyki, aż się one same ruszą, zejdą a złożą ów stary a cudowny stworzenia obraz! Niezbyt trudno chodzić po grządkach domowych życia i wrywać kwiatki, co śliczne barwą, co wonne oddechem, ale proszę je związać w jeden bukiet; kto przejdzie a nieco wprawnego oka, powie: ten bukiet złożony iście ręką malarską Segersa, a ów spletny sznurkiem i smakiem ogrodnika.

Prawda, że ta jedność rozmaitych szczegółów wystąpi nawet już z wierzchu, np. w dziele malowaniem pojawi się sama nawet harmonia oświecenia tonem rozlanym po obrazie całym i t. p.; w poezyi, figury choć różne, połączone będą, jak spólnym trzonem, siłą obyczaju swojego wieku, kulturą społecznego im czasu; figury zaś sobie odwrótne i wręcz przeciwne będą ułagodzone, zatém niejako z sobą powiązane przez postaci pośredniczące i t. p. — Wyznaj jed-



nak że zestrojenie takowe będzie dopiero zewnętrzne; wewnętrzna harmonia spoczywa na głębszym zestrojeniu kompozycyi. Od czego zaś takowe zawisło, wyłożyliśmy już dostatnio, nie ma tedy czego powtarzać powyższych uwag; przypominam tylko, com rzekł dawniej, iż ciało organiczne, a mianowicie organizm człowieka, może być wzorem dla kompozycyi artystycznej; w nim bowiem widzimy tak doskonałe powiązanie szczegółów, iż każdy organ jest zarazem przyczyną a zarazem skutkiem wszystkich innych, tak że całość jest ścisłym systematem nawzajem z sobą powiązanych skutków i przyczyn, powodów i następstw.

Z tych zasad wynika też dla nas najbliższa uwaga. Dzieło sztuki jest jednością, jest przeto całością ściśle z sobą powiązaną, a zatem ściśle oddzieloną od reszty świata. Wypływa ztąd, że dzieło takowe jako całość winno mieć swój początek, środek i zakończenie, a tém samém stopniujący się, potęgujący się rozwój swój. Główna myśl dzieła stulona, jakby w zarodzie, kłuje się, rośnie, rozwija, aż w końcu bucha na jaśń całą swoją potęgą. Kwiat dojrzały pęka i rozsypuje nasienie swoje na świat— nasienie i ziarno wiekuistej prawdy, by się przyjęło między ludźmi. To spotęgowanie stopniowe obowiązuje wszystkie dzieła sztuki, czyli się roztaczają w przestrzeni czyli w czasie; znajdziesz je tak w onych trzech figurach składających grupę Laokoona, jak w roztoczeniu się świątnicy budowanej, jak w dramacie, romansie i t. d. To prawidło kompozycyi samo przez się będzie wykonane, byleś zachował jój ustawy przytoczone.

Otóż masz zarys głównych zasad kompozycyi, we-

dle wyobrażeń dziś już w Estetyce przyjętych; skręśliłem je atoli konturem ogólnym, nie wdając się w drobniejsze odcienia. Gdyby mi się kiedyś miało zebrać na rozwój szczegółowych sztuk, jako architektury, rzeźby, malarstwa, poezyi i t. p. miałbym porę sposobną rozprawiać o szczegółowém zastosowaniu tych ustaw. Teraz zwrócę tylko baczność twoją na jedną z głównych wad, pojawiających się bardzo często w dziełach sztuki, a pochodzącą najczęściej z braku zachowania prawideł kompozycyi. Wiele bowiem znajdziesz artystycznych prac, które nie zrodziły się z czystego pokochania się w piękności, ale z próżnej osobistej chęci popisywania się sztuczną przesadzoną kombinacją. Ten atoli grzech przeciw sumieniu artysty karany też bywa najczęściej niezrozumiałością dzieła, bo wszelka zawilość ciemna i zagadkowa jest żywotną obrazą sztuki pięknej; piękność jest treścią duchową, nieskończoną, ale odzianą w ciało, jest tedy uwidomioną i uzmysłowioną; widać przeto, iż jej treść jest cała na wierzchu, na widoku, że powinna być odrazu zrozumiała. Niechaj Filozofia badaniem swoim nurzy myśl w toniach przedmiotu swojego, by wynieść z niego na jaw prawdę na dnie ciemnym ukrytą: piękność jednak nie jest metafizyką, ona nie jest łamigłówką, ona jest jednym z tych aniołków Rafaelowskich, co patrzy na ciebie uśmiechem dziecięcym; lecz w tym uśmiechu, w tych oczach niewypowiedzianego wyrazu przemawia nieskończoność. Przypominam ci jedną ze szkół niemieckich, skąd inąd znakomitych zasług, która, nie bardzo szczęśliwie naśladowując wielkiego mistrza swojego, maluje obrazy do sfinxowych zagadek podobne; więc ich kom-

pozycyi nikt bez komentarza nie zrozumie; dla tego też twórca ich staje obok dzieła swojego i odbywa jakby prelekcją, tłómacząc, wyjaśniając myśli swoje ukryte w obrazie i zwracając uwagę twoją nie na to, co widzisz na oczy swoje, ale na to, o czém on sam myślał komponując dzieło swoje; znać, że malowanie takowe graniczy ze sferą chłodną, mroźną allegoryi. Odejdiesz ze smutkiem, bo z przekonaniem, że człowiek ten chybił powołania swojego, że z niego byłby głęboki teolog, filozof, ale że nie jest malarzem. A cóż dopiero, gdy poemat jest jakby szaradą lub rebusem, zwłaszcza, gdy pod twardą, nieprzeźroczystą łupiną najczęściiej treściwego ziarna braknie!

Ale gorzej jeszcze gdy muzyka będzie niezrozumiałą! toć istne świętokradztwo, dokonane na téj sztuce niebiańskiej i na istocie wiekuistej człowieka; muzyka jak sumienie, jak światło słońca, jak powietrze, jak łzy, jak miłość, radość i boleść są dzielnicą całego ludzkiego rodu. Wielomocny władca, żebrak w łachmanach, prostego serca człek i mędrzec, wszyscy, hyle zacnego serca, jednakie mają prawo od Boga udzielone do téj ojcowizny swojej. Wszak to ona zdrojem przeczystym z Nieba na ziemię spłynęła;! skąp, zanurz we falach tonów znękaną duszę twoją, a zapomniesz pałace żywota krzywdy, odpuścisz wszém winowajcom twoim winy, odrodzisz się znów sam młodością nieskazoną i staniesz znów wśród dawno utraconego raj u uczuć twoich, zawitasz do niego z duchem męża a dziecięcia rzewnością. Słuchaj. Muzyka! — Otaczają cię wkoło uskrzydłone chóry serafinów, a duszy twojej wyrosły niebolotne skrzydła, i ona razem z aniołami ulatu-

je do świata cudów. Słuchaj, teraz zabrzmiały głębokie akordy, toczą się i wzdymają oceany tonów, zapadły mroki nocne. Te tony, te akordy, to nie głosy ludzi pojedynczych; wśród ciemnic kroczą duchy pogrzebanych stuleciów, olbrzymie cienie umarłych ludów; na wołanie muzyki rozwarły się mogiły przeszłości całej; słyszysz tę przeszłość niby huk morza miotanego burzą. Ale znów wszystko zniknęło jako znika zły sen; znowu wiosenne, wonne zaranie młodej natury przyplęnęło na powiewach akordów; z pod spłotu róż słyszeć szepty kochanków, tęsknoty serdeczne, rozkosze i bole miłości, a roje gieniuszków rzewnych, lekkich, oblatują je wkoło. I znów z onej strony płyną jęki; coś w sercu szlocha, płacze. Uderzyła z góry nieszczęścia błyskawica—gród stary, odwieczny stanął w płomieniach; pożar bije falą, wzbijają się słupy ogniste, kłęby dymów, niby straszdyła potworne, niby szatanów postaci, sięgają obłoków. Runęło w popiołach miasto rodzinne!—drwiny złych duchów!—Słuchaj! ztamtąd wałą się okrzyki milionów; bliżej a bliżej huczą dumne tryumfy i Halleluja pogromców. I znów wszystko ucichło. Dźwięki niebiańskie wzbity się w górę, a nad światem unosi się anioł z palmą pokoju w ręku. To anioł harmonii; więc stanął na tęczy przymierza między niebem a ziemią, na tęczy siedmiobarwnych tonów; on splata i godzi piorunne głosy przeszłości i tęsknoty miłosne, serca wesele i bole w duszy pływające; uśmierza, osładza i rozpacz i żale i dumy tryumfów; on zwił wszystko, co się na niebie, co się na ziemi święci, w jeden wieniec pieśni niebiańskiej, jakby kwiaty z bożego sadu: mniemasz żeś się odrodził młodości

wspomnieniem; samego siebie widzisz wiosennym młodzieńcem, widzisz splecione z tych tonów ojca, matki, przeszłości postaci; zda ci się że się znów roztworzyły utracone raju bramy, że ci wróciła dawna serca pełnia! Miłość nieskończona jak świat, głęboka jak niebios przepaści, zagrała ci w sercu; radbyś znów jak niegdyś przytulić te gwiazdy Boże objęciem nieskończonej miłości, przytulić do siebie rzewnem kochaniem cały ludzki ród, całe stulecia i przeszłe i przyszłe i obecność całą.—Ba, ba, cóż ci tak tkliwo? serce ci zabolalo; skądże te czułości? toć to gości dawno, tak bardzo dawno zapomniane! Muzyka coś ci duszę roztopiła; wskresiła z martwych dawno umarłe czasy i obraz onych dawnych niebiańskich młodości ogrodów, kędyś hodował najdroższych marzeń twoich kwiaty i nadzieje twoje i wiary i miłości twoje. Nieprawdaż? tobie nie żal młodości, żal ci jedynie tych światów, co w duszy pomarły! niegdyś, przed laty, także był bogaty sercem; dziś tak ci pusto, tak zimno. Ba, na to czułości żadne nie pomogą, już ci się nigdy więcej w sercu nie zaludni, nie odzyskasz nigdy, co niepowrótnie stracone. Lecz się nie wstydz, nikt cię nie widzi; gdy wrócisz między ludzi, nadrabiaj jak możesz, a tymczasem posłuchaj tylko jeszcze co Shakspeare prawi o muzyce: »Noc i cisza, to istotne struny wdzięcznej harmonii. Patrz, jak niebios błonia wysadzone »w kręgi jasnego złota. I najdrobniejsze z tych kół, »które widzisz, śpiewa w polocie swoim jako Anioł Boży, wtórując chórom młodości Cherubinów. Tak, »harmonii pełne są duchy wiekuiste! My nie słyszymy »ich, obłożeni grubą szatą pyłu. Człek, co nie zna

»muzyki w piersiach swych, którego nie roztkliwią słuby uroczych tonów, ten gotuje zdradę, rozbój, podstęp podły. Poruszenia duszy jego ponure jak noc, a chęci czarne jak piekło. Nie powierzaj się takiemu.—  
»Słuchaj, Muzyka!« (Kupiec Wenecki).

I oni nam powiadają, że prawdziwa muzyka jest tylko przywilejem znawców! My nie przeczymy, że ta metafizyczna, umiejętna, spekulacyjna, niezrozumiała muzyka niektórych uczonych kompozytorów dowodzi potężnej kombinacyjnej głowy; nie przeczymy, że ona wydoskonaliła teorią dźwięków, ale niechaj przecież ci panowie nie powiadają, że oni kochają muzykę. Bo słusznie ktoś powiedział że »kto kocha muzykę, nie obchodzi się z nią jak z nieprzyjacielem, nie każe jej jęczeć i boleć, nie wymusza na niej gwałtami dowodów umiejętności swojej, przewyciężając trudności które sam swawolnie sobie wymyślił, nie używa jej za środek dla miłości własnej; nie staje się podobnym chirurgowi, któryby zdrowemu człowiekowi połamał kości, aby się mógł popisać zgrabnym złożeniem i szczęśliwem wygojeniem.«

Czas atoli nawrócić. Widzisz, mógłbym tutaj, włożyć już jako tako rzecz o kompozycyi, rozprawić jeszcze szeroko o studyach, szkicach i innych przygotowaniach, bez których, również jak bez kompozycyi, nie obejdzie się tworzenie dzieła sztuki; ale, to wszystko już pomijając, pytam jakie nam wystąpi zjawisko ducha, jeżeli mistrz zaniecha kompozycyi, jeżeli mimo siebie puści to wszystko, cośmy o niej dotychczas powiedzieli, jeżeli ideał wprost zamieni na dzieło sztuki i wyniesie go żywcem w rzeczywisty świat? Wtedy zja-

wia się *improwizacya*. Improwizacya! Ja myślę, że człowiek nie jest Panem Bogiem; u samego Boga tylko myśl jest zarazem istnieniem, dla człowieka zaś ciężka droga z myśli do istnienia. Inaczéj stwarza Bóg, inaczéj człowiek. I nawzajem to też prawda, że człowiek, będąc jestestwem myślącym, inaczéj znów śpiewa jak ptaszek na gałęzi; bo ptaszek śpiewa bez myśli, w nim nie ma myśli, a sam przez się jest tylko istnieniem. Ptaszek nie potrzebuje komponować, jego piosenkę już ktoś inny za niego skomponował.

Nie przeczę że improwizacya jest często prawdziwéj genialności objawem, ale ta zmarnieje, nie docho-wa się, gdy będzie nadużyciem znieważona; dla tego też improwizator rzadko odpowiada nadziei, którą pierwotnie zrodził.

Ponieważ improwizacya od razu zamienia ideał na dzieło sztuki, a pomija całą pośredniczącą sprawę kompozycyi, będącą właśnie przejściem z ideału do dzieła piękności, zatém my, pamiętając na czém zależy kompozycya, łatwo już zgadniemy czego braknie w improwizowaniu. Jakoż, gdy dopiéro w kompozycyi ideał rozkwita całą pełnią swoją, stąd też zaimprovizowane dzieło sztuki nie będzie rozwinięte z siebie i okaże niedostatek nie tylko pod względem formy, ale i pod względem samego ideału. Zaiste póki genialność, a nawet i talent, świeci jeszcze całą potęgą świeżą, rodzimą, póty też i niedostatki te będą ukryte, zwłaszcza gdy dech poezyi owionie treść umiejętną, naukową, opisową, a zatém treść już skądinąd przygotowaną i będącą na zawołanie; lecz późniéj zwolna, niepostrzeżenie, na miejsce pierwotnéj świeżości stawac będą obrazy

zużyte, zwietrzałe, dawno już otarte i opatrzone w świecie.

Nie ma co mówić! Pięknie zrazu duchowi w tej swobodzie pierwotnej, w tym dzikim majestacie swojej potęgi. Improvizator słucha mocy przyrodzenia, która w nim robi i prze; nie ogląda się zatem na przepisy szkoły, na prawidła przyjęte w świecie, oddając się niby gieniuszowi, który w nim przebywa. Lecz, jak się ktoś z nowszych autorów wyraził, zanim się improvizator obaczy, swoboda jego butna, luźna, zuchwała przejdzie w odwrótność, bo w niewolę. Jak bowiem improvizacya, samocheąc oddaje się w pęta narzuconej sobie treści, jak się ona stosuje do upływających minut, do granic czasu dozwolonego jej na przygotowanie, tak oddaje się mimo wiedzy swojej pod powagę kilku osób, które na nią czekają; zanim się przeto sama spostrzeże, już stosować się pocznie do ich smaku i do ich umysłowego kierunku. Otoż tym trybem talent, co mało sobie ważył prawidła uświęcone wiekami, oddaje się sam w hołdy dobrowolne ułomkowi drobnemu społecznej mu publiczności, bo owemu szczupłemu gronu, będącemu dla niego światem całym. Nie dziw też, że zwolna gaśnie ta łuna światlista, którą natura uwieńczyła skronie wybranka swojego, a z całego niebiańskiego posagu, który tak biednie zmarniał, zostanie tylko jedna wprawa wierszowania. Atoli łatwe składanie wierszy nie jest jeszcze poezją, toć jedynie jej strona zewnętrzna, techniczna; wirtuoz nie jest jeszcze mistrzem.

Wiemy że ideał jest żywotnym warunkiem wszelkiego piękności dzieła, lecz w improvizacyi ideał bę-



dzie zawsze nierozwiniętym, bo on dopiero mocą kompozycji roztoczyć się zdoła w całej piękności swojej. Stąd jawnie znać, że w miarę wyrobienia się ducha przez kompozycją mistrz nabiera też coraz wyższej potęgi w twórczości ideałów. Rzecz się zupełnie tak ma jak w myśleniu a wysłowieniu. Bo lubo nie zaprzeczam, że wprawa myślenia wyrabia w nas moc wysłowienia się, przecież nie mniej jest rzeczą pewną, iż staranie około jasnego wysłowienia wdraża nawzajem ducha do dokładniejszego coraz myślenia. Głuchoniemi nie tylko dla tego są upośledzeni na umyśle, że, nie słysząc drugich, nie bywają potrąceni do własnego myślenia, lecz ich nieudolność pochodzi również i stąd, iż sami nie mówiąc, nie wyrażając myśli swoich, trudniej już rozwijają myślenie własne. Podobnie, kto się zrzeka pracy nad kompozycją, zrzeka się tém samém możności stwarzania coraz doskonalszych ideałów. Stąd też słusznie powiedziano, że Rafael bez ręki, nie mogący wykonywać pierwotnych ideałów swoich, nie byłby nigdy dopiął wyższego szczytu, nie byłby zdołał stwarzać tych właśnie ideałów swoich, — słowem, nie byłby został Rafaelem.

Lecz zważ jeszcze jeden niedostatek improwizacyi a zaiste najważniejszy. Improwizacya tworzy ideał w chwili upodobanej sobie, patrzy całą zimną przytomnością na robotę swoją; tak tedy w improwizacyi duch rozdziela się na dwie strony, na rozsądek i na fantazyę; rozsądek jest trzeźwym świadkiem czynności fantazyi, która dla tego właśnie traci wolność swoją rodzimą, nie rozwija swoich lotów, bo ją krępują oczy owego trzeźwego prozaicznego świadka; a przecież

wszystko, co się tworzy i poczyna czy w świecie natury, czyli w duchowym świecie, okryte jest świętą tajemnicą, i fantazyja twórcza jest wstydliwą! jój przeszkadza rozsądek natrętny. Wszak przy improwizacji są obecni nawet inni świadkowie, ciekawi tych mistycznych zrodzeń duchowych?—Tém gorzej! Albo też mniejsza o nich, oni nie dójrzą tych świętych tajemnic, bo ich nie ma w improwizatorze właściwym. Wiemy atoli już z powyższego rozwoju, iż wcale inaczéj się dzieje, gdy się poczyna ideał prawdziwy, ideał w głębokiém znaczeniu swoim. Rzekliśmy, iż w tych chwilach uroczystych wstępuje w mistrza natchnienie; jest to duch twórczy, będący niby własną istotą jego, a przecież potęgą obcą, wyższą, z góry nasłaną. Ten duch posiadał całą duszę mistrza; ona, pogrążoną będąc w duchu tym, nie odróżnia go od siebie, nie widzi go; dusza mistrza w tém natchnieniu nie jest sobie obecną, nie należy więcéj do siebie, ani jest świadkiem własnych swoich zrodzeń. Mistrz sam nie świadom oczynienia swojego, bo w tych jakby jasnowidzeniach one rajskie ogrody, one czarnoksiężkie pałace, wywołane magią fantazyi, są dla niego rzeczywistością, a rozum o tyle tylko ma mocy, iż w tych obrazach przebiera, wybiera, nie krępując atoli potęgi fantazyi twórczéj, rodzącéj. Dopiero, gdy przeminą te chwile uroczyste, gdy wróci znów stan rozsądku i rozeznania siebie od czarodziejskich obrazów, wtedy dopiero mistrz poznaje ów stan swój, wtedy dopiero sądzić może o duchu, który go był uczynił i objął kochaniem niebiańskim; lecz wtedy właśnie już zniknął ów stan oczynienia, uleciał duch, i rozplynęły się marą senną one rajskie ogrody i

czarnoksiężkie pałace. W improwizacyi we właściwém znaczeniu fantazyja jest pierwiastkiem podrzędnym, jest służebniczką trzeźwych władz duchowych. W natchnieniu prawdziwém stan bezświadomy rozpoczyna grę duchową zrodzeń artystycznój fantazyi, a trzeźwość, na poły tylko sobie przytomna, o tyle tylko jest czynna, ile właśnie potrzeba aby stanął wybor między postaciami, które fantazyja zrodziła. Tutaj fantazyja jest panią i mistrzynią a władze trzeźwe, na poły obecne, są tylko jój służebnice wielce podrzędne.

Już temu dawno, bardzo dawno, gdy żył król i królowa. Było to w owym porannym lat tysiącu, gdy purpurowy wschód ludzkich dziejów przyświecał narodzeniu Grecyi, owój młodej prorokini zacności człowieka i kapłanki wszystkiego, co wzniosłe i piękne na Ziemi. Wtedy to żył ów król i królowa, a trzy córki kwitły im wdziękiem i powabem na radość ich serca i szeroką przez kraj sławę. Dwie starsze siostry, choć były cudnego uroku, toć przecież ich uroda była ziemskim kwiatem, stąd też ku ziemskim uciechom zwracały się ich serca młode, i, miłości światowój weześnie zaślubione, opuściły ojcowski dom. Najmłodsza ze sióstr, Psyche, tchnęła niewidzianą nigdy jeszcze od ludzi pięknoscią; zdała się być córą jednego z olimpijskich bogów i jakby sierotą niebiańską opuszczoną na ziemi; postać jój, to muzyka Boga pieśni, a ruchy jój, to uwidomione, wcielone tony lutni jego. I przykrzyła sobie Psyche w królewskim grodzie; i pusto i głucho rozkładała się przed nią świat wkoło; patrzyła w obłoczne niebios budowania, w nich okiem tęskném upatrując ulubieńca

dla siebie. Było to w owym porannym lat tysiącu, kiedy wiekuistość wyjawiała się jeszcze w postaci tutecznej, odzianej pięknnością, gdy i serca samych niebian nieśmiertelnych czuły po ludzku, gdy nawet słabostki człowieka olimp wysoki z biedną ziemią podzielał. Nie dziw tedy, że lud ze wszech stron wkoło spływał, młodą dziewicę za samą Boginię miłości mając; oddawał jęj pokłon i cześć; ale też i nie dziw, że te wonne dymy ofiarnych ołtarzów, że rzewne serc uwielbienia, wzbijając się pod bogów mieszkania, trwogą zawistną poruszyły Wenus, dotychczas samowładną panią miłości i wdzięków. Ona w lęku, by jęj Psyche nie odebrała rządów wszechmocnych na ziemi, daje rozkazanie synowi, by młodą dziewicę rozkochał nیکczemném kochaniem ku najnędzniejszemu z ludzi. Lecz Amor ujrzał Psychę i własną strzałą swoją sam zranił siebie.

Tymczasem król ów i królowa, bolejąc iż Hymen nie ósmieli się jeszcze zbliżyć pochodni ziemskich płomieni do najulubieńszęj córy ich, pytają wyroczeni o radę. Apollo, bóg pieśni a przyszłości wieszcz, wyrokiem zgrozy pełnym głosi, że Psyche na zawsze stracona dla ziemi, że na szczycie samotnym przepaścistęj skały ma ją ukochać małżonek o potwornęj, o straszliwęj, skrzydlatęj postaci, co wrogiem i ludziom i niebian wrogiem. Więc żałobnym orszakiem, pogrzebowym pochodem, z żalem serdecznym ludu, na rozpacz ojca i matki, pełna boleści i łez wyprowadzona jest Psyche na szczyt samotny przepaścistęj skały. Tam została sama jedna, sama jedna ze strachem i trwogą śmiertelną w sercu. Ale, jakby miłości lubym powie-

wem, wionął zefir tchem, objął dziewicę i uniosł do edeńskiej doliny i złożył snem ukołysaną wśród woni kwiatów. Gdy Psyche otworzyła oczy, niby gwiazdy duszy swojej, czarodziejski świat, ogród cudów objął ją do koła, i zadrgało serce lękiem i rozkoszą niebiańską, i pyta sama siebie, czyli to może jeszcze uludne, polotne, senne obrazy, czyli istny jaw!

Niebo rozpięło błękity promienne jakby namiot nad łożem miłości natury całej, a namiot złotem słonecznym i w barwy światliste szyty. U stóp dziewicy wyrastają róże o licu rumianém, a rumienia się, bo tęsknią za miłością, i płaczą rosy kropelką, bo dech porania zapomniał dziś o różach i ucałował usta dziewicy; w koło woni drobnych kwiatków ród, co, chowając pod ziółką główki swoje, rozpowiada z cicha sobie szczęście Psychy młodej; a motyle, co to same niby kwiatki lotne i lotne miłostki, unoszą się z kwiatów na kwiaty i każdemu z nich coś mówią i prawią; boć motylki to swaty i powierniki ich kochania. Wszędzie pełno muzyki: to śpiewaki skrzydlate kołyszają się na gałęziach, to znów rzekłbyś że na obłokach gniazdka swoje mają, że gdzieś wysoko na błękitach założyły orkiestry swoje i nucą śpiewki weselne, miłosne, boć one same tak miłością szczęśliwe; całując zaś stopki dziewicy ucieka potok, a ucieka śpiesznie, bo mu śpiesznie do strugi, co tam skryta pod ciemnym splotem krzewów oczekuje wybranka; nawet to drzewo pradziadowe, bezlistne, tak niby opuszczone i biedne tu w krainie szczęścia i cudów, nie jest samotnym; powój kwitnący odział je w koło szatą zieloną, niby haftowaną suknią weselną, a to serce jego, od wielu lat martwe, tutaj zdoprawdy puka

radością i kołaniem, bo tu rozkoszą i miłością oddycha świat cały.

A zadręała Psyche rozkoszą, bo poznaje, że to nie ułudne polotne obrazy sennie, że to istny jaw. I patrzy, a tam wśród grona drzew milezących wznosił się pałac czarodziejski; nie jest on dziełem śmiertelnych rąk; wspaniały, przepychu pełen, a przecież odziany i lubością i wdziękiem; świetlisty on, strojony, hardy a przecież kształty jego tak urocze i harmonii pełne, jakby marmurowe akordy. I słucha Psyche, a głosy niewidome witają ją jako panią tego miłości edenu; a służebnice nadświatnej urody czekają skinienia młodej dziewczycy.

Lecz gdy zagasty wieczorne purpury, a powiewy ciche mroku westchnęły po ziołach i kwiatach, po strumieniach i skałach, a liście, kwiaty i gałęzie, kołysząc się zlekka, zasnęły już; gdy przebrzmiały światła i barwy, niby podanie z dawnych lat, a gwiazdy zwiły się w błyszczący wieniec weselny i jakby do ślubu ustroiły noc, Psyche sama jedna została w sypialnej komnacie, oczyniona czarem magicznym swoich dziejów. Gdy duma i marzy, stanął przed nią ulubieniec niewidzialny, w nocnych cieniach ukryty. I liście i kwiaty, zioła i ptaszki zadygotały w sobie i na pół przebudzone podały sobie o przybyciu kochanka wieść. Gdy na wschodzie świtał brzask poranny, gdy pierwsza gwiazdka gasła, wśród uściśnienia miłości prosił rzewnie, błagał kochanek by Psyche nigdy, nigdy, nie chciała obaczyć jego postaci »bo« rzekł »gdy raz obaczysz postać moją, już zginie szczęście nasze, a ja nigdy, nigdy nie zdołam już wrócić do ciebie.« A gdy

zaświtał brzask poranny i gwiazdka zgasła, uleciał kochanek.

I płynęły dni i płynęły nocy w rajskich ogrodach, a z każdym ciemnym mrokiem wracał niewidomy kochanek. Dnia pewnego, gdy na tę dolinę cudów a czarodziejskiej ułudy spokój głęboki rozlewał rozkosz cichą, lubą, gdy Psyche spoczywała pod ciemnym sklepieniem krzewów wonnych, jakies płacze i jęki, narzekania bolesne zadrgały echem w szczęścia edenie; znać, że to wołania z innego świata, ze świata rzeczywistości i cierpień, o którym wśród chwil błogich zapomniiała Psyche. Były to siostry jej starsze, które z oniej skąły wrogiej, samotnej, przepaścistej wzywały płaczem Psyche. Więc za powrotem nocy, wśród pieśczęt miłości a toni kochania, błaga rzewnie małżonka, by siostry jej mogły być świadkami jej szczęścia. Zezwolił niewidomy kochanek, ale znów powtarza, znowu prosi i błaga by nigdy nie zechciała obaczyć postaci jego. Zefiry uniosły siostry do państwa czarownego, i Psyche, oprowadzając je po ogrodach edeńskich, pokazywała im wszystkie rozkosze, wszystkie uroki, skarby i wdzięki nieskończone, któremi ją otoczył wkoło jej ulubieniec. Lecz siostry, zdjęte może czy ciekawością czyli zazdrościwém uczuciem, wznieciły w sercu Psychy niepewność i wątpienie, nalegając, by przecież obaczyła samego dawcę szczęścia swojego. A długo, długo opierała się Psyche, bo oddawała się z ufnością serdeczną kochaniu swojemu. Lecz razu pewnego, wśród nocy nieměj, głuchěj, miotana niepewnością wzdycha i płacze, i już nie zdoła dać rady sobie; chwyta więc lampę i puginał, a z cicha, niedosłyszana, jak powiew

lekka, wstępuje do komnaty śpiącego ulubieńca. Lęk, radość i trwoga zatrzęsły dziewicą, bo widzi na łożu kochania i piękności boga, widzi na oczu śmiertelne Amora, w istnjej niebiańskiej postaci; jój kochankiem najcudniejszy z bogów olimpijskich! Lęk, radość zatrzęsły dziewicą, omdlały pod nią stopy, drżąca ręka wypuściła puginął, kropla oliwy z lampy spadła na ramię boga miłości. Amor się przebudza, wyrzuca jój rzewnie, żałośnie nieufność i zdradę, i ucieka. Daremnie błaga Psyche i klęczy i płacze, daremnie zaklina; zniknął kochanek, uleciał do nieba, a z nim zniknęło szczęście rajskich edenów i czarodziejskich pałaców.

Czyliż mam jeszcze prawić o biedach, o rozpaczy Psyche, o mękach, które przecierpiała? Gdy skoła nadzieja powrotu kochanka, padła już na nią ciemna myśl samobójstwa, a Wenus, karząc za śmiałość pokochania jój syna, wymyślna w sposoby udręczenia dziewicy, posyła ją nawet do smętnego państwa Prozerpiny.

I wiele katuszy serca przetrwała Psyche i wiele przeboleła, aż w końcu darowana jój była wina.

I zaniesiona do wysokiego olimpu zasiadła wraz z Bogami do swojej uczty weselnój; a Jowisz, który skinieniem trzęsie posadami niebios a przecież wyrozumiały jest na słabości ludzkie, co tak pełen łaski, bo sam tak potężny, podał dziewicy czarę ambrozyi, a ona wypła z niej nieśmiertelność dla siebie; otdąd Psyche stała się wiekuistej młodości boginią, otdąd Psyche jest duszą, a wyrosły jój skrzydła motyle!

Kogo ukocha gość z Olimpu, niechaj nie żąda widzieć okiem cielesnym ulubieńca swojego, a ślubem z nadświatnym państwem złączony zasiadzie do uczty nie-



śmiertelnych, wypije z czary niebiańskiej młodość wiekuistą, niekończącą się nigdy. Kochanek z nieba zesłany roztworzy mu oczy, by przewidział. Tak doczesności syn, mistrzem się stając, ujrzy myśl wiekuistą ukrytą we wszech jestestwach i zrodzi ją na jaw w widomiej postaci piękności. A jak sam, choć z ziemi wywodzi pochodzenie swoje, a przecież zaślubił się z niebios mieszkańcem, tak i w dziele jego wiekuistość obejmie doczesność rzewną miłością (\*).

---

(\*) Przed samem wysłaniem rękopismu tej książki do druku, więc bardzo długo po skreśleniu powyższych ustępów o improwizacyi i improwizatorach, stanęła wśród miasta naszego Deotyma. Zjawienie się jęj tak dla nas było lubie i uroczne, jak gdyby wśród zimy mroźnej, wśród jałowej w koło natury, darowany ci był niespodzianie z miłej ręki bukiet świętych fijołków, lub innych wonnych, barwnych dzieci młodocianej wiosny; a jak Deotyma zostawiła nam po sobie wspomnienia wdzięku pełne, tak też serdecznie pragniemy aby i ona nawzajem uniosła z sobą miłą pamięć o swoim choć przelotnym pobycie w grodzisku naszym.

Byłoby iście o czém pisać, gdyby mi przyszło wypowiedzieć jakie się nam nasuwały myśli, patrząc na to zjawisko tak wdzięczne i świetne a zarazem tak nadzwyczajne pod względem Psychologii i Estetyki. Przecież już tyle o zadziwiającym talencie Deotymy napisano iżby się może obeszło zupełnie bez mojego zdania; a nadto, kto wie czyli mi nie przyznasz, iż wyrzeczenie dziś ostatniego słowa w tym względzie byłoby może zbyt śmiałym, bo zbyt wczesnym sądem. Wiemy że ogromne wstrząśnienia duszy, że zadane sercu rany, boleści pełne, bywają niestety najczęściej ogniem czyscowym, w którym hartuje się gieniuszu potęga, a lubo wszyscy z całej duszy życzymy aby i bez tych cierpień duch poetyki Deotymy wzniósł się na szczyty najwyższe własnej istoty swojej, toć przecież trudno przewidzieć co jęj gotują losy jasne lub ciemne, czekające każdego człowieka, a ukryte na dnie przyszłości jego; więc tém mniej wolno, ile mnie się zdaje, dziś wyrokować ostatecznie o talencie Deotymy. Bo chociaż myślę, iż kto ma uszy ku słuchaniu a oczy ku widzeniu, z trudnością tylko nie dosłysz i nie dowidzi skrzydeł wieszczych Deotymy, toć przecież nikt dziś nie zdoła wywróżyć czy to są skrzydła gołębic śnieżnej co z miłością pilnując strzechy domowej dodaje jęj wdzięku, miląc zacisze lubie spokojnego żywota, czyli to są loty orlecia, co kiedyś, na tatrzańskich turniach założywszy sobie stolicę, puści

Im wyżej stanie mistrz fantazją, tém jaśniej oczyma ducha obaczy tę myśl wiekuistą, tém doskonalszą będzie postać, która ją odzieje, tém przeto i treść dzieła będzie głębsza, tém forma jego piękniejsza, tém na-

się wzdłuż po nad Wisły wstęgą i przejrzy się w zwierciadłach rzeki rodzinnej; a może te skrzydła skrzydłami Cherubina, co zateśkni za nębem, wzbije się po nad obłoki i utonie w przepaściach gwiazdzistych!

Przeto, wedle mnie, nikt o tém jeszcze w tej chwili stanowczego zdania dać nie może i dla tego, jak rzekłem, nie śmiałybym rozpisywać się w tej mierze.

Ale skoro powyżej dość obszernie rozwoziłem się o improwizacyach, więc mi już teraz nie podobno milczeniem pominąć Deotymy; a co więcej już dla osobistego dogodzenia sobie radbym, choć pobieżnie, skreślić o niej wyrazów kilka, bo tym sposobem niby wcielię w słowa i zatrzymam w piśmie te chwile przelotne a tak miłe, które nam upłynęły w czasie jój bytności pomiędzy nami.

Słyszałem Deotymę, a przecież nie cofam żadnej myśli, żadnego wyrażenia z ustępów powyżej o improwizacyi powiedzianych!— Nie mógłbym atoli żadnym sposobem zgodzić się na zapatrywanie się tych, którzy w Deotymie jedynie widzą improwizatorkę w ściślejszym znaczeniu! Wedle mnie Deotyma nie jest taką improwizatorką, ale poetką, ale artystką prawdziwą, która też i improwizować umie. Lecz w tém właśnie najogromniejsza różnica. Kto improwizatora nazywa poetą, a Deotymę improwizatorką, myli się w tém iż w obu razach bierze formę za istotę, pozór za rzecz.

Wytłumaczę się bliżej. Rzekłem że Deotyma jest poetką prawdziwą która umie improwizować; z czego wypływa naprzód, że w jój improwizacyach odzywać się będzie struna właściwa i konieczna wszystkim improwizującym, a tém samém znajdzie się w nich pewna właściwość, która będzie spólną i Deotymie i improwizatorom w ściśleńm znaczeniu.

Lecz nawzajem, gdy duch Deotymy jest czémś więcej niż zdolnością do improwizacyi, gdy on jest zaiste duchem istrnej poezyi, wynika ztąd że jój improwizacye różnić się także będą od właściwej improwizacyi i że różnica ta koniecznie będzie dwoista. Bo jak znajdziesz w improwizatorach właściwych pewne wrzekome zewnętrzne zalety, których nie spotkasz u Deotymy; tak na odwrót, gdy gienusz prawdziwej poezyi przebywa w duszy tej młodej dziewicy, więc też w jój poematach uczujesz tchnienie wyższych światów, które są zupełnie obce dla improwizatorów w ściśleńm znaczeniu.

Słyszac Deotymę, poznasz że ona iście improwizuje, choćby nawet

koniec połączenie treści i formy będzie ściślejsze i zupełniejsze, czyli tém doskonałej głębszej treści odpowiadając będzie głębsza forma.

Widzisz przeto, iż się zbudują stopnie różnej potęgi fantazyi, jakby Jakóbowe wschody, po których wstę-

o tém nie był wprzód uprzedzonym, choćbyś nawet nie był głębszym znawcą owej tajemniczej pracy ducha, która robi na dnie wnętrza naszego.

Przywiedźmy sobie przeto na pamięć cechę każdej improwizacji w znaczeniu ściśłym, a potem spytajmy czyli, i o ile, one się znajdują w improwizacjach Deotymy.

Jakoż najczęściej znamieniem wszystkich prawie improwizacji są myśli metafizyczne, ogólne rozumowe zasady, przedmioty wzięte z różnych dzielnic wiedzy ludzkiej, allegorye, ton dydaktyczny, opisujący, i tym podobne cechy. Inaczej też być nie może, bo jedynie przedmiot z wiedzy wzięty, jedynie treść rozumowa może być na zawołanie umysłowi ludzkiemu.

Oprócz atoli znamion takowych, jest jeszcze inna cecha, którą z istoty rzeczy znajdziesz koniecznie w każdej improwizacji; jestto ta rozplynność, rozwiewność postaci i obrazów, które w sobie są mgliste, które nie tępeją, że tak rzekę, we formy plastyczne, o zarysach wydatnych, wyraźnych, ale ulatniają się niby lekkim chuchem, nie nabierając krwi i ciała; stąd jakiś obłok zagadkowy, mistyczny otula niekiedy treść całą. Te cechy mają, jak już z powyższych ustępów moich widzieć można, dwojaką przyczynę; jakoż naprzód: gdy w improwizacji ideał, w duszy poczęty, wprost, więc bez pośrednictwa kompozycji, przechodzi w gotowy poemat, przeto nie ma, że tak się wyrażę, dość czasu, by się ukończył w sobie, by wziął na siebie postać plastyczną o konturach wydatnych, wyrazistych; a drugą znów przyczyną tego braku form ściśle oznaczonych jest właśnie ta, że sam ten ideał w improwizacji najczęściej nie jest, ściśle mówiąc, ideałem, bo jest najczęściej myślą rozumową a zatem, prawdą ogólną będąc, mniej się nadaje do wcielenia w postać indywidualną, mającą własną osobną fizyonomią swoją.

Gdy takowe są mniej więcej znamiona wszystkich improwizacji, więc trudno twierdzić jakby się ich dopatrzeć nie można i w poematach Deotymy, które przecież także są improwizowane. Że jednak duch, żyjący w tej dziewicy młodej, jest zaprawdę duchem wieszczym, więc świeci tak jasnym promieniem, że nawet i pod względem tych cech, które ma wspólne z improwizacją w ściśłym znaczeniu, różni się od niej wła-

pują aniołowie do nieba. Jeden, jeden tylko wśród wszystkich szczebli może być najwyższym; ten już przy samym progu nieba piękności, ten sam jeden jest całą fantazyą. Przeto też wszystkie poniższe, lubo tak ró-

---

ściwem sobie światłem i barwą. Zanim atoli bliżej te różnice wytlómaczę, zważmy jakie to są te zalety któremi celują improwizatory właściwe nad Deotymą? Są to zalety którychbym pragnął nigdy nie widzieć w poematach Deotymy, o ile one będą improwizacją. Jest to, słowem mówiąc, ukończenie zupełne pod względem zewnętrznej formy. Jestem przekonany iż Deotyma, widząc przed sobą napisane własne improwizacje, nie jedno poprawi w nich co do harmonii i wyrażenia, co do wiersza, więc co do formy zewnętrznej. Tego wszystkiego nie uczyni improwizator właściwy, bo on nie zdolen już być wyższym od własnej improwizacji; on całego siebie w'ął już w tę formę zewnętrzną, bo on cały jest tylko formą zewnętrzną, mechanizmem; on przyszedł do tej techniki ogromną wprawą i wrodzonym talencikiem, ale te biedne zalety opłacił utratą wewnętrznego człowieka; on dał ziarno za łupinę! (\*). Bo ta forma jest u właściwego improwizatora wszystkiem, bo obok niej strona wewnętrzna, duchowa jest pusta i głucha; więc stać go jedynie na obrazy dawno opatrzone, przenośnie, porównania zużyte, zblakowane; po nie to sięga improwizator do pamięci jakby do składu różnorodnych zapasów, nagromadzonych na wszelki przypadek. Inaczej u Deotymy! Słyszac ją trudno wstrzymać podziwienie swoje; taka urocza świeżość technie z tych jej improwizacji, zwroty tak uderzające bo nie spodziewane, obrazy świecące kolorytem tak pełnym przepychu, taka tu oryginalność w przenośniach! Wszak nawet wyrazy pojedyncze, użycie języka, władanie mo-

---

(\*) Do jakiego stopnia ta łatwość zewnętrznej formy dochodzi, widzieć możemy z tego, że się pojawiają po stolicach europejskich np. improwizatorowie włoscy, którzy z narzuconej sobie osnowy zaimprowizują całą tragedią w pięciu aktach; a zawiązanie i rozwiązanie, rozkład na akty, sceny, osoby, słowem organizm całej sztuki tak ułożony że odpowiada najściślejszym prawidłom, a przecież taka tragedia nie jest poematem, nie jest dziełem piękności. Wszak kilka lat temu jak improwizator niemiecki popisывał się w Krakowie! nie improwizował on wprawdzie dramatu, ale jedynie wiersze liryczne i opisowe; przecież za to miał, kromi zadanej sobie osnowy, jeszcze podyktowany szereg rzeczowników, które dano mu wpleść w ten wrzekomy poemat; a nadto należało mu walczyć z trudną miarą wiersza niemieckiego, którą mu również narzucono, i wywiązał się wielce gładko z całego zadania; bo jedynym grzechem w jego improwizacji było iż z lekka przewinił przeciw metryce, używając np. nickiedy, bez ściślej potrzeby, trocheów zamiast spondeów i na odwrót. Wszelako najczęściej sami ci improwizatorowie sztukę swoją za lekki żart, a nie za poezję uważają.

zne między sobą, stanowią przecież tylko jeden rodzaj fantazyi, bo mają to spólnego, iż żaden z nich nie jest całą pełną fantazyą; one wszystkie różnią się między sobą jedynie co do stopnia swojej potęgi, różnią się

---

wą, wyraźnie świadczy, że tu tchnienie idzie z góry, że tutaj duch poezyi ocenił duszę improwizatorki naszej.

Mówilem powyżej że poemata jej są improwizacyą. że zatem będą miały i cechy, które są spólne też improwizatorom właściwym, np. dydaktyczność, treść z wiedzy wziętą, myśli rozumowe, a nawet jakąś rozwiewność, mistyczność obłoczną; jakoż lekki ślad tych znamion spotkasz i w improwizacyach Deotymy; ale zważ że ta barwa dyktacyjna, że ten przedmiot, z nauk wzięty, pod jej natchnieniem przybiera urocze, nadzwyczajne kształty; ta treść umiejtna często ci się pokazuje ze strony zupełnie nowój, uderzającej, rzekłbyś że te przedmioty, owiane poezyą Deotymy, zabrzmiały dźwiękiem, którego nigdy jeszcze z siebie nie wypowiedziały: a myśli jej to nie abstrakcye ogadane, tysiąc razy powtarzane; te myśli jej wypadają często niby błyskawicą z tajników duchowych i są nieraz tak głębok ego znaczenia, żeby nam dziwno było skąd ta mądrość przyszła tej młodej dziewicy, gdy by nie przekonanie, że to właśnie ów zachwyt, prawdziwie poetycki, zastępuje działanie wytrawionego rozumu, i zdoła oświecić przedmioty nowém, niezwykłym światłem.

Prawda że obłoczna mistyczność otacza niekiedy treść poematów Deotymy, zasłaniając jasność i dobitność obrazów; prawda że te postaci u niej nie stają posągiem rzeźbionym, w którym i ogół i szczegóły wszystkie występują z całą potęgą swojej indywidualności. To prawda! Aleć to być inaczej nie może przy improwizacyi; a nadto uważ że u niej ta mistyczność niepewna. to nie chmurna mgła włócząca się po wandolach i dolinach, ale są to obłoczki lekkie, ulotne. zbierające się na błękitie nieba, przepromienione światłością,omalowane w barwy tęczowe; one niby składają postać, już poznajesz wyraźnie jej zarysy, kontury; ale w tém dmuchnie jakby powiew poranny a obłoczki już są rozwiane, aby niezadługo znowu związać się z sobą i inne złożyć postaci, które się znów rozplyną.

Co rzekłem aż nadto do mojego celu wystarczy, bo może się już ze mną zgodzisz że Deotyma nie jest bynajmniej improwizatorką w ścisłym znaczeniu, ale, jak rzekłem, prawdziwą poetką, która improwizować umie! Powiesz może że nie jesteś wolny od obawy iż częste improwizowanie, które jest, jak mi się zdaje, mniej właściwą formą dla talentu Deotymy, mogłoby szkodliwie wpłynąć na ducha poezyi który w niej żyje,

więc tylko liczebnie; ów zaś szczebel najwyższy nie tylko się różni od nich liczebnie, lecz właśnie dla tego, iż on sam jeden jest najwyższym stopniem, jest właśnie sam jeden tylko całkowitą, zupełną fantazyą; różni się przeto od innych wszystkich rodzajem. Na onych wszystkich poniższych szczeblach stają i wyższe i niższe talenta, na owym zaś stopniu najwyższym staje gieniusz; on się różni rodzajem od wszystkich talentów. Wszak ta sama prawda iści się wszędzie, kiedy tylko zachodzą stopnie. Człowieka organizm, właśnie dla tego że jest najdoskonalszym ze wszystkich organizmów, różni się od nich nie tylko stopniem, wyższością potęgi, ale też różni się od nich światem całym, różni się jeszcze rodzajem (jakością), i dla tego sam tylko jeden jest on przybytkiem ducha, jestestwa obdarzonego rozumem, myślą, nieśmiertelném trwaniem. Jeżeli inne organizmy są tylko wyrażeniem jednej z myśli natury, człowiek sam myśli, sam siebie wyraża. Gieniusz nie jest tedy bynajmniej jedynie talentem spotęgowanym, on jest samą istotą od nich różny; światy całe rozdzielają gieniusz od talentu; gie-

---

że właśnie zawsze tak bywa iż nawyknienie każde staje się potem własną naszą naturą, że forma *zewnątrzna* zamienia się na *wewnętrzną istotę* człowieka, że tedy nawyknienie do improwizowania może sprawić, iż Deotyma, poetka-artystka tak świetnych, promienistych talentów, zamieni się na improwizatorkę w ścisłym znaczeniu, że tedy formę, to jest wierszowania łatwość opłaci utratą swojej głębi duchowej i polotu talentu swojego. Wyznaję że niebezpieczeństwo jest wielkie, i może ono właśnie stanowi jedną z trudności, dla których dziś nie łatwo wyrzec ostateczne słowo o przyszłości Deotymy; ale ja mam nadzieję że ją od złego uchowa instynkt, właściwy prawie każdemu talentowi prawdziwemu, instynkt który uczy co jest szkodliwe a co idzie na zdrowie i moc duchowi, a te nadzieje nasze wiążą się pewnie z najgłębszém życzeniem wszystkich, których z serca obchodzi literatura polska.

niusz sam jeden jest całą, zupełną, nie ułomkową fantazyą. Każdemu, choćby najwyższemu talentowi, brakuje czegoś do całkowitości fantazyi. Gieniusz sam jeden zdolny stworzyć dzieło, w którym najgłębsza treść wyjawia się w najdoskonalszej formie, w którym tedy i treść i forma będą zlane najściślejszą jednością. Talent, dla niezupełności swojej, okazać się może wprawdzie w piękności formie, ale téj formie nie dostaje głębokiej treści; stąd też i ta piękność sama wyrównynać będzie jedynie pozornie formom stworzonym przez gieniusz, ale braknąć jój będzie onego najściślejzego połączenia treści a formy. Najczęściej talent odznacza się mistrzowską technicznością pożyczając od gieniuszu treści. Niekiedy nawet talent wyższy strzeli gienialnością prawdziwą, ale te chwile jasne będą dla niego jedynie szczęśliwym wyjątkiem, zdarzeniem... talenta są prawie zawsze czeladzią gieniuszu, obrabiając, rozwijając, upowszechniając ideę przez gieniusz zrodzoną.

W talencie żyje wprawdzie fantazyja potężna, ale ona bywa jedynie czynną o ile jój talent użyć zechce, o ile ją do twórczości potrafi. Gieniusz jest czynnym nie tak dla tego, iż chce tworzyć, jako raczej dla tego, iż nie może nie być czynnym; jest twórczym, bo nim być musi; ta potęga niebiańska, złożona w nim zawiązkiem, wyrasta w olbrzyma i zniewala do stwarzania; ta potęga, ta myśl wiekuista stała się jego naturą, zamieszkała w jego osobie. Stąd też talent sam siebie odróżnia od potęgi twórczej przebywającej w nim, wie o niej jako o pierwiastku, który nie jest całą jego istotą; odwrotnie w gieniuszu potęga twórcza staje się jego osobistą, indywidualną naturą; bo ta moc ogarnę-

ła w nim całego człowieka; ona jest potęgą, która nim włada, ona silniejsza nad niego, on się jej oprzeć nie zdoła: człowiek posiada talent, a gieniusz posiada człowieka.

Właśnie dla tego, iż w gieniuszu zarazem przebywa potęga bezwzględna, nieskończona prawda, i że z drugiej strony ta potęga i prawda staje się własną jego indywidualnością, jego, że tak rzekę »interesem« prywatnym, osobistym, wynika stąd sprzeczność pozorna, którą rozwiązuje gieniusz. Albowiem dla téj prawdy nieskończonej, dla téj idei wiekuistej, która w nim pracuje, dzieło jego uderzy w serca wszystkie jakby gromem; każdy w tém dziele pozna ową prawdę, która przemieszkuje w nim samym, w najświętszych, najgłębszych tajniach własnego jego ducha; dzieło to zda mu się przemawiać, jakby prorok starych lat tysiąców, słowami wiekuistemi, prawdami dawnymi jak świat. Lecz nawzajem, gdy ta idea wiekuista, te prawdy nieskończone, stały się tutaj osobistą naturą mistrza, gdy występują tedy w barwie indywidualności jego, więc tém samym znowu okażą oryginalność. Każdy gieniusz jest oryginalnym; on mocą owéj idei przeziiera wskrós świat, ale go widzi po swojemu, widzi go z téj strony zjakiéj go nikt jeszcze nie obaczył, ani go już nigdy więcéj nie obaczy, bo każda indywidualność ludzka jest tylko jedna, jest jedyną, nie powtarzającą się nigdy. Te prawdy ogólne, dawne jak świat, wyjawia się przeto jakby nowe, jak gdyby dopiero wczoraj na ziemię zesłane.

Są epoki w dziejach ziemskich, co martwe, głuche i ekliwe, a ludzie nużą się i biedzą i przędą tę nie zostawioną im puścizną z dawnych lat. Zdaje się, jak-



by upior przechodził straszycłem przez miasta, przez kraje; nikt go nie widzi, ale wszyscy czują jego zimny, lodowy dech grobowy; a pada mór na dusze wkoło, a kogo dotknie mór, staje się sam własnym upiorem siebie, i ekliwością własną drugich zabija. Wtedy jakby z ciepłej dłoni Opatrzności wypuszczona gwiazda spada na ziemskie poniza, przybiera postać ludzką, i rodzi się gieniusz, co albo dźwiga się we figurę historyczną, albo skinieniem ręki wskazuje niepostrzeżone jeszcze przez ludzi skarby wiedzy, albo odświeży wsze serca odrodzoną piękności postacią. Gdy swojego dokona gieniusz, ulatuje w górę, a świat żyje długo jego dziedzictwem; niekiedy stólecia przeminą, zanim ludzie zdołają objąć okiem jego ogromną postać, rysującą się na horyzoncie dziejowej przeszłości.

Przecież gieniusz, choć z gwiazdy a z bożej siejby zrodzon, rozpoczyna żywot swój na ziemi, więc wśród ziemskiej niedoli, łamania się i mąk; on nie obejdzie się bez ciężkiej pracy a nauki, będzie się mocował ze sztuką i z sobą. Zanim doczeka się pociechy z siebie, zanim sam sobie wyrośnie na radość i chwałę, uczuje rozpacz i boleść, widząc że dzieło rąk jego nie wyrównywał téj potędze, która w nim prze i robi. A wiele przebędzie znoju, zanim to dzieło jego stanie przed nim w przeczystym spokojnym majestacie, wolne od śladów doczesnych trudów i przebytych cierpień, zanim to dzieło rozpromieni się tryumfem swojego wyswobodzenia z doczesności.

Bo widzisz, jabym porównał dzieło mistrza do żywota naszego. Każdy z nas ma zadane sobie arcydzieło; tém arcydziełem jest on sam, jest niém własne życie

jego, a ideałem tego dzieła, który mu świeci w duszy, jest zakon Boży, wiekuista miłości ustawa. A jak z bryły bezkształtnego marmuru znojem duchowym wydobywa mistrz posąg, którego postać promieni się w duszy, tak i każdy z nas zdobywa wśród trudów na własnych niskich ochotach, na doczesnej swojej naturze, wiekuistą istotę swoją; jest to praca około posągu. Ja wierzę, iż te troski i cierpienia życia, te późnej starości niemoce, te męki i boleści ostatniej śmiertelnej choroby, te prace skonania, te wszystkie nawiedzenia boże, mają iść ten cel, aby biednemu człowiekowi lżej przyszło odstać od doczesnego świata i zwrócić myśl do ojcowizny nieskończonej, żeby mu było przecież nie tak żal tych ziemskich dolin. Te gorycze życia, te palące udręczenia są uwolnieniem duszy od tutecznych zuzelic, aby kiedyś stanął na drugiej stronie grobu w spokojnym majestacie, wolen od śladów doczesnych trudów a przebytych cierpień, w promiennym tryumfie wyswobodzenia swojego z doczesności, tak jak posąg staje w promienniej swojej piękności.

Talent i gieniusz! wszak to tylko dwa, różne całkiem od siebie, rodzaje fantazyi; wypadałoby mi teraz mówić o innych rodzajach, różnych już pod innym względem a dotkniętych przezemnie w innym miejscu (\*). Lekkie o nich, przelotne potrącenie wystarczy. Jakoż inna będzie fantazyja kwitnąca w architekturze a inna w malarstwie; inną fantazyi wymaga rzeźba, inną muzyka a inną poezya. Lecz każdy z tych rodzajów znów składa się z grup przeróżnaitych; chciejno

---

(\*) Wykład Filozofii §. 469 do 473.

sobie przypomnieć różne style architektury, i znów różne przeznaczenia dźwignionych budynków, albo różne rodzaje poezyi, muzyki i t. d.— I znów wszystkie te rodzaje różnie się cieniują, wedle tego czy fantazyja będzie wzniosła, czy wdzięczna, czyli pełna prostoty, czy komiczna, czyli tragiczna i t. d. i t. d.,— a te tak różne barwy fantazyi przeróżnie się znów z sobą jednoczą i zlewają.

Widzisz, że ta osnowa jest tak bogatą, iżby rozsa-  
dziła miarę listów naszych, więc przepuścisz mi, że się  
nie będę nad nią rozwodził, a to tém mniéj, iż ona  
należałaby raczój do rozprawy o różnych rodzajach  
sztuki pięknej w szczególności. Jest atoli jeszcze jeden  
podział fantazyi, godzien zaiste całego naszego zaję-  
cia,—jest to fantazyja ludów roztaczająca się w dzie-  
jach naszego rodu. Każdy lud historyczny ma od Bo-  
ga powierzone sobie słowo, którego jest weieleniem;  
to słowo jest jego duszą; on, podobnie jak człowiek po-  
jedynczy, ma powołanie żeby je ze siebie wyrobił, aby  
ureczywistnił to słowo w dziejach. To słowo przeby-  
wa we wszystkim żywocie ludu, w całej historii jego,  
we wszystkim objawie jego; ma swój zaś kwiat a woń  
najwyższą w jego sztuce pięknej, w jego fantazyi. Stąd  
wedle różnego piętna duszy każdego ludu inna a inna  
będzie fantazyja jego. Pobieźny przegląd tych dziejów  
fantazyi, uważanych na tle historii, będzie osnową na-  
stępnych listów naszych. Wprzód atoli obaczmy bliżej  
jeszcze stosunek rozwoju fantazyi do ducha żyjącego  
w historii powszechnój ludzkiego rodu.



## LIST XIII.

### *Historya Powszechna i Historya Fantazyi.*

Wstęp.— Opatrzność i dzieje ludzkie.— Znaczenie ludów, państw i okresów w Historyi.— Ludzie historyczni.— Historya fantazyi i rozwój dziejów ludzkich.— Fantazyja każdego ludu jest wyrazem jego treści wewnętrznej.— Szczyt historyi i panowanie fantazyi u każdego ludu.— Różność ludów pod tym względem.— Stosunek natury materialnej do fantazyi ludów.— Wypływające stąd różne epoki w Historyi fantazyi.— O sadaniu listów następujących.

**T**en stary świat nasz toć to jest siwy pradiadowy dom, który nam ojciec nasz niebiański zbudował i poświęcił rodowi człowieczemu przekazał; a dumnie stoją te stare węgły jego i po dawnemu jeszcze sklepią się gwiaździstego nieba stropy. Świeci się butnie i wesoło ten stary gród, choć niejedne miały nim wichry szalone, choć w różne czasy buchnął płomień z pod ziemi i jasno rozgorzał żarem, choć, jak nam bają dawne lata, te sadzawki jego niegdyś wzdęły się buntem, a przełamując groble swoje rozwlekły po dziedzińcu i sadach domu jakieś skrzele żabie, skorupy ślimacze i kości rozlicznego gadu. Stoi to budowanie Boże na przekór lat tysiącom: niekiedy tylko jeszcze z najgłębszych sklepów i przepaścistych piwnic coś straszy, puka, koła-

cze, zatrząsę ogniem, jakby racą strzeli i czarnym kopciem zadymi. Dziwne się tu rzeczy działy; byłoby długo o czém pisać i prawić; lecz już najdziwniejsze są kroniki mieszkańców dworu tego. Tu, jakby syny domu, zrodziły się narody i ludy, z kolei dziedzice ojcowskiej puścizny. Jedne z nich pomarły niemowlętami w kolebce: urodziły się, zapłakały, i z kłopotką w rękę a z papką w ustach zasnęły na wieki. Inne urosły w pacholęta; więc ich podrzuca junackie zuchwalstwo, dzika ochota ledwie co serca im nierozsadzi: więc z szabką a biczkiem huczą, szumią i swawolą po ojcowskim dworcu, a o bawidelka zazdrośni krwawią się bójką sierdzistą. Lecz też złym dzieciom zguba się znaczy; jakoż, gdzieś nadkręciwszy karku, przepadli bez śladu. A był i taki lud, co rozkwitł w czulego młodzieńca; marzył, kochał, tęsknił, lepił postać drogą swęj miłości: a gdy mu uczucie serce rozebrało, to w szarą dobę coś zaśpiewał, na lutni zabrząkał, aż też w końcu za ostatnią gwiazdą myślami pogonił, i na tych gwiazdach ducha zostawił, i nie wrócił więcej do ojcowskiego dworca. Tymczasem inne mężniały w siłę i potęgę ludy-robotniki; każdy z nich walcząc z gorzkim życia trudem, pracował od świtu do zmroku, pracował i horyował, aż mu krwawym potem opłynęło czoło: a gdy bez wytchu dokonał już zadanęj mu z góry roboty, znużony legł i umarł. Na potomków w historyi spadały jego dostatki a cierpki dobytek.

Ród dzisiejszy, spanoszony roboczną swych zmarłych braci i własnym zabiegiem, jakoś wymądrzał, rozsądniał i tak sobie też rad na tém dziedzictwie swojém, tak się rozsiadł szeroko a dogodnie w tych jasnych

światlicach, tak mu w nich wszystko na rękę, domaszno i błogo, iż zacierając ręce, sam do siebie się uśmiecha i czuje, iż na téj ojcowiznie swojej jest jakby królem sobie a panem. Zlustrował wszystkie tajniki i ciemne kąty dziedzictwa swojego, zna na palcach dom swój; wie co ma, wie nawet czego mu już zabrakło; bo od czasu do czasu niespodzianie wywlecze mu się na podworec z pod staréj obory jakaś kość ogromna, resztki straconego statku, i zmiesza mu porządek systemu jego, przypominając, że nie zawsze tak jak dziś w tym domu bywało: dziś w tym domu jasno i widno. Kędy niegdyś omackiem chodził, tam już teraz powykowywał okna i wpuścił promień dzienny jasny rozumu, albo przynajmniej postawił od biedy, niby świeczkę, formułkę abstrakcyjną; więc też już wszędzie śmiało sobie i we dnie i w nocy chodzi, niezego się nie lekając. Upiory, czarownice, strachy i inną czeladź piekielną powściągnął zakłębieniem filozofii; a gdzie niegdyś ta hołota broiła, tam on dziś wyprawia bale i tańce. Sam djabeł nawet, ów stary faktor domowy, nie pokazuje się już na dniu białym; lecz przebrany po księżycu się włóczy, niby lunatyk lub poeta jaki.

Choć atoli ten nasz ród, dziś tak rzesko się krzątając około spraw natury, wyświeca ukryte materialnego świata tajemnice, trudna mu przecież jeszcze rada z państwem duchowém. Lubo on tak oświecony i mądry, lubo wyższy nad wszystkie zabobony, a jednak gdy mu przyjdzie puścić się owym długim a głuchym korytarzem historii, kędy to stólecia zapadłe porozwieszały stare obrazy umarłych państw i narodów, toć mu coś groźnie a dziwnie na serce pada. Zda mu się, iż

stare spłowiałe twarze drgają nowém życiem, ze nań mrugają, przemawiają tysiącem dziwnych języków, a występując z ram swoich ciągną za nim, pokazując boleści żywota swojego, i serca zakrwawione blizny. Daremnie pragnie wyrzucić z myśli te mary i widziadła, lub jak trwożliwe chłopię zanócić lekką piosenkę na odpędzenie zgrozy; strach go dławi, a piosenka w gardle zamiera: więc, głęboko westchnąwszy za dusze umarłych w Bogu braci, śpiewa godzinki nabożne. A niekiedy się też zabierze do dawnych kurzem strawionych szpargałów, podartych szmat pargaminowych, okruców grobowców zwietrzałych, złamanych pieniążków; w nich chce wypatrzeć dzieje tych zapomnianych gospodarzy ziemi naszej. Przecież te pamiątki wszystkie będą nawsze rupieciami bez wagi i wartości, jeżeli w robocie tej nie przyświeci mu światło z wnętrza ducha własnego, jeżeli wprzód w sobie samym nie rozgoreje poznaniem siebie. Bo zważ, miły przyjacielu mój, gdy człek wprzód sam siebie przejrzy, gdy sam z sobą będzie w zgodzie a pokoju, i we własnych ducha przybytkach obędzie się jakby w domu swoim, gdy objaśni ten świecznik Boży, co w duszy jego od wieków płonie; już też rozwidni się i historia cała i te dzieje człowiecze, które się dźwiżyły ogromną budową w upływie lat tysięcy. Wtedy też zrozumie mowę stóleciów, które oddawna utopione w wieczności łonie; w sobie samym znajdzie rozwiązanie zagadek dziejów świata. Ta przeszłość dawno pogrzebana, te kości starych lat tysięcy, rozsypane po kruchtach historii, ożyją, gdy je zaklnie imieniem i słowami wiekuistej swęj potęgi; złączą się z sobą, nabiorą ciała, przemówią o sobie i o

drogach, któremi je Bóg przez wieczność prowadził. Bo to światło wewnętrzne, to oko duchowe, co nigdy się w nas nie mruży, co wiecznie patrzy i wiecznie czuwa, Bożym namiestnikiem jest. A jak natura wszystka i te cuda stworzenia są Opatrzności robotą, tak i wątek dziejów świata jest sprawą Bożą. Czyliż tedy nie jasno i nie pewno, że bylebyś zrozumiał pierwiastek Boży, co żyje w duchu twym, toć zrozumiesz bez trudu i naturę i tajemnice historii; bo i duch nasz, jak i wszystko co istność ma, przez Boga jest i jest w dle niego.

Patrz, łupina żołądzi obtula sobą masę nierozdziergoną, miazgę bezkształtną; w tój ślepój, niesfornej materii niczego się dopatrzeć nie zdołasz, a przecież, gdy ta żołądz w łono ziemi wpadnie, już jakby stworzenia cudem łupina pęka, a z onój ślepój miazgi rozwija się kiel, wyrasta łodyga, dębem, co, twardniejąc hartem kory, zuchwale wyteża konary, rozpina gałęzie i przyodziewa się wspaniałą szatą liści jakby płaszczem majestatu swego; a tak w milezeniu spogląda na bieżące górą niebiosą i przemijające nad nim wieki. Wszak dąb ten, z całą potęgą swych konarów i gałęzi, z całym bogactwem swych żołądzi i liści, zwinięty był w tój głuchój rdzeni łupiny i spoczywał w niej dopiero jako myśl, jako dusza całej przyszłej postaci jego; ale ta myśl stworzenia, ta dusza przybrała na się postać, stała się widomą, wstąpiła w dąb, a co było myślą stało się ciałem. Albo, widzisz jak na tój karcie białej czernią się w kropki i kreski nieme nuty muzyczne; one mileżą, są bez życia, martwe i ciche; w nich, jakby w znakach magicznych, drzémie zaczy-



rowany duch wielkiego kompozytora. Lecz gdy na nie technie gieniusz muzyki, już też te nieme nut głowy, te kropki i kreski nagle się poruszają, zmartwychwstaną i przybiorą skrzydła, zerwą się niby ptaków Bożych stada, wzniosą się i z wysokości niebiańskich zanucą, zakwila, zapłaczą harmonią; drżącą pieśnią wnidą w świątnicę serca twego i tam o mistrzu swoim, o twórcy świadczyć będą, a ujrzysz w duszy twój tę jego postać z harmonii złożoną, a przejrzaną wiekuistości światłem.

Tak, przyjacielu drogi mój, jak w onój głuchój miazdze żółędzi stulona jest pierwotna myśl twórcza i wszystka postać dębu z całą jego przyszłością tak strojną, bogatą, potężną; jak w tych nutach zwinięte spoczywa uczucie i duch mistrza, tak na dnie historii świata żyje myśl rozumna, duch Boży. Narody, państwa, wieki, to są owe ogromne konary na wiekuistém drzewie ludzkich dziejów, co rosną, krzewią się w potęgę wedle myśli Bożej, zamkniętej w pierwiastkowym ich zarodzie; to są te dźwięki i tony, którym nuty skreślił Bóg, ów wielki mistrz a kompozytor odwiecznej harmonii. Owo drzewo historii wedle jego woli się dźwiga; owa pieśń dziejów, grzmiąca przez wieki piorunym akordem, wedle jego zakonu się toczy.

Tak jest, Bóg, wzniesiony po nad światy na majestatu swojego tronie, przenika myślą, przepromienia wolą wsze jestestwa przez siebie stworzone; myśl jego jest gwiazd oddechem i wieczności sercem, wola jego przedzie wątek wszystkich wieków. Więc wierzymy że Opatrzność, więc wiedzmy że mądrość Boża rządzi światem.

Są tacy, co rozwodzą się sentymentalnie prawiąc o natury cudach, o skrzętnój robocie bezmyślnej mrówki, o instynkcie pszczołki, o krążeniu gwiazd, i wszędzie widzą rozum opatrzny, a nie widzą go w trudach ludzkiego rodu, w kroczeniu wielkich wydarzeń przez świat. Czyż ich może strachy biorą, gdy im przyjdzie wparzeć się w tajemnicze sprężyny onego wielkiego zegaru, co stuleciom i wielkim wypadkom w historii, co ludom i państwom, rodzenia i skonania wybija godziny?

W historii świata, w dziejach milionów istot rozumnych, wiekuista mądrość Boża zacniejsze ma świadectwo siebie, niż w grze rzeczy przyrodzonych, wirujących zawsze a zawsze tym samym kołowrotem. W tych dziejach świata zdarzenia nie wracają nigdy, nie rodzą się nigdy do siebie podobne. Ów nawrót, owo wieczne do siebie podobieństwo iści się jedynie w dzielnicy natury; lubo i w téj naturze bezdusznój były i są ogromne epoki, lubo i tutaj czas nie zatrzymał się w swym pochodzie, a natura się rozwija i rośnie choć niepostrzeżenie.

Patrz, pomniki historyczne, księgi pisane, wypadki światogłośne, na granitach rzeźbione, sięgają w stare bardzo czasy, w one tysiączne lata, które przepłynęły dawno, a z dalszej dali jeszcze, jakby echa dochodzą nas wieści, mity i stare podania ludów dawno pogrzebionych. Mamy się tedy na czém uczyć téj ludzkiej historii, a przecież każda karta tych dziejów jest jakby usprawiedliwieniem opatrności Bożej.

Puść się myślą wstecz, niechaj historia, ta prze-

szłości prorokini, roztworzy usta swoje, niechaj nam prawi o dziejach Europy od czasów chrześcijańskich, o starym Rzymie, co przeszło lat tysiąc gospodarzył na tej ziemi, o tych Grekach mądrych o oku jasnym, a głębokim rozumie, a tak wdzięcznej artystycznej fantazyi. Niechaj nam prawi o Palestynie świętej; niechaj nam rozpowiada o tych ludach Wschodu starego, o zamysłonym Egipcie, który przez życie całe mociuje się, by uczcić wieczność grobami, o tych mrówiskach ludzkich, co nad Eufratem, nad Tygrysem zbudowały miasta olbrzymie jako gniazda olbrzymiej potęgi; niechaj nam historia roztacza te marzenia nadgangesowych światów, lub roboty prozaicznych Chin, kędy już chronologia straciła miarę i znaczenie swoje, a zaprawdę, poruszają do dna duszę te boleści tyłu stuleciów, te twarde trudy a prace ludzkiego rodu; wtedy staną zaiste przed tobą te ludy, te robotniki przeszłości z twarzą, gdzie cały wielowiekowy ich żywot wycisnął cierpienia a męki bez końca. W tych historiach postrzeżesz epoki, w których duch dziejów jakby rozpaczwał o sobie, przyciśniony ciemną nocą zwątpienia i mozołem bez końca. Przecież pociecha, jakby rosa niebiańska, ochłodzi ci serdeczne żałości, gdy rozważysz, że po takich smętnych nocach znów zaświeciła jutrzeńka nad światem i znów zabrzmiały pieśni radości duchowej, jakby kwiaty i pieśni ptasie, gdy, po burzy i słońcu, powódź słonecznych światłości zaleje świat. Wtedy te postaci ludów zmarłych, dopiero tak żalosne i bolesne, zamienią się na chóry Aniołów Bożych z palmą w ręku, z uśmiechem niebiańskiego pokoju, a na skroniach z gwiazdzistą koroną; bo historia jest całopaleniem. Gdy

pokolenie, gdy lud, gdy stólecie umiera, duch ich jakby hostya wznosi się na ofiarę ku niebu.

Dreszczem atoli przenika nas pytanie, skąd my idziemy, dokąd śpieszy w dziejach swoich ten ludzki ród nasz?—Na to pytanie zaiste nie trudno odpowiedzieć: dzieje ludzkie, praca tylu wieków, mocowanie się skropione znojem tylu milionów, to zaiste nie drwiny ani igraszka bezmyślna; dzieje ludzkie ku temu się miały i mają, by człowiek wynosił w sobie a wypiastował w duszy owo ziarno wiekuiste, które mu Bóg udzielił posagiem, by się stał coraz zacniejszym, wyższym w sobie i godniejszym onego wiekuistego Bożego tchu, który nań wionął przy stworzeniu pierwszego człowieka. Ale zapytasz gdzie są granice téj pielgrzymki ludzkości przez świat?—To w wiekuistości głębiach ukryta tajemnica!

Zamiast zapuszczać się w mroczne a niepewne badania, zasłonię przed naszym okiem duchowém, zapytajmy raczój, jakim trybem iści się Boża myśl w dziejach ludzkich? Uważ, przyjacielu, ta myśl jest nadgwiżdzną, a ma wstąpić w państwo przestrzeni i czasu, ma wziąć na się ciało i krew! Więc, między tą myślą opatrzoną a ziszczeniem się jój w świecie rzeczywistości, stają, jako ogniwa pośredniczące, państwa, ludy i wielkie epoki dziejowe.

Uważmy atoli że nie wszystkie ludy jeszcze były powołane, by się stały robotnikami w téj winnicy pańskiej. Rozwiń przed sobą kartę ziemskiej kulicy, patrz w one głębie tęskne, przepaściste Afryki, Ameryki,

w te obszary Azyi szerokie jak wieczność, w te gromady oceanickich wysp; jak tu ciemno, głucho, krwawo, samotno! tu ród ludzki złożony snem jest ciężkim, nocne zmo-ry przywały mu piersi, nie oddycha duszą pełną, ani się zna być człowiekiem. Ależ i do tych biednych bra-ci naszych a sierót dziejowych zajdzie kiedyś głos du-cha, »bo duch gdzie chce tchnie, a nie wiesz, skąd on przychodzi, albo dokąd idzie.« (Sty Jan. III. 8). Tym-czasem te ludy i państwa, te stólecia, które już stanęły do pracy w tych dziejach świata, rozebrały między sie-bie robotę około uczłowieczenia człowieka. W każdym ludzie, w każdym wieku jest myśl, która jest jego ser-cem i duszą, która go prze nieświadomie do działania, do pracy, a prze tęsknotą nieskończoną, by wykonał w świecie powołanie swoje, by trudem a mozołem wy-robił w sobie i z siebie pierwiastek mu powierzony. A tak idzie praca od ludu do ludu, od wieku do wieku, przez świat i ludzkość całą, przez lat tysiące. Żaden z tych pierwiastków nie jest całością w sobie, ale jest dopełnieniem wszystkich innych, jest jednym dźwiękiem z onęj harmonii Bożęj. Jest to podział pracy na ludy, szczepy, kraje i wielkie epoki.

Zważ atoli i w tém podziwiał mądrość opatrzność, że ona choć rozdała każdemu ludowi pracę, której ma dokonać na ziemi, przecież nie tamuje mu woli wolnej; całe ludy, podobnie jak i człowiek pojedynczy, nie są je-dynie bezwonnemi jasełkami w tym wielkim drama-cie dziejów. Opatrzność zakreśliła jedynie zakon ogól-ny świata, wytknęła mu cel, zostawując rodowi ludz-kiemu by po swojemu ziścił najwyższe przykazanie. Wszelkie inne pojmowanie będzie fatalizmem i doprowa-

dzi do czego rozumowania, co buduje formułki filozoficzne, niepoparte faktami (\*).

Wracając atoli do osnowy naszej, chciéj baczyć, że jak te pierwiastki dziejowe, rozdane między ludy, są różne wedle ich usposobienia wziętego od natury, bo ten pierwiastek jest właśnie ich własnym sercem i duszą, tak też różne są pierwiastki te i pod względem stopnia rozwoju i czasu, na którym historia postawiła te robotniki swoje.

Każdy wiek gotuje materiał dla następnych pokoleń, dla następnych ludów, które kiedyś, jako jego dzieci, mają wstąpić do wiekuistej pracowni historii powszechnej. Co było dla poprzedzającego ludu arcydziełem najwyższym wysilenia jego, jest jedynie jakby surową osnową dla późniejszych narodów, którą znów te narody przeistaczają na nowe a wyższej doskonałości dzieło. Tak idzie praca od starszych do młodszych a wnucznych ludów; a następuje epoka po epoce.

Widać też z całej przeszłości dziejowej, że gdy jeden wiek, jedna epoka ustępowała ze świata, a druga miała nastać w historii, już wtedy, w tém ich wielkiém porachowaniu się wzajemném, płaciły sobie milionami pojedynczych ludzi. Bo gdy nowa epoka się dźwigała, gdy miały stanąć nowe zręby historii, ludzie pojedynczy byli jako powiewne wiory a odlatujące trzaski. Bo w człowieku każdym dwie są strony: jedna przemijająca i bezważna, bo doczesna i ziemska, druga ogromnej wartości, bo nieskończona i trwająca na wieki. Pierwszą człowiek na zewnątrz zwraca, i po-

---

(\*) Ob. Wykład filozofii T. II. str. 70.

święcąc ją całą, szczęściem doczesném swoim i krwią serdeczną karmi świata dzieje. Druga strona jest wewnętrzna; tę człowiek na własność wyłączną zachowuje dla siebie; i choć tam na zewnątrz biją burze, choć wichry i uragany wstrząsają światem, toć one jedynie zdołają rozkołysać wierzchnie duszy fale, lecz nie tykają dna istoty naszój; tu wiecznie cicho, spokojnie, uroczysto. Tój istoty naszój już nikt znieważyc nie zdoła; wynosimy ją całą, nietkniętą ziemskimi obelgi przed wieczności tron; byleby tylko człowiek ze samym sobą nie stanął w sprzeczności, i sam do tój duszy świątnicy nie wprowadził wroga. Tym wrogiem jest świadomość własnej winy, rozdzierająca istotę naszą na dwoje, bo zdradza we wnętrzu naszém wojnę boleści pełną. Jakoż gdy, uwiedzeni naszą naturą doczesną, przemijającą, zderzymy się z oną ogólną wiekuiącą harmonią świata, i przez winę damy zwycięstwo stronie szczegółowój naszój nad tą prawdą ogólną—już zarazem zderzamy się z sobą, z własną naszą istotą, bo ta sama prawda ogólna, co światem sprawuje, tleje i w nas samych iskrą żywą i nieśmiertelną. Ztąd walka załości pełna, trawiąca żywot nasz. Taka jest teoria sumienia.

W każdój atoli epoce, w każdym kraju ludzie pojedynczy są, choćby bezświadomie, piastunami pierwiastku, który całemu ich ludowi jest przekazany. Bo mądrość najwyższa, co światem sprawuje, tak rozporządziła historią, iż każdy człowiek goni niby za celem osobistym, dobija się o dogodzenie własnym widokom, własnym chęciom, dążnościom; ale te właśnie zabiegi jego zdradzają, mimo nawet wiedzy jego, dobro ogólne i

ureczywistniają właśnie ów pierwiastek powierzony od Opatrzności całemu ludowi, do którego także ten pojedynczy człowiek należy.

Atoli te mrówcze trudy pojedynczych ludzi, znośzące ziarnko po ziarnku, nie wystarczałyby w historii świata; te tłumy jednostek pracujących i robiących, ale bez wiedzy co w nich pracuje i robi, byłyby w wiecznym rozpojedynczeniu, gdyby nie zajaśniało od czasu do czasu ognisko, zbierające w sobie te wszystkie rozstrzelone promienie. Tém ogniskiem, zjawiającem się od czasu do czasu w dziejach świata, są wielcy ludzie, ludzie historyczni. Oni są wyobraźnikami swojego ludu, swojego wieku, a hasłem i godłem wszystkich potęg, wszystkich uczuć, które bezświadomie żyją w sercu zwyczajnych ludzi. Lecz i wielki człowiek jest synem czasu i narodu swojego, i on nie zdoła myślą ulecieć nad swój wiek społeczny; on sam nie zna ducha, który nań wionął, ani wie dokąd go unosi wszechmocne jego tchnienie, bo i on słucha głosu osobistych dążeń swoich, i walczy i pracuje, by dopiął własnego swojego celu. Prze go to miłość sławy, to chęć panowania, to inna z tych potęg tysiąca, co w sercu człowieka gniazdo swe mają; on w swoich sprawach siebie tylko widzi, a przecież dopełnia jedynie Opatrzności zarządzenia. Uważ atoli, że choć nie jest mu obecny w myśli świata pochód, on zgaduje wszakże krok następny, do którego zabierają się człowiecze dzieje, i przeziernie co się we wszystkich sercach święci, i ku czemu je prze wewnętrzna, nieznaną im jeszcze potęgą. To zgadywanie, ten duch wieszczcy stanowi siłę a moc wielkiego człowieka.



Gdy w historyi nowa epoka się zradza, już ona, ni-  
 by duch w Hamlecie, pod ziemią pracuje i pułka i o  
 swém przyjściu znać daje. Ta przyszłość nadechodząca,  
 wszędzie przytomna choć niewidoma, rozlewa się, rzekł-  
 byś, w powietrzu, żyje w kołysaniu się drzew, prze-  
 mawia w gadankach dzieci, tęskni w pieśniach, kwili  
 w boleściach i żalach ludzi, przesuwa się we snach,  
 marzeniach; już i znaki na Niebie i Ziemi coś wróżą,  
 coś straszą. A jak młoda dziewica, gdy ją nachodzą  
 piérwszej miłości tęsknoty, sama się traci i siebie nie  
 poznaje; tak i świat, gdy nad nim nowa przyszłość za-  
 wisała, czuje jakiś cisnący niepokój i brak, jakąś dusz-  
 ność i tęsknotę niewypowiedzianą; a z téj tęsknoty sam  
 sobie sprawy zdać nie może, ani wie skąd ona mu przy-  
 szła. Ale człowiek wielki zna te przeczucia wieku, on  
 dotyka się pulsów spółczesnego świata; a gdy ten świat  
 cały w koło niego jeszcze, jakby nocnym snem złożony,  
 drzymie i marzy, on sam czuwa i słyszy cichy chód  
 czasu i bijące dziejów godziny; a zanim świt, zrywa  
 się i woła słowem potężném, wszechmożném, a słowo  
 to upada na świat jako grom i co było dopiéro dro-  
 bném, tulącym się pod ziemią ziarnem, w mgnieniu  
 oka wyrasta w olbrzymia. A gdy mąż wielki wywoła  
 tę przyszłość, już ona do historyi należy, już dokonał  
 powołania swego na Ziemi, swoją osobą płaci te swoje  
 zrodzenia, bo sam idzie na poniewierkę, lub skonaniem,  
 jakby pieczęcią, stwierdza puścizny swoje. Tak umarł  
 Cezar i Napoleon, Kolumb i Cyrus, Alexander, Karol  
 Wielki, Kopernik i Galileus. Bo duch wiekuisty, jakby  
 orlica, rozpina skrzydła nad światem, rozgrzewa nastę-  
 pne czasy swém ciepłem nieskończoném, swoim żywo-

tem; a gdy młode orlą, zagrzone tém ciepłem i życiem matki, przełamie skorupę cisnącą, ta spada i na zatra-  
cenie idzie. Orłociem jest nowa epoka w historii, a  
jój zwłokami martwemi, ową skorupą wymietną, jest  
człowiek historyczny.

Chciéj baczyć, jak z historią powszechną świata,  
podobnie się rzecz ma z rozwojem fantazyi w dziejach  
ludów.

Gdy mi teraz przychodzi oznaczyć, choć pobieżnie,  
stosunek historii fantazyi do ogólnych dziejów ludzko-  
ści całej, wypada mi oprzeć się na osnowie dwóch po-  
przednich listów, a mianowicie na liście XI. Tam rze-  
kłem, że zachodzi ogromna różnica między fantazyą  
powszechną a fantazyą artystyczną. Powszechna fan-  
tazyja, tak jak każda inna władza psychiczna, dostała się  
udziałem wszystkim ludziom, choć nie w równéj mie-  
rze a potędze, choć nie w równym stopniu; fantazyja  
artystyczna zaś jest posagiem, którym Opatrzność uda-  
rowała jedynie szczupłe grono wybrańców, bo wiesz-  
czów i mistrzów. Powiedzieliśmy równie, że fantazyja  
powszechna, choć ma wiele przymiotów spólnych z fan-  
tazyją artystyczną, choć ta fantazyja powszechna zdobi,  
stroi, przeradza przedmioty z rzeczywistości wzięte,  
choć przeto jest nawet i twórczą, toć przecież ta jój  
twórczość nie jest dostateczną; ona nie wystarczy, aby  
stworzyć dzieła, któreby były wyrazem zmysłowym  
wiekuistości i nieskończonej prawdy. Jakoż dzieła téj  
powszechnéj fantazyi nie będą nigdy dziełem czysto du-  
chowém; one nigdy nie zdołają się wyzwolić od śladów,  
które na nich zostawiła doczesność; nigdy nie bę-  
dą zupełnie wolne od niedostatków, któremi je przy-

prószyla przypadkowość, władająca wszystkiem, co na ziemi poczęte. Fantazyja artystyczna zaś jest wskróś twórczą; nieskończoności duch, gość innych światów, skrzydłem swoim obtula mistrza a ten natchniony stwarza, jakby gromem, treść wiekuistą i formę przeczystą dla téj treści; a tak staje dzieło na podziw światu. Na tych postaciach, fantazyją mistrza do życia wywołanych, niema już śladów bied i niedostatków ziemskich. Te postaci są niby z materji zrodzone, ale z materji przepromienionéj duchem; są to przychodnie z nadgwiazdnej krainy, co z miłości dla człowieka zostały na ziemskich nizinach. W nich ziemia i niebo, doczesność i wiekuistość, ześlubione przymierzem miłości nieskończonéj. Fantazyja powszechna może jedynie podziwiać dzieła, ale ich stworzyć nie zdoła; ona może jedynie zasiadać do uczyty przez gieniuszów jéj zastawionéj, ale ona w ich domu będzie zawsze tylko gościem z łaski uraczonym. Bo widzisz, fantazyja powszechna dla tego nie zrodzi nigdy z siebie istnych ideałów piękności, prawdziwych dzieł sztuki, dzieł wolnych od ziemskich niedostatków, od skazy rzeczywistego doczesnego świata, dla tego nie zdoła ona być rzeczywiście twórczą, że sama jest jeszcze ziemską, bo sama nie wyswobodziła się jeszcze od potęg przypadkowych, od skazy ziemskiéj, od więzów rzeczywistego świata; by stwarzać, trzeba się wznieść skrzydłem wiekuistości nad przypadłość, nad rzeczywistość doczesną; by stwarzać, trzeba natchnienia.

Rzekłem także w liście XI, że mimo niedostatków właściwych fantazyji powszechnéj, jest ona przecież skarbem danym nam na życie całe; nadto, że ta

fantazya jest wielką pomocą dla fantazyi mistrzów, bo ei nie tylko z natury, którą przed sobą na własne oczy widzą, nie tylko z powszedniego życia i obyczaju, w którym przebywają, nie tylko z dziejów prawdziwych czerpią osnowę dla dzieł swoich, ale też udają się do fantazyi powszechnéj i tam znajdują dla siebie osnowę, a osnowę tém bogatszą, że już nie jest surową, ale przez tę fantazyą powszechną na poły przeistoczoną i dla fantazyi artystycznój przygotowaną. Wspomniałem również w owym liście, że ta fantazyja powszechna pojawia się jako fantazyja gminu, jako fantazyja rozlana po ludzkie całym.

Widzisz tedy, że gdy mam na tém miejscu pomówić bliżej o zachowaniu się historyi fantazyi do historyi powszechnéj świata, wypada mi naprzód ściślej oznaczyć ogólny a wzajemny stosunek fantazyi różnych ludów do siebie, określić bliżej jeszcze wzajemne mienie się mistrza a fantazyi ludu do którego on należy, nakoniec choć z lekka skreślić cechę wielkich epok w rozwoju fantazyi.

Wszak dopiero co rzekłem, że każdemu ludowi, który zapisany na pracownika około historyi świata, dostał się powierzony mu pierwiastek, by go rozwinął, wyhodował serdeczną miłością; ten pierwiastek rozwinęty występuje w historyi każdego ludu, w urządzeniu jego wewnętrzném, w losach jego, w jego obyczaju, w religii, filozofii, we zwyczajach, w prawach, w chęciach i tęsknotach, w smutkach i weselach, w kierunku umysłowym i we fantazyi.

Jeżeli prawda że z dziejów, że z obyczajów, z prawa i t. p. możesz sądzić o duszy ludu, tém potężniej

wyświeci nam się treść jego z filozofii, religii i fantazyi jemu właściwej. Bo lubo wszystkie objawy duchowe wyrastają z treści jego, toć przecież prawo, obyczaj, rząd, są czémś ziemskim, czémś od licznych przypadłości zawisłém, bo tutaj potrzeby, nawijające się w życiu, potężne wywierają wpływy; ale w religii każdego ludu, w jego sztuce mieści się właśnie ta część treści jego duchowej, która odnosi się do wiekuistości, do nieskończonych prawd. Filozofia atoli, oparta będąc na rozumowaniu czystém, nie jest rzeczą każdego ludu, a nadto jeszcze dla tego właśnie, że jest rozumowaniem, że jest abstrakcyjną, mniej już jest wyrazem właściwej barwy ludu. Religia zaś najczęściej żyje w uczuciu uduchownioném, którego trudniej dosłyszyć w sercu ludów. Inaczej z fantazyą jego. Bo ona właśnie uzmysławia najmisterniejsze moce w duchu przebywające, ona je wciela w kształty widzialne, słyszalne, dotykalne; w niej tedy najszczerzej, najwyraźniej lud wypowie dzieje wewnętrzne swoje.

Sztuka, jako córa fantazyi, poczęta z najgłębszych tajników narodu, jest zaiste najświętszą miłością jego; każdy lud, każdy naród w dziełach fantazyi swojej widzi duszę własną w zmysłowej postaci; on w niej kocha siebie, jako młodzieniec kocha siebie w postaci kochanki swojej. Ta fantazyja rozgrzewa piersi jego, budzi dawne wspomnienia, stroi kwiatami blade czoło nieszczęściem znękanie, i tysiącem gwiazd rozświeca mu tęskne życia ciemnice. Na dźwięki starych pieśni, podań gminnych, zmartwychwstają dawne chwały i żale pomarłe. A choć lud jaki utonie w otchłani wieków, choć od wieków trawa i zioła zarosną stare gro-

by jego, jego duch żyje w cząstkach zgruchotanych sztuki jego, w ułamkach jego pieśni: a bylebyś do tych okruchów przystąpił z kochaniem w duszy, dokazesz cudów; przyciśnij je do piersi miłością, a te kawały jego rzeźby, jego budowania znów zadrgają dawném życiem, i poczujesz jak w nich po dawnemu zapukało serce. Lecz abyś doświadczył tych cudów, miej sam serce a serce zacne, o uczuciach gorących, byś miał czém ogrzać to, co dla świata dawno pomarło, dawno śmierci mrozem zastygło.

I dla tego właśnie fantazyja jest tak żywotnym, tak wiernym objawem dziejów wewnętrznych każdego ludu, i dla tego ona właśnie jest tak potężną cechą odróżniającą lud każdy od innych ludów. Jeżeli tedy prawda jest, cośmy rzekli powyżej, iż historia powszechna odbywa się podziałem prac między ludy, że każdy z nich rozwija i hoduje pierwiastek sobie od Opatrzności powierzony, że tedy wszystkie te pierwiastki, będąc wzajemném siebie dopełnieniem, stanowią dzieje powszechne ludzkości, tak równie jest prawdą, że fantazyje różnych ludów są podobnie wzajemném dopełnieniem siebie, że one wszystkie, wiążąc się w jeden wieniec kwiatów precudnych, składają właśnie dzieje fantazyji w historii powszechnej.

Mając atoli zrozumieć głębiej to całe roztoczenie się wszystkich kształtów fantazyji w historii, jest rzeczą najwyższej wagi, byśmy nie chybili w charakterystyce każdego z nich. Ochroni nas jedynie od pomyłki w tej mierze ścisła bacność na ów pierwiastek każdego ludu, który rozrósł się w piersiach jego treścią duchową jemu samemu właściwą, a zatem ową

treścią, która, jak rzekłem powyżej, objawia się w jego religii, filozofii, obyczajach, prawach, tęsknotach i wesełach jego. Przyjdzie nam tedy mieć ciągle na oku wszystkie te pojawy; one dopiero zdołają nam roztworzyć piersi każdego ludu, każdej epoki, a wtedy też charakterystyka fantazyi ich wypłynie nam już prawie sama przez się. I wyznaję ci otwarcie, że nawet wtedy, gdybym rozumiał że same dzieła sztuki wystarczyć mogą do oznaczenia właściwości fantazyi jakiegoś ludu lub epoki, przecież jeszczebym się trzymał tamtego trybu postępowania; bo wedle mnie droga taka nie tylko jest nierównie więcej zajmująca, ale zarazem podaje sposobność spuszczenia się nurkiem w przepaści ducha ludzkiego i poznania owych mocy tajemnych, które władają jego wewnętrznym żywotem.

Z tego powodu niechaj ciebie nie dziwi że, zabierając się do charakterystyki fantazyi jakiego narodu, rozpatrzymy się dość szeroko w tych wszystkich objawach jego treści wewnętrznej, które, choćby nie miały bezpośredniego związku z tą fantazyą jego, zdołają nam wypowiedzieć przecież, co się na dnie duszy jego dzieje, a tak odgadniemy już i piętno jego fantazyi, którą też wtedy wystarczy ocechować kilku wyrazami. Zwykle też skreślę ci przytém lekkim konturem cechę jakiego dzieła lub mistrza, ale to uczynię zlekka tylko, bo przecież nie przedsięwziąłem pisać historyi sztuki ale dzieje fantazyi; nie będę też przywodził w tym celu charakterystyki mistrza lub dzieła sztuki, abym tém popierał ogólne rozumowanie, bo rozumowanie takowe, byle się udało, powinnyby już ze samego siebie brać moc i utwierdzenie; lecz raczej uczynię to jedynie

w tym zamiarze, aby lepiej na przykładzie wyjaśnić i unaocznic rozumowanie całe.

Gdy zaś właśnie ta sama treść wewnętrzna narodu, która się wyjawia jego fantazyą, nadaje mu także rolę, którą ma odegrać w tym ogromnym dramacie Bożym, w tych dziejach świata; zatem wyznasz, że ocenienie fantazyi jakiego ludu, lub epoki historycznej, wymaga koniecznie ciągłej baczności na te dzieje powszechne ludzkiego rodu. Fantazyja każda może być wtedy jedynie dojrzaną w prawdzie swojej, jeśli jej kontury odrysują się na tle historii powszechnej. Trzeba znać żywot każdego ludu i stosunek jego do innych narodów w historii, trzeba sobie wprzód zdecydować sprawę z jego zasług, jakie położył Bogu i człowieczeństwu pracą swoją i żywotem i śmiercią, zanim zdołamy słusznie ocenić dzieła sztuki, któremi, jakby kwiatami duszy, umiał sobie ojczyznę swoją i ustroił skronie zeznojone twardą pracą.

Niechaj ci przeto nie będzie dziwnym że, gdy w tych listach przyjdzie mi przypatrzeć się tak różnym zjawiskom duchowym, rzucę też często okiem na historią ludu, którego fantazyja będzie właśnie przedmiotem naszym.

Pozwól atoli bym uczynił kilka uwag, które tutaj nie zawadzą, choć one tak wprost wypływają z rzeczy samej, że zaiste same z siebie już nasuwają się myśli twojej.

Świetność historyczna narodu, potęga, którą zaciężył wśród społecznego sobie świata, ważność jego polityczna w dziejach ludzkich, bynajmniej nie idzie w parze z potęgą a dzielnością jego fantazyi; może, mimo



przewagi ludu, co myślą światonośną zasiadł na panowaniu ogromnego obszaru ziemi, dopatrzysz się w życiu jego zaledwie kilku pączków sztuki na poły rozwiniętych, co nieśmiało wyczierają wśród jego wawrzynów wojennych lub korony politycznej mądrości. I nawzajem, znajdziesz może ludy, których fantazyja bogata, bujna, wdzięczna i pełna potęgi, a przecież ludy te nie będą tém, co zwiemy ludem praktycznym, politycznym. Zrozumiesz, że nas wszystkie podobne powawy zarówno obchodzić będą; z tą samą miłością, z którą zabierzemy się do ludu artysty, badać też będziemy dzieje narodu, który przeżył życie swoje twardo pasując się z sobą i ze światem, który przebył tę drogę przez historią, doznając rzadko tylko pieszczót od tych lubych i wdzięcznych cór fantazyi, co innym śpiewały na cierniowej pielgrzymce ich żywota. Bo nawet ta omdlałość fantazyi jego będzie dla nas zjawiskiem bardzo zajmującym, byle w sercu naszym była miłość dla téj wiekuistej natury człowieka, byle w tém sercu była cześć dla tych dróg historyi, którą lat tysiące idą przez świat.

I patrzmyż, treść cała, która się rozwija w duszy każdego ludu, daje mu miejsce odpowiednie wśród innych narodów i wśród epok następujących po sobie w czasie; przecież fantazyja a sztuka, lubo jest wykwitem téj treści, nie jest jeszcze cała tą treścią; więc się nam zdarzy, że obaczymy w naszym dziejowym rozwoju fantazyi, jak często epoki i ludy późniejsze, więc wyższej nierównie treści duchowej, niezawsze sprostać zdołają ludom, które je wyprzedziły na scenie świata. I dla tego właśnie roztoczenie dziejów fanta-

zyi a chronologiczne następstwo ludów po sobie w historii, niezawsze są odpowiednie sobie; zdarzy się tedy, że lud wcześniejszy zajmie w historii sztuki miejsce późniejsze od ludu, którego był poprzednikiem w pochodzie stóleciów.

Czyli zaś lud jaki stanie wyżej czyli niżej w tych pracach wdzięcznych około piękności dzieł, toć już ze samój istoty rzeczy wynika, że fantazyja jemu właściwa nie objawi mu się zrazu w całej świetności; długo ona będzie zaklętą w sercu jego, tam czekać będzie w zarodzie, zanim ją wypiastruje i wyda na świat w najwyższym jej uroku. A z tego znowu wynika, że czas ten najwyższych dzieł sztuki u każdego narodu, a epoka najwyższego jego rozwoju dziejowego, nie bywają bynajmniej sobie współczesne. Każdy lud póki był zajęty, aby sam z siebie się wydobył, póki pracował nad sobą i ważył się i mocował z potęgami historycznymi, póty też nie stało mu czasu ani swobody, by uosobił chwałę swoją w posągach marmurowych swoich bogów i bohaterów, lub uderzył w lutnią, by wyspiewać czyny pradziadowych lat i przodków wielkich; bo on sam wtedy był przodkiem wnuków następnych. Jednak z drugiej strony również jest prawdą, że gdy lud upada na sile duchowej, gdy mu się na skon zbiera, już go nie stać na mistrzów, na wieszczów; bo mistrze, wieszczę, to jego krew, to jego serce; gdy braknie mu wieszczów, mistrzów, już znać, że ścina się w nim krew, że i bicie serca jego ustaje. Z tego też powodu każdy naród wtedy występuje w najwyższej potędze sztuki swojej, gdy chwała jego i praca historyczna już jest dokonana, a potęga jego już już chylić

się zaczyna do zachodu, jakkolwiek w ludziach żyjących tętni pełne jeszcze życie, choć w nich niema jeszcze przecucia o wiecznym zmierzchu, który zwolna gotuje się ich narodowi. Epoką tedy najwyższego uroku sztuki są te, że tak powiem, pierwsze godziny popołudniowe najwyższej świetności jego, godziny, kędy się styka południe z zachodem jego żywota.

Takie są w ogólności koleje, któremi się ma rozwój fantazyi każdego historycznego ludu do jego dziejów zewnętrznych. Jeżeli zaś bliżej rozpatrzmy się w tém roztoczeniu fantazyi, jeżeli pomnimy, że ta fantazyja sama rozszczepia się na różne rodzaje sztuki, toć zobaczysz, że wedle różnego usposobienia różny téż rodzaj fantazyi będzie mu najwłaściwszym, a tém samym, że wykwitnie mu sztuka nade wszystkie od niego ukochana: tak jeden z ludów stanie się budownikiem, dźwigając przybytki dla Bogów swoich, choć tych świątń nie zdoła uczyć wiekuistym mieszkańcem; tego dokona z kolei inny naród, który geniuszem natchnienia przyłoży serce do martwej marmurowej skały, a ze skały wystąpi mu bóg jego, odziany urokiem najwyższej piękności. U innego narodu uczucia wciela się w obrazy malowane, lub zabrzmia pieśnią liryczną, lub roztoczą się epeją, albo przemówią dramatem. Jeżeli zaś lud jest tak pełen szczęścia i takim piękności wybrańcem, że wszystkie te kształty fantazyi wstąpią na poniżej ziemskiej ojczyzny jego, toć i w takim nawet razie jedna ze wszystkich sztuk będzie już najdroższym jego duchowego wnętrza wyrazem. W niej się rozpromieni i zaświeci chwała światu. W każdym atoli razie, wszystkie rodzaje sztuki, pielęgnowane przez naród pewien, wy-

stąpią pewnym następstwem po sobie. A najczęściej już architektura, jako sztuka symboliczna, mająca do czynienia z linią i przestrzenią, i z twardą, nieużyta, głuchą materią, stanie na reju sztuk pochodowi; za nią skulptura umieści posągi w tych świątnicach, potem malarstwo rozłoży swoje dzieła na ścianach świętych przybytków. A lubo poezya i muzyka przygrywać i przypiewywać będą pracom wszystkich tych mistrzów i ludów wszystkich od początków samych, toć przecież będą czasy, w których poezya, a mianowicie muzyka stanie się wyłączną ulubienicą ludzkiego rodu! (\*)

Takowe są zaiste ogólne stosunki historii fantazyi do dziejów powszechnych świata, więc do dziejów duchowych: ale i natura materialna ma swoje dzieje, i ona jest jednym z tych czynników wpływających silnie na treść duchową ludów, nadając jój barwę właściwą.

Natura tutaj uważana być może z różnego względu; ona pojawia się to jako natura, a usposobienie własnej cielesności, będące tak różne w różnych ludach; to jako natura otaczająca lud w koło, więc jako przyroda jego ziemi rodzinnej, tak magicznie działająca na cały jego ustrój duchowy; bo czém jest ciało dla duszy pojedynczego człowieka, tém jest przyroda kraju dla ducha każdego narodu. Jeżeli zaś cielesne i psychiczne usposobienie każdego narodu, jego temperament, jego zdolności fizyczne są wielce dzielnym pierwiastkiem w jego życiu duchowym — toć potężniej jeszcze waży natura

---

(\*) Ob. Schnaase Geschichte der bildenden Künste, T. I. Wstęp, tudzież Kugler Kunstgeschichte 1848; dwie te książki zasługują na polecenie ich młodym czytelnikom.

ojczyzny jego. Klimat, rzeźba kraju, wody, obłoki, świat roślinny i zwierzęcy, widoki i dramata, które odgrywa natura, wpływają milczkiem, zniemacka, w duszę każdego ludu; są to moce, co wzierają w głębie serca urzekając je oczyma swojemi; to rozpalają żarem, to chłodzą jego fantazyą, to nastrajają do uczuć skocznych, radośnych, to do nuty tęsknej, przeciągłej jak step, jak oceanu niezmierzone przestrzennie lub piaski nieprzebytej pustyni; to znów, otaczając człowieka hardą, śmiałą, butną górską naturą, budują mu w koło grody boże, przyczoła alpejskie, na których szczytach obłocznych te moce siadają jakby na niedosięglym tronie swoim.

Zrozumiesz tedy, że wzgląd na tę naturę ojczystą każdego ludu nie może być nam obojętny. Dotkniemy się go przeto choć zlekka u tych ludów, które nie usamowolniwszy jeszcze ducha swojego z pod potęg natury, urzeczony jej mocą zostają pod jej zakonem a władztwem. Lecz z tego stosunku do natury nasuwa się nam inny, nierównie jeszcze ważniejszy dla naszego celu, bo zachowanie się ludu do natury jako do świata, z której czerpać ma osnowę dla fantazyi swojej. Wszak fantazyja, ubierając treść duchową we formy materyjalne, zmysłowe, bierze właśnie te formy z natury, choć je przetapia, przeistacza na dzieło piękności. Tak przeto ciężkiej wagi jest pytanie, czym dla którego ludu jest natura? Człowiek otoczony przyrodą, uderzony jej dziwami, zrazu upamiętać się nie zdoła; ona mu światem potęg to lubyh, pieszczących, to groźnych, straszliwych, złowrogich. Więc lud ten nie widzi tej natury taką, jaką jest, ale taką, jaką jemu się być wydaje; naturę rzeczywistą pokrywa natura druga, cudotworna,

dziwaczna, urojona, co się miesza i mać; a ta nowa, przez fantazyą jego wymyślona natura tém będzie dziwniejsza, im bujniejsza jest fantazyja gminna powszechna, im mniej rzeczy stworzone rozjaśnione są umiejętnością, im później poznany będzie ład i związek wszechjestestw przyrodzonych. A co ten lud w téj naturze przez szkielek swojej fantazyi obaczy, to już będzie własną istotą jego wewnętrzną; on w niej jak w zwierciadle przejrzy się, obaczy własną treść swoją; ale będzie siebie widział nie przeczuwając, że z téj natury własny jego wizerunek na niego się patrzy! A gdy w téj treści ducha najcelniejszy jest pierwiastek, który go wiąże z wiekuistością, z Bóstwem, więc téż lud, nie rozgrzany jeszcze promieniem wiary zbawienia, w potęgach natury obaczy bóstwo i oblecze je własną naturą swoją: o ile tedy sam człowiek poczuje się być duchem, osobą, o tyle téż te bogi jego będą osobami, duchami; o ile zaś on sam w sobie jeszcze mać własną duchową istotę swoją z potęgami natury materyalnej, o tyle téż te bogi będą materyalne i staną się dziwnym zamętem duchowej a materyalnej istoty! Widać téż, że gdy człowiek, oprócz téj najwyższej treści swojej, którą jest bóstwo, ma i inną treść, odnoszącą się do ziemskich potęg, zatém téż fantazyja wyroi mu tłumy postaci o mocy podrzędnej, stojących na straży rzeczom doczesnym.

Te moce, przebrane w kształty fantastyczne, nawet i wtedy rozgłoszą się po świecie, gdy Wiara prawdziwa rozjaśni wprawdzie wyobrażenia człowieka o Bogu, ale umysł ludzki nie rozpatrzy się jeszcze dostatecznie w naturze, i nie pozna tych praw odwiecznych,

które są zakonem wszech rzeczy stworzonych. W takich epokach świat będzie się miał w dziwnej sprzeczności do siebie samego, bo z jednej strony co do rzeczy wiekuistych i bożych będzie znał najwyższe prawdy, a z drugiej strony zaludni świat tuteczny ciżbą jestestw fantastycznych, dziwacznych (rusalki, czarownice i t. d.)

Przekonywamy się tedy, że różne kształty, w których pojawia się fantazyja ludów, najgłówniej zależą od różnych wyobrażeń, których się lud jako dosłużył o istocie ducha, a tém samém zależą od różnego stosunku jakim się zachowuje człowiek do natury i całej rzeczywistości, która właśnie podaje mu treść a osnowę dla jego fantazyi.

Łatwo już nam teraz pojąć, że takowe różne wyobrażenia ludów, i te różne ich zachowania się do ducha i do natury będą właśnie zasadą podziału historii fantazyi na różne jej epoki rozwoju i nadadzą tym epokom charakterystyczne piętno.

Gdy atoli w powyższém rozprawianiu mojem, w liście niniejszym, miałem głównie na myśli fantazyją ludu, to jest fantazyją powszechną, a gdy z drugiej strony wyobraźnikami wydatnemi epok historycznych fantazyi są dopiero dzieła sztuki, a zatém fantazyja artystyczna; przychodzi mi tedy raz jeszcze rzucić okiem na stosunek mistrzów i wieszczów do fantazyi powszechniej ich ludu.

Mistrz tak się ma do fantazyi powszechniej swojego kraju, jak się mają wielcy ludzie historyczni do pierwiastku dziejowego, który żyje na dnie ich narodu lub stolecia. Człowiek wielki nie stwarza nic takiego, co by nie żyło już zarodem w jego narodzie, w jego czasie;

on jedynie zna poczucie drgające w przyszłości. Człowiek wielki rozumie ku czemu się ma lud jego i ku czemu prze historia świata, więc geniuszem proroczym wyrzeka to słowo, objawia ludziom własną ich treść, co robiła i pracowała w ich piersiach; tak staje się ogniskiem serc wszystkich duchów, a zarazem jasnowidzeniem geniuszu przeziara wskrósł środki i potęgi, które mu staną przy boku i będą pomocą, by to słowo stało się ciałem, rzeczywistością.

Podobnie dzieje się z mistrzem; on też nie może się wyłamać z wieku swojego, on też nie może nie być synem swojego czasu i swojej ziemi. Fantazja jego jest kwiatem na drzewie tej fantazji powszechniej; w nim płyną jej soki, on z niej bierze życie swoje; gdy kwiat odpadnie od drzewa, pójdzie wiatrom na pastwę, zwiędnie i zginie bez owocu. Niechaj się tedy mistrz trzyma wiernie drzewa, z którego wyrósł, bo w niem ma moc swoją i żywot swój; fantazja jego stanie się martwą, bez serca, gdy się przenieśli swojej rodzicy — fantazji powszechniej. Dla tego, gdy mistrz należy jeszcze do narodu, w którym natura, dzieje i cała rzeczywistość nie staje jeszcze przed oczyma człowieka w prawdziwej postaci, ale zasłonięta jest jakby czarodziejską oponą, wtedy i mistrz nie zdoła ujrzyć tej rzeczywistości, jaką jest sama przez się, ale bierze ją niby z rąk gminnej fantazji, więc taką, jaką się wydaje jego epoce i krajowi, który jest ojczyzną jego.

Przecież do wieszczą, do mistrza należy, aby taką osnowę surową, grubą, przyćmioną jeszcze pyłem żywota powszedniego podniósł do wysokości ideału piękności. Niechaj mistrz zbiera fantazją ludową, co jako



kwiaty rośnie po mogiłach, niechaj te kwiaty zwija w wieniec chwały, a ten wieniec stanie się i dla niego koroną czci i uczuć powszechnych. W nim wszyscy się obaczą, wszyscy się przejrzą w jego dziełach; a gdy te dzieła będą uwidomionym duchem powszechnym, ale podniesionym do ideału piękności, więc rozpromienionym zacnością i szlachetnością, nie dziw przeto, że wieszcz, że mistrz, jak się stał chwałą swojego ludu, tak będzie zarazem jego nauczycielem i kapłanem obyczaju. On nieskończoną potęgą wpłynie na ów świat, z którego wyrósł, z którego się zrodził; dzieła jego będą ołtarzem, na którym rozgoreje uczucie całego jego ludu na chwałę jego własną i na cześć niebiańskiego ojca. Niechaj tedy mistrz oddycha tém powietrzem fantazyi rodzimój, niechaj się spoufali z duchami swoich puszczy i krzewów i łąk swoich; te niechaj mu szeptają tajemnice swoje, wróżby swoje.

Przecież do wieszcz, do mistrza należy aby nie wypuszczał nigdy z pamięci, że on jest nie tylko synem czasu swojego, lecz co więcej, że jest zarazem tak przyszłości jak przeszłości prorokiem, że mu nie wolno pozostać po za wiekiem swoim. Jeżeli tedy kraj jego wyrósł, choćby tylko w połowie znaczniejszej, z widziadeł fantazyi powszechnój, zasłaniającej mu prawdy rzeczywiste, wtedy i wieszczowi nie wolno już brać widma za prawdy, wtedy raczej nie tak te widziadła ludowe, jak już sam ten lud winien się stać dla niego przedmiotem poezyi. Bo zważ, sztuka piękna, poezya nie jest żartem lekkim; biada jój, gdy straciwszy z siebie zacność swoją, ubliży sobie zmyślając postaci kłamliwe, w które sama nie wierzy; sztuce, poezyi nie wolno schlebiać

żadnej z części onego ogółu, do którego mistrz należy; bo jak mu się nie godzi puszczać się za własnym kaprysem, tak nawzajem nie wolno mu się mizdrzyć do lada zachcianki swojej publiczności, by od niej wyzebrać jakiejś łaski dla siebie.

Dla tego też jedynie te dzieła sztuki przeżyły mistrza żywot doczesny, i przetrwały długie wieki, i przetrzymały nawet zwaliska grodów ojczystych jego, które się zrodziły nie ze służalstwa przelotnym chwilom, ale z zacnego ślubu mistrza z fantazyą powszechną ludu jego, i ze zrękowin wieków zapadłych, i tych które się dopióro wykluwały dla przyszłości jego. Takowe to dzieła są same jedne istnemi wyobraźnikami różnych ludów i epok historycznych, tudzież okazują ich pochod a znaczenie w dziejach fantazyi całego człowieczeństwa.

---

Jakie zaś są te wielkie epoki, na które rozdzielają się dzieje fantazyi? Toć skreślę tutaj kilku wyrazami. Skreślę je zlekka, ogólnie i w krótkości, bo jestem zdania, że w pracy lekkiej i pobieżnej, jaką są te listy nasze, wszelkie oznaczenie z góry epok i podziałów przed roztoczeniem treści samej jest niewłaściwe. Jeżeli bowiem oznaczenie takowe ma być głębszej wartości, wymaga, aby przecie było ugruntowane, więc powodami wsparte, a takowe znowu wymagają długich wywodów i rozpraw, bez których wtedy jedynie obejśćby się mogło, gdyby ta nasza historia fantazyi była częścią jakiegoś systematu filozoficznego; bo w takim razie już cały tok tych dziejów wypłynąłby ze systematu samego i w niej miałby utwierdzenie swoje i usprawiedliwienie.

Gdy zaś przedmiot tych listów jest niby luźny i samodzielny, a gdy przytém pragnę uniknąć rozwlekłych, usprawiedliwiających rozpraw, więc też przestaję na rzuceniu tutaj kilku konturów ogólnych tych epok fantazyi, by ci ułatwić z góry pogląd na całość naszej osnowy; a przywołam sobie w pomoc właśnie te myśli, które powyżej pobieżnie rzuciłem mówiąc o różnych stosunkach ducha ludzkiego do natury.

Rzekliśmy już nawet w tym liście naszym, że nieskończoność przebywa w człowieku od początku światów, od chwili gdy Bóg na niego tchnął duchem swoim. Ale ona zrazu przebywa zarodem w duchu naszym, a rodu ludzkiego właśnie jest powołaniem, aby rozwinął, wyrobił z samego siebie ten pierwiastek dany mu posagiem. Wszak powiedzieliśmy, że to wyobrażenie i zdobyćie go na sobie jest zadaniem historii powszechnéj; jakoż wiele wieków i długiej pracy potrzeba, zanim nawet sam duch ludzki będzie świadom siebie, zanim przeczuje, co w nim robi i wre.

Gdy zaś, jak wiesz, fantazyi artystycznój jest powołaniem, aby tę nieskończoność, ten pierwiastek wiekuisty wcielić we formy zmysłowe, czyli we formy z natury wzięte, zatem już znać, że wedle różnego stopnia rozwoju duchowego, fantazyja téż różnie użyje tych kształtów natury, aby w nich wyrazić treść duchową. Te różne tryby przeistoczenia form przyrodzonych okazują już zarazem i stosunek różny ducha do natury, a tém samém stanowią różne epoki rozwijającej się fantazyi.

Pomijając w téj chwili epoki pomniejsze, uważmy, jakie główne okresy nam już z istoty rzeczy wypłyną

z tych różnych stosunków ducha do natury, w której on ma wyrazić treść swoją.

W tej mierze atoli stosunek może być tylko trojaki. Naprzód bowiem treść ducha ludzkiego o tyle się rozwinęła, że zdolna już być mistrzynią form przyrodzonych, że tedy zdolna przeniknąć je *wskróś* promieniem swoim. W takowej epoce człowiek będzie się miał tym trybem do tego dzieła sztuki swojej, że cała jego treść duchowa, wyrażona będzie w tém dziele piękności, a to tak dalece, że co będzie w treści, znajdzie się też w dziele sztuki, jako w formie swojej zmysłowej, i że nawzajem wszystko, co jest w tej formie (więc w posągu, obrazie, pieśni i t. d.), stanie się wyrazem tej treści duchowej; tak przeto treść takowa i forma będą sobie zupełnie odpowiednie.

Łatwo ci zgadnąć, że to wzajemne równoważenie się treści i formy będzie miało, jakby po dwóch stronach swoich, dwie ostateczności, z których jedna będzie stopniem poprzedzającym ją, druga będzie stopniem następującym, późniejszym. Co do tego stopnia późniejszego, ten nastąpi wtedy, gdy treść duchowa tak już rozwinie siebie, tak rozplonie wiekuistością, tak wyrośnie nieskończoności tchem, że już nie zdoła znaleźć odpowiedniego sobie wyrażenia we formach z przyrody wziętych, w dziełach piękności. Wtedy mistrz czuje że treść jego wewnętrzna przerosła te formy wszystkie, że choć je napełni sobą, przecież zostanie się jeszcze wyższa część jego własnej istoty, która się nie pomieściła w tych kształtach zmysłowych, w dziełach sztuki pięknej.

Wręcz inny będzie ów stopień, który poprzedzi ową

epokę równowagi; będzie to bowiem stopień pierwszy i najniższy, w którym treść duchowa tak mało jeszcze z siebie się rozwinęła, że nierównie wyższą od niej treść zdołają wyrazić te formy natury, gdy będą przestoczone na dzieła piękności. W tej tedy pierwszej epoce treść wewnętrzna ducha stanęła poniżej dzieł piękności.

Ta epoka pierwsza jest okresem fantazyi Wschodu, mianowicie starożytnego Wschodu. Epoka równowagi owój, w której treść duchowa a forma zupełnie są sobie równe i nawzajem się wyczerpują, jest okresem sztuki klassycznej, bo greckiej i rzymskiej. Epoka trzecia, w której treść duchowa przerosła wszelkie formy piękności jest okresem sztuki chrześcijańskiej.

W epoce pierwszej duch człowieka, jak się rzekło, pozostał poniżej tych form uroczych, na które przestoczone być mogą kształty natury pod natchnieniem mistrza. Pochodzi to stąd, że duch nie zdolny jeszcze ująć potęgą nadświatną tych kształtów przyrodzonych, a tém samym, że nie uznał jeszcze własnej potęgi swojej, bo nie uznał własnej swojej istoty, górującej nad naturą, bo jeszcze nie wie siebie być duchem, osobą.

Pojmowanie istoty ludzkiej jako osoby jest niezmierniej wagi, a jest przecież zarazem wyobrażeniem bardzo jeszcze ubogim; bo osoba jest jestestwem wiedzącym siebie, odnoszącym się do siebie myślą i wola, a tém samym odgraniczającym się własną mocą swoją od zewnętrznego świata, jest oparciem się na sobie: a jak osoba wie o sobie, tak też umie się odróżnić od jestestw, które nie są nią samą.

Znać przeto że wyobrażenie o osobie jest arcybie-

dném i głuchą abstrakcją, gdyż nie uwzględnia téj nieprzeliczonej a tak głębokiej różnorodności, jaka zachodzi między osobami. Nie uwzględnia nawet różnorodności zachodzącej między ludźmi, więc nie baczy na ich wartość moralną, zdolności, usposobienie, i całą treść ich. Ale wyobrażenie o osobowości ducha jest przeciwzrazem ogromnym a trudnym nabytkiem. Bo długo ludzkość się namocowała z sobą i napracowała, zanim zdołała wyrobić pojęcie o istocie osoby, zanim człowiek uczuł się być osobą.

Tego pojęcia nie miał wschód starożytny! A jak tu człowiek nie wie jeszcze jasno, że jest osobą, tak też bogi, jego fantazją stworzone, nie są jeszcze osobami. Niekiedy w tych bogach, a mianowicie w mitych o nich, widać wprawdzie jakiś zaród, jakiś zawiązek osobowości, ale takowy wnet się rozplywa, rozlatuje zarysem niepewnym, i ginie. A gdy człowiek nie wie się być osobą, więc też nie ma jasnej pewności o wiekuistém trwaniu swoim, nie umie siebie odgraniczyć, odosobnić od natury, i poznać przepaść, która go, jako osobę i duchową istotę, odłącza od natury, od tych jestestw materialnych. Stąd duchowa jego istota miesza się i łączy z tym światem zmysłowym; stąd też jego bogi mieszają się i łączą z potęgami przyrody, co są bezprzytomne sobie i ślepe. To łączenie się najczęściej stwarza kształty potworne w rzeźbie i w poezji, w których wiekuistość a głucha bezrozumna materya szalonym zamętem są skojarzone z sobą.

Gdy atoli człowiek tą dziką chaotycznością miesza się ze światem materyi, więc też nie ma jeszcze pano-

wania nad tą naturą materyalną: stąd fantazyja jego, choć gorąca i wrząca, nie zdoła przeniknąć pierwiastkiem wiekuistości kształtów z natury wziętych, a zatem używa ich tylko za zewnętrzne, powierzchowne znaki swoich myśli. Tak patrzy na formy roślinne, zwierzęce, ludzkie i t. d., a spostrzegłszy w nich własność jaką, odpowiadającą niby myśli, którą chce wyrazić, bierze tę formę i wyrzyna ją w kamieniu, potęgując aż do przesady tę własność odpowiadania myśli, którą chce oddać tém swoim dziełem. Tak to dzieło samo istotnie będzie miało dwojakie znaczenie: jedno znaczenie własne swoje, znaczenie przyrodzone, a drugie znaczenie przenośne, które mu nadał człowiek; tym sposobem powstaje symbol (np. ręce są środkiem do działania, stąd fantazyja indyjska potęguje te ręce i tworzy postaci wielorękie; matka, jako niewiasta karmiąca dzieci swoje, staje się symbolem natury, gdy się zamienia na Izydę mnogopiersią).

Otoż symboliczność jest pierwiastkiem przeważającym we fantazyi starożytnego wschodu. Lecz właśnie dwojakie znaczenie każdego symbolu wyjawia niedostateczność jego; co ztąd pochodzi że wschód nie wyrobił sobie jeszcze dostatecznego wyobrażenia o duchu i naturze. A jak w człowieku jeszcze trwa potworna walka i zamętne mocowanie się nieświadomego ducha z potęgami natury, tak też te symboliczne postaci, przez fantazyją wschodu stworzone, są potwornym, chaotycznym objawem jego treści nierozdziernionej, nierozwiniętej. Zważ, że ten brak rozgraniczenia materji i ducha, ten zamęt ogólny, zapustny, jest także powodem, że z téj fantazyi wschodniej rodzi się niekiedy i panteizm; bo i pan-

teizm jest pomąceniem ducha i materji, stwórcy i stworzenia.

Dopiero w Grecji człowiek wie, że jest duchem, że jest osobą. On tutaj już umie siebie odróżnić od natury, a tém samém już i moce przyrodzone straciły nad nim przewagę swoją. Lecz z drugiej strony lubo duch Hellady dorósł już natury, ale jój jeszcze nie przerósł. Co tylko jest we wewnętrznych głębiach człowieka, znajdzie wcielenie swoje w dziele sztuki, zatém we formie z przyrody pożyczonój, i nawzajem cała ta forma jest przenikniona duchem. Duch mistrza i ludu jego pomieści się cały w dziele fantazyi artystycznój, w niej się przejrzy. Ta harmonia wzajemna między człowiekiem wewnętrznym a zewnętrznym, między duchem a naturą, myślą a materją, czyni z Hellady lud prawdziwie artystyczny. Tutaj fantazyja powszechna jest osnową już prawie wyrobioną dla poetów i mistrzów. Jego myśli są obrazami, a on obrazując myśli. Stąd też Grecy, choć mają wyobrażenie o duchu, o osobowości jego, przecież wiążą go jeszcze z ciałem. Grecy nie mogą jeszcze wyobrazić sobie ducha bez ciała. Dla téj wdzięcznej harmonii wewnętrznej treści duchowój a zewnętrznego świata, Grek w tym świecie zewnętrznym widzi siebie; tu niema przeto fałszywego, bolesnego dźwięku w życiu. Tutaj szczęście młodości kwitnie ludziom i bogom. Wszak te bogi same są ludźmi ale uduchowionemi i wzniesionemi do piękności ideału, i w nich wdzięczne przymierze ducha i ciała. Jakoż właśnie dla tego, że bóstwo tutaj jest jeszcze cielesnie pojęte, że się przedstawia w połączeniu z materją, z ciałem, dla tego też występuje tutaj polyteizm, wię-



lobóstwo. Bo materya, bo natura jest właśnie wielością jestestw, bo właśnie co jest jednością idei, rozpryskuje się w naturze na wiele jestestw osobnych.

Ale zważ, ta harmonia nie mogła długo ostać się na ziemi, bo w tym pięknym świecie klasycznym tętniło przecucie wewnętrznej sprzeczności. Bogowie są duchowo-zmysłowe jestestwa, są ciałem odziane a mają być nieskończone! To sprzeczność! Dalej, duch człowieka, wiekuistości syn, ma być w harmonii ze światem zmysłowym, przelotnym: i to jest sprzecznością!

Na te sprzeczności Grecya umarła. Duch przerósł formy tuteczne, doczesne, z natury wzięte, a to wzniesienie się jego nad świat ten rzeczywisty było wyrokiem śmierci dla Hellady i jej świata piękności. A tém samém pojawiła się już nowa epoka dziejom ludzkim, w której występuje właśnie ta wyższość ducha i treści jego nieskończonej nad światem rzeczywistym. Tę nową epokę przedstawia historia fantazyi u chrześcijańskich ludów. Tutaj człowiek, party nieskończonóm poczuciem, wie że jest tylko gościem na Ziemi. Żadne szczęście ziemskie, żadna idealność z doczesności zrodzona, choć pełna uroku i wdzięku, nie zdoła ukoić, zagoić tęsknoty, która w nim robi i nie daje spokoju.

Widać, że w tym świecie nowym nowy rodzaj fantazyi pojawi się w piękności państwie. Będzie to sztuka chrześcijańska, co zwrócona jest ku wnętrzu, ku najświętszej serca tajemnicy. Tutaj przeto rodzą się te rodzaje sztuki, które z najgłębszych przybytków serca występują na jaw. Teraz zabrzmi z ciszy serca poezya lirą, uczuciem głębokim, tęsknieniem, drgającym; teraz nastąpi epoka dla muzyki, tej sztuki, w której

duch sobie daje posłuchanie, a tony, jakby anioły dosłyszane słuchem ziemskim, szepną o najwyższych prawdach i rozwiążą mu zagadki wszystkie świata, i wywróżą życia i śmierci, rodzenia i skonania tajemnice. I znów muzyki dosłyszane, w głębokości ducha żyjące, zbudują mu świątynie a katedry gotyckie, owe wielkie domy boże, co się staną kontrapunktem, w którym wiążą się wszystkie sprzeczności, wszystkie przeciwieństwa architektury, akordem i harmonią nieskończoną. Ta epoka atoli znów sama z siebie rozdziela się na dwa ustępy czasu, na dwa różne stopnie. W pierwszym duch przeczuwa, że doczesność, a mianowicie natura, nie jest odpowiednią téj wiekuistości, którą wiara roztworzyła w głębiach serca człowieka; więc duch człowieka odwraca się od doczesnego świata i przyrody a tonie w sobie, słuchając jedynie téj cichéj mowy wnętrza swojego, co mu jest prorokiem o nieskończonej wartości jego, i wróżbitą światów nadgwiezdnych. A tak człowiek staje sam w sprzeczności i z tą zewnętrzną przyrodą i z własną naturą zmysłową ciała swojego (wieki średnie romantyczne). Drugi zaś stopień téj epoki będzie zbliżeniem się człowieka do natury i rzeczywistości, pogodzenie się z nią; mimo tego atoli tęsknoty wewnętrzne nie ustaną choć się ułagodzą, nie zniknie też w człowieku treść nieskończona, którą rozwinęła w nim wiara chrześcijańska—(sztuka nowożytna od 16 stólecia poczynająca się).

Przystaję na tych lekkich rzutach, rysujących oblicze tych trzech głównych epok w dziejach fantazyi, mając dać obszernie ich roztoczenie w całym ciągu listów następnych. Zwracam tutaj tylko uwagę twoją,

że możnaby i owe dwie piérwsze epoki, bo rzecz o fantazyi wschodniej starożytnej i o fantazyi klassycznej, połączyć razem i uczynić je dwiema epokami jednego większego okresu. Bo obie mają to do siebie, że w nich duch ludzki nie przerósł natury, że człowiek oczyniony jest jeszcze jój urokami, że nie przejrzał do dna własnej wiekuistej istoty.

Widzisz tedy że, tym trybem dzieląc historiją fantazyi, można kłaść Iszy wielki okres a w tym umieścić całą starożytność, więc cały czas niechrześcijańskich ludów; zatém w nim znajdują się dwie epoki: a) fantazyja wschodu, b) fantazyja klassyczna, która znów rozdziela się 1) na fantazyją grecką, 2) na fantazyją rzymskich mistrzów. Potém następuje IIgi wielki okres, bo dzieje fantazyi u chrześcijańskich ludów, który znów rozdziela się na dwie epoki, bo a) na epokę czasów średniowiekowych i b) na czasy nowożytne, zaczynając od początku wieku 16. Na ten podział chętnie się godzę, bo jest tém stosowniejszym, że wynika ze stanowiska chrześcijańskiego zapatrywania się na świat, a tém samém uznaję ogromną różnicę, która zaszła we wszelkich stosunkach ludzkich od czasu wiary Jezusa Chrystusa. Lecz nie mogę się zgodzić z tymi estetykami, którzy z każdój z dwóch epok (bo z epoki średnich wieków i z epoki czasu nowożytnego), które wedle nas składają ten IIgi wielki okres, czynią dwa osobne wielkie okresy, które, wedle zdania tych estetyków, tak się mają między sobą różnie, jak każdy z nich od okresu Igo, obejmującego ludy starożytne, nie chrześcijańskie. Ten pogląd zdaje mi się być mylnym, choć jest wymyślony przez znakomite powagi (np. p. Vichera),

a powstał jedynie z chęci nadania protestantyzmowi przesadzonej przewagi w Historji Sztuki, więc z zarozumiałego uprzedzenia, jakoby dla protestantyzmu pojawiającego się właśnie w 16 wieku sztuka miała się wskrószyć. Obaczysz zaś w późniejszych listach, iż lubo prawdą jest, że ze 16<sup>m</sup> stuleciem nowa era nastaje dla sztuki, toć przecież i to prawda że ta era nie jest bynajmniej takim zerwaniem z przeszłością chrześcijańską, jak to mniemają estetycy owi, a co więcej okaże się równie, że ten nowy zwrót sztuki w 16<sup>m</sup> wieku ma jeszcze inne a głębsze powody.

Wszak duch, odprawiając te wielkie okresy i epoki w dziejach fantazyi, napasował się krwawym trudem przez długie wieki. A wiele narodów w tej pracy złożyło żywot swój na ofiarę historii powszechniej. Stąd też ich rodzenia się i silenia i śmierć są treścią najwyższego znaczenia dla każdego myślącego człowieka.

Atoli w tych kilku listach, poświęconych rozwijaniu się ducha w sztuce, bynajmniej nie mam zamiaru napisania historii fantazyi ze wszystkimi jej szczegółami. Przestaniemy na oznaczeniu ogólnym charakteru każdego okresu, dotkniemy się tylko zlekka każdego narodu, a bylebyśmy zrozumieli jego piętno właściwe, już nadać mu zdołamy stosowny stopień w historii świata, i zgadniemy czém on był dla historii fantazyi całego rodu człowieczego. Jest też niepodobna, by wspomnieć o wszystkich ludach, które tu położyły zasługi swoje. Przypatrzmy się jedynie gwiazdom pierwszego rzędu, onym jasnym konstellacyom, przyświecającym, jakby okiem Bożem, dziejom świata. Gdy wielmożność i potęga, oparte na głuchej sile, spadły na zie-

mię niby suchy liść, idąc na pomiotłę wiatrom; te gwiazdy, te pierwotne córki ducha nie mrużą się nigdy, wiecznie żyją, wiecznie spokojne goreją chwałą rodu naszego. Ku nim nie sięgną zamieci ziemskie i kurzawy padółu żywota; one na wieki będą przymierzem między człowiekiem a Bogiem, boć wszystko na tej ziemi tonie w niepamięci: to tylko trwa wiecznie, co z ducha Bożego i prawdy się rodzi. A my wszyscy jesteśmy potomkami tych jasnych gwiazd, synami ich światłości w historii; oddajmy im tedy cześć.

Czyli zaś podołam tej wziętej na się pracy? Czyli mimo dobrej chęci wywiążę się godnie z zadania mojego?

Mam ja przekonanie wewnętrzne, które mi dodaje otuchy do tej pracy. Gdy dzieje fantazyi roztaczają nam obraz silenia się historii około tego, co wzniosłe i piękne na świecie, i gdy nam tedy okazują jakto ród człowieka dąży bez spoczynku do coraz wyższego uzacznienia i uszlachetnienia siebie; więc też myślę że każda, choćby najdrobniejsza, praca w tym względzie nie może nigdy być bez zupełnej wartości, bo wypływa z wiary w nieskończony postęp świata, ze czci dla prawdy a wiekuistej zacności żyjącej w ludzkim rodzie. I dla tego mniemam że i ta skromna praca nie będzie może zupełnie straconą.

\* \* \*

Niegdyś w starych wiekach Indów, *Budda*, najwyższa cnota, istność istności wszelkiej, odbierał cześć i pokłony od kraju całego. A cisnęły się zewsząd i króle i pany wielkiej potęgi i władcy ludów, a czołem

bijąc bóstwu Buddy, znosiły skarby swoje i klejnoty drogie. A mieszkała też w miejscu tém zgrzybiała uboga staruszka, żyjąca o zebranych chlebie. Gdy obaczyła te stosy złotych i srebrnych sprzętów, i te skarby, co jaśniały w świątnicy Buddy darem i ślubem, przejęta żalem serdecznym, sama mówiła do siebie. Jakaże ja winą moją przyszłam na tę biędę ostatnią, że nie mogę stanąć przed tronem Cnoty Najwyższej, i rozsiewać ziarna zacności i zbawienia. I poszła zebrać między ludzi. Żebrała od świtu aż do późnej nocy, a uzbierała pół szelągka, i poszła do kupca prosząc go, aby jój sprzedał oliwy. A on rzekł: »Niewiasto uboga, bardzo mało będzie oliwy za ten pieniążek twój. Lecz powiedz mi, do czego ci jój potrzeba?« »O! panie,« rzekła staruszka, »ja żebrałam od rana do wieczora, i ten jeden pieniążek uzbierałam sobie, a oliwę za niego poświęcę na cześć Najwyższej Prawdzie.« A on ulitował się nad ubogą, i dał daleko więcej oliwy niż żądać mogła. Żebraczka, przepełniona radością, nalewa nią drobny kaganiec, i stawia go na ołtarzu Buddy, i modli się do bóstwa rzewnie: »O ty istności nad wszelką istnością! Ten mały kaganiec jest całą ofiarą, którą ci dać mogę; o! gdyby ten płomyk skromny zdołał rozproszyć czarną emę niewiomości i kłamstwa i winy ze świata całego! Gdyby zdołał rozświecić prawdę i zacność i uczcić, co wielkie na Niebie i na Ziemi!»—I przez noc całą gorzał kaganiec. A gdy z dniem porannym kapłan wstąpił do świątnicy i zbierał z ołtarza dary, dmuchnął i na ów kaganiec mały by go zagasić, ale płomień błysnął silniej jeszcze, a kapłan już ręką, nakoniec szatą chciał go przytłumić; lecz

kaganiec gorzał coraz to świetniejszym i potężniejszym płomieniem. A gdy tak daremnie się kapłan silił, Budda przemówił z ołtarza: »O! zaprawdę, nie przytłumisz ty płomienia tego, i nikt go przytłumić nie zdoła. A gdyby i wszystkie czterech mórz wody po nim przeszły, nie zagaszą go jeszcze, boć on mi jest darowany na cześć tego, co wiekuiste, a z czystej wiary w zachość i prawdę!« (Stara Indyjska legiend).



## LIST XIV.

### *Historya Fantazyi u różnych ludów.*

#### LUDY WSCHODU.

##### Chiny.

Wstęp.— Ulica Kantonu.— Malarz chiński.— Teatr.— Muzyka.— Komedia.— Nauki u Chińczyków.— Astronomia.— Wojskowość.— Brama tryumfalna.— Zabawy.— Budowa świątlic.— Obrazy religijne.— Ogrody.— Brak treści wewnętrznej w człowieku.— Moralność.— Rodzina i Państwo.— Formy zewnętrzne.— Dramat chiński.— Lira i Powieść chińska.

**M**ając się puścić wędrowką przez świat i różnjęzyczne jego ludy, przez lat tysiące, a coraz zacniejsze epoki ludzkich dziejów, i podsłuchać ciche ducha powiewy w historii, trudnooby nam przyszło pominąć owe rozłożyste przestwory azyatyckiego Wschodu, co go *Chinami* zowiemy. Tam na zatyłkach starego świata, odsadzonych daleko od dziejów powszechnych ludzkiego rodu, roztacza się olbrzymim obszarem ogrom państwa, którego przestrzeń o sto tysięcy mil kwadratowych większa od Europy całej, a ludniejsza od niej o sto milionów mieszkańca. Stamtąd starowieczne wieści niosą nam podania o pradziadowej cywilizacyi, o niezmqczonych nigdy pracach skrzętnych onego mrówiska ludów, co tu zamieszkały od przed-historycznych czasów.



Chiny, to świat oddzielny i w sobie zamknięty; ściśnięty go granicą prawie nieprzebytą i duchowe i materialne potęgi. Ku północy wzdęły się wierzchowiny martwe, milczące podbiegunowej Azji; z Zachodu i z zachodniego Południa wzbity się w obłoki twierdza Alpejskiej natury, obiegając stromym okopem kraj; od wschodniego Południa i wielkiego Wschodu głębie oceanów zastąpiły od Świata. Wszak to są one najogromniejsze zlewiska wód całego ziemskiego planety; wszak to ten morski świat Spokojnego Oceanu, co szerzy się w daleką dal, bo aż pod obie Ameryki. Lecz zważ, że ta nowa część świata zwróciła się przodem ku Europie, bo biegiem swoich rzek i wyspami i całą rzeźbą geograficznego swojego ukształcenia; a przeciwnie zwróciła jakby nice swoje ku Chinom, ku »Spokojnemu Morzu«, pokazując mu jedynie brzegi bez odnóg, bez groń liczących wysp i bez rzecznych prądów.

Na tych przestrzeniach bezmiernych chińskiego świata rzeki potężne, niby tętna olbrzymiego ciała, zwaliwszy w poniża wody swoje, toczą się wspaniałym pochodem, i, zanim przepadną w morskich toniach, snują się po obszarach zbogaconych pracą natury i własnym krwawym trudem człowieka. Ale jak te rzeki grają wiecznie jedną i tą samą pieśnią wartu swojego, tak i życie tutaj płynie wiecznie tą samą falą, tak i historia tutaj zawsze jedna i wiecznie ta sama. Tu od tysięcy lat krząta się trzysta milionów jestestw rozumnych, i krząta się i pracuje pilnie, niezniekanie, jakby pszczelnik ludzkiego rodu; ale od lat tysięcy, jak w pszczelniku, powtarza się wiecznie ta sama praca, ten sam trud i znój bez odmiany, bez cofania się, bez postępu!

Tu nawet echem nie dobiegła wieść o rodzeniu się, o konaniu narodów, o ich walkach i wieńcach ich sławy; tu cicho i głucho o tém wszystkiém, na co sobie zapracował świat, czego się dosłużył długowieczną męką Historji, co z głębin duchowych z boleścią na jaw wyważył. Tu nie dobiegła wieść o weselnym tryumfach, o łzach i rozpaczach stóleciów całych. Chiny stanęły same o sobie. Stąd piętno oryginalności wybite na całym tym narodzie; a piętno to tak jest silne, przeważne, że obok niego zginęła cecha indywidualna ludzi pojedynczych, że obok niego zatarta się i zbladła różnica rozdzielająca człowieka od człowieka. Nieubłagana, niewidoma, demoniczna moc zrównała tutaj, jakoby strychnicem, ludzki ród. A jak wszędzie znajdziesz tu wargi napuchłe, nosy przypłaszczone, nozdrza zadarte, oczy ukośne, brwi w górę skręcone; tak też znajdziesz tutaj w każdym pojedynczym człowieku ten sam obyczaj i zwyczaj, ten sam smak, dążność i ochotę, układność i myśl. Jak ciało, tak i duch tych wszystkich milionów jest jakby w jedną i tę samą formę wtłoczony; a jak dziwny jakiś rodzaj ryb oryginalnością kształtu różnić się może od wszystkich innych rodzajów, a jednak wszystkie pojedyncze ryby tegoż rodzaju nie różnią się między sobą, tak tutaj z człowiekiem się dzieje. Choć cały naród ma swoje właściwe a tak osobliwe piętno, iż w niczem nie jest podobny do innych narodów, toć przecież takie tutaj jest podobieństwo, taka jednostajność między pojedynczemi ludźmi, jak już w żadnym innym narodzie. W Chinach jest tylko rodzaj ludzi, człowieka nie ma.

Inaczéj też być nie może. Ogromne to państwo, odcięte od świata, ślepe, głuche na wypadki Historji po-

wszechniej, stęchło, zastało się w sobie, nie przyjmując nigdy w siebie nowych odradzających żywiołów. A jak jest odgródzone od dziejów obcych ludów, tak i w sobie jednostajne, nie zna, co różnych pierwiastków gra,—nie zna, co ważenie się i mierzenie ich wzajemne. A jak tutaj człowiek nie wyrobił własnej indywidualności swojej, nie wstąpił w głębie własnej istoty, nie wydobył z niej uczucia siebie; tak téż i naród cały, nie mierząc się i nie ważąc z innymi ludami, ugrzązł w zarożumieniu o sobie, nabrzękł pychą i uprzedzeniem ułudnym o swoim znaczeniu na świecie.

W Chinach nie ma innej różnicy przeciwległych pierwiastków, krom różnaitości jeograficznych potęg; tu jedynie mierzy się i waży północ i południe, wschód a zachód, wysoczyzny a poniża dolin, wody i suchy—tu jedynie gra przeciwległość klimatów. Z téj różnaitości mocy przyrodzonych spadają na lud ten burze powietrzne, powódzie i mór; stąd walą się na niego burze i wywroty polityczne, które przecież, nie tykając nigdy dna społeczności, odminiają tylko dynastye; istota tego państwa zostaje zawsze jedna i ta sama. Chiny płacą te powódzie i mory, burze i zamęty polityczne milionami ludzi; pocém znów wszystko wraca do ładu i porządku, wraca do ciszy, spokoju i pracy.

Duch ten, tak jednostajny i wicznie tkwiący w miejscu, stosowne też dla siebie odebrał od Natury uposażenie kraju. Owa sieć bogata, gęsta rzek, owe roztożczenie potężne morskiego pobraża spotęgowały ogół, masę całego ludu, ale nie tknęły się rozwoju pojedynczego człowieka. Ów żywioł wodny jak wszędzie tak i w Chinach rozniecił wcześniej potrzeby i ochoty a ża-

dze zmysłowe; parł do przemysłu, handlu, wynalazków, wyćwiczył udatności do ręcznej pracy, do rzemiosł i wyrobów; a rozwinął te dążności umysłu do tego stopnia, jak już w żadnym innym kraju na świecie (\*). Jednostajność bowiem chęci i ta spójność kierunku umysłowego sprzęgły twardo te wszystkie niezliczone miliony do spójnej pracy, a tak dokonały się dzieła mechaniczne, o których już gdzieindziej nie słyhać. Pomyśl sobie ów kanał »Cesarski«, co tysiąc stóp szeroki, co rusza bez przerwy przez bagna i zatoki, góry i doliny, i co tak długi, iżby połączył Bałtyk z morzem Czarném; lub chciej przywieść sobie na pamięć ów sławny mur chiński, głośny na świat cały; wszak w nim jednym więcej cegieł, niż we wszystkich domach całej Anglii i Szkocyi, a tych domów przecież ze dwa miliony! albo pomnij na owe olbrzymie mosty o trzystu filarach ciosowych! Zważ jeszcze że Chińczycy wynaleźli proch, druk i igłę magnesową—więc trzy ogromne czynniki ludzkiej historii,—a wynaleźli je wtedy jeszcze, gdy się o nich nawet nie marzyło Europie.

Lecz pytasz, co się tu dzieje z potęgami ducha? czémże jest tu człowiek, co stworzony na podobieństwo Boże? w jakiej się postaci objawia sztuka piękna, czém jest jego artystyczna fantazya, a czém fantazya powszechna ludu tego?—Rzuć okiem, choćby w polocie, na obyczaj i zwyczaje, na zabawy, na religią i prawa tego ludu, a zajrzysz w serce samo duchowi, co tu włada, i zgadniesz, czy to anioł jasny, czyli ciemności demon,

---

(\*) Ritter. *Erdkunde* T. IV. str. 726.—Herder „*Ideen*.”

który tu zasiadł na panowaniu i rządzi losami tych nieprzebranych milionów.

---

Tłumnie, szumnie, huczno, gwarno na ulicach Kantonu. Cisną się, tłoczą bazarze, komedyanty, przekupnie, olejkarze, śpiewacy, a każdemu czegoś bardzo śpieszno, każdy biegnie lekkim kłusem, rzadko który się zatrzyma; śpieszą i biegną i gwarzą a śmiejąc się wrzeszczą. Cisną się wśród tłumów jeźdźcy na koniach, pchają się drażniki, warczą, turkoczą wozy i wózki, przemycają się lektyki. Wśród wrzawy i gwarów głośniejszych wznoszą się zapachy sprzedawanych kwiatów, olejków, wódek pachnących, dymy kadzideł, odory smażonych ryb, śwędy tłuszczów przypalonych i pieczywa wszelkiego rodzaju. Po obu stronach ulicy ściany domów biją połyskiem tak świecistych pokostów, tak błyskotnym szkliwem, iżbyś rzekł, że niektóre z tych domków są szczerozłote; u góry krygują się dachy wywijane, zadarte, o dzwonekch ruchawych, z węzem lub smokiem straszliwym po rogach. W domach rozwarte na oścież sklepy bogate, na sklepach napisy o barwach jaskrawych, żarzących, złocistych; kołyszą się latarki wielobarwne o fantastycznych przeróżnych kształtach. A w sklepach świecą towary kosztowne. Tu sprzedają wytworne szale jedwabne, lśniące haftów przepychem, tam znowu jaśnieją w słońcu srebrne, złote wyroby przepyszne, ondzie znowu składy snycerskie, tokarskie towary; więc szachy misterne, warcabnice w kamfienie wysadzane, skrzyneczki, wachlarze, kubki, umbrelki i wszystkie te frazki i próżniaki, te potrzebki niepotrzebne cywilizowa-

nego, zbytującego świata; a robota wszędzie tak sztuczna, tak wykwintna i wyborna, że im nie starczą ani one śliczne, smaczne cacka paryzkie, ani wykończenie wytworów angielskich. A te wszystkie towary chińskie tak bajecznie tanie, że się już trudno oprzeć pokusie.

Choć je atoli tak niby nisko zaceni Chińczyk, ofiaruj połowę, a on się zgodzi i jeszcze doda jakie drobiazgi w przyczynek. Bo tu trzeba ostrożnie z chińskimi kupcami; otumanic kogoś, toć się im zdaje być żywołem ich powołania, a gdy się poznasz na tych figlach, on się uśmiechnie i grzecznie odpowie: że arcyrad poznać tak mądrego cudzoziemca! A liczy i rachuje, coś winien zapłacić, na skrzyneczce — w niej druty, na drutach kulki — oto szczoty używane na północnym wschodzie Europy, w Rosyji zwłaszcza, a są chińskim do-wcipnym wymysłem, który się tam nazywa Juan-pan (\*).

Zaledwieś znowu na ulicy, aż tu opada cię jakiś krzykała i kładzie ci gwałtem w rękę całą wiązkę adresów, któremi się polecają przeróżne sklepy, kramy, rękodzielnie, a między niemi zachwała też roboty swoje szanowny Ling-tzing-fu-zu, malarz portretów, pejzazów, mapp—on nawet i nóty kopiuje. Siedzi w sklepie swoim warkoczny artysta i pracuje, śmiga pędzlem, że aż miło; a z nim razem pracuje z 10ciu czeladzi. Spójrzyj w koło—są tu widoki i całego Kantonu i ogrodów i domków. Perspektywy ani w liniach, ani światłach, ani w barwach nie szukaj; bo masz wiedzieć, że artysta chiński trzyma się bardzo zdania, że malarstwo win-

---

(\*) Davis China, T. II.— W Heine Wanderskizzen Allgem. Augs. Zeit. N. 312 i 335 r. 1853.—Du Halde: Description de la Chine w tłum. niem. III. §. 2. str. 290.

no rzeczy wystawiać, jakie są same przez się; gdy tedy przedmiot jedynie oddaleniem się zmniejsza, skraca, toć jest złudzeniem oka, więc kłamstwem, które nie warto, by było uświęcone sztuką piękną! Nie ma też tu na tych obrazach cieniów. Niechaj p. Ling-tzing-fu-zu obaczy portret przez europejskiego artystę robiony, toć on, jako i wszyscy jego chińscy koledzy, widząc cienie i światła, zapytają się z podziwieniem: czyli rzeczywiście żyjący oryginał obrazu tego miał jedną stronę twarzy ciemniejszą a drugą jaśniejszą? Albo też patrząc na cienie uważają je za plamy pochodzące z uszkodzenia obrazu. Prawda, że ougi i sama Elżbieta angielska kazała się także malować bez cieniów, ale to uczyniła z czystej życzliwości dla swoich poddanych; chodziło jój o to, aby oni mogli bez przeszkody podziwiać pięć białą swojej dziewiczej królowej! Zato z najściślejszą dokładnością odrysowane są karty geograficzne; możesz się nawet zupełnie zdać na liczby wyrażające głębie wody na mappach morskich. Patrz atoli, jako nasz artysta maluje ptaki, kwiaty i rybki! On policzył piórka na ptaszku, wszystkie cętki na roślinach, policzył i zmierzył liście kwiatów i łuszczyki na rybach, a tak wierne, skrupulatnie, pracowicie kopiuje, iżbyś rzekł, że najdrobniejszej drobnostki nie opuści; ten artysta to istny dagerotyp w postaci żywego człowieka! A jakież wyborne jego farby olejne, jakie wyborne płótno, jakie doskonałe techniczne wykonanie! Jeszcze też śliczniejsze, świecistsze obrazki malowane na chińskim papierze, a jakie to tanie! za kilkanaście złp. dostaniesz tuziu pomniejszych obrazów, lub jeden wielki na kilku stopach kwadratowych; a gdy troszkę się potargujesz,

to artysta doda i ramy lakierowane; gdy zaś zakupujesz same ramy, zapłacisz tę samą prawie cenę; ale potarguj się trochę, a doda w przyczynku i obraz do ram kupionych! \*).

Pożegnawszy artystę, radbyś teraz dalej puścić się po bruku ciosowym, wyborym tych ulic zamętnych; ale to szczere niepodobieństwo! Zaciął się ruch tłumu na ulicach — cały sznur i pieszych i konnych, wózków, wozów i lektyk nagle się zatrzymał. Cóż się stało? Oto jakiś jegomość jadący ujrzał znajomego sobie śpieszącego piechotą; więc zeskoczył z wozu, więc grzeczności, więc komplementa.

PIERWSZY CHIŃCZYK: Jakąż szczęśliwością błogą świeci oblicze twoje, o Ojcze!

DRUGI CHIŃCZYK: Jest to, szanowny doktorze, blask szczęśliwości twojej, który spływa na twarz moją.

PIERWSZY CHIŃCZYK: Czyli szczęśliwie kwitnie Jesion i luby Klon?.... i t. d.

Masz wiedzieć o tém, że wyrazy »ojcze«! »doktorze!« są w Chinach najwyższą grzecznością, którą powiedzieć można; a jesion znaczy ojca rodzonego, a klon znaczy matkę. Przecież nie na tém kończy się dobre wychowanie obu tych ichmościów. Piérwszy składa ręce błagając by »ojciec« siadł z nim do pojazdu, drugi zaklina się, że tego nie uczyni nigdy; na to piérwszy oświadcza uroczyście, że nie ruszy z miejsca póki nie będzie miał z sobą przyjaciela. Drugi przysięga, że ani siądzie, ani pójdzie drogą, póki szanowny »doktor« nie pojedzie. I dalej nowe frazesa, ukłony, ofiarowania służ-

---

\*) W Heine l. c. N. 312.



by swojej, i afekta, grzeczności i formuły, a tu cała ulica zapchana czeka a czeka cierpliwie i uprzejmie, choć się jakoś na dęszcz zbiera (\*). Bo wiemy o tém, że niema już ludu na całym świecie coby tak przestrzegał form grzeczności jak Chińczyki. W końcu przecież jakoś przeszorowała się ulica, kłęb ludzi się rozgmatwał. I wielki bo też czas, bo zdaleka słyhać straszny gruch w kotły, w bębny; widać nad tłumem ulicznym wzniesione umbrety jedwabne, proporce, chorągwie olbrzymie; na nich malowane żółwie skrzydlate, smoki, węże i inne poczwary; a niosą na kijach wysokich deski czerwone, na deskach wypisane długie tytuły i godności zbliżającego się dygnitarza. Fraszka atoli umbrety, proporce, żółwie, smoki i napisy; najwięcej powagi dodają mu pacholki krępe, barczyste, niosące zapasy bambusów (\*\*). Otóż i sam Mandaryn, sam Tsong-tu pulchny, okrągły i tłusty sobie pan; niosą go w złocistej lektyce; śliczna na nim długa wyszywana suknia; znać, że on mandarynem 5go stopnia, bo na lejkowatej czapce iskrzy kryształowa gałka, a na piersiach płat sukna, na którym haftowana papuga. Postrach bambusów uciszył ulicę, w koło pušto jakby wymiół; kto nie zdołał uciec do kąta, stanął kolkiem, bo skłonić się z Europejska byłoby zbytnią poufałością (\*\*\*). Aleć niechajby - no ten tu Mandaryn o gałce kryształowej spotkał w drodze innego mandaryna z gałką czerwoną, a choćby nawet z niebieską, widziałbyś, jakby się co tehu wytoczył ze

---

(\*) China histor. romant. maler. Zeszyt VII.

(\*\*) China histor. romant. maler. Zeszyt VII.

(\*\*\*) Du Halde l. c. T. II str. 37—39.

swojej lektyki i znów stanął przed tamtym jak wryty (\*). Ponieśli go nakoniec,— i znów pełna ulica gwarnej, krzykliwej cizby; odetchnął każdy, bambusy znikły im z oczu, choć nie z myśli. Bo masz o tém wiedzieć, że bambus nie przebiera, że sięga i po najwyższych dostojenstwach; ani dworzanin zamożny, ani mandaryn, ani dowódzca wojskowy nie jest wyjęty z pod bambusa. Za lekkie uchybienia nawet spada kara bambus; co więcej karze on nawet za winy przeciw moralności, które u ludów chrześcijańskich zostawione są sumieniu i uczuciu honoru. Jakoż znajdziesz w prawach chińskich jakby taryfę bambusów. Przytoczę ci choć kilka przepisów: 1) Naczelnik bióra, przedstawiający niegodnych na wyższe stopnie, bierze 80 bambusów. 2) Sługa, hałasujący w obejściu cesarskiego pałacu, 100 bamb., a pan jego 50. 3) Kandydat do urzędu, jeżeli się źle popisie na examinie, 40 b. 4) Sędzia, nie stosujący się do przepisów na miejscu zbrodni, więc niby przy visum repertum, 100 b. 5) Jeżeli jaka kobieta frymareczy solą, wtedy mąż jej bierze 100 bamb. 6) Kto, siadając do stołu, zasiada powyżej starszego, 5 bamb. 7) Lekarz piszący złe recepty 100 bamb. 8) Mąż zalotny, kochający żony uboczne więcej niż prawą małżonkę, 80 bamb. (\*\*). Słowem bambus jest tutaj perpendykiem świata. Przecież nie jest on znówu tak straszny, jak się z wierzchu wydaje; nikt go też sobie nie bierze zbyt do serca; bo naprzód kara ta nikomu nie ubliża, nikt dla otrzymanych bambusów nie traci na czci publicznej ani na poważaniu

(\*) *Obaca da Halde* l. c. dodat. 258, i. . . .

(\*\*) *Tymkowski* podróz do Chin—T. II. str. 42 i następn.

powszechném; jest szanowany jak dawniej, urzęduje sobie jak dawniej z całą powagą i uroczystością, słowem jest sobie tak podobny jak pierwój (\*). Bambus jest niby napomnieniem, karceniem ojcowskiém, niehańbiącym wcale. Następnie zważ, co nie mało znaczy, że skazany na bambusy może i nie być obecnym osobiście przy wykonaniu wyroku; bo są tacy, którzy z powołania swojego chętnie go wyręczają i zastępują miejsce jego, byleby im, jako słuszna, dobrze zapłać; a ci ichmoście tak sobie też zwinnie poczynają że zanim się spostrzeże sędziego, przytomny przy egzekucyi, już po wszystkiém; kara jest wymierzona, nie doszedłszy atoli swojego właściwego adresu; albo też sędziego, podarkiem ugłaskany, patrząc w inną stronę udaje że nie spostrzegł zamiany osoby. Bo też nigdzie przekupstwo urzędów tak nie grasuje jak w Chinach. Powiadają, że wyręczyciele a zastępcy takowi na tych antreprzykach robią dobre interesa, zbierając wielkie majątki (\*\*).

Niéma czemu się tedy dziwić, że na ulicach miast chińskich tak ludnych, tak tłocznych, wszyscy przecież tak grzeczni są, cierpliwi; nikt drugiego nie trąci, nie szturchnie, nie qbryzga, bo na byle hałas jakby ze ziemi wyskakują policyanty, godząc po swojemu właśnie i kłótnie (\*\*\*)

Zaiste, patrz, jak teraz co żywe śpieszy się w tamtą ulicę, każdy radby być pierwszy, a przecież mimo

---

(\*) *Du Halde i Grosser. De la Chine T. V.*

(\*\*) *Du Halde l. c.*

(\*\*\*) *Choix des Lettres édifiantes écrites par des Missions étrangères. T. I. str. 32 i następn.*

tłoku niema swarów i szturchańców; wszyscy rzucają się tłumnie ku owemu budynkowi z drzewna, co, od niechcienia i ladajako postawiony, teraz roztwiera wrota swoje, by przyjąć cizbę krzykliwą. To teatr! Teatr, jaki prawie na każdej ulicy chińskiego miasta widać; w samym Pekingu jest kilkaset trup aktorskich; więc też sobie grają od rana do wieczora, bo już niema drugiego narodu, którego by paliła taka mania do widowisk scenicznych! (\*) Gdy zamożny Chińczyk wyprawia ucztę u siebie, wtedy do sali jadalnej wstępują zamówione aktory; dyrektor ich klęka przed gospodarzem domu podając mu do wybrania spis sztuk, jakby swoje repertorium teatralne; poczem popisuje się swoim talentem scenicznym.

Nie myśl atoli że ta namiętność do teatru wpływa tu na rozwój i ukształcenie sztuki,—bynajmniej; widowiska dramatyczne są dziś na tym samym stopniu, na jakim były lat temu kilkaset; aktory, to pozganiana hołota, co chwilowo puszcza się na komedya, potem rozlatuje się włóczęgą na wszystkie wiatry. Z nich nikt nie czyni sobie powołania ze sztuki dramatycznej, a do dziś dnia nie przyszło tam do stałej trupy, do stałego teatru; a przecież bez tych dwóch warunków niema sztuki scenicznej. Wszystkie budynki są mniej więcej jak ten, który tu przed sobą widzisz; jest to niby buda jarmarczna, mogąca być w chwili złożoną, w chwili rozebraną; kilka krokiew i desek, to cały materyał. We wnętrzu, na słupach ośm stóp wysokich, wznosi się scena, pokryta lekkim, wykręconym dachem; naprzeciw niej łoża ogrom-

(\*) Lay. The Chinese as they are. Roz. XI.

na dla dam; po prawej i po lewej inne dla płci niepięknój. Tu zasiadły wielobarwne mandaryny, co miła się do siebie jedwabnym słówkiem i częstują się herbatą, słodyczami i słodkawemi grzecznosciami. Przestrzeń między lożami a sceną zajęta jest, jak u nas, parterem. Ależ ten parter wiecznie jest ruchawy ni-by fale morskie. Bo później przybyli tłoczą się naprzód; ei zaś, co już bliżej sceny, opierają im się z całych sił. Gdy zaś tamci, stojący u drzwi, przemogą, już publiczność, stojąca przed samą sceną, znajdzie się nagle pod podłogą teatru i, zamiast dramatu, widzi pale i słupy; ale gdy się jój uda wziąć górę i przeprzeć najezdników, już widzowie, stojący w sąsiedztwie drzwi, znajdują się z nienacka na ulicy. Nie ma się więc czego dziwić, że ten lub ów zuch śpina się po słupach do wysokości loż i ztamtąd patrzy się i na widowisko i na tłum poziomy, co pod nim szumi i huczy. Bywa też że czasem jeden z urzędników, przeznaczony do pilnowania porządku, sam skuszony miłością do teatru, wylezie tym trybem nad publiczność oddaną mu w dozór. Przecież uciecha niedługa; wszystkie te wypadki przewidziane; znajdzie się inny dygnitarz służbisty z bambusem tak długim, że i na wysokościach znajdzie winowajcę-amatora; więc wykrzyk! poczem chybko spuszcza się biedak na ziemskie niziny,— i znów cicho i porządnie (\*).

Ale już krząka orkiestra, słyhać tony! Spójrzyj na narzędzia muzyczne a zgadniesz okropności, jakie cię czekają. Skrzynki o jedwabnych strunach, darte zwa-

---

(\*) Davis l. c. Rozd. XVI.

wo smyczkiem, burczą i warczą; wtórują im cymbałki z drótów, bite niemiłosiernie pałką z bambusu; wrzeszczą klarynety krajowego wynalazku, piszcza piszczalki, brzęczą gitary, chrypią flety; dalej jeszcze trąby, dzwonki i bębny pomagają do straszliwego hałasu. Im przerażliwsza muzyka, im krzykliwsza, tém ona cudowniej-sza dla chińskich znawców. System muzyki u Chińczyków nie ma wyobrażenia o półtonach, a tém mniej o kontrapunkcie; wszyscy w najszcześniejszym razie grają unisono, a jak się już bardzo wysadzą; to jedni odzywają się o oktawę wyżej lub niżej od drugich; harmonia zdaje się im być chaotycznym nieładem (\*). Wierzyłbyś tedy, że to w Chinach miała się naprzód urodzić muzyka! że Konfucyusz, układając śpiewnik swój, dobierał nóty z trzech tysięcy starych pieśni! że ten pięciotonowy system muzyki znany jest w Chinach od półpiąta tysiąca lat, że miał przywędrować w poprzek Azyi aż do mglistych gór Szkocyi, kędy się po dzień przechował w śpiewach górali! (\*\*). A przecież muzyka jest w wielkiej czci u Chińczyków; miło też było czytać, jako po ukończeniu ostatniej wojny z Anglią, Chińscy generałowie, zaproszeni na ucztę na okręta angielskie, przy kielichach kolejnych na wyścigi śpiewali z gospodarzami swojemi. Sami marynarze angielscy przyznają,—a to nie mało znaczy,— że śpiewy nie były bardzo wdzięczne i dźwięczne, ale za to tak potężne, że się okna okrętowe trzęsły.

(\*) *Davis* l. c. T. II. Rozdz. XVII.

*Lay* l. c. Rozdz. XVII.

*Klaproth* *asiat. Mag.* I.

*Du Halde* T. III. §. 2. 285.

(\*\*) *Fink* *Wanderungen der Tonkunst.* Rozdz. VIII i następne.

Lecz kortyna się porusza, podnosi się. — Występują na scenę dwa ogromne smoki, z całą uroczystą powagą wysuwają się naprzód; teraz kłaniają się mandarynom po prawej, potem mandarynom po lewej stronie. Bo w Chinach nawet smoki znają uszanowanie dla dygnitarzy! Stały już smoki nieporuszone. Teraz zjawia się na scenie księżyc w okazałej pełni i śmiało staje wśród onych smoków straszliwych; smoki przypatrują mu się zjadliwem okiem, obchodzą go w koło, mierzą go, rozdziwiają paszcze; znać wyraźnie, że radeby go połknąć, ale w końcu ze wstydem poznają, że to rzecz niepodobna. Więc ukłoniwszy się mandarynom siedzącym po prawej stronie, potem mandarynom po lewej odchodzą »skonfundowane« na wielką pociechę i radość całej publiczności. Księżyc zostaje jeszcze przez chwilę na miejscu, spokojny, pełen sprawiedliwej a zacnej dumy; w końcu, w uczuciu odmiesionego zwycięstwa kłania się poważnie i odchodzi. Zastona spada.—Wtedy z łóż, z parteru, z góry i dołu, z przodu i z tyłu teatru hukną oklaski; każdy z całego gardła: woła Hao! Hung! Hao! co znaczy po naszymu: Brawo! Brawo!

Chciéj baczyć, że tak w Chinach, jak i na całej północy Azji panuje mniemanie, że zaćmienia księżycowe ztąd się rodzą, że dwa smoki napadają na księżyc chcąc go połknąć, lecz że ten planeta zawsze się jakoś szczęśliwie wywija z niebezpieczeństwa. Warto też pamiętać, że astronomowie zwykli nazywać smokiem tę przestrzeń nieba (caput et cauda draconis) w której się zdarzają zaćmienia księżycy i słońca.

Niema kraju gdzieby nauki w ogółności tak były

czczone jak w Chinach; niéma literatury tak bogatėj w książki, jak chińska; nauki niby prowadzą do najwyższych dostojęństw, a przecież niéma w nich postępu. Tutaj zaiste zegar ludzkiego rozumu stanął.

Tak i astronomia od wieków jest uprawianą i czezoną u Chińczyków. Przecież im zawsze trudna sprawa z kalendarzami bez pomocy europejskich missyonarzy. Cesarz Xun tak wielce szanował te umiejętności, iż ze szczerego złota i dyamentów sprawił sobie kulę niebieską; chował nawet na dworze swoim dwóch astronomów, z których jednemu było na imię Hi, a drugiemu Ho. Ci zacni panowie, zamiast patrzeć nieba, patrzali szklanek, nie zapowiedzieli tedy zaćmienia słońca. Cesarz Xun przeto wydał wyrok: I° Zakazując astronomom pić wino. II° Nakazując sciać głowę astronomom Hi i Ho.

Wystąpiłeś znowu na ulicę, znowu ścisk i hałas; oddział wojska się zbliża! Każdy, jak może, przytula się do ścian domów. Na czele dowódzca niesiony w lektyce bogatėj. Dziwny to widok, ci rycerze! nie ma ani ładu, ani składu, ani karności w tym ich marszu. Każdy z żołnierzy, prócz fuzyi, niesie jeszcze pikę długą, a krom tego trzyma parasol od słońca i deszczu! a na dobitek każdy dźwiga jeszcze latarnią (\*). A jakież to karabiny, jaki to dopióro tryb strzelania u nich! Jeden żołnierz trzyma rusznicę i niby mierzy, poczem odwraca głowę; potem przystępuje do niego drugi i palący lont przytyka do panewki. Zrozumiesz, iż nie trudno było też Anglikom w ostatniej wojnie dać radę

---

(\*) Journal des Débats, miesiąc Lipiec 1833 r.



tym biedakom. Zważ jeszcze, że gdy to wojsko ma pomaszerować choćby tylko na jedną milę piechotą, by się nie »sfatygowało«, siada na wozy; toż samo czyni konnica; i ona odprawia pochód na wozach, bo jazda konna zbyt męczy kawalerzystów; konie tedy idą luzem, a co więcej, kulbaki i całe ubranie koni także ładuje się na wozy, by się te rumaki nie męczyły zbyt (\*). Gdy tedy 300 żołnierzy puszcza się w pochód, trzeba im z tysiąc ludzi do podwod. Jaka piechota i jazda, taka i artyllerya. W ostatniej wojnie angielskiej działa chińskie pękaty wśród bitwy, a tak szkodziły więcej własnym kanonijerom niż nieprzyjaciółom; z 91 armat zdobytych przez Anglików, jedna była tylko do użycia, a ta była roboty europejskiej, i z téj jednéj właśnie trwożliwi Chińczycy nie śmieli dać ognia (\*\*). A przecież oni to wynaleźli proch! — i znali go już wtedy, gdy się jeszcze Europie ani śniło o Szwarzcu mnichu!

Przepchało się już około nas to wrzekome, nieboże wojsko, i zwraca się w ulicę główną, kędy zdaleka coś sterczy nad głowami; dwa słupy wkopane w ziemię, połączone u góry dwiema poprzecznymi belkami, z których wierzchnia pokryta dachem wywijanym chińskim; i tu smoki dla ozdoby i dzwonki; a wszystko to pomalowane na czerwono; na belce poprzecznej napis złocisty. Tamtędy ciągnie wojsko. Te belki pionowe i poprzeczne, z dachem wywijanym, z dzwonekami i z napisem, to brama tryumfalna postawiona na uczczenie jakiegoś mandarynowi za zasługi cywilne lub wojsko-

(\*) Journal des Debats, miesiąc Lipiec 1853 r.

(\*\*) Neumann Gesch. des englisch-chinesischen Krieges str. 154.

we. Jeżeli ktoś bardzo i bardzo się odznaczy gieniuszem i poświęceniem się za sprawę publiczną, wtedy budują mu jeszcze wspanialszą bramę, bo zamiast dwóch, wkopują w ziemię rzędem cztery kije; tak tedy brama taka ma aż trzy wchody, które wszystkie malowane na czerwono.

Poznałeś tedy już jeden przykład Architektury monumentalnej Chińczyków.

Radbym ci jeszcze pokazać jaką bożnicę; ona może jeszcze jaśniej nam wyjawia, co się dzieje w głębi duszy tego dawnego a tak osobliwego ludu; nie braknie ich na przedmieściach i w najbliższej okolicy Kantonu.

Po drodze przypatrz się tym różnym grupom, co tu i ówdzie, już stojąc, już siedząc, bawią się pod cieniem olbrzymich drzew. Tu przysiadło do ziemi grono starców poważnych, brodatych, prawie każdy z nich patrzy przez olbrzymie okulary; zapewne radzą o ważnych sprawach kraju, o rzeczach ciężkiego znaczenia, o tém, co cieszy, lub co boli na sercu. Bynajmniej—jeden z nich emoka się z papugą, drugi ręką chwyta muchy, trzeci każe chrabąszczom koziołki magać, a kilku chłopców poważnie się przypatruje tym zatrudnieniom ojców swoich (\*). Na ogolonych głowach tych chłopaków widać pełno blizn i ran głębokich—są to ślady miłości ich ojców i dowody przestroż, których nie szczędzili wychowując synów swoich (\*\*). Nicco dalej stanęło w kółko towarzystwo liczniejsze—słyszać krzyki radości—znów się uciszyło; otoż oni zajęci zabawą wielce ulubioną w Chinach. W środku kółka miejsce puste i

(\*) *Davis* l. c. T. I str. 321 i następne.

(\*\*) *W. Heine* l. c. N. 339.

tutaj, niby na arenie, walczą z sobą dwie do kości wychudłe, wymorzone kuropatwy; wygłodzono te zwierzątka do ostatka; teraz postawiono je naprzeciw siebie, kładąc między biedne ptaki ziarnko ryżu; więc one o to ziarnko biją się i dziobią i ranią i trzepocą; arena pokryta mnóstwem wytarganych piórek (\*). Podobnie też zabawą tu powszechnie ukochaną są zapasy dwóch świerszczów; Chińczyki póty je drażnią, póty dokuczają biednym tym żyjątkom, póki one nie rzucą się na siebie zajadłą walką, która też kończy się utratą członków lub życia jednego z zapaśników drobnych. Tuż obok téj grupy stanął strzelec; zapewne to on dostarczył kuropatw owych; teraz trzyma pod pachą dużą czapkę, skrępował jój boleśnie skrzydła, i, aby się nieszczęśliwy ptak nie mógł mścić dziobem, oślepił go przewłókszy słomkę przez powieki dolne i przewiązawszy mu ją na głowie (\*\*).

Jeżeli prawda, com rzekł w jednym z pierwszych listów moich, że łatwiej poznasz, czém kto jest i co wart, z tego jak się bawi, niż z tego jak pracuje, tedy wyznasz, że te zabawy Chińczyków, tak okrucieństwa pełne, odsłaniają nam zaiste smętne, nocne wnętrze tego ludu. Mniemam że stowarzyszenia, zawiązujące się teraz po wielu krajach w celu rozszerzenia uczucia litości dla zwierząt, są świetniejszym dowodem ucłowieczenia się Europy i zaiste wyższą dla niej chwałą, niż wszystkie koleje żelazne, banki i maszyny parowe, razem wzięte. Śmiałbym powiedzieć, że sposób obcho-

---

(\*) Heine l. c.

(\*\*) Heine l. c.

dzenia się ze zwierzętami, okazuje jawnie stosunek człowieka do Boga, do Stwórcy wszelkiego życia.

Widzieliśmy zabawy Chińczyków, obaczmyż teraz jak się modlą Bogu.

Właśnie niedaleko od téj grupy widać świątnicę, czyli raczej zbiór świątnic to większych, to mniejszych. Całe obejście otoczone murem. Wchodzimy naprzód na podwórze pierwsze; tu rozpoczyna się już droga podwyższona nad ziemię, a wysadzona płytami granitu. Ta droga biegnie w prostéj linii na przestrzał, przez środek całego zakładu; na niéj widzisz rząd bożnic w różném od siebie oddaleniu, a znajdujących się na różnych dziedzińcach kratami od siebie odgrodzonych. Na pierwszym owém podwórzu zbudowane dwie świątnice; owa droga ciosowa przechodzi je na wylot, a tak czyni z nich niby rodzaj przysionków. Na drugim dziedzińcu widać inne świątynie, które ta droga z obu stron okrąża, tworząc jakby taras, poczem ciągnie dalej w linii prostéj ku następnym dziedzińcom i innym świątyniom. Od czasu do czasu, z lewéj i z prawéj, widać drobniejsze świątnice oddalone od téj głównej drogi, lecz połączone z nią podobnie ścieżką wysoką i również wykładaną granitowemi płytami. Uważ jeszcze że niektóre z tych budynków są podwyższone; do jednych wstępuje się po kilku, do innych po kilkunastu stopniach. Każda z nich ma cztery wchody, bo po jednym na każdéj stronie, wyjąwszy ostatnią, która ma tylko jeden wchód. Wszystkie pokryte owym znanym nam dachem chińskim, zadartym, wywijanym; dach spoczywa na słupach to kamiennych, to drewnianych. Słupy połączone są lekkim drewnianém przezroczystém prze-

pierzeniem, najczęściej złożoném z łąt, we wzorki strojne, zgrabne. Wszakże te wrzekome ścianki sięgają tylko do połowy wysokości słupów, a tak nie brakuje światła we wnętrzu świątynicy. Dach, słupy i ścianki powleczone w barwy świeże, jaskrawe, świeciste pokostem, często i gęsto błyszczą bogatą pozłotą. Wykonanie techniczne wszystkich szczegółów jest prawdziwie wzorowe; znać, że to rzemieślniki wyborne, pracowite.

W pewném oddaleniu stoją jeszcze na uboczu domki, zapewne mieszkania kapłanów; widać jeszcze małą sadzawkę, studnię, pojedyncze drzewa; a to wszystko umieszczone symetrycznie, składnie i ładnie.

Na stopniach jednej z tych świątyni siedzi starzec z miną dobroduszną; jakaś mu błogość na sercu; patrzy przez olbrzymie okulary tak wesoło i spokojnie na świat, że aż miło, a trzyma pod pachą książkę. Słuchaj, on śpiewa, a śpiewa sławne słowa, pełne zachwycenia, mędrca Tin-ki-szi:

O jakim szczęśliw zem się w Chinach rodził!

O jakim jest szczęśliwy!

Mam dom, w którym sobie mieszkam!

Mam sobie co jeść, mam co pić!

Mam wszystkie życia wygodki!

Mam i suknie, mam i czapki!

O jakież błogie szczęście stało się udziałem moim (\*).

Te wyrazy są najpopularniejsze w Chinach, powtarzane są przez miliony serc, bo są wyrazem ogólnego przekonania. Zbliża się staruszek, spoglądając na nas tak figlarnie przez okulary swoje i wita słówkiem

(\*) Davis l. c. I str. 267.

uczciwém »Czing-czing« co znaczy: dzień dobry. Zagadniony, by nam przecież udzielił jakiś ustęp z onój grubój książki, roztworzył uroczyście i czyta: »Najuczeńsi mężowie są zdania, że stolica rozumu ludzkiego jest w żołądku;« osobliwa to filozofia téj książki! zwłaszcza iż wiadomo, że inni mędracy chińscy są zdania, jakoby rozum w sercu mieszkał (\*). Nasz staruszek ofiaruje herbatę w maluchnych filiżankach; herbata przeWyborna, choć bez cukru i śmietanki; potem z wielkim ceremonijałem a po różnych korowodach wykwiintnej grzeczności, przyjawszy drobne cygare chińskie, zaprasza cię do odwiedzenia wnętrza świątń (\*\*). Obiecuje wszystkie pokazać krom ostatniej.

W każdej z onych dwóch wstępnych świątń znajdziesz po cztery bożyszcza; bałwany te są ogromne, bo do 30 stóp wysokości, ohydne brzydaki, zwłaszcza jeden z nich, niby wojak groźny; patrzy się gniewnie na przechodniów, trzymając miecz olbrzymi w ręku.

Następne świątńce są prawie zupełnie między sobą podobne; w każdej bożyszcze sążniste, a obok niego dwa pomniejsze. Któż nie zna tych chińskich bałwanów, które ongi tak często to z porcelany, to z kamienia wyrabiane, spotykano na kominkach w eleganckich salonach zeszłego wieku? lub te figury brzuchate, z miną dobroduszną, jowialną, o długich harcapach, jakby mrugające oczkami? Otoż takich bożyszców tutaj więcej, niż onych straszliwych, groźnych brzydaków. Przed nimi ołtarze dziwnie wystругane, stoły gotowe

---

(\*) *Davis* l. c. I. 322.

(\*\*) *Heine* l. c. N. 312.

do przyjęcia ofiar, które na nich ludzie nabożni składają; w każdej bożnicy kadzielnica ogromna, z niej wznoszą się dymki pachnące. Przy ścianach zasiedli kapłani, czytając, pisząc i pamiętając o podsycaniu dymów wonnych.

Patrz, w jednej z tych bożnic klęczy na kobierczyku kobieta. Twarz bardzo szeroka, a nos, usta, oczy niezmiernie małe, więc całe oblicze jest jakąś próżnią, jakimś pustkowiec, niby bez wyrazu, czegoś mu brakuje. Jest to typ twarzy chińskiej, który mianowicie jest widocznym u niewiast; bo u mężczyzn broda i wąsy zasłaniają te pustki rozłożyste. Wszyscy atoli przyznają, że mimo tego wszystkiego, gdy uśmiech kobiety ożywia jej oblicze, już ono nabiera wiele serdecznego wdzięku. Jeszcze atoli mocniej się zdziwisz, gdy się twarzy tej pani z boku przypatrzysz. Profil dam chińskich jest iście uderzający, bo cała część środkowa twarzy, więc część między brodą a czołem nadzwyczaj w tył cofnięta (\*). Nie jeden z europejskich wędrowców, zachwycony urokiem damy chińskiej, stracił ułudę swoją i przekonanie o jej piękności, gdy twarz jej przypadkowo z profilu obaczył (\*\*).

Ta pani, klęcząca na pleciance, należy zapewne do zamożniejszej warstwy społeczeństwa chińskiego; znać to po tych nóżkach małych, potwornych, skrępowanych jakby w pięść. Wszak to od piątego roku życia zaczyna się ta bolesna operacja; póty ściskają tę nogę, póty sznurują stopę, wywijając pod podeszwę palce, póki życie nie otrętwieje, póki ta część ciała tak cudnie przez

(\*) *Lay* l. c. Rozd. IV.

(\*\*) *Lay* l. c.

naturę utworzona nie obumrze, zamieniając się na kłab potworny, martwy, bez życia (\*). Przyznaj, że Chińcy mają dziwaczne wyobrażenia o piękności i o wdzięku ludzkiej postaci. Choć, prawdę mówiąc, ani Wenus Medycejska ani Kapitolińska, które przecież są wyrazem najwyższej piękności niewieściej, nie wciskały się nigdy w te bezlitośne, srogie nowoczesne sznurówki!

Widzisz, ta chińska dama trzyma w ręku puszkę małą, w niej pełno drobnych patyczków, i póty nią wstrząsa, póki jeden z patyczków nie wypadnie na ziemię. Na patyczku litera, tę zapisuje kapłan na boku stojący. Nakoniec już i siódmy patyczek wyleciał z puszeki, więc siedm liter zanotowanych. Teraz chwila stanowcza; kapłan zdejmuje ze ściany sznurek na którym ponawlekane żółte papierki, na których znowu popisane formułki i jakieś wyroki. Wybiera siedm papierków, niby wedle liter owych, i układa z nich wróżbę, niby kabałę po naszymu. Poczém dama bierze kadzidło obwinięte w skrawki papierowe, zapala je i zatyka przed bałwanami; dym rozplywa się wonią po świątynicy. Potém jeszcze pali papierki pozłacane, posrebrzane, i na tém już koniec jój nabożeństwa (\*\*).

Widzisz tedy, że to nabożeństwo nie jest bynajmniej skupieniem się ducha w sobie; człowiek tutaj nie daje jeszcze posłuchania bożym głosom odzywającym się w sereu jego; ta pobożność cała jest jedynie wykonywaniem mechaniczném czczych ceremonijałów, w których duch nie jest obecnym. Tutaj człowiek ży-

---

(\*) *Lay* l. c.

(\*\*) *Heyne* l. c.



je cały na zewnątrz samego siebie, więc też cackami, materią bezduszną kwituje się z niebem i z własnym duchem swoim, a tak fraszkami świecistemi wiąże doczesność z wiekuistością, niebo i ziemię. Ale-bo też tutaj i to niebo jego jest ładajakie! Duch człowieka nie zwrócił się jeszcze ku sobie, nie utonął jeszcze w świętych tajemnicach własnych głębin swoich. Stąd też jak nie zdoła odróżnić istoty duchowej od materii, tak nie zdoła poznać prawdziwego stosunku ducha i materii; więc miesza dziwnym zamętem oba te światy i dziwacznie w jego wyobrażeniach pogmatwały się niebo i ziemia, doczesność i wiekuistość. W téj dzikiéj atoli chaotyczności dwóch światów przeważają moce zmysłowe, materyalne. Czyliż tedy dziwno, iż tam lęgną się pojęcia, któreby zaiste były komiczne, gdyby nie były tak smutne, i byłyby smutne, gdyby nie były znowu tak śmieszne. Wystarczy, jeżeli wiernie opowiem, co się pewnego dnia przytrafiło Ojcu Le Comte, a powtórzę ci dosłownie wyrazy jego.

»Zdarzyło się pewnego razu, powiada on, że mnie we-  
 »zwano abym ochrzczył chorego Chińczyka. Był to siedm-  
 »dziesięcioletni starzec. Jakże wielce jestem wam, Ojczy,  
 »obowiązany, rzekł chory, żeście przyszli by mnie  
 »z katuszy ostatnich wybawić! Ale wytłumaczę się  
 »bliżej. Może wam wiadomo, że od dawnych lat żyję  
 »na łaskawym chlebie cesarza. Bonze nasi (kapłani),  
 »którzy przecież doskonale wiedzą, co się dzieje na  
 »tamnym świecie, zapewniają mnie, że będę musiał od-  
 »sługiwać się za te łaski za życia doznane, że po śmier-  
 »ci dusza moja wstąpi w ciało konia pocztowego, że  
 »tedy będę obowiązany roznosić rozkazy cesarza w da-

»lekie prowincye państwa. Napominają mnie przeto  
 »bym, gdy już tym koniem będę, sumiennie dopełniał  
 »powinności moich, bym nie wierzgał, nie rżał, nie  
 »kąsał, nie furkał! Kłusujcie żwawo, mówią do mnie,  
 »żryjcie mało, bądźcie cierpliwi, a łatwo być może, że  
 »bogowie z potulnego zwierzęcia uczynią was jeszcze  
 »znakomitą osobą i dostojnym mandarynem! Otóż ta  
 »myśl jest dla mnie okropną; drzę cały, dręcę się no-  
 »cą, męcę się nią we śnie! Zdaje mi się czasem,  
 »żem już koniem pocztowym, co się wydziera, gdy go  
 »postyilon biczem zatnie. Jak tylko się obudzę, jestem  
 »jakby w łaźni, i nie wiem, czylim jeszcze człowie-  
 »kiem, czyli już koniem..... Powiadano mi, iż wy-  
 »znawcy waszjej religii nie ulegają takiemu nieszczę-  
 »ściu..... Więc proszę was przyjmijcie mnie do wa-  
 »szjej wiary. Wiem, że trudno dotrzymać jēj przepi-  
 »sów, ale niechajże już i tak będzie, wolę być na tym  
 »świecie chrześcijaninem, niż na tamtym świecie ko-  
 »niem pocztowym« (\*).

Czas jednak, byśmy się od tych uwag i gawęd pu-  
 ścili w dalszą przechadzkę; wszak po za świątynią na-  
 szą ciągnie się mnóstwo letnich pałacyków bogatych  
 mieszkańców Kantonu. A każdy z tych dworków oto-  
 czony ogrodem; a w tych właśnie warto przejrzeć się  
 po trochu, bo ogrody zaiste wyjawiają nam dokładnie  
 stosunek każdego ludu do natury, a tym samym nastrój  
 duszy jego pod względem sztuki, bo i fantazyja arty-  
 sty czerpie z natury ośnowę swoją. Wstąpiwszy do  
 jednego z tych zakładów, zdaje się zrazu, żeś wśród

---

(\*) *Du Halde* l. c. III—I Oddział § 54.

przepysznego angielskiego parku. Doliny milące się, o trawnikach świeżych, wonnych, kwiatami przesywanymi; strumienie, potoczki srebrną wstążką bieżące po dolinie; a mruczą i wykręcają się kapryśnie po murawie, to znów kryją się pod bukietami krzewów kwitnących, to znów ciskają się ze stromych skał, a te skały dzikie, fantastyczne wznoszą się chaotycznym nieładem, a grożą i straszą, jakby były dziećmi onych gwałtownych wywrótów natury, które przeszły ziemią. Tu znowu stawy o rysunku grymasnym; w nich rody ryb i roślin wodnych, ciekawe słońca, wyglądają na świat promienny z chłodnego błękitu kryształowych pałaców swoich. Tam gaik śpiewny uwieńczył pagórek łagodny, a wśród cieniów świeci się domek schludny, wesóły a przez strumienie przeskakują od niechcenia mosty sielskie z białej brzozy. Słowem, gdy staniesz wśród ogrodu tego a spojrzysz w koło siebie, poznasz, że ogrody, zwane u nas angielskimi, są czystym wynalazkiem chińskim. Że zaś tak istotnie się rzecz ma, toć mi świadectwem powaga najzacniejszych autorów (\*).

Zdawałoby się tedy że w zakładaniu tych ogrodów kierowała myśl szczęśliwa pomagania naturze, więc potęgowania przyrodzonych jej uroków, więc nie przeszkadzania jej w tej swobodzie, zradzającej różnaitości bez końca; bo to właśnie ta gra ślepego przypadku tworzy jej wdzięki najwyższe. Przecież ośmielam się powiedzieć, że byleś się tym ogrodem i tym opisom ich bliżej przypatrzył, łatwo w nich dowidzisz, jako i

---

(\*) np. Abel Remusat, *Mélanges Asiatiques* I, dalej Grossier, de la *Chine* Rozd. VI.

tutaj chiński charakter nie odstąpił siebie. Rzekłbym że naturalność jest tutaj przesadzona, a tém samém przerzuca się w drugą ostateczność, bo w wymuszoną sztuczność. Prawda, że dolinki w tych ogrodach nie są podobne do siebie, że każda jest inna; ale różnica jest tak wymyślna, tak wyrafinowana, że wyraźnie znać, że łopata i taczki były tą przypadkowością, tą igraszką natury. Skały sterczą niby tak straszny, chaotycznym nieładem, iż łatwo poznasz, że ten nieład jest przygotowany, że ta chaotyczność jest skutkiem długiego namysłu. Nigdy też w naturze zdroj nie wytrysnie z takich skał i takim trybem, jak to widzisz w tych ogrodach chińskich, ani też żaden strumyk, żaden potok w naturze nie biegnie z takimi grymasami, jak te wody chińskie. Otóż tutaj ta chińska natura jest więcej przypadkowa i naturalna, jak natura sama. Tutaj gospodarzy przestarzała cywilizacya, sztuczność wykwiwna, co udaje przyrodę i jój prostotę, pełną naiwności, i dla tego właśnie tak jest wstrętna, tak obrzydliwa.

Zgodzisz się zapewne ze mną, że każdy zrozumie, gdy kobieta zechce niekiedy sztucznemi sposobkami przyjść w pomoc mdłym wdziękom, i byleby w tém nie było przesady, toć już nikt tą chętką się nie zgorzzy, bo ona tak jest naturalna, tak wrodzona niewia-  
stom, że jest prawie ich powinnością; a zważ, że tutaj ta sztuczność i upoetyzowanie odnosi się przecież jedynie do ciała, więc do zewnętrznej strony człowieka, do wierzchu jego istoty. Inaczéj wcale się dzieje, gdy kobieta, co poznała świat a tajemne serca dzieje, co oddawna przejrzała stosunki ludzké, udaje w ru-

chach i w zmyślonych uczuciach niewinność naiwną i naturalność pełną prostoty młodziuchnej dziewczyny. Lecz prawdziwa naiwność a niewinna prostota pochodzi właśnie z uczuć nieświadomych siebie, z braku osądzenia siebie i świata. Sztuczność przeciwnie jest skutkiem jasnej świadomości własnej istoty i zupełnego ocenienia siebie i drugich; gdy tedy sztuczność takowa zmyśla prostotę i naiwność niewinna, już wtedy staje się wręcz przeciwną sobie samą, i dla tego jest tak wstrętą, tak odrażającą. Tutaj nawet zmyślanie nie odnosi się już do zewnętrznej strony, do powierzchowności ciała, ale raczej do wnętrza, do duszy; tutaj kłamstwo, fałsz gnieździ się w samej myśli. Taką to więc jest, wedle mnie, ta wrzekoma natura tych parków chińskich.

Z tej też przyczyny stokroć miłsze te ogrody Chińczyków; kędy już sztuczność i przymus występuje szeszczę i bez maski. W tych ogrodach już drogi brukowane w kafle szklivem błyszczące, strumyki jawną sztucznością ujęte w brzegi wymyślne, a mostki ich złociste, kwiatki sadzone w desenie misterne, nie udają żadnej prostoty. Jest to ten rodzaj ogrodów, które kubek w kubek przypominają te malowania, które u nas spotykasz na wazonach, umbrelach, stolikach, obiciach chińskich. Nie braknie też roślin strzyżonych we formy zwierzęce, widzisz tedy krzewy udające jelenie, konie, orły, czaple; i nie trudno o całe stada tych zwierząt, a do tego wszystkiego, za wzór chińskim ogrodnikom najeczęściej służą jakieś ryciny europejskie. Podziwiał cierpliwą wieloletnią; i prawdziwie nadludzką wytrwałość, której trzeba było do stworzenia

tych wszystkich dziwaków. Krzew od maleńkiego już był nąginany, krępowany, wiązany, naćinany, by nim choć z grubsza przygotować kształt i formę, którą miał przedstawiać. Aż nakoniec po wielu latach dzieło zostało dokonane, przyszczyżone ostatecznie. Robota się kończy na wprawieniu zwierzowi porcelanowych oczu.

Jeszcze dziwniejsze są inne wymysły. Pokazują ci bowiem kilkstopowe skrzyneczki, w nich świat miniaturowy: stoją stare pradziadowe drzewa, niby leśne patryarchy; kora na nich szorstka, żwierzcząca, konary potężne, zuchwałe. Wśród drzew sterczą skały pokryte mchem, w koło zioła i trawy. Te drzewa starodawne, te patryarchy odwiecznej puszczy wznoszą się za ledwie na jedną piędź od ziemi, a stosownego też ogromu są skały, które je otaczają. Słowem, jest to widok, jak gdybyś na świat patrzył przez przewróconą perspektywę teatralną. Sztuka wymyślna, zmudna, zadając gwałt naturze, poczyniła te potworne dziwadła i zmusiła roślinność do skarłowacenia (\*).

Chińczycy znają się też z gruntu na sztuce złudzenia oka co do wielkości przestrzeni. Wstąpi do małego ogródka a zrazu zdawać się będzie że on jest ogromny, rozłożysty i obszerny. Jeden ze sposobów, których w tym celu używają, jest up. ten, że na przedniem tle sadzają drzewa potężne o silnych konarach, o dużym liściu i mocnej barwie, a im dalej, tém też mieszczą drzewa i krzewy mniejsze, o misternych ga-

---

(\*) *Heins* l. c. N. 338.

Co do sposobu używanego przez Chińczyków, by skarłowaciać drzewa, ob. *Voyage dans l'Intérieur de la Chine par Lord. Macartney* T. I. str. 61.

łęziach i liściach, o barwach bledszych; tak więc tumania widza, co do odległości i obszaru całej przestrzeni.

Tak przeto skleilem ci, jak mogłem, na prędce obrazek tego dziwaczego narodu; te zlepki moje mają przecież tę główną zaletę, że się w nich trzymałem świadków naocznych, którzy na miejscu przypatrzyli się objawom duszy tych nieprzeliczonych milionów. Nie trudno nam teraz przyjdzie wywróżyć całe wnętrze ducha tego ludu i stosunek jego do fantazyi artystycznej; a to tém łatwiej że, choć pobieżnie, już widziałeś objawy tej fantazyi w niektórych sprawach sztuki chińskiej.

Wiesz że fantazyja prawdziwa wypływa z tajnego, świętego źródła wiekuistości ducha. Bóg tchnął w człowieka nieskończoność, a ona przebywa w nim i objawia się przeczcuciem najwyższej prawdy, cichém proctwem o Bogu. Ten pierwiastek tęskni w człowieku do Boga, jako do źródła swojego, a tak staje się poczęciem i gruntem Religii. Jak atoli znowu nieskończoność Boża żyje we wszech światach stworzonych i w nich ma odbicie swoje, tak ten pierwiastek nieskończoności, człowiekowi od Boga wlany, tęskni by się stał także po swojemu twórczym i aby miał w dziele, przez siebie utworzoném, odbicie własnej, wiekuistej istoty jego; ale to dzieło będzie już dziełem piękności, będzie sprawą twórczej, artystycznej fantazyi człowieka. Tak tedy, jak już zkadınąd wiesz, Religia każdego ludu a jego fantazyja artystyczna są w ścisłym związku z sobą. Jak przeto prawdą jest, że każdy człowiek, każdy naród, wedle własnej wartości swojej będzie miał wy-

obrażenie o Bogu, tak znowu to różne wyobrażenie umysłowi się w sztuce jemu właściwéj.

Cheąc tedy poznać fantazyą artystyczną Chin, pytaj się przede wszystkim o ich wiare, o ich religią.

Słusznie powiedziano, że Chiny mają trzy religie a żadnego Boga. Pierwiastek nieskończony, wiekiutości dech, drzémie jeszcze w nocnej duszy tego ludu; on dopiero czeka przebudzenia swojego. W piersiach człowieka głucho, pusto, smętno; więc też on oddany jest zewnętrznym światom i magicznym natury potęgom.

Nie będę ci się tutaj rozszerzał nad religiami chińskimi. Wiesz że na 500 a może i na 600 lat przed erą naszą Lao-tse i Konfucius pracowali by starodawną wskrzesić wiare, co już od wieków poszła w rozsypanie. Przecież ujęli oni te pradziadowe nauki jałowym rozsądkiem, ujęli głównie tylko ziemską stronę człowieka. Świat zmysłowy jest tutaj przeważającym światem. Stąd niema ustalonego wyobrażenia o Bogu, tu niema nawet właściwej nazwy dla Boga. Dla jednych Bóg jest przestrzenią gwiazdzistą, dla drugich niebios błękitem, dla innych znowu morzem powietrznym, a znów dla innych osobą cesarza chińskiego, który tu zaiste jest pośrednikiem między niebem i ziemią. Te wyobrażenia dziwnie się między sobą mącą a mieszają. Gorzej jeszcze się stało, gdy Buddaizm z Indyów przedarł się do Chin i wzięwszy na się imię religii »Fo« wprowadził między lud chiński istny panteizm, czyli co jedno— ateizm, wlewając w te serca głuche i ciemne ową demoniczną naukę, że najwyższą prawdą, ostatecznym początkiem a końcem wszystkiego jest: nicestwo.



Czyliż tedy dziwno, że człowiek głuchy na duszy, nie mając Boga w sercu, niema też wagi a treści we wnętrzu swoim, że żyje cały na zewnątrz, światem skończonym, zmysłowym, że niema nawet przecucia o swoim wiekuistém, nieskończoném znaczeniu. Słowem, tutaj duch ludzki nie utonął w sobie, nie ujął, nie uznał siebie; więc też nie zna różnicy między własną istotą swoją a istotą natury. Duch człowieka dziwnie się poplątał i pomieszał chaotycznie z mocami przyrody; nie zebrawszy się w sobie jako w twierdzy, jest na łaskę oddany siłom natury; on im się korzy, w nich żyjąc, im się oddając. Tutaj człowiek niema w sobie treści głębszej, nie wyrobił z siebie indywidualności silnej, różniaczej ludzi pojedynczych między sobą i nadającej każdemu z nich tak wyraźne, osobnicze piętno.

Łatwo tedy nam też pojąć można, że człowiek na takowém stanowisku religijném kwituje się z wiarą swoją bezdusznymi mechanicznymi praktykami; rytuał zewnętrzny zastępuje rozrzewnienie religijne; kadzidła, palenie papierków złocistych, toć jest ofiara wiążąca go z wiekuistością. Jasna też rzecz, że nie znając, jak rzekłem, ani własnej istoty duchowej, ani jój różnicy rozdzielającej ją od natury, żyjąc poplątany z tą naturą zamętem i niby w jedności z nią, chce panować nad nią sposobami zmysłowemi,— czarami. Stąd tedy lęgnie się ów potworny, straszliwy zabobon tego ludu.

Zrozumiemy też łatwo, że skoro świat tameczny, nadziemski tak mało ma wagi, a człowiek cały żyje żywotem tutecznym; już tém samém najwyższą zasługą Konfuciusa było jego zwrócenie się do życia ziemskiego, praktycznego, i skreślenie nauki, czyli raczej

nauk moralności. Wziąwszy te jego księgi moralne do ręki wyznasz chętnie, że w nich dużo uczciwości, dużo zdrowego rozsądku. A przecież trudno znaleźć książkę tak ckliwą, tak nudną, jak ta niby filozofia moralności Konfuciusa. Są to niby praktyczne przestrogi, jakie każdy może zebrać długim życiem i bogatym doświadczeniem; są to ogadane, opatrzone od dawna maxymy, a dla tego głównie tak ckliwe i nudne, że w nich niema ani głębi filozoficznej, ani też religijnego uświęcenia. Te wszystkie prawidła nie trzymają się siebie, są niby ułomkowe, bo nie mają spólnego ogniska we wnętrzu człowieka. Ta nauka Konfuciusa, jak była li owocem doświadczenia, więc pozbierana w świecie zewnętrznym, tak też nie przejęła sobą głuchego wnętrza człowieka, nie rozgrzała sobą serca, lecz została tylko przepisem zewnątrz niego istniejącym.

Konfucius atoli mimo wysokiej osobistej zacności swojej, i pod względem samej treści i kierunku, zwichnął myśl własnego ludu, bo w niego wmawiał że on cały jest tylko jedną wielką rodziną, i że tedy jako jedna spólna rodzina urządzić się winien.

Stąd w Chinach wyobrażenie rodziny jest tym silnym a przeważającym pierwiastkiem, przenikającym wszystkie stosunki prywatne i publiczne, jest pulsem wszelkiego żywota.

Tutaj rodzina właściwa jest niby otoczona czecią; najwyższą powinnością są obowiązki familijne; tutaj samo nawet państwo jest uważane za rodzinę.

Każda chińska rodzina składa cześć zmarłym członkom swoim a dziadom dawnym, udając się w pewne dni roku do sali umyślnie w każdym domu ku temu

przeznaczonój, w której są porozstawiane figurki wyobrażające nieboszczyków. Przed temi posążkami odbywają się ceremonijały i obrzędy; ale te ceremonijały i obrzędy są czeze i puste. A przecież rodzina tak wielkie ma znaczenie iż każdy Chińczyk uważa sobie za najwyższe nieszczęście wygasnąć bezpotomnie; a gdy cesarz pragnie wynagrodzić zasłużonego człowieka, wtedy nie jemu, ale jednemu z jego ojców zmarłych nadaje tytuły i honory i stopnie. Tak tedy własne zasługi nie czynią nikogo przodkiem sławnym potomków, ale potomkiem sławnych przodków.

Jednak, mimo téj przewagi rodziny w Chinach, nie ma tutaj rodziny prawdziwój, jak jój niéma na całym wschodzie. Zdarzają się tam zaiste przykłady rozrzewniającej miłości dzieci ku rodzicom swoim, boć i w Chinach trudno wyprzeć się głosu natury i bożych przykazań, wpisanych od stworzenia światów w serce człowieka. Przecież niéma rodziny! despotyzm ojcowski, wielożeństwo, zatém nieuznanie godności niewiast, są powodem, dla którego tu nie istnieje rodzina. Wszak prawo, służące ojcu wyrzucania na ulicę własnych niemowląt w razie, jeżeli ich wyżywić nie chce, jawnie okazuje, jak tam uczucia są skręcone. Mniejsza o to, że nas zapewniają, jakoby donoszenia o tych okropnościach były przesadzone; dość na tém, że takie prawo istnieje i że bywają wypadki, w których ojcowie używają tego prawa.

Z drugieój strony łatwo zgadnąć, dla czego Konfucius uważa państwo jako rodzinę. Rodzina jest jednością a połączeniem osób powiązanych z sobą krwią; ma tedy podstawę materyalną, zmysłową, choć uduchow-

nioną. Taka jedność, taka idea była tedy sama jedna zrozumiała dla ludu, który sam jeszcze tak jest zmysłowy, tak materyalny, nieduchowy, jak lud chiński; taki lud nie był jeszcze w stanie pojąć wysokiej, abstrakcyjnej idei państwa. Konfucius uczynił państwo rodziną, a mieszając dwie idee różne spaczył i wyobrażenie o państwie i wyobrażenie o rodzinie. Rodzina, uczyniona państwem, straciła na świętości swojej rodzimiej, pierwotnej, serdecznej. Państwo, uważane za rodzinę, wylęzło się w potwór. Innego jest rodzaju posłuszeństwo i uszanowanie, które się winny ojcu, innego rodzaju posłuszeństwo i uszanowanie, które się należą władzy zwierzchniej i prawu. Pomącenie tych dwóch pojęć wylęzło okropny stan społeczny Chin. Tutaj człowiek, od kolebki do późnej starości uważany za dziecko, wodzony na pasku, nie rozwinął własnych głębi swoich, nie stanął nigdy o własnej sile, skarlował w duszy. Ten brak uczucia siebie stał się brakiem uczucia honoru; stąd kara bambusem dotyka wszystkich bez względu, ona tutaj niema nic straszniejszego w sobie, krom fizycznego, to jest zewnętrznego cierpienia.

Właśnie jednak brak treści wewnętrznej, więc owo przeważanie się człowieka na zewnątrz, jest powodem że w Chinach niema wewnętrznego przekonania o tém, co poczciwe lub złe; tutaj niema prawdy moralnej, istniejącej samej przez się; tutaj to jest złe, co ustawa pisana zakazuje; to jest dobre, co ona nakazuje lub pozwala. Ale co więcej, właśnie dla tego braku treści duchowej, ustawy moralne Konfuciusa, jako też prawa i przepisy publiczne państwa, nie przenikają wcale we-

wnętrznego człowieka, są li czémś zewnętrzném, nie znajdującém odgłosu w sercu a przekonaniu człowieka. Jeżeli tedy w państwie zdrowém, w stanie prawidłowém społeczeństwa obyczaj i prawo w ścisłym są z sobą związku, a każdy zaś człowiek poczciwy dopełnia ustaw i praw, bo w tém iści się honor jego i przekonanie, w Chinach ustawy i prawa nie mają sprzymierzenia we wnętrzu człowieka; każdy stosuje się do tych praw o tyle, o ile jest do tego zmuszonym zewnątrz, o ile tego prawa nie zdoła podejść pozorami prawnymi, więc kazuistyką, więc sposobami zewnętrznymi. Stąd frantowstwo i zła wiara chińczyków są znane w świecie całym, tak w stosunkach prywatnych jak i publicznych. Wszak w ostatnich układach rozbiegła się wieść po Europie, że rząd chiński miał podejść Anglią, i trzeba było odwołania w pismach publicznych, aby sprostować to zdanie; okazało się jednak, że rzetelność układów raczej była skutkiem przezorności angielskich pełnomocników, niż dobrej wiary rządu chińskiego.

Z téj czezości wewnętrznej rodzą się nie tylko one czeze dziecinne zabawy, ale z niéj lęgnie się też owo okrucieństwo straszliwe i względem ludzi i względem zwierząt.

Nawzajem atoli grzeczność przepisana, ceremonijały zewnętrzne, formy towarzyskie, właśnie dla tego, że są powierzchowne, bywają tutaj przestrzegane z pedantką ścisłością. A znajdziesz w Chinach grube księgi prawideł grzeczności. W tych księgach wyczytasz najdokładniejsze receptarze zachowania się; tam się zawierają przepisy co np. trzeba powiedzieć przy odwiedzinach, jak nogi stawiać, co powiedzieć wprzód, co po-

tém, jak oczy stulić; dalej, jak listy składać w danych razach; a jest nieskończenie wiele sposobów składania listów, a każdy ma swoje osobne znaczenie; trzeba długiej, mozolnej nauki, aby się ich nauczyć i pamiętać; tutaj lokaje przyklekują mówiąc nawzajem do siebie, a fisy grzeczniejsze niż gdzieindziej niewydarzone eleganckie dandysy. Istnieje i osobny trybunał czuwający nad zachowaniem przyjętych form (\*). Słowem, cały naród chodzi tu śpięty, jakby sznurówką, dusznym ceremonijałem i formą grzeczności, i tak jest skrepowany w najdrobniejszych czynnościach swoich, że mu niepodobna nigdy odetchnąć całemi pierściami.

Wyznaję chętnie, że tylko barbarzyńiec i człowiek źle wychowany cenią sobie lekko formy towarzyskie; jestem nawet zdania, że formy takowe, choć się tyczą tylko zewnętrznego człowieka, mają wielką wagę; one bowiem uczą czuwania nad sobą, tłumienia w sobie niesforniej natury i trzymania na wodzy namiętności. Dobrze wiesz, jak to często w Europie ten lub ów dopuściłby się sprawy szpetnej, plugawej nawet, gdyby się nie obawiał zgrzeszyć formom.

Powyżej widziałeś wprawdzie widowiska sceniczne, w których głównym bohaterem jest książę; wiesz atoli zapewne, że przecież znowu nie cała dramaturgia chińska składa się z podobnych fraszek, że owszem jest nie mała liczba sztuk teatralnych zawierających w sobie istotnie wiele zalet. Jednak wyznaję, że wszystkie te piękne szczegóły nie wystarczą, by z tych sztuk uczynić dramat prawdziwy. Jeżeli Chinom, jak widziałeś,

---

(\*) *Du Halde* 1. c. II. str. 119.

rzeczywiście brakuje objawów niższych fantazyi, jakżc się spodziewać poezyi dramatycznej, która iście jest najwzwyższym szczytem sztuki pięknej!

Prawda, że przyrządy zewnętrzne, złudzenia teatralne, dekoracye, maszynerya i t. d. nie są warunkiem wartości dramatu, toć jednak znów pewno, że, w miarę jego wzrostu i rozwoju, i te przydatki wszystkie się udoskonalają i rozwijają. Obaczmyż, co pod tym względem w Chinach spotykamy? W teatrach chińskich sama tylko garderoba jest bogatą i wielce strojną, ale zato przedsiębiorca nie łamie sobie głowy nad tém, co jest złudzeniem sceniczném. Gdy np. jaki generał chiński na scenie wyprawia się z wojskiem w oddaloną prowincyą, tedy podnosi jedną nogę, udając, iż siada na konia, lub, jak u nas pacholę, jeździ na lase, trzaska z biczem, obiega scenę; inni tymczasem bębnią, trąbią, tupią nogami i wrzeszczą straszliwie; ów generał ciągle na kiju jeżdżąc obiega scenę; nakoniec się zatrzymuje mówiąc: »otoż przybyłem!« Gdy taki generał dobywa twierdzy, wtedy dwóch lub trzech z jego żołnierzy kładzie się na sobie, udając niby wał forteczny. Kto ma na scenie otworzyć drzwi, istniejące jedynie w myśli jego, czyni ręką stosowne poruszenie i powiada: »otoż i drzwi otwarte« i t. d. i t. d. Widać, że te chińskie artysty razem z ich publicznością podobne są do naszych chłopiat małych, którym linia mieczem, laska dzidą, stołek koniem, szafa fortecą. Prawda też, że takie dziecięce pojmowanie przypomina początkowe teatra europejskie, z których sobie żartuje Shakespeare w »Śnie nocy letniej.« Jakoż w téj sztuce jeden z aktorów ma wyobrażać ścianę; radzą

mu tedy, by poprządził się wapnem lub bryłką gliny; a gdy znów rzecz dzieje się w świetle księżyca, więc jeden z artystów staje się uosobionym księżycem; występuje tedy na scenę z latarnią w rękę.

Mniejsza atoli o te przyrzady, bo cechą jeszcze więcej charakterystyczną, okazującą barbarzyństwo czyli raczej dziecinność chińskiego umysłu, jest ta łatwość, którą sztuka dramatyczna przeradza się w widowisko hałaśne, krzykliwe, w łamane sztuki, w zręczność cielesną, zwinność gimnastyczną, słowem w to wszystko, co mniej do ducha, jak raczej do zmysłu zewnętrznego przemawia. Stąd też zrozumiesz, że Chińczycy mistrzami są w puszczeniu sztucznych ogniów, w rozświecaniu nocy ciemnej milionami przeróżnych latarni.

Widzisz, że to wszystko nie zapowiada bynajmniej głębszego pojmowania sztuki, i rzeczywiście, o ile miałem sposobność poznania poezji dramatycznej Chińczyków w niektórych mistrzowskich tłumaczeniach, śmiałbym powiedzieć, że to są raczej tylko powieści dramatyzowane albo raczej dyalogowane, i to nawet nie bardzo zgrabnie ani szczęśliwie. Pomijam już że dramata zwykle ciągną się przez długie lata, jako np. w onej sławnej tragedji: »Sierota Chiński«; rzecz się rozpoczyna przed urodzeniem bohatera sztuki, a kończy się na 20 roku życia jego. Lecz krom tego znajdziesz i inne dziwactwa. Tak np. każda figura, pojawiająca się po raz pierwszy na scenie, zwraca się do widzów i sama się przedstawiając powiada, jak się nazywa, jaki jój sposób myślenia, jakie jój cele, zamiary i t. d., co tém osobliwsze jeżeli figura jest złoczyncą; tak np. w Sierocie Chińskim występuje na scenę Tu-



ngan-ku mówiąc: ja jestem Tu-ngan-ku i pierwszym ministrem wojny; dalej porównywa się sam do tygrysa, co ciągle myśli nad zglądzeniem człowieka; dalej oświadczając, jaką nienawiścią gorzej względem Tszao-tun, tłumaczy z bezczelną szczerością, jakich używa podstępów, zdrad i okrucieństw, by zgubić nieprzyjaciela swojego i jakie w tej chwili ma zamysły i t. d. A w dramacie Hoéi-lan-ki czyli w »kółku krędą kreślonym« (\*) pani *Ma*, co później truje męża, tak się przedstawia publiczności: »Mężczyźni nieustannie wielbią powaby moje, więc też chęci podobania się przypisać należy rumieńce na licach i barwy koralowe ust moich; ale wystarczyłaby miednica z wodą, by w okamgnieniu zniknęły te piękne kolory..... Ja jestem pierwszą żoną Pana »Ma« ..... udało mi się zawieść ufność mojego małżonka. W sąsiedztwie mieszka pewien pisarz sądowy i t. d....

Prawda, że ten zwyczaj oświadczania się publiczności znajdujemy też niekiedy w greckich dramatach, ale tam zaiste ma inne znaczenie, a nadto ten widz, ten lud grecki inaczéj zupełnie waży w swojej Historii ojczystéj, którą mu odgrywają na teatrze, anizeli te chińskie biedaki w tych dziejach mdłych państwa swojego. A przyznasz zresztą, że jeżeli dzieła dramatyczne są arcydziełem greckim, toć już pewno nie dla tego zwyczaju o którym mówimy, a który jak nie jest zaletą teatru greckiego, tak też nie jest główną wadą teatru chińskiego.

---

(\*) Hoéi-lan-ki ou l'histoire du cercle de Craie, drame en Prose et en Vers traduit du Chinois par Stanislas Julien. Londyn 1838.

Dramatowi zbywa w Chinach na warunku żywotnym. Świat chiński jest światem w sobie zwicznym; więc też to pathos, to uczucie wszechmocne, tragiczne, porywające człowieka do działania, nie ma prawdy w Chinach; a lubo jest niby prawdą dla Chińczyków, toć właśnie dla tego, że jest krzywe w sobie, że jest uprzedzeniem dowolnie przyjętym (konwencyonalnym), nie może mieć nawet u Chińczyków téj wagi głębokiej, jaką mają prawdy czerpane z ogólnej natury ludzkiej, nieprzemijającej nigdy. Uważ, że w tragedji »Sierota Chiński« rzecz głównie na tém się zasadza, aby ocalić chłopczynę, który sam jeden pozostał z całej wyrzniętej rodziny. Własna matka, widząc niebezpieczeństwo dziecięcia swojego, rozpacza w prawdzie, ale jój rozpacz nie jest boleścią przejętego trwogą serca matczyńskiego, lecz pochodzi jedynie z obawy, by nie zaginął mściciel zamordowanej familii i dziedzic jój imienia. Tsching-ying lekarz ocala pacholę; on własne dziecię swoje podstawił na miejsce onego malca na śmierć przeznaczonego. Do tego poświęcenia zaś znie-wala go przekonanie, że gdy jego własna rodzina jest tylko uboczną gałązką onój rodziny przeznaczonój na śmierć, więc mu się zdaje że lepiej poświęcić gałązkę, niż konar główny. Wszak i on sam, straciwszy syna swojego, płacze nad nim, ale nie płacze rozdartą duszą ojca, lecz z rozpaczy, że dziedzica mieć nie będzie. Widzisz tedy, że się tutaj wszystko dzieje prawdziwie z chińska.

Przyznaję atoli, że wiele piękności jest w téj tragedji, że niektóre sytuacje zręcznie obrachowane, że w niej wiele uczuć rzewnych. Inaczéj wszelako być nie

może. I Chińczyk jest człowiekiem, i w jego sercu żyje prawda, choć przygłuszona, choć oskorupiała przesądami.

Zwracam uwagę twoją na jeden jeszcze zwyczaj zachowany w tym dramacie, podobnie jak i we wszystkich sztukach teatralnych w Chinach. Rzeczy zwyczajnego, potocznego znaczenia wymawiane są przez aktorów zwykłym sposobem; gdy zaś występuje uczucie mocniejsze, głębsze, wyrażające czyli to boleść, czyli to radość, czyli niepokój lub strach, wtedy osoba dramatyczna przemawia śpiewając. Ta liryczność, wpleciona w dramat, wedle mnie dowodzi instynktu szczęśliwego dramaturgów chińskich i jest rzeczą nierównie właściwszą niż tryb naszej europejskiej opery, w której treść najbłahsza, najprozaiczniejsza, równie bywa śpiewaną jak uczucia gwałtowne i myśli wzniosłe. Wróćmy atoli do naszej tragedyi. Żał mi że nie mogę korzystać z przygotowanej dawniej pracy, w której, rozwijając osnowę całej sztuki, umieściłem najważniejsze ustępy; byłbyś więc tém łatwiej przystał na moje zdanie o téj dramaturgii chińskiej. Rzecz o tych Chińczykach jednak już i bez tego urosła mi zbyt pod piórem i zabrała więcej miejsca, niżby się jój słusznie należało. Dodaję przeto tylko jeszcze jedną uwagę. Jak społeczność chińska nie jest gruntem właściwym dla rozwijającej się indywidualności człowieka, tak i w dramacie jój charakterzy nie zdołają się rozwinąć, figurom brakuje wnętrza, one nie mają ani głębi duchowej, ani sumienia; a jak w téj społeczności nikt nie może się ruszać swobodnie i odetchnąć całemi pierściami, tak i na teatrze siatka nitek konwencyi, przesądów, i dzi-

wact krępuje dusze postaci działających. Stąd tutaj atmosfera tak ciasna, duszna, dławiąca. Nakoniec zważ że usposobienie umysłu chińskiego nie jest pewnie stanowiskiem, z któregooby przejrzyć można wskrószyć rządzącego świata, co niewidome dla oka zmysłowego, zewnętrznego, władają losami ludzi i świata całego.

Z tego, co rzekłem, z łatwością już odgadniesz jaka jest i lira chińska; nie zbywa nam na poematach chińskich tłómaczonych na języki europejskie. Uczucia w nich miękkie, łagodne, sentymentalne; te piosenki bywają słodkie, miłuchne; ale im, równie jak całemu usposobieniu duchowemu tego ludu, brakuje głębi prawdziwej. Śpiewak nie zapuszcza się nigdy nurkiem w topiele duszy swojej. W innych krajach boleści i uciechy, rozlane po wszystkich sercach, zbierają się w piersiach wieszczą, a on za cały lud swój cierpi, śpiewa i kona. Gdy ta pieśń zadrga w głębiach istoty wieszczą, już zatrząsie posadą ducha jego, a wieszczę sam zatrwoży się pieśnią własną; własne dzieło jego uchwyci go lękiem. Bo co uczucia, co radości i żalu w tajniach ukrytych całego kraju, to zrywa się w duszy mistrza, wypada na świat ogniem grzmącym, niby słupem żarzącym wulkanu i lawą kipiącą. A jak te moce, co wrą i palą się w podziemnych ciemnicach, i cisną się, zwierają z sobą aż rozsadzają piersi wulkanu; tak wieszczę opłaca często żywotem swoim te kipiące potęgi we własnych piersiach i jemu często boleści serce rozsadzają ogniem, co go trawi; opłaca je żywotem swoim, i jemu niekiedy pękają piersi z cierpienia.

Ale w Chinach lira nie jest tym wulkanem wzniosłym i hardym; to wzgórze łagodne, łube, co umajo-

ne w wonne zioła i kwiaty; lud ten spokojny i cichy wije sobie z kwiatów, z ziół, bukiety i wieńce i składa je u stop kochanki, lub matki; albo stroi niemi podnoże cesarskiego tronu.

Lira chińska, to nie orzeł, co mieszka w samotni na skalnych wysokościach a bije lotem w nadobłoczne niebo;— piosenki chińskie, to stado gołąbków domowych, chowanych, pieszczonych, co czyste, miłe, białe, gruchające szczęściem i miłością.

Poezja cała, a mianowicie lira chińska, nie jest córą natchnionej fantazyi, ale za to jest łamigłówką pełną zagadkowych conceptów; tyle jest w niej sztuczności wymyślniej, tyle niby znaczeń ukrytych, dwójznacznych, że bez osobnego komentarza trudno zrozumieć misterne myśli autora. Jakoż ku temu celowi istnieją nawet dla Chińczyków słowniki poezyi a słowniki ogromne, bo o 100 lub 200 tomach (\*). Gdy właśnie ta poezja nigdy się nie wznosi pod nad gwiazdy i skromnie a rozsądnie chodzi sobie po ziemi, dla tego zdaje mi się, że najwłaściwszym rodzajem dla niej są powieści ze zwyczajnego życia wzięte, których też tutaj nie brak wcale. Te powieści obyczajowe, jakby obrazki hollenderskie przez Chińczyków malowane, pokazują nam świat prywatny, codzienny tego dziwnego ludu.

Zamiast cobym się miał rozszerzać komentarzem nad naturą tych powieści, wolę przywieść ci jedną z nich, choć jej treść wielce skrócić mi wypada, co nie zawadzi bo jest dość nudna i czeza. Ona niechaj ci będzie typem ogólnym wszystkich podobnych roman-

---

(\*) Stan. Julien w przedmowie do tragedyi: Hoëi-lan-ki.

sów (\*). Wszak ona doczekała się w Chinach wydań nader licznych, co już świadczy jak przypadła do smaku swojej publiczności. Tytuł jój »Eiśé Kwiatu.«

Żył niegdys w Chinach młody słuchacz akademii, młodzieniec wielkich nadziei a było mu na imię Lyang. Pan Lyang atoli mimo talentu świetnego, mimo żądry mądrości, trapiiony był tęsknotą niewypowiedzianą, nieukojoném pragnieniem; bo dniem i nocą przemyślał nad tém, jakby sobie znaleźć małżonkę godną siebie. Daremnie »chadzał do ogrodu, by uszczknąć sobie kwiaty, daremnie miluchne ptaszki witały gościa z gałązek lubych, daremnie kwiaty otulały go wonnym obłokiem« serce młodzieńca trawiła tęsknota. »Jakże mało ludzi, woła Lyang, dosięga szczęścia, którego doznają ptaki wodne Juen i Jing, które w umizgach wzajemnych i pieścizotach lubych pływają sobie około brzegów stawu! Jakże piękne jest życie, gdy się kocha wzajemną miłością i z całego serca!« Nakoniec woła: »oto już ja ośnaście wiosen przeżyłem i napróżno żyłem!« (\*\*)

Taki niby początek téj powieści; czynię ci tu uwagę, że niezmiernie często w chińskich romansach mowa jest o kwiatach, księżycu, potoczkach, liliach, woniach i t. d.—Koniec końców szczęśliwe natchnienie poprowadziło pana Lyang do ciotki. Tutaj student rozkochany błąka się i marzy, marzy i błąka się po nocach księżycowych. Aż tu pewnego wieczora, księżyc, co to bywa opiekunem i patronem wszelkich cierpień miłośnych, ukazuje mu ogród sąsiedzki, a w tym ogrodzie altankę, a przed altanką

---

(\*) Ob. Abel Remusat: *Nouveaux mélanges asiatiques*, i słóm p. Dr. Kurz téj powieści: *Das Rosenblatt* St. Gallen. 1836.

(\*\*) Kurz l. c. str. 5.

dwie panny, grające z sobą po księżycu w warcabę. Jedna z tych dam była tak precudna, tak prześliczna, iż serce pana Lyang rozebrała niewypowiedzianą rozkoszą »a szczęściem, któremu już żadna ludzka mowa bynajmniej nie wydoła.«

Ale wnet losy zawistne zachmurzyły oną rozkosz i owo szczęście naszego bohatera! Panna Yao-sian, bo tak się zwało owo piękności cudo, przybyła tylko w gościnę w tamte strony. Wróciła tedy wnet do ojca swojego, a ten ojciec był generałem a niegdyś towarzyszem szkolnym ojca pana Lyang.

Po odjeździe lubej panny Yao-sian miłość tak już była posiadała duszę młodego akademika, że już w żaden sposób nie mógł sobie dać rady; więc puszcza się za kochaniem swoim, staje na miejscu; wtedy, biorąc się na sposób, kupuje ogród przytykający do mieszkania generała. Potem z tytułu sąsiedztwa »prezentuje się« w domu jego.

Zapomniałem ci atoli powiedzieć, że ponieważ panna Yao-sian miała wszystkie najwyższe zalety, więc była i poetką. Otoż złożyła prześliczne wiersze na »wierzbę płaczącą, co smutne gałązki kapie w źwierciedle wód krystalicznych ogrodowego stawu.« Dziwnym trafem ten poemacik dostał się w ręce rozmiłowanego studenta, więc też on nie leniąc się czémprędzej wystosował piosenkę, pilnie bacząc, aby w niej zachowaną była ta sama miara wiersza, której użyła ulubienica serca jego; bo zachowanie miary znaczy w Chinach, że i serca sobie odpowiadają wzajemnym zapałem. I jakoś tak się rzeczy złożyły, że panna służąca ślicznej Yao-sian była pośrednicą téj gorącej miłości; nie dziw

przeto, że kochankowie zeszli się z sobą w ogrodzie; takie schadzki atoli bywają w Chinach, jak słychać, rzeczą arcy-niebezpieczną, i dla tego też bardzo rzadko się trafiają. Panna Yao-sian uznała pierwsza niebezpieczeństwo takowe, więc rzekła: »Spotykamy się pod śliwą i wśród grządek, na których pełno melonów« (nie tłumaczę ci téj przenośni, znaleźć atoli możesz bliższe znaczenie jój u p. Remusat).

Za powtórném widzeniem się kochanków nastąpiły, jak to bywa, przysięgi i straszliwe zaklęcia. Lyang sam podaje swojej damie rotę spólnéj przysięgi, którą ona też słówko po słówku za nim powtarza: »Bodajbym przepadł w piekło na wieki, bodajbym nie wrócił nigdy w koło istnienia, gdybym kiedyś miał złamać te śluby moje! Bodajbys ty utonęła w nurtach bystréj rzeki, bodajby cię nie chybił topór, gdybys miała zgwałcić przysięgi twoje«!

Pan jenerał i pani jenerałowa, przypatrzwszy się bliżej młodemu Lyang, widzą, że to człowiek wcale do rzeczy a wielce przyzwoity; nie sprzeciwiają się tedy bynajmniej skłonnościom córki swojej. I jakoś wszystko ma się ku najlepszemu, gdy one losy zazdrośne znowu cichaczem gotują skądinąd cios okropny, albowiem ojciec kochanka, nic nie wiedząc o sentymentach syna, wybrał mu już inną żonę;— więc zmartwienia, a żale, a kwasy, a zazdrość i fochy.

A jakby nie dość jeszcze biedy, waleczny jenerał otrzymuje rozkaz, by bez zwłóki udał się na granicę państwa i gromił nieprzyjaciół. Wyprawa jego nie była nader świetną; jenerał otoczony został w kółko od nieprzyjaciół srogich, więc odcięty od swoich. Wtedy Ly-



ang śpiesznie zdaje examina najwyższych stopni, a zdał je z wielką chwałą; więc wedle przepisów chińskich miał prawo dowództwa nad wojskiem. Oddano mu też korpus, z którym on rusza na owe granice, by wyswobodzić ojca swojej drogiej pani. Przecież, niestety, i nowy wódz, podobnie jak poprzednik, otoczony został w kółko od nieprzyjaciół i odcięty od swoich. W stronach jego rozchodzi się nawet wieść, że zginął w krwawej potrzebie; więc w domu płacz i narzekanie. Niestety takowe podaje sposobność pannie Yao-sian wywodzenia najtkliwszych żalów a trenów i wierszem i prozą. Druga zaś narzeczona młodego bohatera z rozpaczy rzuca się w rzekę! Jakimś szczęśliwym trafem atoli zdarzyło się, że nie daleko na łodzi przechadzał się pan Lung Inspektor szkół; ten, widząc tonącą pannę, ratuje nieszczęśliwą. Gdy się to dzieje, jeden z towarzyszków akademickich biednego Lyang otrzymuje dowództwo nad trzecią armią; gwałtownym pochodem staje na owej nieszczęśliwej granicy, uderzył na wrogów i uwolnił starego i młodego jenerała. Wszyscy więc wracają z tryumfem. Cesarz, wynagradzając ich zasługi i cuda waleczności, nadaje wszystkim tytuł »Pe« co znaczy tyle, co po naszymu »książe.« Wszyscy też bardzo szczęśliwi; jeden tylko Lyang się trapi, bo ma dwie narzeczone! Jednak wielce mądrze sobie radzi w tej trudnej sprawie, bo, za zezwoleniem nader cnotliwej i pięknej Yao-sian, bierze sobie obie za żony. A żyli długo i szczęśliwie.



## LIST XV.

### Indye.

Wstęp.— Natura Indyi.— Jój przewaga nad człowiekiem.— Kasty.— Pokutniki i pielgrzymki.— Gminna i artystyczna fantazyja u Indów.— Bagawidgita.— Wnioski wypływające z téj pieśni.— Pojęcia religijne tlómaczą zjawiska zewnętrzne.— Pantelzm Indyjski.— Mitologia.— Wypadkiem tego usposobienia jest fantazyja odpowiednia.— Cecha téj fantazyji w rzeźbie, w architekturze, w poezyi i muzyce.— Sakantala.

**K**ażdy lud na dnie serca swojego przechowuje wrodzoną sobie poezyją; z tych głębin najskrytszych jego istoty wypływają mu na jaw i marzenia i żale i pocięchy jego; a póki lud jest sobą samym, póki jest świadom siebie, póty też i ta wewnętrzna poezya nie umiera, a żyje życiem pełném, choć ją głośnie światowe hałas, choć ją tłumią burze zewnętrzne i wichry straszliwe. Tą poezyją jest owa fantazyja *powszechna* wszędzie rozlana, wszędzie obecna, drgająca po wszystkich sercach, po wszystkich latach i wiekach;— a ta fantazyja, choć każdemu ludowi jest posagiem w świat i otuchą w życie, przecież w każdym ludzie jest inną a inną; ona tak mu własna, jak ma własną krew i uczucie i myśl. Więc choć powiewy przyniosą pieśni uroczne ze stron dalekich, ze stron obcych; choć z krain wiecznej

wiosny przyniosą dźwięki cudowne, ale cudze, toć przecież w sercach cicho, spokojnie i chłodno, przecież tęskno w duszy; przywiane zdaleka pieśni a dźwięki ulecają jako woń zbladłej róży, jako liść laurowy oderwany od gałązki rodzinnej. Gdy atoli z własnej kości, z własnej duszy, z własnych borów i gór, i z własnego nieba urodzi się wieszcz, a z najgłębszych piersi zaśpiewa pieśń; wtedy i w sercach wszystkich i w duszy każdej śpiewno, wrząco, uroczysto, świątecznie, i każda dusza, każde serce odezwie się wszechmocnym dźwiękiem i zawtórzy mistrzowi, a tęsknoty i marzenia staną się jawem w pieśni.

Atoli chwile te rzadkie są i drogie w dziejach ludów; najczęściej wloką się ich dni i lata w ckliwiej życia prozie; lecz i w tych szarych, powszednich chwilach lud każdy, choć nieświadom tej poezji swojej, byleby był zdrow na sercu i myśli, znajdzie tę poczyą swoją, tę fantazyą sobie właściwą w swoich dziejach przedświtowych; w niej się dopatrzy rozplyunych postaci pradziadowych lat; z tych starych wieków dosłyszysz głosów, niby wołania dzwonka z za boru, co wzywa wśród mglistego mroku na nabożeństwo poranne.

Przecież i każdy pojedynczy człowiek ma te bajeczne dzieje żywota swojego; one mu dzwonią wspomnieniem lubem z poranku młodosci, z dziecięcych lat; on niemi się pieści i bawi, niemi się chłodzi i krzepi, gdy go znękają i złamią życia trudy; on pieści się, bawi i krzepi, gdy mu te wspomnienia przyniosą i baję, i powieści, co mu tak błyszczą, tak świecą jako złote jabłuszka, jako obrazki świeciste. Wtedy znow cudem

fantazyi zmartwychwstaną mu czasy dawno zapadłe, postaci dawno pomarłe.

Dzieci, zwłaszcza na północy, żyją wśród czarów, uroków i marzeń, póki im anioł nie zamknie bramy do rajskich ogrodów ułudy; a co wspomnień człowiek uniesie z téj życia wiosny, toć już jego własnością a skarbem złoży się do grobu; a choć życie zziębi go i zmrozi, w sercu będzie wiecznie ciepło, wiecznie młodo i tkliwo.

Jedna też wszystkich dzieci na północy historia. Bo gdy zimowe wichry zerwą się wieczorem, gdy wirem szalonym zatoczą śnieżne zamieci, a goniąc i pędząc przed sobą białe tumany, biją w szyby dźwiękiem żałośnym, jękiem przeraźliwym, albo też latając po polach, kniejach, huczą, szumią, i znów po dachach, strychach, kominach, niby dusze czyscowe kwilą i żalą się, i płaczą i świszczą; wtedy w izbie dzieci, zagrznane igrą i pustotą, zamilkły, tulą się kółkiem do piastunki swojej, a zanim wieczorny zmówią paciorek, chciwe są jeszcze posłuchać gadki czarodziejskiej, co straszy i pieści, grozi i trwoży i bawi. Więc dzieci w naprężonej ciekawości przejęte rozkoszą i lękiem umilkły, cała ich dusza w uchu, a w oczekiwaniu pukają serduszka małe. Ale piastunka stara sama się kłopotci i biedzi, bo się trwoży, że jej może już i gadek nie stanie; a w siwej głowie, w pamięci wyschlęj radaby jeszcze odgrzebać przypomnienia dawne. I trapi się i kłopotci piastunka stara! Ale na dworze wśród śnieżnej zamieci, wśród ciemności zimowego wieczora, snują się postaci dziewicze, ledziuchne, powietrzne, jakby ze mgły, a z poświaty brylantowej śniegów utkane; krążą wirem i lotnym tanem, toczą koła, a koła te coraz bliższe a bliż-

szę, aż widziadła w okna wejrzą, aż piastunkę i dziatwę obaczą; więc wpadną do domu, i chuchną na czoło piastunki i natchną fantazyą, a staruszki czoło się rozjaśni, a oczy zemdlone znowu zaświecą blaskiem; więc już natchniona prawi dziatkom baję i plotki o królu i królowej, o królownie złotowłosej, o rozkochanym królewiczu, o wrózkach, o czarownicy złośliwej, o czarnym kogucie, o onej szczoteczce, co w las urosła, o drzewie grającem, o ptaszku mówiącym, o górze szklanej. Gdy piastunka baję i gada, już owo grono lekkich dziewczyczych postaci obleciało wszystkie domy i chatki, i dzieci i piastunki wszystkie, a zanim świt, już przez Tatry i morza, przez Arabią czarodziejską wrócili duchy do dalekiej ojczyzny swojej, do dalekiej ojczyzny nadgangesowej, kędy grody lodowe Himalajów stanęły odwiecznym Indyom na straży.

Skąd dzieciom ta czarodziejskich bajeczek żądza? Skąd onym pierwotnym ludom Wschodu, tym Arabom, tym Indom, ta miłość do nadprzyrodzonych powieści?— Skąd to podobieństwo gadek arabskich, indyjskich, do powieści, co bają nianki dziatwie po wszystkich krajach? Skąd!— Choć każdy lud, każdy naród ma sobie właściwą fantazyą, jak ma własne serce i własną krew, choć ta fantazyja powszechna jest w każdym ludzie inna a inna; toć znów prawie wszystkie ludy w dziecięctwie swoim, jak wszystka dziatwa drobna, to mają spólnego, że ideę najwyższą zastępują sobie obrazami swojej fantazyi. Duch człowieka przeczuwa instynktem serca, że ten świat materyalny, że ten świat skończonych, dotykalnych, widzialnych rzeczy nie jest jeszcze całą prawdą; instynktem przeczuwa, że zjawiska powszednie, co-

dzienne, są dopiero pierwszym pojawem, zewnętrzną oznaką duchowych prawd, co wieczne i nie przemijają nigdy. Gdy jednak duch dziatwy i pierwotnych ludów niezdolen pojąć jeszcze onych prawd wiekuistych, gdy niezdolen rozmówić się z onym duchem, którego dech jest rzeczy stworzonych żywotem, gdy niezdolen ująć wszechjестestw rozumem, więc zamiast wiekuistego ducha, widzi duchy, na miejscu nieskończonej mądrości, fantastyczność cudotworną, zamiast przedświatnych ustaw, rządzących niewidomie człowiekiem i naturą, a prowadzących opatrnie wszystko do celu, widzi czaroksiężkie moce;—tak rozum i pojmovanie trzeźwe, głębokie zastępuje sobie fantazją, fantazją powszechną wszędzie rozlaną. Bajeczki i gadki, w których rozmiłowana dziatwa, powieści czarodziejskie, zrodzone z duszy onych ludów, są iście dowodem że duchowi człowieka nie starczy świat powszedni, materyalny, że tęskni, by się wznieść nad koło poziome rzeczy skończonych i marnych.

Jak każdy człowiek pojedynczy w dziecięctwie swoim przebył wiek fantastycznej życia ułudy, jak każdy naród stroi początki swoje fantazyi kwiatami, tak znów ludzkość cała, wszystka Historia Powszechna prześniła, przemarzyła w Indyach ułudny wiek swojego pacholeństwa i poranne dzieje swoje. Życie Indyi jest zaiste życiem marzeń, tu ojcowizna fantastycznych widziadeł; więc też jak dawny świat, tak dawne narody wszystkie i ludy wszystkie tęskniły do Indyi, do młodości swojej; do Indyi one wzdychały przez wieki całe, jako do rajskiej dziedziny, nierozczarowanej jeszcze młodości.

Ta tęsknota powszechna okazuje się nie tylko w powieściach, w tych wszystkich świecistych bajkach, złoćających wyobrażenia o kraju tym, ale nawet ku tamtej stronie świata mieli się zdobywcy i pogromcy ziemi. Stamtąd zawiąła ochota na Macedońskiego Alexandra, onego króla o sercu młodzieńczém, szerokiém, o fantazyi poety, by ujrzał brzegi świętego Gangesu; i parła go ochota, aż stanął nad Indusem. Ale tu dech nieznanego świata przeszedł mrowiem żelazne zastępy jego,—i zastępy zatrzymały się nieporuszone. Nadaremnie prosił Alexander i błagał, nadaremnie zamknął się smętny w namiocie, nadaremnie:—trwogi ujęły serca niezwycięzonych hufców;—i wrócił młodzieńczy król, z nieukojoném pragnieniem, i zesmutniał, i umarł. Znowu, po wielu wiekach, one rzymskie ludobójcze legiony, którym fantazyja była niby bajka, poezya zaś cackiem, a jedyną prawdą szabla, nie zdołały się oprzeć wołaniu niewidoméj poezyi, która wieje przez świat i ludy,—legiony dotarły tryumfem do Indyi. Ale i na tych pogromców świata padły oczynienia czarodziejskie, i było im dziwnie jakoś i markotno na sercu; zalatywały ich wonie obcych światów i głosy niesłyszane nigdy. Znowu ruszyły orły rzymskie ciężkiém skrzydłem do swojskiej północy, kędy znów wróciło im się panowanie nad ludami i uczuciem własném, a historia zapomniwała już drogi do Indyi.

A lubo świat zgubił sobie drogę do Indyi, przecież chętnie jeszcze o nich gawędził i bajał, jakby o wieści cudownéj, czarnoksiężkiéj. Średnie wieki, co już życiem wewnętrzném toną w głębiach własnego ducha i rade zamykały się w sobie życiem domasz-

ném, przy ognisku domowém zebrane; te średnie wieki, co same tak fantastyczne i urocze, bajały i plotły o onym kraju, kędy tak dziwne a kosztowne rzeczy rosną, kędy pieprz się rodzi i korale i cynamon, kędy ślimaki żyją perłorodne, a świecą stósy szmaragdów i rubinów, kędy wonią kadzidła i straszą lwy, tygrysy i krokodyle ohydne, a bajały o kraju, z którego dla mądrego króla Salomona przychodziły i słonie i małpy i klejnoty, gdzie się niewiasty na stosie pałą, a mądrość tak odwieczna i głęboka jak te jego czarodziej-skie knieje. I spłynęły snem same te średnie wieki, i uleciały niepamięcią same te zamki i pustelnie, krzyżowcy i piękne damy, trubadury i karły, i turnieje i pielgrzymy! Życie poetyczne średnich wieków przeszło marzeniem; świat zrozsądniał, zprozaiczniał; noc fantastycznych widziadeł stała się trzeźwém, jasném południem, a Indye—Indye zostały krajem niestarzejacój się nigdy fantazyi, krajem cudów i czarów. Tutaj wiecznie kipi i pieni się odurzający puhar marzeń.

Wszak nawet samo dzieło najtrzeźwiejszego rozumu i politycznej mądrości urosło na tym gruncie Indyi w ogrom fantastyczny, w dziwo do sennych widziadeł podobne.

Na szarój ulicy starego Londynu, co jest olbrzymią głową maluchnej wyspy w Europie, zbiera się dziś od czasu do czasu niepozorne grono kupców, niepozornej postaci. A jak się zejda, to radzą i myślą, liczą i kombinują, a każde ich słówko centnarem złota zaważy. Ci ludzie— to władcy mitologicznego państwa Indyi, onego państwa, co się ciągnie wzdłuż przez świat przestrzenia jak Europa od sycylijskiej Messyny do ostatniej



podbiegunowój, lodowój zatoki Norwegii, a ciągnie się wszertz, ot tak jak od Lizbony do Smoleńska. W tém państwie, jedno sto milionów mieszkańców korzy się w zupełném poddaństwie, a drugie sto lennictwem unizóném. Te kompanie kupieckie trzymają w posłuszeństwie królów o kilkunastu milionach poddanych, a starszych dynastyą niż rodzina Burbonów; to stowarzyszenie kupców ma na żołdzie swoim liczniejsze wojska niż Francya cała, a coby było dochodem nieostatniego królestwa w Europie, to ci kupcy płacą jako pensyą, jako chleb łaskawy indyjskim książętom, królom i jednemu cesarzowi, wziętym w niewolą. Czyliż to nie są dziwy! Czyliż ta sama prawda prozaiczna nie przybiera się tu w kształty a ogromy fantastycznych marzeń, udając mityczne, bajeczne postacie (\*)!— Gdy zaś już sam dech Indyi rozniecił fantazyą płomienną we wszystkich ludach nowych i dawno pomarłych, na które wionęły tchem uroków swoich; gdy na téj ziemi dziwotwornój sama nowoczesna polityka zrodziła potęgę olbrzymią, do marzeń podobną, pomyśl, czém dopiero być tutaj wienna sama fantazyja tych rodzinnych ludów, co od lat tysiąców śnią i marzą w tym kraju cudów, jako w przedwiecznej ojczyźnie swojej!— Zaiste, tutaj sama natura jest ową piastuną czarodziejską, co uczyniła ten lud śpiewając mu pieśni rajskiej ułudy, otaczając go cudami stworzenia, jakby sennemi obrazami; tutaj duch człowieka ukołysany mocami przyrody drzémie i marzy; on

---

(\*) Pogląd ten na potęgę kompanii Indyjskiej opiera się na dziele pośła szwedzkiego w Indyach, Björnstierna: Das britische Reich in Ostindien. Przetłómaczone na język niemiecki i wydane r. 1839 dzieło to wielce zajmujące i polecenia godne.

pod urokiem demonów zmysłowych przez sen prawi, niby dziecię gorączką trawione; to uśmiecha się rozkoszą anioła, to płacze przez sen.

Tak jest, duch indyjskiego ludu nie zdoła się wyzwolić z objęcia natury, która go trzyma czarnoksiężkim urokiem.

Jeżeli gdziekolwiek, toć zapewne w Indjach przyroda kraju wyjaśni nam fantazyą, która się rozwinęła na łonie jego; jeżeli gdzie, toć zaiste w Indjach natura jest czynnikiem przeważnym w życiu, religii i sztuce ludu.

Chciej tedy ze mną rzucić, choć polotnie, okiem na uposobienie téj indyjskiej przyrody; spójrznie to, choć lekkie, będzie samo przez się już dokonaną połową celu zamierzonego w tym liście moim.

Dwie rzeki ogromne: z Zachodu Indus, ze Wschodu Brahmaputra, zamknęły kraj ramionami swojemi; na Południu wazą się fale Oceanów. Gdy ruszysz ku Północy, rzeźba kraju wznosi się piętrami, buduje się coraz wyżej, a w odległości mil czterdziestu obaczysz już na widnokręgu niby obłok ciemny; im dalej pociągniesz na Północ, tém ten obłok rośnie, wzmagą się w kształty silne, zuchwałe, rozdziela się na turnie, grody, co potężnym, butnym zarysem odcinają się na błękitach indyjskiego nieba. W końcu to budowanie Boże staje przed wędrowcem w niewypowiedzianej uroczystości majestatu swojego. Jestto Himalaja,—wzrąb nie tylko Indyi, nie tylko Azji, ale całej ziemskiej kulicy, moc i więźba. Lodowce Himalajów i śniegi promieniają się w słońcu niby srebrne zwierciadła, rozświecając kraj w okółto, a poświata ich dziwnie zagląda w ciemne pomroki

pomarańczowych i palmowych lasów, co odziały równiny, doliny, jakby tajemnicą świętą.— Himalaja! Wszak najwznioślejszy szczyt Alpów, ów Montblanc, mógłby mu być podnożem; boć dwadzieścia rogalów Himalai wyższe są niż Chimborasso amerykański. Tutaj ludzka noga nie zagości, tu życie nie sięga, tutaj wieczna cisza, wieczna niemota jak przedświata stworzeniem; tu jedynie przemawia grzmot piorunnych wałających się śniegów i gruchocących się lodów. Tutaj straszliwa wspaniałość natury biegunowej i wiekuistych mrozów, w sąsiedztwie zwrótników skwarnych, palących, założyła panowanie swoje. Tutaj też gorejąca fantazyja Bramina zapala się płomieniem na widok Himalajskiej natury i przeradza się w cudną, wzniosłą poeziją. Tutaj Bramin widzi swoich bogów i stolicę i tron; zarysy jasne lodów i śniegów są »uśmiechem Siwy, wielkiego boga!« Na tych przyczolach błyszczących zasiadł ty- »siaćooki Indra, co skały kruszy; ów bóg błyskawiczny, »co, rozsyłając po ziemi pociski piorunów, pokazuje »ludzkiemu rodowi łuk swój tęczą na niebie.« Tamto »po przezczystym nurcie powietrznym żeglują potężnym »szeregiem srebroskrzydłe łabędzie, posłańce obłoczne »wiekuistych bogów.« W tych pałacach lodowych rodzi się Ganges święty, wypada z pod sklepów kryształowych, ubranych w cizbę nieskończoną sopli błyszczących. Gdy te tysiączne sople zagrają w słońcu barwami, gdy wody rzucą się w przepaść, w dyjamenty się rozpryskując, wtedy zadrży podziwem serce człowieka, jako już nigdzie więcej na świecie, a natura majestatem uroczystym myśl jego uwięzi. Rzeka Ganges przybiera się w potęgę i toczy się na południe tak olbrzy-

mim łożem, że w porównaniu z nim i najogromniejsze rzeki Europy maleją w niepozorne potoki. Ganges, równie jak Nil, nabrzmiwa peryodycznie, zalewając jakby morzem kraj; ale zanim jeszcze wody jego z równin do Oceanu spłyną, już na te wody uderzają upały pory gorącej, skwarnej. Tak wilgoć parna a spotęgowane ciepło, razem złączone, wykipiają w roślinność tak potężną, tak bujną, o jakiej my w naszej części świata wyobrażenia nie mamy; więc wegetacya tameczna dźwiga się, wyteża w kształty gwałtowne, olbrzymie, potworne. Urodzajność téj ziemi, potęga przeważna klimatu, moco materyi, tak tu są silne i wszechwładne, że ta bezduszną naturą przytłumia ducha, a ciało człowieka, to arcydzieło materyi, bierze górę nad myślą jego; tutaj myślenie jest marzeniem, rozum gorącą, senną fantazyą. Nawet mieszkaniec Europy, przybywszy do Indyi czerstwy, rzeźki i ochoczy, wnet uczuje się być pod urokiem magicznym téj natury, a życie jego, ukołysane miękkością i pieśczętami klimatu, popłynie mu na poły jawem, na poły snem uludnym, wśród téj przyrody czarnoksiężkiej, cudownej, majacznój (\*).

Przyroda Indyjska jest świeża, potężna, jaką była najajutrz po stworzeniu świata, i podobna do téj natury dziwniej, której szczątki znajdujemy skamieniałe we wnętrzach ziemi naszej. Tam ćmiał się po wzgórzach i dolinach knieje nieprzebyte indyjskiego dębu (*tectonia grandis*), który niema już równego sobie na świecie w budownictwie lądowém i okrętowém. Wszak pod Bagdadem dziś jeszcze sterczą jakieś olbrzymie gruzy

---

Bitter. I. c.

starego grodu, które już od lat tysięcy rozsypały się w zwałiska, od lat tysięcy pokruszyły się jego ciosy, głązy twarde; lecz pałacowe belki stare, z tego dębu wyciosane, leżą na tych gruzach tak zdrowe, tak nie-  
tknięte przez krzywdzącą moc stuleciów i potęgę trawiającą żywiołów, jakby je dopiero wczoraj przywieziono z puszczy. Albo ta palma kokosowa (*cocos nucifera*), tak urocza i pełna wykwintnego stroju! ona strzeliła pniem prostym, wysmukłym, na 80 stop wysokim, a u szczytu rozłożyła liście ogromne kilkołokciowe w kité wzniosłą, wesolą, powiewną. Ta palma jest jakby świętość od ludu czczona, bo ona istnym obrazem opatrznej natury. Indowie naliczyli 99 korzyści błogich, których to drzewo użycza człowiekowi:— olbrzymi orzech jest mu pokarmem, sok napojem; we dnie otula go cieniem, w nocy dostarcza pochodni (\*); z niego drzewo na domy, na łodzie i t. d.

Trudnoby nam przyszło wymienić one wszystkie kadzidła kosztowne, lub owoce i korzenie drogie, które tutaj tak bogatym posagiem dostały się tej ziemi. Wspomnę tylko o jedném jeszcze drzewie tak dziwném, że aż nadaje osobne piętno tej stronie świata i działa zarazem tak potężnie na fantazją tego ludu, że się stało jakby symbolem i godłem jego religii i filozofii. Jest to owa figa indyjska (bananowe drzewo, *ficus Indica*), która w Sanskrycie *aswata* się zowie.— To drzewo jest tak odrębnej istoty, jakoby do innego pierwotnego należało świata; rzekłbyś, że ono zapamięta pierwszy

---

(\*) Porównaj Ritter. *Erdkunde* Tom V i VI, obejmujące Świat Indyjski, oraz Bohlen das *Alte Indien*.

dzień stworzenia. To drzewo jest obrazem religii Indów, jest jakby panteizmem roślinnym: ciągle się odradzając, ciągle się przeradzając, nie umiera nigdy; z jednego drzewa rozrasta się puszcza niezmierna. Konary wyteżają ramiona swoje, nachylają je ku ziemi, z końców ich gałęzi puszcza się korzonki napowietrzne, niby purpurowe frenzle; te zwieszają się ku ziemi, chwytają ją, w niej rozrastają się korzeniem, z którego wznosi się nowy pień, nowe drzewo, które znów dźwiga się, wzmacza się i buja, i znowu wyteża gałęzie swoje, by nowe wydać drzewo, i tak dalej a dalej szerzą się tajemnicza praca natury; a korzenie tej figi tak ogromnej potęgi, że wbijają się w opoki, rozsadzają skały i rozwalają świątnice we wnętrzach gór wykute. Każde drzewo jest jakby kolumną podpierającą konary poprzedniego, niby filarem dźwigającym zielone, gęste stropy liści. Więc zewsząd roztwierają się jakby sklepiaste kościoły, na tysiącu kolumn sparte, wzniosłe krużganki; dźwigają się baniaste kopuły, gotyckie budowania, szerzą się pałace bezmierne, rozświecone zieloną pomroką. Słowem, jestto obraz a symbol onej myśli drżącej na dnie ducha Indyi, onej myśli ciągłego odradzania się, nieskończonego odtwarzania się; jestto uzmysłowienie onej istoty, która jest we wszystkim a przecież jest tylko jedną i tą samą istotą; jest to symbol onej jednej istoty we wszystkich jednostkach, a wszystkich jednostek w jednej istocie. A te rosące kościoły liściaste, pałace i kopuły zielone, te budowania natury roślinnej są ustrojone, ozdobione, wysadzone wszystkimi dziwami bogatej natury. Od ziemi, od spodu drzew, spinają się przeliczne pnące rośliny, chwy-

tają się gałęzi i po nich się snują, przędą, plotą, wyszywając je jakby robotą krzyżową, cudem swoich kwiatów, co lśnią barw przepychem i odurzają wonią. Cały strop kniei jest jakby namiotem z kobierców misternie haftowanych. Leez na tym stropie, na tych kobiercach uwija się cizba nieprzebrana ptaków złotopiórych; tu śpiewa Bulbut, słowik indyjski o «tysiącu pieśni»; tam kołysz się wśród kwiatów wykrygowany, utrefiony Altinga, co bywa ulubieńcem i godłem kochanków w Indyach; a wszędzie gęsta gawiedź papug malowanych w lśniące barwy jaskrawe; a roje te swawolne swarzą się i prawią i śpiewają i plotą od świtu do mroku. Gdy się zerwie i uleci ten cały ród próźniaczy, pustacki, toć już doprawdy słońce się zaćmi; a gdy siądą chmarą na polu ryżowém, toć w kilka godzin do źdźbła zrabuują, poczem wrzeszcząc i krzycząc z łupem do puszczy wracają.

Tak tedy i ziemia i woda, powietrze, lasy i góry i doliny są pełne silnego życia; tu wszystko się raduje potęgą natury bujnej, swawolnej; tu przyrodzie bezdusznej dobrze, miło i rozkosznie; tu wre i kipi życie w tysiącznych kształtach, a natura zaziera w ducha człowieka, majacząc i czyniając siły umysłowe. Tutaj siatka magiczna, niewidzialna, związała trzeźwą, jasną myśl i rozsądek zdrowy. Jakoż ta przewaga przyrodzonych mocy nad człowiekiem ma jakby symboliczne wyrażenie w onój wojnie, którą wydaje natura bezrozumna indyjskiemu ludowi, a zwłaszcza w oném panowaniu dzikiego zwierza nad biednym mieszkańcem tego ogromnego ziemi obszaru.

• Pomijam już te tłuszcze śmiertelnego jadu, potwor-

nego wymiaru węzów, onych alligatorów straszliwych, krokodyłów ohydnych, zaczajonych na człowieka po błotach i młakach; jest tu jeszcze inny jego wróg a wróg najsroższy. Jakoż w Indyach ojczyznę swoją ma rodzaj najogromniejszych tygrysów. Jemu to na łaskę zostawiony lud biedny i nagi, co przed nim ucieka z chatką swoją, wieszając ją po urwistych skałach i warując ją, jakby twierdzą, palami. A przecież z pod téj nędznej strzechy tygrys wynosi nieszczęśliwych mieszkańców, jako krwawe łupy swoje, a przecież wioska po wiosce pustoszeje bezludna, stawszy się ofiarą żarłocznego zwierza. Bo tygrys, wysunawszy się ze trzciny, z pośród tłumu ludzi wywleka człowieka; lub rzucając się z drzewa jeźdźca i konia powali, a choć nikt przed świtem i po zachodzie nie puszcza się knieją, toć przecież rzadko który z biedaków, noszących listy przez puszcze, dochodzi celu swojego.

To władztwo bezduchowej natury nad jestestwem rozumuém tém jest okropniejsze, tém straszliwsze, że we własnym umyśle tego ludu jest jakaś ubliżająca mu pokora przed ślepą potęgą przyrody. Gdy nieszczęśliwemu mieszkańcowi wioski błysnie z gęstwiny krwawe oko tygrysa, wtedy on składając ręce woła: »Mumu!—jam dziecię twoje, przepuść mi życie,« bo u nich jest przekonanie, że ta prośba pomoże, gdyż widzą w tygrysie wcieloną duszę jednego ze zmarłych krewnych. Matki po trzcinach składają własne niemowlęta swoje, niby na przebłaganie ducha tygrysa. A zwierz ten powszechnie jest zwany: »panem na czarnej skale.«

Jakoż Indowie mają w wysokim poważaniu zwierzęta, opiekują się troskliwie najniższém ży-



ciem; owady i gady znajdują staranne, troskliwe współczucie.

Atoli to przemaganie mocy materialnych nad myślą, nad duchem człowieka, nie tylko się wyjawia w klimacie, w żywiołach, w ukształtowaniu kraju i w olbrzymich widokach natury, nie tylko wyraża się wpływem potężnym roślinnego świata i zuchwalstwem okrutnym zwierząt i w onęj czci dla nich; ale występuje jeszcze we formie panowania własnego ciała nad rozumem; a więc istoty zmysłowej, materialnej człowieka nad potęgą umysłu jego. Przepuść mi opisy obrzydłych rozkołysanych namiętności, owego rozbestwienia chuci zmysłowych, co miotając człowiekiem odbierają mu przytomność siebie, wiedzę własnej istoty swojej, co jest tém smutniejszém zjawiskiem, że człowiek ów szal opętania, owo zapomnienie siebie w rozzwierzęceniu zmysłów, uważa być czią bóstwu oddaną. Jakoż poświęcenie się na rozpustę ohydłą, bezwstydną, sromotną, ma tutaj znaczenie religijne!—To wszystko pomijamy. Zważ atoli że ta sama przewaga materji własnej cielesności występuje już najsilniej tutaj w kastach indyjskich; bo te, jak ei wiadomo, oparte na rodowém i zmysłowém, cielesném pochodzeniu, gdyż chodzi między ludźmi wieść że te różne kasty zrodziły się z różnych członków Brahmy, najwyższego boga. Kasty indyjskie przygłuszyły uczucie jedności całego narodu; one nawzajem na siebie nie działając i nie oddziaływając, nie odtwarzając się nawzajem, trwały w odgródeniu od siebie, spróchniały w sobie; tak całość społeczeństwa strupiała, nie doszła nigdy do idci państwa.

Cztery były kasty. Najwyższą jest kasta Brami-

nów— są to bogi wcielone. Kto z innéj kasty ujrzy Bramina, już pada przed nim na oblicze, wołając: »Tyś jest Bóg!« ich osoby nienaruszalne; najdrobniejsza krzywda im wyrządzona nie może być nigdy odpuszczona, odpokutowana; bo ktoby Bramina choć ździebełkiem uderzył jest przeklęty na wieki; ale sam Bramin choćby za najcięższą zbrodnię dotknięty bywa jedynie karą pieniężną. Braminy zdołają naturze rozkazywać i działać cuda. Aby zaś być Braminem nie potrzeba żadnego ukształcenia, bo bramin jest tém, czém jest, z urodzenia; własne przyczynienie się do znaczenia, nadające wartość osobistą, byłoby przeciwko zasadzie; dla tego też ich obowiązki ograniczają się ceremonijałem czczym, bezdusznym, tudzież baczeniem na przepisy drobnostkowe, puste, bezrozumne (\*).

Z drugiey strony rzuć okiem na tę kastę wzgardzonych Pulcasów; są to potępiency zohydzeni: im nie godzi się chaty stawiać; oni zniewoleni żyć pod strzechą ze wszech stron otwartą na wiatry i zimna, lub chować się po gałęziach drzew albo wandolach, na gotową pastwę dzikiemu zwierzowi. Nie wolno im oddychać tém samém powietrzem, w którym żyją inni ludzie, bo sam widok ich trefni człowieka innéj wyższej kasty; gdy go tedy obaczą zdaleka, krzyczą i wyją przestrzegając o swéj obecności, i nim tamten nadejdzie, chowają się w gęstwinę lub na szczyt drzewa. Gdyby atoli,

---

(\*) Braminowi *np.* nie wolno patrzeć się na żonę swoją, gdy ona ziewa, je, kicha; ani przełazić przez postronek na którym cięłą uwiązana; nie wolno mu chodzić po skorupach, ani pozierać na wschodzące lub zachodzące słońce, i t. p., a jeżeli Bramin na starość uda się na życie samotne w puszczy, wtedy już wysokiego stopnia świętości dostępuje.

mimo tego, przypadkiem jakim zeszedł się przeklęty Puleas z kimkolwiek z wyższej kasty, wtedy zabijanym bywa jakby zwierz dziki. Gdy głód wypędza ten ród nie szczęśliwy z boru, wtedy z daleka od mieszkań ludzkich stawiają na ziemi koszyczki plecione swęj roboty i odchodzą, czekając, póki jaki wieśniak litośny, zabrawszy koszyk, nie położy na miejsce jego odpowiedniej wartości zboża, lub innego podarku. Będąc przymuszeni z oddalenia wołać na ludzi, ci biedacy oduczyli się mowy ludzkiej; ich głos podobny jest do ryku zwierząt. Gdy cień Puleasa padnie na wodę, już ona strefiona, i winna być oczyszczona promieniem słonecznym lub księżycowym. Puleas nie jest objęty księgą ustaw karnych; on niema żadnych praw, a więc obelgi, męki i śmierć jemu zadana nie są wcale wyrządzoną mu krzywdą. A patrzajmy, ten Puleas jeszcze nie jest ostatnim w pogardzie, on nie jest jeszcze najniższą kastą; ten Puleas jeszcze się mieni za szczęśliwszego od Pariasa; uważ, że w kście Pariasów znów są trzy stopnie poniżenia, a myśl mrowiem przechodzi, iż w Indyach jest Pariów trzydzieści milionów.

Taki los jest ogromnej ilości ludzi w kraju, w którym, jakby na drwiny ludzkiego rodu, małpy uważane bywają za leśnych bogów, i razem z innemi bożyszczami odbierają cześć i hołdy; tutaj zwierzęta najpodlejsze, owady nawet, mrówki, mają szpitale opiekuńcze swoje i domy ochrony. Uważmy nadto, że ci Indyanie w ogólności są narodem miękkim, zniwieściałym i tkliwym!

Obejdzie się już bez dalszych przytoczeń, bo z tego, co tu wspomniałem, już dostatecznie widać tę straszli-

wą przewagę materyjalnej zmysłowej natury, a mianowicie własnej cielesności człowieka nad duchem, łatwo też już z tego odgadnąć zdołasz, jako tutaj potęgi materyjalne miotają umysłem ludzkim; jak ten krzywy stosunek duszy do mocy materyjalnych wypacza właśnie jej czynności a przedewszystkiēm skręca fantazyę, która, jak wiesz, z istoty swojej odziewa treść duchową w kształty zmysłowe z natury wzięte.

Lecz dziwna sprzeczność gnieździ się w sercu Indów! obok brzemienia przyrody, co cięży suem okropnym na piersiach ludu tego, znajdziesz ostateczność drugą, bo właśnie najogromniejsze zrzeczenie się cielesności i uczuć zmysłowych, znajdziesz poniewieranie rozkoszy, pogardę dla najsroźszych katuszy i boleści fizycznych, spotkasz jakąś żądę szaloną zadawania sobie cierpień bez miary i mąk niewypowiedzianych. Przywodzę ci tylko na pamięć onych pokutników i pielgrzymów indyjskich. W odłączeniu od świata żyje pokutnik (Yogi); liść suchy i woda jest strawą jego, a odzieniem, jak się wyraża dawna pieśń, rośliny pnące, które, obrastając mu ciało, i kaleczą go i krępują, a barki i ramiona okrywają gniazda ptaków, a mrówisko przysypuje nogi jego. W innē miejscu siedzi inny pokutnik wśród czterech rozpalonych ognisk, a z góry słońce zwrótnikowe dopieka ciału jego. Ówdzie znów inny wyciągnął ręce nad głową, chwycił się gałęzi, i trzyma je wyteżone, póki już na życie całe nie stracą władzy, póki nie zeschną same na suchę i martwe patyki. A znów inny pokutnik, tocząc się po ziemi, odprawia pielgrzymki dalekie; inny rzuca się na ziemię wzdłuż, i znówu wstaje, i znówu się rzuca, mie-

rząc długością całego ciała swojego oddalenie do miejsc świętych. Inny nakoniec ścisnął ręce w pięść, aż przez długie lata paznogie przebiły dłoń, przerosły na wyłot rękę, i drugą stroną na jaw wyszły.

Jakoż odbywają się jeszcze podobne umartwienia na wielką i straszliwą stopę. W jedném zakątku Indyi—gdzie wśród srogięj, rozdartęj, alpejskięj natury, orze się głębiną stromych skał rzeka Narbuda, i tłucze się pieniać i szumiąc po opokach przepaścistego łoża swego—czernią się w koło do chmur sięgające góry, porośłe ciemnym lasem, gdzie czarny tygrys ma panowanie swoje i gniazdo. W miejscu, gdzie już najgwałtowniej a z chyżością strzały przemyka się Narbuda, wody jęj rozszepiają się w ramiona tworząc wyspę Mandatę. Ta wyspa jest jedném z mnogich cudownych miejsc Indyi. Z dalekich kończyn kraju puszcza się pielgrzymką lud, by oddać cześć Bożkowi Machadeo (Siwte), który tutaj czczony bywa wymawianiem bez końca zgłoski Om! Om! Na tęg wyspie jest miejscina Omkar Mandata i bożnica niewielka, lecz pełno około nięj wrzko-myh cudów, skręcających mózg fanatycznym tłumom. Tam to rośnie drzewo Kuri, pod którego białą korą znaleziono litery sanskrytu, znaczące Ram! Ram! imię jednego z bożyszcz; tam są jaskinie odpowiadające set-ném echem a głosem ogromnym na ciche zapytania, a widok już bożnicy cudem działa na pielgrzymów, bo uzdrowia kalectwa i choroby mnogie. Braminowie, służący świątynicy, bogate korzyści ciagnąc z wiary powszechnej, podniecają jęj ufność bezmyślną i radzi są ze skręcenia rozumu łatwowiernęj tłuszczy. Więc też jedni z pielgrzymów każą się na cześć miejsca żywcem w zie-

mię grzebać, inni zaś jeszcze okropniejszą sobie gotują śmierć. Jakoż powyżej świątnicy wznosi się ogromne urwisko skały nazwane *ofarną opoką*; ona sterczy pionowo nad zawrotną przepaścią; z niej szaleńcy rzucają się w otchłań, by się nieba dosłużyć. W połowie téj przepaści czerwoną barwą naznaczona skała wskazuje im kierunek skoku; spadając w głąb' odbierają z boku pierwsze uderzenie, a tak następnie odbijając się od skały, przepadają w głębi 150 stóp i już z kością zgruchotaną dolatują dna. Chodzi atoli stara wieść między ludem, iż ktoby tu z żywotem uszedł, zostanie Rajazem, czyli księciem wyspy; więc Braminowie tameczni, jak słychać, trują każdego przed śmiertelném jego rzuceniem się w otchłań. Widzisz że ci fanatycy, poświęcając się śmierci straszliwej, nie mają nawet pocieszającej pewności, że skonem okropnym zjedną sobie łaski Bóstwa (\*).

---

(\*) Jakoż, kto się wpatrzył w karykaturę ohydną, w jaką się myśl człowieka w Indyach wykrzywić może, temu zaiste, jakby mara, utkwiliło w duszy imię Gangotri. W sąsiedztwie źródeł gangesowych, pod samym gniazdem wiecznej zimy i na wysokościach odsadzonych od ludzi, znajduje się Gangotri, jedno z miejsc będących celem gorącego pragnienia pielgrzymów indyjskich. A droga do miejsca tego już sama przez się jest pokutą, ciemniectwem ciała i zrzuceniem z siebie zmyślowej natury. W to miejsce grobowej samotności ciągną oni kilkumiesięczną drogą. A trudno już rozwoździć się nad okropnością tej ich podróży i strachami, które im towarzyszą. Natura w srogiéj dzikości spiętrzyła tutaj góry powyżej chmur: to strzeliła w iglice skalne, to rozwarła otchłanie bezdenne. Tu olbrzymie okruchy gór, waląc się ze szczytów, podcinają niby ździebła starowieczne drzewa, z grzmotem przelatują bory i, gruchocąc wszelką zaporę, wycinają sobie przez puszcze drogę, a część jéj sprowadzają w głąbie. W inném miejscu: znów drabiny, uczepione nad kilka tysięcy stóp głęboką otchłanią, albo w obłokach zawieszono kładki wąskie, giłbkie i kołyszące się, umyślnie pochyło położone, na kilkadziesiąt łokci długie, prowadzą od skały do skały po nad przepaści,

Przypominam ci tylko jeszcze one okropności w Jagarnat, zapewne tobie skądinąd znane, a przywodzę je z przyczyny, że w nich właśnie połączone są dwie ostateczności; bo tu spotykają się nawzajem rozzwierzę-

których dna nie dojrzasz; wymagają one zwinności i wprawy skeczków, by żywcem je przebyć. Skąły i góry granitowe tutaj przybrały kształty fantastyczne, olbrzymie, to wież i niby grodów jakich, to znów straszdeł i upiorów stworzonych w wyobraźni gorączką rozpalonej; wszędzie znać, iż trzęsienia ziemi lub pioruny potargały te skały i utworzyły te wymyślne postaci i kształty.

Fantastyczniej atoli jeszcze, niż ta natura bezduszna, wyrodziła się tutaj myśl człowieka: i ona jest straszdełem dzikiem i ohydny upiorem; bo mnogie tłumy wędrowców pędzi tą drogą fanatyzm religijny i zawrót rozumu, do tej świątynicy, głośniejszy na kraj cały. Więc w Gangotri kąpią się w lodowatej wodzie gangesowej, by splókać dawne winy życia; więc gromadnie rzucają się w znak na skalistych pobrzeżach wody, utopieni w sobie, oderwawszy myśl od wszystkiego co jest, aż im się zmysły zleją w chaotyczne nicestwo; świat w koło nich i niebo nad nimi mąci się wirami i kręci. Inni siedzą pogrążeni w sobie nad wodą, lepiąc kulki ze świętej gliny, i rzucają je po jednej w nurty, niby ofiarne dary po zmarłych. Tamci znów przybyli zdaleka, by się tutaj głodem umorzyć: z wysuszoną ciałem, okiem w słupek wywróconym, podobni do mary grobowej, mrozem i głodem skrzepli rozdmuchują popioły zgasłego ogniska, by się ocieplić w czasie skonu. Gdy zajrzysz w gęstwinę kniei, otaczającą tę scenę w koło, z pomiędzy obsłony ciemnej sosien brodatych wymykają się, niby cienie zmarłych, postaci pokutników: oni nadzy, twarz ich sina, włosy rozczochrane sterzącym kołtunem, oczy krwią zabiegłe, ciała wyschłe, cienkiem przepasane powrosłem i zwalane popiołem i błotem; chodzą krokiem wymierzonym, i niby widziadła przemykają się i znikają w leśnej ciemnicy. Przecież nie tu koniec tego piekła za życia. Od miejsca tego idzie jeszcze pielgrzymka, drogą czterech dni, w naturę wiecznie świeżych śniegów i mrozów biegunowych. Idą tłumami szaleńcy biedni, ale mało kto stamtąd wraca w koło żyjących; ze szczupłym wyjątkiem, na pół drogi umierają z głodu i zimna, a usiadłszy pod skałą konają z rozpaczą, że Machadeo (Siwa) nie dozwolił im dojść celu, iż zatem ofiarę ich życia odepchnął i wzgardził; umierają w osłupieniu wśród urągowiska i przekleństwa przechodzących; lecz choćby i doszli do miejsca samego, jeszcze nie są pewni, czyli ofiara ich łaskawie przyjęta będzie. Celem ich drogi bowiem, wśród tej mroźnej natury, jest skała sięgająca obłoków; poniżej jej cia-

enie chuci zmysłowej obok najokropniejszego zrzeczenia się siebie i dobrowolnego skonu.

Szerzy się równina na mil kilkanaście pusta, głuha, piaszczysta; zewsząd bielą się kości obłąkanych ofiar, a piasek skwarny przesiąkły ich krwią. Rozpoczęła się uroczystość: wytaczają wóz ogromny, olbrzymi; tysiące mężczyzn i kobiet ciągną go, na nim bożyszcze ohydne, poczwara z twarzą wykręconą, z gębą rozwartą, krwawą; ręce jego ze szczerego złota, z drogich kamieni oczy błyszczące. Toczy się wóz; teraz ugrzązł w piaskach — w tej chwili arcykapłan rozpoczyna pieśń, pieśń tak pełną bezwstydu i rozzwierżonej chuci, że już żadne pióro europejskie nie zechce się zbezczęścić powtarzając jej treść; za każdą strofą tłumy odpowiadają chórem. Wóz się poruszył, toczy się, znów się zatrzymał; wtedy lada kto z ludu, (za bytności Anglika Buchanana, chłopiec dwunastoletni) rozpoczyna jakieś krzyki, jakieś mowy, a sili się na wyrazy najbezpieczniejsze, które tém były ohydniejsze, że podrostek ten mówił w tak gorącym zapale, z tak głębokim przekonaniem, i towarzyszył wyrazom sprośnymi, szkaradnymi

---

gnie się druga poprzecanie z ostrym jak nóż grzbietem, i na tę ze szczytu się rzucają. Kto w łaskach Siwy, temu ona skała przetnie ciało na dwie równe połowy; kto się rzucił mniej szczęśliwie, ten na wieki przeklęty; przeto w chwili ostatniej, po niewymownych cierpieniach i katuszach, w chwili najstraszliwszego poświęcenia, jeszcze nie ma pewności, czyli ofiara jego na korzyść mu pójdzie. A biada temu, kto, ujrawszy przed sobą głębię, uderzony lękiem, cofnie się i wraca, tego pastuchy górskie kamieniami zabijają, boć jest ohydny krzywowiercą i pastwą przyszlą piekła, a niesie z sobą klęski i nieszczęścia bez końca. Branimy, co sami nie wierzą w to, co w drugich wpajają, tuczą się darami i krwią obłąkanych. Patrząc się na nich, iście uwierzyłbyś, iż to szatańskie posłańniki, zastępujący wiekiuistego wroga istoty ludzkiej na ziemi.



gestami, a tłuszczą rozjuszona wtórowała głośnym wrzaskiem. Przecież wóz ruszył. Wtedy wyrwa się z ciężby w szale fanatyk, ciska się pod koła; koła gruchocą mu kości, posoka czerwieni koleje wyciśnione w piasku; niezadługo ofiaruje się drugi obłąkaniec, i znów trzeci i t. d.

W obejściu tej świątnicy mieszkają tanecznicze, bajadery — jako kapłanki bożyszczą!

Na te obchody w Jagarnat zbiera się niekiedy przeszło milion ludu. Tak tutaj występuje w dwóch ohydnych ostatecznościach: oddanie się szałom zmysłowym, a zarazem zrzeczenie się życia i poświęcenie się ofiarne.

Ale to zrzeczenie się siebie wyjawia się w Indyanach jeszcze innym kształtem, bo stłumieniem, zabiciem całej wewnętrznej treści duszy, swoich myśli, wyobrażeń, uczuć, pamięci, wiedzy siebie. Jakoż pokutnik siada w samotnym odłączeniu od świata powtarzając bez końca słówko Om! Om! powtarza je tysiąc razy, milion razy, aż odurzeje w sobie, zapominając o wszelkiej treści duszy swojej, o świecie, o niebie, o ziemi, o sobie, o tém co było, jest i będzie; w duszy pusto, głucho, ciemno; nicstwo otoczyło pokutnika w koło, wewnątrz nicstwo, duch próżnią przepaścistą, bezdenną; a jest wiara, że kto tego dokáže, ten zostaje najwyższą doskonałością, staje się Brahmą, bóstwem wiekuistym.

Jednak dość już tych okropności. Com dotychczas rzekł, stanie nam za wróżbę ogólną o charakterze fantazyi Indów. W tej fantazyi znać o sobie daje potęga wszechwładna natury, co ogromem majestatu pełnym, co siłą bujną, wrzącą, gwałtowną obstała czło-

wieka do koła i magiczną mocą uczynia duszę jego. W tej fantazyi występują te ostateczności, co rzucają człowieka; bo on albo się oddaje na oślepe rozhukanym namiętnościom zmysłowym i hołduje zapamiętałe materialnej naturze, albo też znowu samowolnie niweczy siebie, ofiarując się na okrutne cielesne katusze i skoni pełny męki, albo nakoniec tonie w czczości i zapomnieniu siebie. Łatwo zrozumiesz, jak w tych zjawiskach dziwnych człowiekiem pomiata rozigrana własna fantazyja jego, ta fantazyja powszechna indyjskiego ludu! I łatwo zgadnąć, jak znowu te same pierwiastki występują w jego fantazyi artystycznej, w jego sztuce, więc w architekturze, rzeźbie, a już najwyraźniej w jego poezyi. Ułomek z tej poezyi będzie tedy wprost komentarzem tej fantazyi, co gore i pali w duszy tego ludu.

Obok świętych ksiąg Wedas mają Indowie dwie pieśni bohaterские ogromnej długości: Ramajana i Mahabarata; one powstały na lat tysiąc przed narodzeniem Chrystusa. W Mahabaracie jest wstęp zwany Bagawadgita (śpiew Boski), a wstęp w obszerności odpowiedni olbrzymim rozmiarom całej tej epopei, bo sam się składa z ośmnastu długich pieśni. Gdy się zjawił w przekładzie stał się podziwem Europy; rozbierali go uczeni Anglii, Francyi i Niemiec. Bagawadgita była uznana za podanie przechowane od trzech tysięcy lat; ona jest zaprawdę najcudniejszym kwiatem, co się rozwinął jeszcze w szarym brzasku Historii świata; treść jej odurzająca a forma majestatu pełna. Ten to ustęp wybrałem, a kładę go tutaj w drobnych wprowadzie ułomkach, które atoli oswoją nas i z naturą fantazyi poetyczną Indów, i zarazem wyjawiają zasady, które się stały pod-

stawą wszystkich systematów religijnych i filozoficznych, które żyją nieskończoną mnogością w Indjach (\*).

Osnowa Gity jest następująca: Bóstwo Wisznu zchodzi od czasu do czasu z nieba, przybierając kształty człowieka. Jednym a prawie najważniejszym jego wcieleniem jest pojawienie się jako Krysza, i w tej postaci widzimy go w Bagawadgidzie. Drugą figurą jest bohater i wojownik Arszuna, najukochańszy uczeń i wybrańiec jego. Sceną zaś Gity jest owa ogromna równina w okolicy, gdzie dziś Delhi; na niej czernią się dwa nieprzyjacielskie wojska, by olbrzymią bitwą rozstrzygnąć wojny domowe, a chodzi o panowanie nad obszarem, co się rozkłada między śnieżnymi twierdzami Himalaja i południową kończyną Indyi, co się szerzy od Perskiego morza do Chin. Wojska gotowe do boju, czekają tylko hasła by uderzyć na siebie. Otóż początek Gity, otóż słowa pieśni naszej:

»Wtedy wódz zawołał głosem ogromnym, niby rykiem lwa, całemi piersi zadał w muszlową trąbę, by  
 »wznieść odwagę w szykach Kuruów, a ze wszech  
 »stron odezwała się mnogość muszli nieprzeliczona i  
 »wojennych trąb, a huk ich grzmiący zalatywał w nie-  
 »przejrzaną dal. Okazał się teraz, stojąc na wozie bo-  
 »jowym a pełnym przepychu, Arszuna. Śnieżnymi koń-  
 »mi powoził Krysza, a oba zagrzmieli w muszle nie-  
 »biańskiego kształtu; wnet wszystkie wodze a zaciej-  
 »sze wojownicy ozwały się muszlowemi trąby: jęk ich

---

(\*) Stuhr. Die Chinesische Reichsreligion und die Systeme der Indischen Philosophie.

Porówn. rozprawę: Ueber die unter dem Namen Bhagawadgida bekannte Episode des Maha-Bharata von Wilhelm von Humboldt.

»przeraźliwy przeniknął wskróś serca Kuruów, a Ziemia i Niebo zwracały go piorunnym odgłosem.

»Gdy Arszuna obaczył wojsko pragnące krwawego boju, i gdy już gromadne strzały świstały w powietrzu, wtedy wziął łuk swój i temi słowy mówił do Kryszny:—„Zaklinam cię, o Kryszno! niechaj wóz za-  
 »„toczy nas między oba wojska, bym poznał mężów,  
 »„z którymi mi dziś walczyć przychodzi.”—Kryszna za-  
 »gnał wóz na środek rozlegający się przestrzenią między obu wojskami. !Arszuna długo w milczeniu przypatrywał się szykom, i widział ze wszech stron dziedów i stryjów, braci i wnuków, synów i nauczycieli, najbliższych pokrewnych i przyjaciół swoich; wtedy żalność zabiegła mu duszę, uczucia zadrżały w nim bolem, a serce jego pękło temi słowy:—„O! Kryszno,  
 »„drgają członki moje, ścina się serce, powstają włośy  
 »„cała istota moja wzdryga się lękiem; z rąk wypada Gandeko łuk mój, skóra na ciele kurczy się i  
 »„schnie; ja się łamię w sobie na dwoje, stać już nie  
 »„zdołam, męty zachodzą rozum mój, a ze wszech stron  
 »„napadają mię przeczucia smutku pełne. Jakież będę  
 »„miał prawo do szczęśliwego życia, gdy zniweczę pokrewnych moich? O! Kryszno, już nie żądam zwycię-  
 »„ciężstwa, ani pragnę panowania, ani radości; bo czémże jest radość żywota, czémże jest żywot sam, czém  
 »„władza, jeżeli ci, dla których właśnie życzymy sobie panowania, i szczęścia i radości, stają naprzeciw  
 »„sobie do krwawych mordów gotowi? . . . . .

. . . . .  
 . . . . .  
 . . . . .

„Nie — raczej ścierpię, by na mnie uderzyły one sze-  
 „regi mordercze, niechaj umrę, bronić się nie będę!”  
 I usiadł Arszuna wśród obu wrogich szeregów, złożył  
 łuk i strzały, a jego serce jęło pod brzemieniem żalu.

„Kryszna uśmiechnął się i przemówił do zatopio-  
 nego w ducha temi słowy:— „Mędrzec nie smuci się  
 „nigdy ani żyjącymi ani umarłymi! Ja byłem od wie-  
 „ków, i ty sam byłeś od wieków, wszyscy od wieków  
 „jesteśmy. Te ciała, co sobą obtulają dusze, są prze-  
 „mijające i skończone. Jak człek zrzuca z siebie da-  
 „wne szaty, przywdziewając nowe, tak i dusza porzu-  
 „ca jedno ciało, niby przyodziewę swoją, a bierze na  
 „się inną nową, jakby przywłokę nową; dusza jest  
 „wiekuiста, nieprzezienna, choć w przeziennój i zni-  
 „komėj formie. . . . .

„Więc śmiało rzucaj się w boje, wszak wojownikiem  
 „(Kszatrya) jesteś! Gdy się w męztwie zachwiejesz,  
 „przywali cię hańba — za jedno niechaj ci będzie zysk  
 „i strata, życie i śmierć. Ten tylko w sobie prze-  
 „chowuje mądrość prawdziwą, kto przybytek istoty  
 „swojej zamknie żądzom, i w sobie samym umieści  
 „szczęście swoje; temu i okropność żadna nie przy-  
 „śpieszy serca bicia, i nie zazna niepokoju ani lęku.  
 „Wszak ja, wszak ty, wielekroć razy rodziliśmy się  
 „na świat: ty nieznasz zrodzeń twóich, ale ja znam  
 „zrodzenia moje! Choć nie umieram nigdy i panem  
 „wszech stworzeń jestem, przecież, władając moją wła-  
 „sną istotą, przybieram z własnej méj potęgi postać  
 „widomą i w niej pojawiaam się światu na zbawienie  
 „sprawiedliwych i na zniweczenie złośliwych, od wie-

» „ku do wieku . . . . Komu dusza cała utonąła w Bra-  
 » „mie, temu zagoreją radości niezamglone nigdy. . . . .

» „Kto równem okiem patrzy na rzeczy wszystkie,  
 » „a we wszystkiem mię ogląda, tego ja nie opuszczę, a  
 » „ten mię nie opuści nigdy! Kto w jedność Bóstwa wie-  
 » „rzy i mnie się modli, mnie wszechbytnemu, ten . . . .  
 » „o! Arszuno jest doskonałym Yogi. Jak świecy płomień  
 » „w bezwietrznej izbie gore w pokoju, tak gore dusza  
 » „mędrca nieznająca namiętności burzy! Niechaj nurkiem  
 » „w sobie utopi się człowiek, i w niwecz puści każdą  
 » „serca osnowę, którą zradza osobista chęć, niechaj stłu-  
 » „mi zmysłów i duszy swojej treść i nie myśli o czem-  
 » „kolwiek bądź! Ja jestem świata poczęciem, ja jestem  
 » „świata zniszczeniem! Niema potężniejszego krom mię,  
 » „a wszystkie jestestwa przezemnie trzymane są niby  
 » „rząd pereł na nici swój. Ja jestem wilgocią wody,  
 » „w słońcu i księżycu światłem, wezwaniem pobożnym  
 » „w księgach Wedas, istotą człowieczą w człowieku,  
 » „gorliwością w gorliwym, żywotem żyjących; ja je-  
 » „stem nasieniem wszech rzeczy, mądrością mądrego,  
 » „a chwałą i potęgą potężnego; ja nie znam żądy, nie  
 » „znam gniewu! Świat bywa zniszczony po trwaniu swo-  
 » „jém, a gdy przychodzi na niego dzień, świat się znów  
 » „odradza: ale co przy zniweczeniu i wywrótach świa-  
 » „ta się ostoi, to innój jest natury, jak rzeczy widzial-  
 » „ne; to jest wieczne, a w téj wieczności ja mieszkam,  
 » „i ta wieczność najwyższa staje się dzielnicą tych,  
 » „którzy się korzą Bóstwu!” «

Patrzac się na te myśli świetne, na wyrażenia pełne powagi, rzekłbyś zrazu, że to perły, gorejące ru-

biny i przepyszne szmaragdy, osadzone w złocie korony wschodniej. Przecież obaczmy do jakiej treści mądrość tu zamkniętą sprowadzić nam wypadnie.

Ten ułomek, choć tak drobny i biedny, wystarczy nam przecież może, by z niego wysnuć dostatecznie całe usposobienie indyjskiej fantazyi.

Kryszna żąda aby człowiek spłynął z bóstwem w jedność zupełną. Tego dosięga gdy wyrzuci z siebie wszelką treść duszy, gdy ogłuchnie w sobie, gdy myśl swoją puści w niwecz; człowiek winien nie być więcej sobą samym, stracić właściwe cechy swoje, właściwe znamiona różniące go od innych jestestw, powinien łamać się z sobą, by się stał tylko samą pustą jednostką, która niczem więcej nie jest, tylko czczem, gołym istnieniem. Słowem Kryszna żąda, aby człowiek zamienił się na puste abstrakcyjne istnienie, a wtedy dopiero spłynie z Bóstwem w jedność. Przecież właśnie z tego już wynika, że bóstwo takowe samo jest także tylko owym głuchem istnieniem; bo istnieniem bez żadnych znamion i cech.

Jakoż i Kryszna sam o sobie powiada, że jest wilgocią wody, że jest żywotem, że jest słońcem, człowiekiem i mądrością — słowem, że jest wszelką istotą, że jest każdą rzeczą, a zatem że znamiona, cechy właściwe tym różnym istotom, a różniące je między sobą, nie mają żadnego znaczenia, są obojętne; więc Kryszna jest w sprzeczności sam z sobą, gdy mówi o chwale, o hańbie, o złém i dobrém. Jeżeli zaś żadne cechy, żadne różnice nie mają znaczenia, więc widać, że to jest jedynie prawdą we wszech jestestwach, co im wszystkim jest spólném, co jest tłem wszelkiej by-

tności. Odgarnij wszystkie cechy, znamiona, własności od jestestw różnych, cóż ci pozostanie? Czcze, gołe istnienie. Zaiste, głuche, puste istnienie będzie ich spólném tłem; to przeto istnienie jest bóstwem Indyan; jest u nich ogólnym świata duchem, jest świata poczęciem, jest świata zniszczeniem.

Zważ atoli, że istnienie takowe, nie mające żadnych własności, żadnych cech, nie będące żadną rzeczą w szczególności, nie będące niczém w szczególności— jest niczém, jest naprawdę nicestwem.

Tak przeto, wedle filozofii a religii Indyan, najwyższą doskonałością a bóstwem, z którym się człowiek zjednoczyć winien, jest czcze, ogólne istnienie, jest rzeczywiście nicestwo. Prawda, że Indianie trzymający się Bramaizmu sami nie spostrzegli się, że dnem ich wiary jest nicestwo, przecież dowodem nawet, że nasze rozumowanie jest prawdziwe, jest już sam Buddaizm, który jest dalszym rozwojem Bramaizmu; w Buddaizmie bowiem owo nicestwo już wyraźnie wyrzeczone jako początek i koniec wszechrzeczy.

Zanim atoli z owęj pierwotnej zasady filozofii i religii Indyan wysnujemy ostatecznie istotę indyjskiej fantazyi, pozwól, bym uczynił jeszcze lekką uwagę. Zrozumiesz teraz, że zabicie wszelkiej treści w duszy, przytłumienie wszystkich głosów serca, prowadzi do połączenia się z bóstwem, z ogólném głuchém istnieniem; ale zrozumiesz, że także do tego samego celu prowadzą katusze dobrowolne, męczarnie i pielgrzymki straszliwe, i śmierć ofiarna: bo i te sposoby wszystkie są zatraceniem, zapomnieniem siebie, ogłuszeniem wszelkiej treści, więc utopieniem się w istnieniu bez-



denném, pustém, czczém. Jakoż jeszcze do tego samego celu dochodzą Indowie przez oddanie się na oślep namiętnościom zmysłowym i szałom rozhukanéj cielesności, boć i tym trybem człowiek traci wiedzę siebie, zapomina siebie i staje się głuchą jednostką. Tak tedy wyjaśniają nam się wszystkie zjawiska powyżéj ci przed oczy roztozione.

Nie trudno już nam poznać, że ta cała nauka jest panteizmem, choć surowym i pierwotnym jeszcze. »Jest to panteizm w całej straszliwości nocnego majestatu swowego; jest to owa nauka, co w ułudnéj postaci nadziemskiej poezyi przyprawiwszy sobie skrzydła anielskie, uśmiechem czarodziejskim uspiła Indye: a gdy je snem duchowym złożone być widziała, wyszała z tego ludu, niby upiór, krew żywotną, serdeczną, i zostawiła go wyschlą mumią na ziemi. Ten panteizm przeszedł narody Wschodu przystrojony w szaty niby głębokiej filozofii; ale mądrość téj filozofii była rozpaczą bez granic, a słowa jéj dżumą śmiertelną dla ducha (\*).

Rozumie się, że wszelkie rozprawiania i wykrzykniki, utyski i gniewy, choćby z najuczciwszój woli pochodziły, nic nie pomogą na panteizm; on jedynie powalony być może drogą ściśle umiejętą prawdziwéj filozofii. Przecież nie tutaj miejsce tych wywodów umiejętych; spytajmy się raczój, skąd Indyanom przyszła ta nauka?—Indyanie nie mogli się zdobyć na wyobrażenie o bóstwie będącém jedném, ogólném, a obejmującém przecież w sobie nieskończoność treści, różnaitości pełnéj; oni nie mogli się zdobyć na myśl o bóstwie du-

---

(\*) Wykład filozofii T. II. str. 4 i następane.

chowém, przytomném w świecie i władzącém wszechjестestwami, a będącém przecież czémś różném od świata, to jest istniejącém w sobie i o sobie, wiedzącém o sobie, słowem, będącém osobą. Bo osobą nazywamy jestestwo, co ma świadomość siebie, co wie o sobie. Umysł Indyan nie był dość silnym w sobie, aby zdołał połączyć wyobrazenie takiego Bóstwa, co by było odrębném i wyższém od świata jestestwem, a zarazem objawiało opatrzność swoją w nieskończonej różnorodności jestestw, będących wyrazem nieskończonej i różnorodnej wewnętrznej treści jego.

Do tych wyobrazeń o osobowości Bóstwa doszli dopiero Grecy, bo oni pojęli bóstwo, jako jestestwo duchowe; lubo to wyobrazenie wyjawia się u nich dopiero we formie wielobożństwa.

W Indyi panuje dualizm dwóch ostateczności nieprzemierzony nigdy. Z jednej strony zamiast Bóstwa o treści nieskończonej, ziewa otchłań bezdena, bo owo istnienie nieskończone, bezmierne, próżne, które u nich samo jedno jest prawdą; z drugiej strony jest inna ostateczność, bo cały świat jestestw jednostkowych, odznaczających się i odróżniających między sobą cechami, znamionami właściwymi; po tej stronie tedy jest cały świat treści, a świat rzeczywisty, obejmujący i jestestwa zmysłowe i duchowe, i gwiazdę i człowieka i proszek ulotny, i ludy całe, i myślenie i robaczka, nawet bogi indyjskie, nawet całą mitologią indyjską i t. d. Ale ten świat rzeczywisty niema prawdy, on jest rozplynném, rozwiewném zjawiskiem, nie mającém trwania; wszystko jest tu uludnym widmem, kłamstwem zawodnym. Cały świat i wszystkie te je-

dnostkowe jestestwa występują z onęj otchłani głuchego istnienia, jakoby wyziewy grobowe, wiążą się i unoszą nad nią, niby widziadła chwilowe, i znów do onęj przepaści wracają, która je pochłania niby grób;— sam Kryszna jest tylko widziadłem takowém. Więc tutaj wieczne odbywają się zrodzenia, wieczne konania; tu nie ma bytu, coby trwał;— trwa tylko wieczna przemiana: i bogi wiecznie się przeradzają, wiecznie przybierają na się inne a inne kształty; wszystko, co się rodzi z téj otchłani, to są niby fale wzdymające się na bezdeni ciemnej oceanu, które, zaledwie co się wzniosą, rozplywają się bez śladu; są to bańki wodne, co świecą nad przepaścią barwy cudownemi, lecz ledwie co zaświecą a już rozpryskują się nicestwem niby sen. Ta otchłań »jest świata poczęciem, jest świata zniszczeniem« ta otchłań jest Prabrahma.

Z tych wyobrażeń dzikich, chaotycznych wynikają następne wypadki:

Jak to istnienie ogólne, przepaście jest bezmierne, tak też bogi, rodzące się z niego, o ile wyrażają to istnienie, same przybierają bezmiarność; ich postać puchnie w potworne kształty, ich żywot wzdyma się w majacne dziwactwo bez granic. Tu fantazyja Indyan ma istny żywioł dla siebie; ona gorąca, opojona, zatacza się tanem zawrotnym nad tą przepaścią grobową. Stąd mitologia indyjska, areydział fantazyi tego ludu, jest tak pełna okropności, tak straszna jak mœne mary i dziwadła chorobliwe. Stąd rzeczy duchowe, przestoczone na zmysłowe, nabierają ogromu bezmiernego, rozmiarów olbrzymich. Ganges (np.) spływa po kędziarach bóstwa— pustelnik pokatuje lat tysiące, miliony.

Stąd pokutnik rozkazuje słońcu i gwiazdom, i mocen wstrzymać ich biegi; bo on sam przez pokutę i zatrącenie siebie stał się ogólnym głuchym istnieniem, więc bóstwem. Dla tego olbrzymiego, zmysłowego ogromu, i pieśni ich tak olbrzymie, że jeden ustęp, jeden epizod, rozmiarem swoim wyrównywa wielkim epepejom innych ludów. Tak epepeja Ramajana składa się z 24,000 słoków, z których każda znaczy dwa wiersze po 16 sylab; Mahabarata przez późniejsze przydatki urosła do 100,000 słoków.

Jak owo istnienie bezdenne, bezmierne, nie mając żadnych cech, żadnych własności, nie jest osobą, bo nie jest jestestwem wiedzącym o sobie, tak też wszystkie pojawy i widziadła nie są osobami w znaczeniu prawdziwym, tak też w Indjach człowiek nie wie jeszcze że jest osobą.

Gdy różnice, odznaczające między sobą jestestwa, nie mają znaczenia, gdy są marne i ulotne, więc też rzeczy wszystkie mieszają się dzikim nieładem, bez końca przechodzą na siebie, mając się chaotycznością fantastyczną, szaloną. Tutaj fantazyja odprawia swoje dzikie zapusty. Fantazyja rozkołysana miesza nawet jestestwa duchowe i materialne; tutaj drzewa, ptaki, słonie przemawiają ludzką mową, wyrokuja najwyższą mądrością; tutaj świat jest światem czarodziejskim, czarnoksiężkim. Z tego pomieszania jestestw duchowych i materialnych rodzi się owa część dla przedmiotów natury z krzywdą istoty rozumnej człowieka; stąd kasty, stąd litość dla owadów obok okrucieństwa. W Sakontali jest gaj przeznaczony jako ochrona dla zwierząt, a Sakontala sama, polewając młode lesne rośliny,

powiada że teźnie miłością siostry dla tych krzewów biednych. Wszak widziałeś, że tygrysy uchodzą za uwidomienie duszy zmarłych krewnych.

Zrozumiesz, że do tój potęgi a znaczenia rzeczy materialnych i natury przyczynia się ogromnie ta przyroda indyjska tak gwałtowna a wspaniała, tak wielmożna, bujna i bogata, z całą swoją mocą magiczną.

Słusznie tedy przypatrzyliśmy się dokładniej na wstępie listu tego naturze indyjskiej tak czarodziejskiej; ona zrosła z człowiekiem w jedno, z niój tedy poznać możesz czém tu jest duch ludzki. Jakoż pomączenie rzeczy duchowych i materialnych, przypisywanie przedmiotom zmysłowym potęgi duchowej, jest podstawą wszelkiego czarodziejstwa. Czarodziejstwo to i dziwo-  
tworność, ten zawrót fantastycznych myśli, który panuje w tój fantazyi Indyi, jest właśnie tym pierwiastkiem, co ją czyni tak podobną do gadek, tak cheiwie przez dziatwę słuchanych. Przecież, mimo tego, ta fantazyja nią, jest dzieciinną wyobraźnią; tu nie dzieci prawią baję, to duch całego ludu, co z topieli swoich przemawia, a choć on w jęctwie natury, choć oczyniony tchem mocy materialnych, wyrokuje iście z najgłębszych głębin istoty swojej. Więc tutaj obok bezrozmumu jest mądrość, tutaj buchają strzeliste błyskawice wśród ciemnej nocy i słycać ułomki muzyki rzewnej, choć przygłuszonej łomotem burki morskiej.

Przecież właśnie gdy różnica między rzeczami jest wątła, nie nieznacząca, gdy wszystkie jestestwa mieszają się z sobą, więc też tutaj nie panuje rozsadek. Bo rozsadek ma właśnie to do siebie, że rozgarnia rzeczy różne, porządkuje je, i szykuje; takowój zaś czyn-

ności duchowej tutaj niema. Stąd też fantazyja indyjska czy się pojawi w architekturze, czyli w rzeźbie, czyli w poezyi, puszcza się w sprzeczności i dziwaetwa, ciiska się z jednéj ostateczności w drugą: to niby rozumna i oględna, to niedorzeczna.

Jakoż to poniewieranie cechami różnemi jestestw, stanowiącemi właśnie ich istotę, to pomącenie szalone wszystkich rzeczy, choćby wręcz sobie sprzecznych, to nieucznanie ładu i pewnych praw w świecie, odbija się koniecznie w dziełach sztuki indyjskiej. Tutaj niema prawideł, ustaw pewnych, stałych. A jeżeli je niekiedy dojrzyysz, jeżeli obaczysz jakiś panujący charakter np. w dziełach architektury, albo w miarze wiersza, toć ten charakter mniej jest wpływem zastanowienia się i jasnej wiedzy, jako raczej ciemnym instynktem, co niby przez sen przeczuwa istotę swoją.

Ten brak ustaw i praw stałych, to chaotyczne spływanie przedmiotów różnych, ten dziwny świat czarno-księżki, w którym niema nic stałego, w którym nic nie jest oparte na sobie, w którym nic niema w sobie mocy i tężości wewnętrznej, w którym wszystko przesuwają się niby w latarni magicznej, mieniając się, migocząc i błyszcząc,— jest istic światem majacznym, sennym. Ta fantazyja indyjska jest więc do marzeń sennych podobna; bo i we śnie przelewają się obrazy, mącą się z sobą i bujają, i hasają niedozorowane rozsądkiem, nieusztykowane rozumem.

Łatwo zgadnąć, że gdy tutaj stwórca i stworzenie, świat duchowy i materialny pomieszany z sobą, gdy tutaj niema uznania prawdziwego stosunku Boga do natury, ani człowieka do téj natury; więc też tutaj czło-

wiek nie zdolen jeszcze kształtów przyrody przetopić na ideał piękności, który właśnie jest jedynym trybem wyrażenia nieskończoności duchowej, we formie materialnej, zmysłowej. Zamiast téj prawdziwej piękności, znajdziesz w sztuce indyjskiej najczęściej przepych świecący całym bogactwem zuchwałej, wrzącój fantazy, znajdziesz olbrzymią wytrwałą pracę w dokonaniu dzieł ogromnych, bezmiernych.

Lecz uważ, że ten brak opierania się na sobie samym, ten niedostatek dzielnego hartu i samoistności występuje we fantazy indyjskiej osobliwą miękkością, jakąś biernością, jakąś niewieścią słodczą a wdziękiem łagodnym, cichym. Toć widzieć można w poezyi, kiedy prawie najcudniejsze miejsca właśnie tchną sentymentalnym rozrzewnieniem i lubemi głosami serca; w posagach bogów te ciała nie mają niby kości; ręce, nogi, tak pulchne, jakby z ciasta ulepione; toż i w budowaniu linie łagodne, formy dalekie od wszelkiej szorstkości. I dla tego też, jak dawno uważano, tak w rzeźbie jak i w poezyi najszcześliwiej stworzone są figury i i charaktery kobiet;— niewymówny wdzięk, łagodność i słodka tęsknota rozlane są na tych żeńskich postaciach.

Treść duchowa chrześcijańskich ludów jest tak głęboka, tak niebotyczna, że ona w części tylko może znaleźć wyrażenie stosowne w dziele sztuki, więc w zewnętrznym uzmysłowieniu, więc w postaciach a formach z natury wziętych, ale wzniesionych do piękności ideału; w części zaś ta treść duchowa nie zdoła się już pomieścić w postaciach zmysłowych, choćby najwyższym urokiem oblanych; ona zaiste znajduje

w uczuciach jedynie religijnych i we filozoficzném rozumowaniu godny siebie i odpowiedni sobie wyraz swój. Inaczej w Indyach. Jestestwa natury, choć bezduszne, choć same nie myślą, są przecież uwidomieniem myśli stworzenia, a im na wyższym szczeblu natury stanie które z tych jestestw, tém też wyższej myśli jest wcieleniem. Otóż te myśli, promieniące się w dziełach natury, są nierównie więcej z siebie rozwinięte, niż ono głuche jeszcze miotanie się a szamotanie sennego ducha Indyi. Duch ten nie dorósł jeszcze do téj wysokości, by pojął, by przeczuł tę mądrość, te myśli stworzenia; on chwycił te kształty natury, zwicznął je, skrzywił, wykrzywił w karykatury, by w nich wyrazić to miotanie się, to zrywanie się senne swoje; i stąd te dziwaczne postaci i figury w rzeźbie i poezyi indyjskiej. Otóż wytknąłem ci, ile się mi zdaje, wszystkie główne cechy fantazyi Indyan; wszak jedną z najważniejszych jest, jak wspominałem, owa głęboka sentymentalność. Bo jeżeli w Indyach głównym charakterem tak fantazyi jak całego ducha jest brak roztępienia, brak trzeźwego zastanowienia i zimnego rozumu; toć rzekłbyś, że ten brak niby zastępuje uczucie; cały żywot staje się tutaj uczuciem, serdecznością. Zdałoby się, że im więcej cofa się myślenie prozaiczne, tém potężniej tutaj gra uczuciowość; cała duszy potęga przeważała się w moc uczuć tkliwych, rzewnych. Jest to jakby życie niewieście w dumaniu serca utopione, w którym cała potęga ducha zamienia się na ciche wróżby, na proroctwa; serce to zgaduje, co lube i zacne, instynktem, jakimś widzeniem duchowém. Dla tego podobno żaden naród w żadnym wieku nie miał



nigdy poezji tak czarującej uczuciem, tak głębokiej a lubej sentymentalności jak Indyanie.

Dotknąwszy tym sposobem najcenniejszych znamion fantazyi Indyan przywiodę ci tylko jeszcze niektóre przykłady z ich sztuki, które nam posłużą za wyjaśnienie powyższych wywodów.

Do naszej rozsądnej a tak trzeźwej Europy, jakby przypomnienia dziwów sennych a marzeń nocnych, dochodzą wieści o owych świątnicach starego Hindostanu, co wykute pod ziemią we wnętrzu twardych skał. Jakby z innego świata gadki, czytamy opisy cudów tej podziemnej architektury, którą słynie Salsette, Carli, Elefanto, Mawalipuram, Ajajanti, Ellora i tyle innych jeszcze stron Indyi, onej stariej ojczyzny niesłychanych dziwadeł; przypatrujemy się widokom, rysunkom, rycinom, które już przeszły w obrazkowe książki dziatwy naszej, a patrząc na obrazy te, zdaje się nam, że to istne baję czarnoksiężkie, które prawią jedynie niańki w naszej przerozsądniejszej części świata, a którym nawet już i dzieci więcej nie wierzą.

Te podziemne świątynie, nie są to pojedyncze budowy, to zbiory świątnic, to miasta ukryte w łonie gór, to świątynie podziemne, wykute we wnętrzu nieużytej opoki; tu ludność cała łamała się krwawym trudem, tu przez długie wieki pokolenia po pokoleniach pasowały się z potęgami przyrody, by dla bogów swoich zdobyć na naturze przybytki, by okupić świętą, niezmordowaną ofiarną pracą zrodzenia duchowe.

Gdy dziś wędrowiec z dalekich stron stanie wśród tych dzieł olbrzymich, gdy go obstąpią w koło te ciem-

nice przepychu pełne, o kształtach tak dziwacznych, fantastycznych, żeć mu się już zdają być wywoływane magiczném wróżki zaklęciem; wtedy już nie podziwienie ale nieme osłupienie go uderzy; posłyszysz w koło siebie wołania onych pracowników tysiącznych, co tu położyły męki swojego żywota, by uciąć owe ślepoogie potęgi natury, które miały ich duszą, uchwyci wędrowca febralna gorączka podobna do onój, która parła te milionowe ludności do wysień bez granic. Prochy tych robotników poszły wiatrom na igrę, imiona ich od lat tysięcy rozplęły niepamięcią, ale ich dusza pozostała w tych podziemiach zaklęta urokiem; ona żyje w tych rzeźbach bogatych, które tutaj zewsząd wykwiły robotą tak bujną a tak pracowicie, tak wytrwale, z taką miłością dokonaną.

Tutaj znajdziesz całe góry wydrążone, przeistoczone na państwo podziemne, tajemnicze. Przysionki, chodniki, świątynie, komnaty, kaplice, schody, stawy; mieszkania dla kapłanów, dla pielgrzymów, ciągną się i cisną to obok siebie jakby miastem, to znów wykute po nad sobą, niby w piętra olbrzymich pałaców i grodów. A na stropie, na ścianie, na gzymsach, na filarach i kolumnach, lśni ta rzeźba ozdobna, a wyrabiana z tym wykwiłem misternym, jak gdyby dopiero wezoraż wyszła z pod umiejętnych złotniczych pilników, a te rzeźby lęsną przecież wiek swój na lat tysięcy! Przy migotnym, powiewnym płomieniu pochodni występują z ciemności posągi bogów wielorękich, wielonogich, więc potworne widziadła migocą, mrugają, a ruszają się; ich całunki mnogie gramolą się i wiją, niby węzów gniazda!

W innych stronach kraju zdawać ci się będzie, że ta najstarsza, pradziadowa architektura indyjska wychyliła się już z pod ziemi, że się buduje na jej powierzchni otwartej, że te jej dzieła na jawie dźwignione, na dniu jasnym, białym. Pod Ellorą, wśród samotnej, butnej a zuchwałej natury, znowu podziwiać będziesz gromady świątnic podziemnych, co pieczarami wkuły się w skały. Tutaj każdy bóg indyjski ma swoją świątnicę; Siwa ma ich 20; więc słusznie te dzieła niesłychane noszą imię » cudów Ellory « stąd słusznie nazwano te miejsca Dewagiri (Bożą górą). Ale uważ, oprócz tych grot czekają cię tu inne jeszcze budowania. Znajdziesz się nagle wśród miejsca otwarte go zupełnie z góry; niby to łom kamieni, niby rynek, lub ogromny dziedziniec. To miejsce w koło zamykają skalne ściany na sto stóp wysokie, a pionowe, a pilnie ociosane, ogładzone; w tych ścianach, niby w różnych piętach, szerzą się komnaty, mieszkania wykute w skale. Lecz w oddaleniu od tych ścian, więc wśród tego olbrzymiego dziedzińca, stoją świątynie obszerności naszych kościołów i kaplice; a cokoły tych kaplic składają się z rzędów kamiennych słoniów, lwów dźwigających niby całe budowanie; do świątyń przystawione niby dzwoniczki; a te świątynie wszystkie od dołu do góry pokryte eizbą ornamentów, rzeźby; tu i ówdzie około nich jeszcze ustawione słonie kamienne ogromnych wymiarów. Pomyśl, że od szczytu tych świątnic szły kamienne mosty powietrzne olbrzymim łukiem do onych ścian otaczających dziedziniec, więc do komnat kapłańskich; dziś atoli te mosty w części runęły. Na pierwsze polotne wejrzenie zdawałoby się, że te świą-

tnice, kaplice, te wszystkie budowy potężne dźwignęły się z powiązanych z sobą ciosów. Bynajmniej!— Zważ, ten cały niby plac i dziedziniec były jedną górą, jedno - litą skałą!— i dopiero z niej wykuto ten dziedziniec, zrównano jego ściany, w środku zostawiono części tej skalistej góry niby ogromne kamienne bałwany, i takowe części dopiero przeistoczono na świątnice, przystrajając je ornamentem rzeźbionym z wierzchu a wydrążając je w środku na bożnicę obszerną, bogatą, zdobną. Tak tedy ta całość: dziedziniec i przybytki, świątynie i słonie, one mosty i komnaty— słowem, wszystko wykute, wyciosane z jednej sztuki!— z jednej ogromnej góry, jakby ziarno z łupiny.

Jednak, kędy niegdys duch człowieka, tak twardo pasując się z uporną materją, odbywał boleści rodzeń swoich, tam dziś hołotna chmara bezrozumnych papug broi i głuszy szwargotaniem naturę, tam trzcina wysoka zarosła gęstwina, tam tygrys gospodarzy, a lew trzymać straż broniąc człowiekowi widoku pracy człowieka; tam węże potworne i dzuma i cholera się lęgną.

Nie będziem atoli dłużej prawić o tych dziwach i cudach; pomijam budowanie onych Dagopów, które już stanęły nad ziemią a dźwignione trybem zwykłym choć słynne z ogromności swojej. Bo nam nie chodzi wcale o charakterystykę wszystkich odcieniów fantazyi; dla tego przestaję na tych lekkich zarysach najdawniejszej indyjskiej architektury, nie dotykając budowania buddaizmu w Indyach, który zreformował bramaizm stary i zniweczył kasty i ostudził fantazyą Indyi;— chociaż,

prawdę mówiąc, byłoby zaiste o czém szeroko się rozwodzić.

Właściwiej podobno będzie zwrócić uwagę twoją na cechy architektury indyjskiej, a będą nam one potwierdzeniem powyższego wywodu.

Otóż, te budowania podziemne są wyrazem ducha Indyi, co uśpiony jeszcze w głębokiem łonie natury; boć i nasz sen powszedni jest istic powrotem w objęciu sił przyrodzonych, jest zaiste przytuleniem się duszy naszej do piersi matki-natury.

Bujanie zaś luźnej fantazyi indyjskiej wyraża się silnie i potężnie w téj architekturze. Okazuje się zaś naprzód samém już labiryntném, zamętném budowaniem. Jak w całej myśli Indyi żadna bytność nie jest oparta na sobie i niema ogniska swojego i środka w sobie samém, jak tam człowiek, nie uznając się być osobą, nie odnosi się jeszcze sam do siebie, tak też i nie widać w tych gromadach świątyn podziemnych jednej głównej myśli przewodniej, do którejby się odnosiły jako do ogniska wszystkie owe tak fantastyczne przybytki. Brak im tedy organicznej artystycznej całości, brak ładu, który jedynie tam być może, kędy dogłąda pracy fantazyi rozum trzeźwy obecny sobie, lub mądrość idąca z prawdziwego mistrzowskiego natchnienia. I dla tego właśnie duch Indyi jest party miotaniem wewnętrzném i żądzą wyszamotania się, wyrzucenia z siebie potęgi, co nim ciska; więc on się sili i mocije, by dokonał dzieł tak olbrzymich; dla tego stolecia, całe pokolenia w tysiącnych robotnikach imają się téj pracy bezmiernéj, ogromnéj; robota i siła materialna, rozmiary materialne przestrzeni mają tutaj za-

stąpić ducha potęgę. Świat nie przeczuwa jeszcze, że kilka rysów węglem rzuconych ręką Michała Anioła, lub kamea, rznięta geniuszem greckiego mistrza, wyższém jest świadectwem wzniosłości ducha ludzkiego, niż te całe góry wydrążone krwawym znojem tych indyjskich ludów.

Jakże odpowiednie téj fantazyi sennéj są przybytki podziemne!— one tak daleko się ciągną wzdłuż i szerz a ciśnione stropem tak niskim! tutaj duszno i parno; rzekłbyś, że zły sen przygniotł piersi uspiętego ludu.

Ta fantazyja indyjska gorąca wyraża się tutaj jeszcze bujaniem bez miary téj architektury rozigranéj; w niéj niéma ładu, niéma pewnych prawideł i praw; tu niéma też pewnego stylu. Stylem jest tutaj brak zupełny stylu. Bylebyś chciał, a już w tém budowaniu indyjskiém wszystkie obaczysz style: i łuki rzymskie i bizantyńskie i one maurytańskie w podkowę wywijane, i gotyckie sklepienia i brusy greckie i t. d. Jeżeli zaś te wszystkie formy architektoniczne tutaj się przypominają, toć to mniej jest stylem jak raczéj instynktowém parciem, dobywającém się z duszy nieświadoméj siebie. Nie znajdziesz tutaj trzeźwości i chłodu rozumu, z którym z istoty zawsze winna łączyć się fantazyja artystyczna. I z tego właśnie powodu w architekturze indyjskiéj nie są uwzględnione potrzeby techniczne. Najważniejszym tego przykładem jest kolumna. Kolumna z istoty swojej jest podporą dźwigającą brzemie architektoniczne; ale forma kolumny indyjskiéj, tak dzika, tak fantastyczna, nie odpowiada bynajmniej swojemu zadaniu; jéj rysunek pękaty, napuchły, jak

świadczy o swawoli fantazyi, tak jest raczej zawadą zabierającą miejsce niż podporą dźwigającą (\*).

Architektura indyjska wysila się, wymyślając nowe coraz formy kolumn, ale wszystkie te formy świadczą o swawoli butnej fantazyi, a żadna o rozwadze rozumnej. Ta przerozmaitość fantazyi tak się rozigrała w Indyach, że nawet w naszych czasach, bo w r. 1623, (licząc bowiem na miarę indyjskiej starowiecznej historii wiek XVII rzeczywiście już do naszych czasów należy) wystawiono salę olbrzymią o 124 filarach:—choć na pierwszy rzut oka rzeźba na wszystkich fila-

---

(\*) Porównaj słup indyjski z kolumną grecką. Kolumna grecka jest prawdziwym arcydziełem. Jej forma jest cudnie piękna, a zarazem najdoskonalej odpowiada celowi swojemu, bo ona, mimo wdzięku i uroku, jest podporą silnie dźwigającą. Jakoż w całym budownictwie greckim nie znajdziesz architektonicznego członka, któryby nie był i ozdobnym przystrojem, i zarazem nie mógł być ściśle wytłumaczony z potrzeby technicznej, bo z warunków mocy i trwania budynku — Podobnie też każda część i cząsteczka w głowicy i w podnożu kolumny greckiej ma swój powód rozsądny (praktyczny) a przeciw przyczynia się do jej piękności prawdziwie estetycznej. Nie tak się rzecz ma z kolumną indyjską. Uważmy formę kolumny indyjskiej, która już najczęściej się powtarza w tej architekturze. Ta kolumna jest od spodu filarem czworociennym, z którego wyrasta trzon okrągły ściśnięty się u góry, a przewiązany trzema napęczniałymi pasami, a u samego wierzchu pokryty kulą spłaszczoną, która tak przyciśniona niby ciężarem, że obwód jej występuje nawet po za krawędzie spodniego czworociennego filaru. Ta kula tedy, u wierzchu ściśniona będąc, bardzo małą powierzchnią dźwiga strop. Cały ciężar tedy spoczywa właśnie na tej małej powierzchni drobnej; a tym samym widać, że i występująca część owej kuli i grubość trzonu i grubość owego czworograniastego spodniego filaru są niepotrzebnymi, bo nie dają żadnej mocy, nie wcale nie dźwigają, i są raczej zawadą zabierającą miejsce. Cała tedy forma słupa jest wymysłem fantazyi, ale niema usprawiedliwienia w rozsądku.

lubo różne a przerozmaite bywają kształty kolumn indyjskiej architektury, przeciw żadna z nich nie odpowiada zadaniu naturalnemu, które podpora mieć winna.

rach zdaje się być do siebie podobna, za bliższém jednak przypatrzeniem się obaczysz że każdy z nich mieni się innym rysunkiem, inną głowicą, innemi cętkami; słowem, ta fantazyja jest niewyczerpana jak stworzenie, jak natura. Ba, i natura nie może pójść w porównanie z tą wyobraźnią migocącą się, promieniejącą się w różne barwy i błyski! Zważ naturę roślinną; ona podobno dość swawolna, swobodna, bujająca sobie całą wolnością nieogłędną, a przecież ten świat roślinny zdaje się być dla fantazyi indyjskiej jeszcze niewolniczym, jeszcze zbyt prawidłowym; więc ona chwyta te formy roślinne, zwija je i skręca, buja niemi i wymyśla i swawoli stwarzając sobie kształty roślinne, o których nawet natura nie zamarzyła nigdy.

Z tego już wnosić możesz co się dopiéro dzieje z postacią ludzką, wypaczoną w one indyjskie bożyszczka. Indyje nie wiedzą, co znaczy osoba, istniejąca o sobie, odnosząca się do siebie jako do ogniska swojego; stąd też wyległy się owe poczwarne bogi, któremi się dławaczy rzeźba indyjska. W téj Trimurtis, niby w troistości indyjskiego bóstwa, kędy Brama, Wiszuu i Szywa niby w jedność są związane, widzisz pęk rąk i nóg, a nie wiedzieć, która ręka, która noga do której się odnosi głowy, a tak wyraźnie znać, że i ta Trimurtis nie ma znaczenia osób;— albo przypominam ci onego słonia złożonego ze samych figur niewieścich i t. d. i t. d. Rzeźba, podobnie jak architektura, zastępuje duchowy pierwiastek czynnikami materyalnemi, więc albo ogromem wymiarów, (np. jeden z posągów w Bamian ma 70 stóp wysokości a drugi nawet 120) albo kosztownością materyału, bo wadza posągi drogim kamie-



niem, wkładając mu oczy brylantowe lub rubinowe, zdobiąc ręce, nogi perłami ogromnej wartości. Niekiedy te figury nie są już płaskorzeźbą, ale prawie zupełną rzeźbą, bo przytykają tylko jeszcze nieco grzbietem do skały a przez to właśnie stają się objawem ducha nieoderwanego jeszcze od potęg natury. Ta przemoc natury nad człowiekiem, to nieusamowolnienie się ducha tym jeszcze się wyraża, że tutaj nie ludzka głowa osadzana bywa na zwierzęcym kadłubie, dając znać o panowaniu myśli nad bezrozumną potęgą przyrody, ale odwrótnie widzisz głowę zwierzęcą osadzoną na tułowiu ludzkim; taka potworność atoli głosi bezecne tryumfy mocy materialnych uad zaciągając istotą człowieka.

Napomknąłem ci już powyżej, że brak samoistności dzielnej, silnie na sobie opartej, że brak hartu i twierdzy wewnętrznej, jest piętnem w całym charakterze i duchu Indyanów; ta właściwość odbija się tak wyraźnie w tych członkach wiotkich, okrągłych, pulchnych, bezkostnych, gibkich rzeźb indyjskiej, w której nie widać ani muskułów, ani kości, ani mękości; taka postać oddaje istic trafnie tęsknotę miłosną, bierną, gnuśną, tudzież ospałą zmysłowość i to rozpieszczenie całego nastroju duszy Indyanów. Mówiłem ci również powyżej, że figury niewieście, które jakoś łacniej się do takowej rzeźby nadają, bywają często wykonane z wielką lubością i wdziękiem cudnym, uroczym (\*).

---

(\*) Poeci indyjscy jako znakomici znawcy w tej mierze, wyliczają 46 warunków piękności niewieściej; gdy się wszystkie te 46 warunków zjedną, wtedy dopiero wedle nich kobieta jest prawdziwie piękna. Winna mieć np. kędziory, co jak pawie pióra spływają po kolana, brwi zatoczone łukiem tęczy, oczy błękitne jak szafiry, usta świecące purpurowe

Przecież wypływa już z istoty rzeczy saméj, że ten wdzięk pełen najwyższego powabu, łagodny, tęskny wykwita już najcudniej w indyjskiej poezyi. Przeczucia bezmierne, tkliwe, ciemne, nieodgadnione, z cicha odezwały się w sercu tego ludu; jak młoda dziewczica nocnym marzeniem widzi rozpląnny obraz kochanka nieznanego jeszcze, tak poezyi tego ludu przysniła się wiekuistość i niebian grono, żyjących w niezamąconym nigdy pokoju.

Ta poezya jest zaiste ogrodem marzeń rajszych; w niéj fantazyja przechadza się wśród wonnych kwiatów, słucha dźwięcznych natury pieśni, kocha i marzy. Niekiedy atoli z pośród krzewów i kwiatów, wśród szczęścia miłości błogiéj a pieśczęt miękkiéj, wśród jasnych promieni i pysznych barw wesołych wzniesie się jakieś ciemne straszdyło potworne, i grozi, trwoży, i kroczy, i już chwyta i dławi, ale się rozpląnie mrocznym dymem. Wszak ta poezya o instynkcie misternym ducha, o rzewnych wrózbach serca, dosłuchuje się tych cichych szeptów duszy, téj cichéj, tęsknéj muzyki, którój nikt z powszednich ludzi nie przeczuwa, nie odgadnie. Najlżejsza, najmisterniejsza woń serca tchnie w téj poezyi tkliwéj, która jest rzeczywiście poezya uczuć najrzewniejszych, a te uczucia wszystkie rosna i rozwijają się w świecie czarodziejskim, kędy już nie rozsądek i powszedni rzeczy ład, ale cudotworność niewidomie włada.

Wspomniałem ci powyżéj, że poezya indyjska jest przede wszystkim poezya uczuć, że sentymentalność

---

jak korale na młodych liściach, zęby jak pączki jaśminu, stan tak cienki żeby się sama ręką objąć mogła, podesswy bez wklęsłości i t. d. i t. d.

głęboka zastępuje w niej prozę rozsądku, że cała siła ducha uderza w uczucia, w nich przeważa potęgą; powiedziałem téż, że życie poezji indyjskiej jest życiem niewieściem, że instynkt serca jest tutaj mądrością. Stąd téż żadna inna poezya, żadnego innego narodu nie wyrównywa w tych uczuciach delikatnych, misternych poezji indyjskiej.— Powtórzę ci tutaj porównanie, które o téj poezji indyjskiej wyrzekł jeden z najgłębszych znawców piękności, a które wedle mnie jest również cudnym jak trafnym: Gdy młoda niewiasta zostawszy matką uśnie, wtedy przez sen marzy o szczęściu swoim, o dziecięciu; a uczucie błogie, radość duchowa wykwita rumieńcem na bladém lieu. Takim rumieńcem błogich marzeń i zwiastunem uczuć szczęścia pełnym jest indyjska poezya.

Rozumie się, że nam mniej chodzi o ocenienie estetyczne téj poezji, jak raczej o wyswiecenie, że pierwiastki fantazy indyjskiej, przezemnie powyżej wykazane, grają zarazem całą potęgą w jego poezji.

Nie pozostaje mi dość miejsca, bym ci podał wyjątki z téj poezji jako przykłady; przecież dziś już nie trudno o tłumaczenia arcydzieł spiewaków indyjskich na różne języki europejskie; odsyłam cię do nich—ograniczę się jedynie na kilku słowach, dotykając się z lekka tych dzieł precudnych.

Dwie są wielkie epopeje Indyan, jedna zowie się Ramajana a druga Mahabarata; tamta starsza, bo podobno powstała na 800 albo nawet na 1000 lat przed J. Chr.—Mahabaraty już dotknęliśmy się powyżej; tutaj położę ci tylko wkrótce treść Ramajany, choćby w okruszynach, bo radbym ci okazać przelotnie barwy

całej téj kompozycyi, która śpiewa chwałę Ramy, indyjskiego bohatera. Śpiewcą tego poematu jest Walmiki, ów wieszcz od bogów natchniony.

Wstęp. Dawno bardzo, bo trzy tysiące blisko lat temu, gdy Walmiki, samotników książę, żył w puszczy cichéj.— Pewnego wieczora przed nim stanął Narada, bóg natchnień wieszczowych, i w wymowném zachwyceniu głosił mu cnoty, potęgę i piękność Ramy, co przyświecał duszy, niby księżycowa poświata. Tak Narada wlewał w piersi boskiego wieszca chęć, by śpiewem zacnym zacnego uwielbił męża. I wypłynęła pieśń, i ustroiła światy potęgą swoich czarów. Kto się poi boską Ramajany krynicą, już nie ugasi nigdy swojej duszy pragnienia! A niechaj będzie pochwalon, pochwalon na wieki jako mędrzec pokory pełen i wolny od winy!»

„Dumał mędrzec (Walmiki), i postem i pokutą pobożną gotował ducha do wielkiego dzieła! I dumał nad dziełem tak wielkiem! Znašla zoczył parę rozkochanych ptasząt tonących w roskoszy miłości, ale strzała okrutnego myśliwca zabija samea! ulubienica pozostała rzewnym żalem oblatuje ciało swojego kochanka. Wieszcz, litując się jéj cierpieniu, nad losem nieszczęśliwej kochanki zapada w zamyślenie głębokie. I woła: »Biada tobie okrutniku puszczy! Biada! Nie długie będą dni żywota twojego, nie doczekasz się starości późnej. «Ty zabiłeś jedno z ptasząt pary, miłością opojonych!» O dziwy! ta właśnie żałośna skarga wylewa się z ust jego wierszem rytmicznym, pełnym harmonii i miary! A tak cudem mistrz wynalazł rodzaj wiersza dla Ramajany, który z siebie miał zrodzić.

Samą treść Ramajany można objąć w kilku słowach. Rama jest jednym z wielu wcieleń bóstwa Wisnu. On na ziemi jest synem króla Dasaraty z pierwszej żony. Lecz król ma drugą jeszcze małżonkę Koikę, i z niej drugiego syna Baratę. Na prośbę tej drugiej żony król Dasarata mianuje Baratę następcą i skazuje Ramę na wygnanie; ale wrychle ojciec, bolejąc żałośnie nad czynem swoim, umiera. Wtedy szlachetny Barata udaje się w głębokie puszcze, kędy żyje Rama wygnany i ofiaruje mu koronę. Nie przyjmuje poświęcenia szlachetnego brata zacy Rama, ale cały pragnie oddać się wojnie przeciw rodowi ohydnych olbrzymów! W tej wojnie dzielni sprzymierzeńcami Ramy są: Hunaman i Sugriwa, co są książętami małp. Cały tedy naród małp bojuje z wielką walecznością w jego sprawie, a najważniejszym ich dziełem jest most skalny przez morze, bo tym mostem rusza wojsko Ramy do wyspy Lanki, która jest stolicą króla olbrzymów. Tam uwięziona Sita, małżonka Ramy; ona była uprowadzona przez króla olbrzymów, a teraz przez Ramę wyswobodzona jest z niewoli. Sita, aby dowieść małżonkowi niewinności nieskalanej, przechodzi przez rozpalone płomienie, a płomienie nie tknęły się zarem ognistym niewinnej niewiasty. »Wtedy radość dreszczem przeszła świata »wszechnicę; co żywe, co istnieje, było weselem przejęte; i radowali się wszystkie przodki dawne i święte »praszczury!...» «Od tej chwili już pełen potęgi świat i wesela pełen, i dochował świat wiary słuszności i prawu. I był świat już wolen troski i nienawiści i przykrój tęsknoty. I nikt z grona tych szczęśnych wybrańców nie widział skona ukochanego z serca syna;

ustaly strachy wszelkie w tém państwie wiecznej uciechy; niéma w niém trwogi z ognia zrodzonój, niéma trwogi z wylewu wód zrodzonój. W tém państwie wiecznej uciechy niéma wdowich łez, niéma człowieka o rozumie zamętym; tutaj ani nędza trapi człowieka, ani trapi go niemoc żadna. . . . .

A gdy po dziesiątku lat tysiąców i jeszcze po dziesięciu setkach lat, Rama opuści państwo swoje, wtedy on rozplynie w świecie bóstwa wielkiego!”

Jak owe podziemne pieczarskie przybytki znów obejmują w sobie drobne kapliczki, przyboczne świątnice, tak téż obie te epopeje objęły mnóstwo ustępów przedczudnych (\*).

Ta fantazyja uczuciowa Indów jest prawdziwie mu-

---

(\*) Wszak rozmowa Kryszny z Arszuną, przytoczona powyżej, jest właśnie takim epizodem Mahabaraty a jest tak długa, że już sama w sobie jest poematem obszernym. Podobnie nie braknie tych epizodów i w Ramajanie.— Jednym z nich jest znany pod imieniem „Zestąpienie Gangi”, a bogini Ganga jest uosobieniem rzeki Gangesu, i tutaj obok skarbow poezyi nie brakuje na fantazyi cudaczącej się dziwnie i potwornie. Tak zaraz pieśń ta rozpoczyna od króla Sugaras i opowiada, jako on miał dwie małżonki a smucił się bezdzietnością swoją. Król przez sto lat czyni pokuty, by potomków wyprosił od nieba. Po upłynionej pokucie, wróżbita święty pobłogosławił obie królowe mówiąc: „każda z was może się stać matką albo syna jednego, który atoli będzie pradziadem długiego szeregu potomków, albo może zrodzić sześć razy po dziesięć tysięcy synów.” Tak się stało; pierwsza małżonka cieżyla się jednym tylko synem, ale on okrutnego był serca, bo najwyższą jego radością i najmilszą zabawą było topienie młodych pacholąt — chwycił je i rzucił do rzeki Saraju i szydził z męki tonących, i t. d.— Druga zaś małżonka Sumatja, co była siostrą króla wszystkich ptaków, wedle własnego wyboru stała się matką nieprzeliczonego potomstwa, bo o dziwy! powiła olbrzymie dynie, a gdy te dynie rozkrojono, zamiast ziarek ruszało się w niej dziesięć sześć tysięcy chłopiat małych. Tak marszy sobie dalej ten poemat, który, mimo podobnych dziwactw, jest pełen najwyższego uroku i wdzięku.

zyką serca. W poezji indyjskiej lirycznej pieśń jakby strumieniem wylewa się z duszy i płynie wśród czar-noksiężkich gajów, strojnych w kwiaty i wonie. Zaiście, czém jest ta lira indyjska, to okazuje się z tego, czém u nich jest muzyka; bo muzyka jest właśnie sama przez się sztuką wyższej liryczności. Zważ, że melodye u nich są uosobione, przybierają ciało; bo wierzą Indyanie, że gdy która z nich się na ziemi odezwie słodkim, czarownym wdziękiem, to wtedy już znać, że jedna z nimf zstąpiła z nieba wśród ludzi, a każda nimfa ma postać i oblicze wyrażające charakter odpowiedniej sobie melodyi. Głównych melodyj świętych jest 36, więc w niebie 36 nimf, a każda z nich ma swój dzień świąteczny na Ziemi. Siedm też jest tonów muzyki, a każdy ton jest także nimfą. W niebie śpiewają pieśni liryczne i grają i hasają; tam pełno śpiewków i melodyi i tańców. Wszak Aleksander Wielki i jego bezśpiewne Macedony wyznali, że niéma ludu, co by się tak rozpływał dźwiękiem muzyki jak Indyanie, a jeden z królów perskich, wielce miłujący muzykę, posłał aż do Indów po graików i przyprowadzili mu stamtąd aż dwanaście tysięcy muzykantów.

Pomyśl, w jakichto pieśniach liryczność miłośna tu obchodzi święto swoje. Ów zbiór pieśni: «Gitogowinda» zwany, tak śpiewa miłość, jej tęsknoty, radości i smutki, i wesela, tak barwą promieniejącą maluje kwiaty i krzewy, i tchy powietrzne i niebo i ziemię, że już my biedaki na północy o takich pieśniach gorących i fantazyi takowej pojęcia nie mamy.

Obok epopei i liry, rozwinął się też i dramat, a świeci się pełne chwały imię Kalidasasa. Dotychczas

trzy mamy dramata jego: pierwszy Sakontala, drugi Wikramurwasi, trzeci Malawika i Agnimitra.

... Göthe, przeczytawszy Sakontalę, uniesiony jęj cudnością uroków, sam wyśpiewał jęj chwałę w mistrzowskiem zachwyceniu.

... Rozpoczyna się ona od prologu. Występuje Bramin i błogosławi dzieło i grę artystów. Poczém pojawia się Dyrektor i wyprasza z gotowalni aktorkę rozpoczyna z nią rozmowę. Rozmowa pełna uprzejmości wzajemnej i grzecznej oglady. Aktorka na próśby jego śpiewa dla rozweselenia publiczności wdzięcznemi tony.

Poczém akt pierwszy. Sceną puszcza indyjska z całym przepychem potężnym samotnej natury, o którym wspomniałem na wstępie listu tego. Król Duszmanta poluje w kniei; jadąc na wozie ściga antylope. Wśród pogoni rozmowa z woźnicą. Już już doganiają szybkie zwierzę, gdy słyhać głos z za sceny: «O królu! ta antylopa w naszej puszczy ma bezpiecznie schronienie! Nie zabijaj jęj!» — Król każe zatrzymać wóz. Pustelnik i uczeń jego występują na scenę.

**PUSTELNIK.** Nie zabijaj o wielomocny władzco biednego młodego zwierzątka! Nie zabijaj go, ono u nas znalazło przytułek dla siebie.... — Król przyrzeka zaprzestać łowów.... Pustelnicy odchodzą....

... **KRÓL DUSZMANTA** (*ogledając się do koda*): Łatwo zgaduwać, żeśmy w pobliżu mieszkań pobożnych pustelników.

... **WOŹNICA:** Po jakich oznakach poznać to można, o Królu!

**DUSZMANTA.** Patrz pod owemi drzewami rozsypano ziarna dla samiec papuzich, by miały czém karmić pisklęta bezpieczne. Widzisz tam młode jelenie, jako peł-



ne zaufania do człowieka, przywykły nawet do głosu jego, płasają bez obawy. Powierzchnia rzeki czerwieni się korą święconą, która spływa falami jej wód. Tam korzenie młodych drzew kąpią się w świętych stawach, a wody dygotają od lekkich igrających powiewów. On-dzie znowu jasny połysk liści młodych, obwiany jest na chwilę dymkiem wznoszącym się z ofiernych ołtarzów. Widzisz, jak tam spokojnie, sarniátko młodziuchne skubie trawkę. . . . .

DUSZMANTA. *(schodząc z wozu oddaje woźnicy klejnoty kosztowne).*  
Weź te drogie stroje. Z pokorą jedynie i bez światowych blasków trzeba wstępować do gajów nabożeństwu poświęconych. *(Głosy za sceną).*

DUSZMANTA. Słyszę niewieście głosy *(patrzy przez krzewy).*  
Dziewczyny młode niosą dzbany do polewania roślin. Jakaż ich postać luba! Dla czego wdziek dziewic ukrytego gaju nie pojawia się nigdy w pałacach? Niechaj ustąpią ogrodowe kwiaty, niechaj ustąpią miejsca kwiatom leśnym, co wdzięczniejsze wonią, wdzięczniejsze barw urokiem. *(Staje pełen podziwienia ukryty w gęstwini krzewów.)*

SAKONTALA, ANUSUJA I PRIANWADA.

ANUSUJA. O Sakontalo, w twojém towarzystwie dopiero widzę, jak przepysznej i zachwycającej piękności są te drzewa ojca naszego Kanny. Zaiste tobie, któraś tak podobna do świeżo rozkwitłej maliki, przystoi polewać krzewy i kwiaty!

SAKONTALA. Nie tylko dla tego skrapiam kwiaty, że taka wola ojca naszego, choć i ta wola jego byłaby

już dla mnie dostatecznym powodem; ale wyznaję wam, że tęchnę miłością sieroty ku tym roślinom młodym.

PRIAMWADA. Przyjaciółko moja luba! Krzewy przez ciebie skropione rozkwitną dopiero latem, które zaledwie co się rozpoczęło. Chciejmy pokrzepić i te roślinki biedne, których czas rozkwitania już przepłynął. Cnota nasza tém wyższa, im wznioślejsza nad miłość własną.

SAKONTALA. Wyborna twoja rada *(polewa rośliny.)*

. . . . .  
. . . . .

SAKONTALA. Patrzcie, jak owo drzewo Amry przywołuje nas do siebie palcami liści swoich, rozkołysanych wietrzykiem łagodnym — zapewne chce nam szepnąć do ucha jakąś tajemnicę swoją. *(wszystkie trzy dziewice zblitają się do drzewa.)*

PRIAMWADA. O Sakontalo! Spocznijmy tu na chwilę w cieniu jego.

SAKONTALA. A dla czegoż właśnie tutaj?

PRIAMWADA. Bo to drzewo Amry tobie zaślubione; tyś tak podobna do rozkwitłego powoju, co się oplótl około amry lubój.

SAKONTALA. Słusznie cię nazwano Priamwada, czyli «miłomowną.»

DUSZMANTA. *(w ukryciu)* Ona iście prawdomowna. Czyliż usta Sakontali nie świecą jakby listek kwiatu? Czyliż ramiona jój niepodobne do gibkiej łodygi? Piękność młodociana opłynęła jój postać całą!

ANUSUJA. Patrz, o Sakontalo moja, jak to świeżo rozkwitła malika (powój), którąś nazwała Wanadosini,

czyli «rozkoszą gaju;» ona wybrała sobie słodkie drzewo Afury za narzeczonego swojego.

SARONTALA. (*przybliżywszy się, wpatruje się z nachyleniem drzewu i powybłotał*) Jakóż luba jest ta roku pora. Ona tak wdzięcznie obchodzi wesela miłośne kwiatów!

PRIAMWADA. (*z uśmiechem*) A wiesz ty Anusuja dla czego Sakontala z takim uniesieniem radośnym patrzy na te rośliny?

ANUSUJA. Nie mogę zgadnąć, choć nad tem myślę i radabym bardzo wiedzieć.

PRIAMWADA (*śpiewa*)

«Gdy Wanadosini wybrała dla siebie kochanka, to i mnie zaślubiony hędzie ulubieniec sercem wybrany!»  
Otoż widzisz, Anusujo, tak właśnie do siebie teraz mówi Sakontala nasza!

SARONTALA. To są Priamwado marzenia wyobraźni twojej.

Tak dramat ten płynie najcudniejszą sielanką, pełną tkliwości rzewnej, słodkiej. Zgodzisz się ze mną, gdy m tę poezją nazwał cichą misterną muzyką serca. Jest to sentymentalność pełna prostoty i słodczy, a przecież nie słodkawa, nie sztuczna i umysłowa. Łatwo też nam tutaj spostrzedz owo pokrewieństwo duszy z otaczającą w koło przeważną naturą i wielkie znaczenie tych cudnych jej uroków.

Rozmowa dziewcząt młodych rozwija się dalej tą samą uroczą prostotą, gdy pszczołka wyleciawszy z kwiatu maliki brzęcząc oblatuje usta Sakontali. Ona broniąc się jej, rękami wdzięcznymi zachwyca ukrytego Duszmanınę; gdy pszczołka coraz śmielsza, coraz zu-

chwalszą, Sakontala przejęta trwogą, woła ratunku; w tej chwili z za krzewów pojawia się król śpiesząc jej w pomoc. Skłopotanie się dziewcząt. Przecież zawiezuje się rozmowa z nieznanym, w której atoli Sakontala dla swojej nieśmiałości mniej ma udziału... Wkońcu Duszmanta dowiaduje się od Anusui, że Sakontala nie jest bynajmniej córką pustelnika Kanny, że ojcem jej był książę Kausika a matką nimfa Menaka. Radość najwyższa i szczęście bez granic przejmują króla, bo już żadna różnica kast nie zawadza mu do zaślubienia Sakontali. Lecz nie wydaje się ani z miłością swoją ani z imieniem. Sakontala, z lękiem czując w sercu swoim nieznaną jej wróżbę miłości, pragnie odejść; przyjaciółki ją wstrzymują. Duszmanta, uważając że dziewczyna zbyt utrudzona polewaniem roślin, imieniem kwiatów skropionych ofiaruje jej pierścień kosztowny.

*W drugim akcie:* Seena na pograniczu puszczy, kiedy rozpięte namioty króla. Przyjaciele i wodzowie Duszmanty, którym już ekliwie to życie w kniei, radziby go skłonić do powrotu ku stolicy. Ale król, przejęty miłością gwałtowną, pragnie pozostać w świętej kniei. Daremnie nawet wzywa go matka do stolicy na religijną uroczystość nadechodzącą; ale że pustelnicy, mieszkający w kniei, błagają od niego pomocy przeciw duchom złowrogim, którzy się pojawili w kniei, król używa tego pozoru i nie wraca do miasta.

*W akcie trzecim:* Miłość tak rozebrała serce Sakontali, że błednieje, choruje, zwierza się przyjaciółkom swoim. Widzenie się kochanków. Trudnoby mi było, choć pobieżnie, podać ci treść a tém mniej najcudniej-

szcze ustępy tego dramatu, bo on nader długi i ciągnie się przez siedm aktów.— Kochankowie zaślubieni — Wtedy dopiero król myśli o powrocie; błaga atoli Sakontalę, by w rychle za nim pośpieszyła do stolicy. Sakontala, żegnając się, prosi by nigdy a nigdy nie zapomniał o ich miłości. Król pokazuje jój że na pierścieniu czarnoksiężkim, jój darowanym, wyryte jest imie Duszmanta. « Wymawiaj każdego dnia jedną z tych trzech zgłosek, a gdy tak całe imie moje przeczytasz, zjawi się dworzanin mój i zaprowadzi cię do królewskiego pałacu. »

Tymczasem Sakontala, zatopiona w swoim szczęściu bez granic, przez niebaczość nie oddała czci należnej obcemu braminowi, idącemu przez las. On, gniewem zdjęty, rzuca na nią przeklęstwo.

Nadchodzi czas, w którym Sakontala wyprawia się do stolicy — Powiernice jój i pobożny pustelnik Kanna, który zastępował ojca Sakontali, odprowadzają ją na granicę puszczy.— Scena pożegnania najwyższej rzewności — Sakontala przybywszy do stolicy staje przed małżonkiem—On jój nie poznaje! podziwia jój piękność, ale całe dzieje ich miłości wyszły mu z pamięci! Sakontala chce mu okazać pierścień, lecz pierścień zgubiony, zesunął się jój z palca, gdy sięgała do poświęconego stawu. To nieszczęście, ta strata pamięci u króla są skutkiem przeklęstwa bramina. Sakontala, zapomniana od męża, zelżona od dworaków, odchodzi z sercem rozdartém. Ona mniema, że Duszmanta zaparł się swojej miłości.

Nie długo potém rybak, złowiwszy rybę, znajduje w niej pierścień kosztowny; chcąc go sprzedać idzie do

stolicy—schwyty, przyproawdony przed Duszmantę. Na widok pierścienia nagle król wraca do pamięci, wraca mu się uczucie najwyższej jego miłości do Sakontali — Żal i rozpacz króla.— Wkońcu Sakontala wynaleziona.— Szczęście obojga kochanków.



## LIST XVI.

### Egipt.

Wstęp.— Natura Egiptu i Historia.— Teby— groby (hypogee) Tebańskie.— Zwaliska Teb.— Memnony.— Piramidy.— Labirynt.— Usposobienie duchowe Starożytności Egiptu i wynikająca stąd symboliczność jego fantazyi.— Cecha rzeźby i architektury Egipskiej.— Gadka stara.

**N**iekiedy i dobrze pomówić z umarłymi!

Nie wiem, czyliby się kto znalazł, coby, przeżywszy już znaczniejszą część swojego życia, nie doświadczył czasem tych chwil niewypowiedzianej, rzewnej tęsknoty, kiedy się nam przykrzy w tém życiu powszedniem, tych chwil, w których serce zachodzi bólami całej naszej przeszłości i nabrzmiewa niby łzami cierpień bez końca. Są to chwile tak smętne i szare, że nam aż ciężko, dławno, parno na tym Bożym świecie, co przecież tak piękny a cudów pełny. Są to chwile, w których dobrze pomówić z umarłymi; wtedy dobrze utonąć w duszy, wskrzesić pamięć zgasłych ojców, przyjaciół, krewnych, i rozmówić się w myśli od serca z nimi; wtedy dobrze nawiedzić mogiły i groby i przenieść się w dawno upłynione lata; a często umarli ulecą zbolełe dusze żywych.

A kto jeszcze przeżył długie lata w mieście jakim, toć pewnie na cmentarzu jego będzie miał część własnej przeszłości, część własnego żywota pogrzebaną pod ziemią. Dla tego też i na naszym krakowskim cmentarzu w każdej prawie godzinie, w każdej porze dnia znajdziesz kogoś z miasta na samotnej pielgrzymce wśród grobów.

Wczoraj i ja taką wędrówkę odbyłem.

Śmierć, to wielka nauka dla żyjących! jakoż kłopotki i zmartwienia codzienne marszczą jedynie wierzchnie duszy fał, lecz gdy zniętacka spadnie na ciebie całym brzemieniem skonu drogiego człowieka, którego uczucia zrosły się z uczuciami serca twojego, wtedy nieskończone boleści, jakby burze i wichry Boże, roztworzą ci do dna duszy twojej topiele, i z głębin ich wyrzucą na jaw prawdy jak perły drogie, choć wśród cierpień zrodzone; bo wtedy co wiekuiste, co nieskończone, stanie w promieniu niebiańskim przed duszą twoją; co ziemskie, doczesne, zblednieje, skureczy się w karła, zniknie, uleci. Wtedy poczucie wewnętrzne ci wróży, że cię sam Bóg nawiedził. Czas zagoi wprawdzie głębokie rany serca w blizny; na miejsce wrzącej, gwałtownej boleści wstąpią wspomnienia smętku i żalu, a przecież tak pełne słodyczy rzewnej. Ale to dopiero wśród grobów owieje cię dech innych światów, tak cichy i spokojny, że ci ukoi troski codzienne i ulży te biedy, biedki zwyczajnego żywota.

Takowym uczuciom dziwnie wtórowała sama pora roku na tej wczorajszej wędrówce mojej, po tym krakowskim cmentarzu!

Głęboka jesień przygasiła już wszystkie natury bar-



wy; sposzarała te jasne nieba błękity; jój wichry obdarły z krzewów i drzewów bogaty liści strój, co na wiosnę wykluwał się tak uroczy, tak pełen nadziei ku słońcu; dziś, jakby najdroższe serca ludzkiego uczucia, rzucony o ziemię wilgotną, zwalany, sponiewierany, poszedł na pomiotłę i gzy mroźnym, jesiennym zamieciom. Mgła mokra, gęsta, kłębami przewalała się po świecie, w niej jakby w morzu tonęły domy, wieże, kościoły; one teraz, jakby własne mary swoje, traciły zarysy rozplywając się w kształty zamazane, omdlałe. Daleko jeszcze za miasto dopływały zegarów głosy, i stary Kraków nasz uderzył w swe kościelne dzwony, i harmonią ich tonów zaśpiewał tren żałoby, tak pełen grozy, tak przeciągły, głęboki i smętny. W końcu i ta pieśń oniemiała, umarła.

Wśród samotności a głuchego opuszczenia, niedaleko przed bramą cmentarza zaszedł mi drogę pogrzeb. Z grubiej mgły występował zwolna, niby z obłoków, ubogi wózek o jednym zbiedzonym koniu, na wózku z prostych desek trumna, a na trumnie krzyż czarny rozmazany słotą; obok szedł woźnica,— on był sam jeden całym konwojem pogrzebowym. Mgła coraz gęstsza już obłoniła nawet najbliższe przedmioty i zamknęła nas zewsząd oponą swoją; tak tedy umarli, i woźnica i ja składaliśmy sobie we trzech świat osobny, własny i cichy. Czasem tylko wózek zaskrzypiał, czasem trumna stukła, czasem zaklekotały nad nami suche gałęzie drzew. Tak w końcu stanął wózek u wrót cmentarza; dołów przygotowanych było podostatkiem; więc w rychle zadudniła trumna w głębi, więc kilka łopat ziemi, a już nasz wędrowiec stał się jednym z gospoda-

rzy na tej świętej roli Bożej. Blisko niego stós liści ziółkłych, nawianych wśród grobów; one, chwycone wiatrem, nagle się zerwały, skręciły się w słup, a słup wierćąc się i szumiąc poleciał daleko po nad mogiły, niby oznajmując im nowego przybylca; świerki zaś, te warty grobowe, co im tak bujno na naszym cmentarzu, zatrzęsły się w sobie zimnym dreszczem, zamruczały i wnet rozgadały nowinę po całym cmentarzu. A w koło już nie było widać istoty żyjącej. Głucha cisza zaległa tę nieprzejrzaną przestrzeń; niekiedy tylko tu lub ówdzie zgrzytły drzewiczki blaszane na starych pochylonych krzyżach, niekiedy na grobie syły zioła zwiędniałe, powiewem poruszone; westchnął zwiędniały listek, poruszył się na grobie; niekiedy coś stęknęło pod ziemią—zapewne załamały się dawne spróchniałe deski. W środku, jakby na rozstajnych drogach, czerniła się kaplica drewniana; ona choć biedna, z desek sklecona, jest jakby stolicą świętą tych grobów ubogich i tych pomników okazałych. Gdym wracając przechodził to nieboszczyków państwo, nie było już widać duszy żywej; zdawało się jak gdyby te długie rzędy grobów jedne po drugich z kolei wybiegały na przeciw mnie z pod zasłony wieczornego już mroku i mgły; jak gdyby te szyki czarnych krzyżów, pomników kamiennych, zachodziły długim, nieprzejrzanym szeregiem, niby wojska kroczące śpiesznie na przegląd Boży a ostateczny sąd. Były też mogiły bez krzyża i napisu; widać że mieszkańcy ich wlekli krzyż przez cały żywot swój, i na nim też legli w grobowym dole; lecz imiona ich, łzawém zaprawdę piśmem wyryte, trwają w pamięci tych, których zostawili na ziemi.

Obejdzie się już bez pomników,—wszędzie ta ziemia jest święta, wszędzie sprawiona krwią i cierpieniem bez końca.— Cmentarz rodzinnego miasta, toć to jest kronika téj cichéj historyi rodzin, tych dramatów, co to odbywają się na szczupléj skromnéj scenie domowéj, nieznanéj od świata, a przecież tak często są pełne rzewności, tak bogate w serdeczną treść, iżbyś nią mógł napełnić księgi całe.

---

Przebaczysz mi zapewne, że ci położyłem ułomkiem wewnętrzną dzieje uczuć; aleć one nie są bynajmniej osobistemi uczuciami; one przecież są wszystkim prawie ludziom wspólne, bo rzadkobyś znalazł serce, do którego by nie zapukały choć z cieha myśli podobne; a wspomniałem ci o tém wszystkiém, dla tego że z kolei przychodzi mi mówić o tym ludzie, którego życie całe było dumaniem nad śmiercią, o ludzie starego Egiptu, którego historia i kraj cały jest cmentarzem, kędy dech grobowy owionął wszystkie człowiecka sprawy, od kolebki do śmierci.

Nieśmy atoli dzięki i chwałę ludowi, który piérwszy w staréj Historyi głębką wiedzą a instynktową wiarą uświęcił prawdę o nieśmiertelności duszy, który, uznając świat materji jedynie za przybytek ducha a ciało za doczesne szaty jego, oddawał cześć ludzkim zwłokom; nieśmy, powiadam, cześć ludowi który całe życie pracował by umarł i był pogrzebion z godnością.

---

Egiptką ziemię zewsząd obsiadły tłumne narody, z których każdy w kolei wieków, niby na sejmach dzie-

jów ludzkich, zabierał głos w świętej sprawie człowieczego rodu; sam tylko Egipt zamysłony milczał w ciszy ducha swojego; on bez bojów hałaśnych, bez wojen światoburzących zdobywał na własnych głębiach duchowych skarby, które zapomógł wszystkim w koło ludy i z bogactw późne wieki. Na wewnątrz siebie zwrócony, podsłuchiwał wiekuistości zrodzenia i tonął we własnej istocie, tonął w bezdeniach nieba; w nich, jakby na zegarze świata, myślą ściągł wieczne gwiazd obiegi. Aleć bo też i sama ziemia rodzinna tego ludu jakby na zadumanie a zebranie myśli stworzona. Niby ona jest wyspą samotną, odrębną, a przecież wśród obszaru i twierdzy lądów stałych. Jakoż ze wschodu i zachodu dyszą dwie przestrzenie skwarne pustyni głuchych. Tam wszystko martwe, nieruchome, prócz piaszczystych zawiei; wszystko nieme krom westchnień zbłąkanego wędrowca; tam jedynym życiem lew, tygrys, szakal lub kościste, trupie ramiona kaktusów, a nad pustynią bezmierną sklepi się tarcza nieba płomienna czerwonym żarem, rozpalając piaski i chaotyczne głązy pustyni barwą ognistą (\*). Od północy wprawdzie morze śródziemne bije otwartą falą swoją; lecz gdy dla innych narodów pomorza są wolnym, swobodnym oddechem ku światu i szerokim gościńcem, wiążącym społeczeństwo, dla Egiptu morskie wody są złowrogiem bóstwem; on ze wstrętem odwraca się od nich, wpatrując się jedy-

---

(\*) Pan Tępa, jeden z najznakomitszych artystów naszych, odbywszy podróż po Wschodzie przywiózł nam szkice i studia z Egiptu; on pędem jakby w tych skwarach promiennych umaczanym przedstawił potężnej i strachy i przepych tych pustyni, niżby tego dokonać zdołały wszelkie opisy moje.

nie obliczem niezmienném we własny kraj, niby w dom a dzieje swoje. Więc tylko od południa jedyna jest brama do téj zamkniętej w sobie ziemi. Gdy bowiem Nil, spadłszy z Alpów Abyssyńskich a przebrawszy się przez Nubię, dostaje się pod granice egipskie, już tutaj gruchoce nurty swoje o tysiące wysp opocznych i olbrzymie sterczące skalne samorody; a szumi i kipi, swawoli i pryska, zanim u samych wrót Egiptu z hukiem i grzmotem przewali się przez katarakty i progi. Tu w koło obstepuje go Natura również dzika, zuchwała, groźna w przepaści i strome skalne ściany. Zaledwie atoli rzeka pominie Elefantynę, ostatnią wyspę przezwaną »wonných kwiatów ogrodem,« na której święty grób Ozyrysa, zaledwie tu dotknie się gruntu Egiptu właściwego, a już miarkuje swoje wody, już upamiętawszy się płynię uroczysto, poważnie, w milczeniu, jakby ze czcią, z uszanowaniem przez ten kraj również uroczysty, poważny, i tak już z wolna, z cicha dąży w nieskończone morza objęcie.

Ale już przy wstępie do Egiptu zbliżają się do obu brzegów pasma gór, a ścianami rudawemi towarzyszą rzecce bez przerwy, zostawując między sobą dolinę wąską, bo szerokości ledwie kilkomilowój. Tym tedy pasem ciasnym, zielonym, bieży Nil nierozdzielonym łozem; z obu stron za górami ziewają owe pustynie samotne, głuche. Dopiero gdy rzeka podpłynie w sąsiedztwo morza, oba pasma oddalają się od jój brzegów rozchodząc się w odwrótne sobie strony. Nil tutaj, wypuszczony z ciasnych karbów na przestrzeń kraj, rozstępuje się we dwa potężne konary, a tak zdradza one sławne w świecie widły swoje — *Dellę*. Egipt tedy ró-

zni się postacią od wszystkich innych krajów na Ziemi; on cały jest tylko rzeką z dwóma długimi a wązkiemi pobrzeżami i z płatem szerszym przy końcu; więc go też Herodot uważa być podobnym do cienkiej zielonej łodygi o jednym liściu u szczytu, a rzuconej na czerwony piasek pustyni.

Jak do téj samotnej doliny, odgradzonej od świata, rzadko tylko zalatują turkoty historyi i wrzaski wywrótnych wojen, jak w sercu ludu tego przebywa cichy głęboki pokój, nie zamącony namiętności wojną, tak też i niebo jego ciche, bezchmurne; nie ujrzysz na niém onych wiecznie zmiennych kształtów i ruchawych barw obłocznych, onego dramatu, co, ciągle walcząc, ciągle się przeobraża w nadpowietrznój scenie; tu spokojny błękitów strop zagląda milczący w kraj i w spokojne a ciche serce człowieka (\*).

Jednakże najpotężniejszém znamieniem kraju, które się już nigdzie więcej z tą dobitnością nie powtarza, jest Nil. On nabrzmiewaniem i opadaniem wód swoich zrodził w duszy człowieka niezachwianą myśl o rządzie i ładzie niezmiennym Świata, i rozdzielił rok Egipski na trzy silnie odgradzone od siebie pory;

---

(\*) Co do natury Egiptu porówn. Ritter Erdkunde T. I. od str. 677.— Śpieszmy zawiadomić czytelników że niedawno przybyło do literatury Polskiej dzieło nowe *Podróż na Wschód* przez M. Manna, w którym czytelnik znajdzie wierne obrazy natury i sztuki starożytnego Egiptu, co tém dokładniej przedstawia nam ten kraj niesłychanych cudów że autor sam go zwiedzając pisał książkę swoją pod wrażeniem świeżym i żywym którego doznawał na miejscu, otoczony będąc w koło scenami téj nadzwyczajnej przyrody, i zabytkami nadzwyczajniejszego jeszcze ludu. Wyjątki z tego dzieła, dotychczas ogłoszone, dowiodły że autor miał oczy i uczucia otwarte na świat, że dostrzegał nawet szczegóły co, choć niby drobne, nie pomalu przyczyniają się do kolorytu i tonu obrazów.

on był drogą którą z południa przypłynęła cywilizacya. Na brzegach jego następują po sobie trzy dzielnice geograficzne kraju, trzy miasta stołeczne i trzy odpowiednie im epoki historyi. Jakoż oświata ze stariej Nubii, z pradziadowego a zapomnianego Meroc, założyła w wyższym Egipcie Teby; później, z upływem wieków, dźwignęła w Egipcie średnim państwo Memfis i zbudowała owe piramidy swoje; w końcu, zatrzymując się nad morzem, wystawiła w Alexandryi tron Ptolomeuszów. Tutaj atoli już duch Grecyi zawiął Egipt i zmienił postać jego. Więc też owe same dwie pierwsze dzielnice kraju a pierwsze dwie epoki historyi są istnym wyrazem fantazyi i właściwego żywota jego (\*).

Znać ze wszystkich zjawisk że Egipcjowi sztuka przysła z południa, z Etiopii; wszak stamtąd nawet wstępuje do Egiptu owa architektura we wnętrzu skał wykowanych świątnic i w łonie gór wydrążonych przybytków, przypominających Indyc; a lubo tutaj na ziemi egipskiej budowanie usamowalnia się już z objęcia podziemnej natury, przecież olbrzymie pieczary, tak rozłożyste a zdobyte pracą niesłychaną i żelaznym trudem, świadczą i o pochodzeniu swoim i o potężnej niezłomnej woli starego Egiptu. Bo jak ów robaczek z piersi swych wysnuwa jedwabną przędzę, i biedzi się i sili, by z niej utkać grób dla siebie, co go kiedyś ma wypuścić lekkim skrzydlatym motylkiem, tak dusza ludu tego, niespracowana nigdy prządka, z siebie wydo-

---

(\*) Wiadomo nam, że w najświeższych badaniach historycznych znajdują się domysły, wywodzące inaczéj pochod historyi w Egipcie; ale owe badania dotychczas, o ile sądzić się osmielam, nie poparły jeszcze dostatecznie twierdzenia swojego.

bywa nadczołowieczych prawie sił i wytrwania bez granic, i walczy ze skałą i mocuje się z nieużyta, twarłą naturą, by sobie stworzyć pośmiertne mieszkanie, kędyby już mogła spocząć w ciszy i doczekać się zanim też jój wyrosną wiekuistości skrzydła.

Tak Egipt jest cały cmentarzem a jego najwyższą sprawą życia jest dumanie nad śmiercią, obrzęd pogrzebowy, i oddanie czci zwłokom umarłych.

Nad Tebami, na ścianach zachodniego pasma gór, co tak silnie odsadza czerwone kształty swoje od jasnych nieba błękitów, czernią się plamy, idące po sobie jakby następstwem otworów fujarki pasterskiej; są to wchody do podziemnego, w górze wykutego, państwa umarłych. Gdy pustynia chuchnie, rozpieczone jój tchy wlatują w głąbie tych pieczar, a one jękną tonem żalnym, długim. Więc też z dawien dawna zowią te grotty fletnią (Syrinx). Dziś, w pierwszych przysionkach do tajemniczego Świata przeszłości, znajdziesz rodziny na pół dzikich Arabów, którzy niby pasterze, niby rozbojnicy tutaj wraz z trzodami założyli legowiska swoje. Drgający płomień kagańca oświeca gospodarowanie barbarzyńców w tym świecie ponurym, tęsknym. Na pół nadzy rozkładają się na mumiach i czaszkach z wieków Faraonów i warzą sobie wieczerze przy ogniu roznieconym z trumien spruchniałych i z kości dawno zapadłych pokoleń; bają i prawią o przygodach, o rozbojach, o podstępach swoich, i chełpiąc się pokazują sobie wzajem naszyjniki, figurki, pierścienie i inne łupy wykradzione z głębin kośnic starych. Bo oni przywłaszczyli sobie puściznę po tej siwej przeszłości Egiptu i rabują groby zgasłych stóleciów jego. Więc z szal-



bierska handlują swą zdobyczą, więc zazdrośni frymar-ku za ciężkim okupem pozwalają wstępu obcym do wewnętrznych pieczar grobowych. Lecz gdy w nie wstąpisz, gdy przy płomieniu pochodni rozpatrzysz się w tych nocnych przestrzeniach, już świat jakiś, zgrozy a uroczystości pełny, obejmie cię całą potęgą swoją; otoczy cię zamęt ulic, placów, przysionków, komór i t. d., za nimi ciągną znów inne krużganki, chodniki, a za temi znów inne i tak bez końca; tu schody w górę się śpinają, tam inne idą wgląd; tu schody wyprostowane, szerokie, tam skręcają się ślimakiem; tu na czworaku po ziemi pleść się potrzeba, tam znajdziesz salę przestronną, wysoką, słupiącą, gdzieindziej znów zapadają, niby studnie, szyby pionowe i giną w głębiach niedójrzanym. Całe to pieczar państwo gmatwa się labiryntem powikłanym, całe wykute w litęj opoce, całe założone zwłokami umarłych pokoleń. Setkami, tysiącami piętrzą się mumie na mumiach, na trumnach trumny; znać, że wiek po wieku wnosił tu zwłoki swoje i układał w stosy, budując z nich jakby twierdze śmierci i pomniki znikomości ludzkiej.

Przez ten świat skonu i zniszczenia atoli wygląda życie starego Egiptu w całej prawdzie, z całą treścią domowego obyczaju. Ściany w koło strojne w obrazy malowane, a tak barwami świeże jak gdyby wczoraj dopiero wyszły z pod pędla mistrza. Tu widzisz stolarskie, cicielskie warstaty, tam piekarze lub czeladź garbarska krząta się pilnie około pracy swojej; indziej znów uwija się skoczne grono tancerzy a wtórują im grajki i dudarze; często też wśród tych scen codziennych zwyczajów wciskają się nieme a tak pełne wy-

mowy przestrogi z innego świata. Przed pałacem wiekuiściej sprawiedliwości zasiada na sądzie Ozyrys otoczony orszakiem swojego dworu, przed nim stanęła dusza zmarłego. Ozyrys na szali waży i mierzy sprawy jój ziemskiego żywota i stanowi niezmiennym wyrokiem o losie jój, o pokucie powtórnój na ziemi, lub o nagrodzie w promienistój krainie gwiazd. Tych sądów pośmiertnych znajdziesz tu gęsto: jedne malowane na ścianach, inne na papyrusach dodane jakby posagiem mumiom w śmiertelne powicie. Niekiedy w końcu korytarza dygoce i mruga w kołyszącém się świetle pochodni postać rzeźbiona występująca ze skalnej ściany.

Ale tu, gdzie niegdyś panował ład i ścisły szyk; dziś rozpustuje gburowata swawola. Widać, że tu często ręka świętokradzka, poderwawszy niższe warstwy trumien, zwała całe to misterne budowanie, a setki mumii rozsypały się po ziemi dzięki zamętem; kędy stąpisz przebijesz nogą cztery, sześć i więcej ciał spróchniałych, a z nich miał gęsty, gruby, czarny unosi się chmurą, miesza się z powietrzem, dławi oddech grożąc zaduszeniem.

Te prochy brudne, ta tłuszczu nieprzebrana ohydnych nietoperzów, które, ocucione ogniem pochodni, ze światem i piskiem wirują koło wędrowca głowy, wyziewy i cuch z nieprzeliczonój cizby umarłych ciał, zaducha skwarna niby rozpalonój huty w tych sklepach smętnych, uderzają zgrozą zmysły i znękaniem ciało. A pamięć olbrzymiej, tu pochowanój przeszłości, żywa obecność śmierci i zniszczenia, trud i dzieje tylu pokoleń, cienie lat tysięcy które tu przemieszczały, napominające a groźne oblicze historyi, to wszystko cięż-

kiém brzemieniem pada na duszę i niby snem straszliwym nagli, by się wydobyć z objęcia tych widziadeł i odetchnąć swobodnie w jasnym słońcu dnia i żywota.

Więc niby odrodzony znajdziesz się na wyżynach górujących owe katakomby; ale tu nowe, lubo inne, dziwy niewypowiedzianą siłą chwytają za serce wędrowca. Pod stopami, po obu pobrażach nilowych rozściela się niedoścignione okiem morze zburzysk, rozwalin. Są to rozsypiska Teb, najstarszego miasta w starój świata cywilizacyi. Wszak Homer, temu lat blisko trzy tysiące, sławi głośną już wtedy potęgę i chwałę Tebańskiej stolicy, a zdobywając się na wyrażenie najwyższej zamożności śpiewa: o piaskach morskich zamienionych w złoto, lub o skarbach, które się w stobramnych Tebów liczą mieście:

Gdzie w pole każdą bramą idzie mężów dwiecie,  
Koni i wozów liczne prowadząc szeregi.

(*Iliada IX. 382*).

Dziś ta pieśń wielkiego wieszczu żyje jak przed trzydziestu wiekami, ale ów lud budowniczy przebrzmiał niby struna lutni zerwana; a miasto jego, ognisko stołeczne starój kultury ludzkiego rodu, strojne w grobowce, pałace, świątynie, zbogaczone posagiem Indyan, Arabii, murzyńskich krajów i ludów zaoceañskich, to miasto do imienia prawie przepadło w zapomnieniu. A jak nici pajęcze na drogich stłuczonych rzeźbach, tak dziewięć wiosek siadło, wraz z gruntami swojemi, na obaliskach jego, przylepiły dymne chatki i gotębniki swoje do przepychu wywróconych piękności dzieł, na które składały się robotników miliony i długi szereg wymarłych po sobie pokoleń. Te nędzne wioski na-

dają dziś nazwiska swoje dzielnicom osobnym roztrzęsionych Teb.

Teraz te gruzy niby bawidełka naukowe rozwoją po świecie. Każda stolica nasza radaby się pocieszyć, jakby cackiem, sfinxem rodzimego egipskiego pochodzenia, zapominając, że nasz własny czas jest sfinxem, co grozi zdławieniem każdemu, kto nie rozwiąże jego zagadki—kto nie zrozumie jego tajemnicy. Wszak z łona starych Teb przywieziono do Europy ów obelisk Luxoru i postawiono w Paryżu na ozdobne ubranie miasta, Gdy drugi, jakby bliźniak, jemu podobny obelisk świeci jeszcze swym blaskiem w egipskiem słońcu, tamten, wyrwany z pod boku jego, rysuje się i trawi w chmurach i mrozach północnego nieba. Obcy gość, z pod obcego nieba, z innych lat tysięcy stanął wśród pokolenia obcego sobie i przemawia hieroglifami do naszego stolecia.

Gdy nam w Europie pokazują malowane wzdoki egipskich budowli, gdy w zbiorach bogatych znajdujemy grobowce, posagi z nadnilowych brzegów sprowadzone, toć kształty téj architektury, téj rzeźby tak nam się zdają podsadziste, grube, a postaci rzeźby egipskiej tak niby chude i twarde, że nam już trudno dopatrzeć się w nich piękności jakowej. Ale, powiedz, czyli ktoś zdoła nawet odgadnąć duszę choć małej, ulotnej piosenki, kto zarazem nie rozumie ojczystego jój kraju, kto nie rozumie szeptu borów tego kraju i westchnień jój łąk, i muzyki jój wiehrów i wód? kto nigdy nie przyłożył ucha i sereca do gruzów, do mogił jój, i nie podsłuchał pulsów bijących w głębi téj ziemi?—Więc też dziełom Egiptu przypatrzeć się należy w Egipcie samym; gdy na nie tchnie powietrze ojczyste, gdy je

opłynie poświata i barwy rodzinnego nieba, gdy zafarbuje właściwemi kolory, wtedy owe strętwiąłe kształty nabiorą życia i ruchu, uduchownią się, uderzą potężnym zarysem swych linii, i zagrają siłą swych światel i cieniów, tak pełnych tajemniczego uroku. Tu na téj ziemi egipskiej kolumny greckie, choć tak szlachetne i czyste w rysunku swoim, budowania rzymskie choć tak śmiałe i harde, będą nikłe i omdłałe bez wydatnych cieniów i światel, bez dźwięku i siły. Te greckie zwłaszcza budowania, postawione na ziemi egipskiej, obok dzieł własnych Egiptu będą śpiewem niewieścim obok grzmiących hymnem organów. Więcej niż którakolwiek inna fantazya, fantazya egipska doszała się życia u piersi własnej ziemi, dochowała się i urosła w objęciu ojczytnej natury. Nigdzie już więcej nie spotykamy tak spólnego nastroju tych dwóch potęg, tak różnych od siebie, bo spraw ludzkich i przyrody krajowej. Dla tego też w Egipcie sztuka tak do siebie zawsze podobna, tak sobie samej wierna, tak wpływem wieków nie traci właściwego wyrazistego piętna, jak natura Egiptu zachowała wiernie rodzimą cechę swoją. Więc też dość jest przypatrzeć się jednemu z dzieł egipskiej fantazyi artystycznej, aby sobie już wywróżyć ducha spoczywającego na dnie wszystkich tych dzieł i we wszystkich dzielnicach kraju i we wszystkich epokach jego historii.

Teby atoli są sercem całej sztuki egipskiej, a choć dla łatwiejszego upamiętania się podzielono zamęt ich gruzów aż na dwanaście grup osobnych, dla nas wszakże wystarczy wspomnieć o zburzyskach pałacu Karnak; szczęty jego szczęśliwiej zachowane wystarczą za wszyst-

kie inne. Nie będziem się też wdawali w szczegółowe opisy, bo te już dziś w lada książce znaleźć możesz; chodzi mi jedynie tutaj o to, by odświeżyć w myśli twojej zarysy Egiptu, byśmy się mogli tém snadniej porozumieć z sobą.

Tuż od wschodniego Nilowego brzegu, sześć set kolosalnego wymiaru sfluxów, o głowie niewieściej a lwim kadłubie, staje dwoistym szeregiem po obu stronach szerokiego gościńca. Ten później rozszczepia się na dwie ulice sfluxowe, jedna ma się na lewo i dobiega do świątynicy najdawniejszej w całej Tebaidzie; kolumny jej ciężkie, kształty osiadłe, poważne, zadumane, a światło, po mistrzowsku użyte, nie wpada wprost w przestrzenie przybytku, ale odbijając się i łamiąc rozlewa się z góry mistycznym i tajemniczym urokiem. Lecz to arcydzieło starodawnego Egiptu zmaleje, gdy się weźmiesz na prawo onego gościńca głównego i puścisz się drugą ulicą sfluxową, wiodącą ku pałacowi Karnak.

Sam wstęp już do tego dziwnego gmachu jest jakby wspaniałą przedmową do czarodziejskich wielkości, które czekają na wędrowca we wnętrzu starego grodu. Bo pylon wchodowy i przysionek wstępny jaśniej i kosztownością materiału i dobraniem artystycznym jego barw; tu świetne marmury i granity różowe, i piaskowce różnofarbne spływają w jedność spólnego akordu; przed bramą dwa olbrzymy, niby dwie warty kamienne, strzegą wejścia do świętego przybytku. Więc z napiętą wyobraźnią a naprężoną bacznością wstępujemy do piérwszego dziedzińca, co ogromnie rozlega się niby rynek miejski. Tu wywróciska na wy-

wróćskach piętrzą się w mogiły, w góry. Obalone kolumny, zgruchotane kolośy, stłuczone obeliski plątają się z sobą i sterczą szalonym nieładem. W koło dziedzińca obiegają podsienia wsparte na długim szeregu kamiennych filarów. Wśrodku, jak znać, dźwigały się dwa rzędy kolumn monolitowych (z jednej sztuki) a wysokich niby dom czteropiętrowy (70 stóp), ale wszystkie trzęsieniem ziemi są strzaskane, prócz jednej; one potłuczone w kręgi mieszają się z sobą niby porzeiskane warcaby. Między te słupy przechodziły niegdyś ofierne kapłany i tłumy nabożnego ludu. Na drugiej stronie dziedzińca, wprost wechodu, roztwiera się nowa brama, nowy pylon, nowy przysionek. Taz katastrofa natury, która wywróciła owe dziedzińcowe kolumny, obaliła jedną połowę wstępnej bramy (pilonu) a gruzy legły tak potężnym chaosem, żeć się zdaje, jak gdyby się góra urwała z posad swoich i wysypała tu wnętrzości swoje. Tędy to wstęp do najogromniejszej sali jaka jest na świecie. Bo ta sala tak rozłożysta, iżby kościół N. Panny w Paryżu w niej pomieścił się z łatwością. Ta sala jest ze cztery razy obszerniejsza niż nasze krakowskie sukiennice (bo 318 stóp dł. 160 szer.), a tak wysoka, że kolumny podpierające strop sięgłyby prawie pod sklepienie tak śmiała naszego maryjackiego kościoła (88 stóp)— tych kolumn podpierających kamienną powałę jest niby las, bo jest ich 134, a wszystkie z jednego kamienia! a wszystkie tak grube, że na gżémisie, obiegającym ich głowice, sto ludzi wygodnieby stanąć mogło. Z téj sali wyprowadza nowa brama, znów olbrzymi pylon, za nim znów nowy dziedzińiec, a za tym dziedzińcem znowu inny czwarty pylon z bra-

ma; od niego dopiero idzie wstęp do wewnętrznych najbogatszych gmachów. Jeżeli już wszędzie poprzednio lśniły obrazy pozłoty i rzeźby, toć tutaj w tych świetlicach już niewyczerpana błyszczącej bujności stroju i ozdób i rzeźb. Processye, bitwy, ofiary, łowy, tryumfy, bogi i ludzie, obcy i swoi przesuują się na ścianach niby kamienna epopeja niesłychanego przepychu.

Zważ, to samo trzęsienie ziemi, co poderwało kolumny na dziedzińcu i połowę wstępnego pilonu, nie zdołało przemóc potęgi owój sali. Walący się pilon dosięgnął i zgruchotał trzy najbliższe kolumny, uderzył i w czwartą, ale ta już nie zadrgała w sobie i do tej chwili dźwiga całe bezmiernie brzemię onych chaotycznych gruzów. Natura, wojując swoją ślepa siłą materyalną, nie przemogła tutaj materyalnej potęgi dzieła człowieka. Sala ta dziś w tej samej postaci, w jakiej była przed 3000 lat.

Trudno się upamiętać i uspokoić rozkołysaną imaginacją; dusza tu widza ciągle jakby na skrzypcu, od wrażeń potężnych przechodzi do silniejszych, do potężniejszych jeszcze. Dwadzieścia bram są tutaj wchodem do wewnętrznych komnat, sal, korytarzy, izb, rozdzielonych w sercu samém tego świata starój architektury. Zrozumiesz najwyższe zachwycenie wędrowca, jeżeli zważysz, iż te ogromy wszystkie, te wszystkie pilony, dziedzińce, bramy, sale, przysionki, zbudowane są na spólnej osi, na jednej linii ocznej, perspektywą olbrzymią. Zrazu, na przodzie, uderzają gwałtowne wielkością kształty i gwałtowne światła i cienie; te stopniami nikną, gasną, zbliżają się do siebie, aż na końcu w niedościgłej dali mdleją, tonąc w błękitnej



srzędze atmosfery, niby tony oddalającej się muzyki. To państwo niesłychanej świetności otoczone było w koło murem, a tak składało się w całość, której już nie sprostą żadne budowanie w nowej Europie. Zbliżał się może do niego Rzym swoją architekturą w czasie najwyższego górowania, gdy trzymał żelazną ręką cały ówczesny znajomy świat. Ale kościół Ś. Piotra dzisiejszego Rzymu, wraz z kolumnadą dziedzińca swojego, znacznie jest krótszy (bo o 111 stóp), niż długość pałacu Karnak, licząc od sfinxów wschodniej do zachodniej bramy.

Słusznie ktoś z najpoważniejszych wędrowców powiada, iż rozwaliny tego pałacu w Karnak są najwspanialszym i najogromniejszym zabytkiem stariej i nowiej historii. A Champollion, którego zapewne nikt nie posądzi o przesadę, tak się wyraża: »Egipcyanie zabierali się do dzieł takich, jak gdyby byli wielkoludami sto stóp wysokimi. Taż wyobraźnia nasza, co snadno myśla wylatuje nad kolumny budowli europejskich, tutaj pada zemdlona u podnoża kolumn pałacu Karnak. Ani mnie też zbiera chęć skreślenia obrazu jego, bobym nie sprostął i w tysiącuniej części przedmiotowi; a nadto, gdybym nawet zdobył się na jakiś opis jałowy i bezbarwny, toćby mnie jeszcze w Europie przewzali zapaleńcem, alboby może i powiedzieli, zem na rozumie zaszwankował.«

Jużby ani słów ani miejsca stało, gdyby mi przyszło choć pobieżnie wspomnieć o Luxoru chwale, o grobie Ozymandiasa, co zaludniony mnóstwem kolosalnych figur, o tym stropie kamiennym, który cały z jednej sztuki a świeci złotemi gwiazdami na lazurówém tle,

lub o owych gruzach, które się zdają być rozwaliną miasta a które przecież są tylko gruzami strzaskanych posągów o wymiarach ogromnych, lub o onym Hippodromie, miejscu widowisk i igrzysk, ćwierć mili długim a półwierci mili szerokim.

Wpółśród zwałiska siewj przeszłości siedzą w spokoju i ciszy głębokiej owe dwa olbrzymie Memnony z głazu wykute, a są tak ogromne, że je w koło o dwie mile obaczysz. Długi i przeciągły ich cień dosięga ścian oddalonych gór Libijskich, i, niby widziadło starego Egiptu, krocząc mierzy uciekające światu godziny. Niegdyś te Memnony witały każdy wschód słońca głębokim dźwiękiem, niby pieśnią poranną »był to dźwięk« powiada Strabo »jakby zerwanej struny.« Dziś Memnony nieme, i w tém milczeniu swoim znów przetrwiają nowe lat tysiące. Przychodnie z Europy nocują przy ich stopach, by się z pierwszym promieniem słońca dosłuchać tajemniczej ich mowy. W mroku nocy, przy migotach jasnych gwiazd przeczystego Egipskiego nieba, kształty olbrzymów rosą w ogrom straszliwy; w koło słychać kwilące szakale, ze szczylin posągów wybiegają ze szmerem gromady jaszczurek, wiatr szepce z cicha około głów Memnonów. Ale one same milczą; światło i promienne ciepło słońca już nie budzi więcej oniemiałych tonów. Już wszystkie struny pękły w piersiach dawnego Egiptu. Bo dla świata inne ciepło, inne światło, inne słońce weszło w sercu człowieczego rodu, a powitały je znękanem milionem pieśnią radości i dziękczynienia—Mowa tajemnicza Egiptu już jest poniewczasie.

Te przepęchy i wysilenia ludzkie wywróciły już sza-

lone siły natury, już owe, również ślepe i dzikie, z Azyi przybyłe; a pierwszym z nich był ów Kambizes Pers, co to bródził we krwi, w winie, we łzach ludzkich, i wyprawiał burdy po świecie; on pijaną pięścią uderzył w tę siwą, zacną cywilizacją egipską; lecz szalony zawa-  
dyaka zgruchotał jedynie głowy; duch Egiptu nie tknię-  
ty wzniósł się w niepokalaną zacność i zasiadł na zburzyskach swój stolicy, niby na tronie a majestacie swoim, i z nich patrzy na rodzące się oświaty potomnych narodów niby na wnuki swoje; a ów warchołat azyatycki przepadł w swém uicestwie.

Zważ, przez dwieście lat tu plondrowali i gruchotali Persowie, a przecież, gruzi, co ich przetrwały, tak są piękności a rzewności pełne, tak wejrzeniem swoim grają w duszy wędrowca, że przejmują czcią i dreszczem uszanowania. Pomyśl, coby zostało z tych stolic naszych europejskich, z tych Londynów, Neapolów, Berlinów, gdyby się ziemia pod uieni zatrzęsła, gdyby w nich przez dwa stolecia gospodarowały barbarzyńskie burzyciele, gdyby jeszcze na dobitkę, jak w Tebach, po ich rozsypiskach przeorało się ciężkim pochodem dwa lub trzy tysiące lat? Może późny jaki wiek dokopałby się w ich rumowisku skorup dzwonów potłuczonych, jakich ułomków z oprawy ostrołukich bram, lub iunych okruców z dzielności średnich wieków; reszta zamieniłaby się w kupę gliny, tynku i błota!

Atoli rozsypiska, pozostałe w Tebach po pomnikach architektury publicznej, po grobowcach, świątyniach; pałacach królewskich, zajmują dziś przestrzeń równą połowie Paryża, a przecież te budowania stanowiły niegdys samo tylko ognisko miasta. Dodaj więc

w myśli obszar okryty domami mieszkalnemi, zabudowaniem prywatném, rozciągającym się zaiste w głąb okolicy, a zrozumiesz roztoczystość téj staréj stolicy Egiptu.

Jakoż od samych granic Egiptu do Teb, i znów ponizéj téj stolicy, pobrzeże Nilowe wysadzone jest, jakby w klejnoty drogie, pomnikami architektury. Świątnice, groby, pałace stanęły szeregiem nad rzeką, a ich kształty urocze przegładają się spokojnie w jéj wspaniałych wodach. Bliżéj Memfis rzadnieją te budowania, ludność gęsta, przechody wrogich ludów zniweczyły bogate dziedzictwo z dawnych lat. Choć więc i starożytne Memfis zaginęło do śladu, choć wygasła pamięć życia jego, zostały przecież w całej potężności pomniki śmierci po Memfickich władzcach — one Piramidy.

Być może, iż, jak mówią, te grobowce bezmierne dźwignęły obce przychodne króle (Hiksos) i że z obcych krajów na ziemię egipską przeniosła się myśl tych mogił kamiennych; ale to pewna, że lud egipski, przyjąwszy już tę myśl za swoją, wykonał ją po swojemu na stopę niebotyczną. Dumanie nad śmiercią urosło tutaj w widziadło ogromne i skamieniało w Piramidy. Patrząc się na umiejętność pracowników, na ich wytrwałość bez granic, rzekłbyś, że te przybytki śmierci są żyjących sławą. Ciężka opoka, twarda skała — materya głucha tutaj przemożona od człowieka, i zniewolona służyć na cześć jego zwłokom, boé one są przecież nieśmiertelnego ducha szatami. Więcej ze szczytu tych piramid nie tylko czterdzieści wieków spogląda na świat; z tego szczytu patrzy jeszcze duch, zwycięzca bezmyślnéj natury; ten szczyt jest podnożem jego chwwały i

tryumfów jego. Więc tu u stóp piramid, na pograniczu pustyni legł ów potężnych wymiarów sfinx; on symbolicznie broni życiodawczą rolę od piaszczystych zawiści; wszak i one są innym kształtem téjże materii wiecznie zawistnej pracom człowieka. Gdy tak duch w Egipcie przełamał skały i obronił się wiatrom, już i chwycił pod panowanie trzeci żywioł, bo wodę; więc wyźlabia kanały, stawia śluze, jazy, tamy, kopie owe wielomilowej przestrzeni jezioro Meris, a tak zmusza wody by służyły łąkom, polom i ogrodom. Wśród tych atoli prac zwyciężkich stało dzieło obłędu, jakaś zagadka kamienna — ów Labirynt! O nim stary Herodot, choć tak przejęty miłością dla swój Grecyi, prawi: «Gdyby Helenowie nasi wszystkie budowy swojego stawiania razem złożyli, jeszczeby się nie zebrało na dzieło, jakim jest Labirynt. Wszak mi nawet wyrazów nie starczy bym zdołał piramidy opisać, a cóż dopiero mam powiedzieć o budowaniu tém, o onych dwunastu ogromnych dachem pokrytych dziedzińcach, o dwunastu pałacach jego, o 3000 komnatach! Nadziemną część, mówi dalej, sam widziałem, jest to dzieło wyższe nad siły człowiecze» i t. p. (II. 148).

Rzekłbyś, że na Egipt padło powołanie niesłychanej pracy i silenia się z sobą, by położył podwaliny dla przyszłej ducha budowy, lecz że ten świat duchowy był dla niego jeszcze obłędnym labiryntem, nie do rozwiązania zagadką. Wszak sam ten Egipt, niby w chwili jakiegoś somnambulicznego przeczucia, wyrokował o sobie owym, tak pełnym treści, napisem. W Sais wznosiła się świątelnica bogini mądrości Neet, «która niema pochodzenia i sama z siebie idzie;» nad wstępem głów-

nym wyryte były te słowa: «Ja jestem wszystkiem, co  
»jest, było, będzie. Nikt ze śmiertelnych nie podniósł  
»mój opony — owocem żywota mojego jest Helios —  
»słońce, wiekuiste światło!»

Ten napis jest testamentem Egiptu, którym zapisał  
dorobek swój światu; poczem jakby narodów patryarcha  
położył się, by umarł.

A liczną, tłumną falą mnogie wieki spłynęły do  
wieczności łona, mnogie pokolenia przeszły światem,  
a nikt nie podniósł onęj tajemniczój opony, nikt nie  
rozwiązał onęj zagadki.

Aż gdy cielesność została ukrzyżowana, a Bożem  
zmartwychwstaniem «sama śmierć umarła», już spadły  
wszystkie opony, a rozerwała się też od wierzchu do  
dołu i owa zasłona jerozolimskiego kościoła, a z  
tęj opony wystąpił objawiony duch.

My dziś, bogate dziedzice przeszłości całej, wyko-  
łysane dzieci Wiary, zbieramy niebiańskie róże, urosłe  
na cierniach dawno zamęczonych stólcciów. Dla nas  
w świecie ducha niéma zagadki, bo nam się objawił  
sam Bóg. Prawda jest naszą najświętszą powinnością  
i najświętszém prawem naszém. Zdołamy więc zajrzeć  
w głębie duszy Historyi świata i zrozumieć pulse wie-  
ków; zdołamy więc zakląć ducha zmarłego Egiptu, by  
przemówił o sobie językiem dzieł sztuki swojój.

---

W Indjach dzikim zamętem mięsza się jeszcze duch  
i materyalna natura; tam człowiek opojony, oczyniony  
jeszcze czarodziejską mocą sił przyrody, daremnie się  
szamoce i miota, by się wydobyć z jój objęcia. Do Egip-

tu, jakby dawne wspomnienia, dolatują odgłosy tego ducha Indów; jakoż i w Egipcie są kasty, i tu podziemne budowania w skale wykute, i tu bogi niekiedy wykrecają się w nadgangesowe dziwadła, i tutaj niekiedy w obrządki religijne miesza się zmysłowość, i hołd oddany fizycznój naturze; i w Egipcie dźwigają się ogromne roboty pokoleń całych w budowaniach olbrzymich i t. p. Ale porównywając te dwa ludy i ich sprawy rzekłbyś, że duch i fantazyja Indyan tak zawrotne, zapustne, uspakajają się nad Nilem, że zwłaszcza owa fantazyja, ciągle ruchawa, rozkołysana, migotna, skamieniała w granitach egipskich. Przecież, za bliższém przy patrzeniem się spostrzeżesz, że jeszcze głębsza różnica rozdziela obie te fantazyje. Jakoż fantazyja indyjska, tak dziwaczna i senna, przeszedłszy na grunt egipski, dostała się udziałem ludowi, który tak rozgarniony, rozsądny i porządny jak ta jego Natura, jak ten jego Nil. Trojaka pora roku, ściśle od siebie odgraniczona, wylewy rzeki nie chybiające nigdy w swoim czasie, te niezmiennie nigdy prawa i prawidła natury kraju ujęły téż żywot i sprawy ludzkie i zatrudnienia wszelkie w ład i szyk a w pewne i niezmiennie ustawy. Tutaj człowiek od Natury uczy się rozgarnienia, rozsądku i porządku. On rolnikiem, więc baczność zwrócił na rzekę, co mu skrapia zbożne łany, więc prowadzi kanały, wykopuje jeziora jako zapasy wód, więc mierzy i pola i czas swój, a wprawiony w rozsądek nie miesza rzeczy różnych, liczy i waży i rozdziela. I dla tego właśnie zaczyna téż już rozróżniać i istotę własną, istotę duchową swoją, od mocy materyalnych; a przeczuwając już tę różnicę ogromną, już tém samém przeczuwa i

wróży sobie prawdziwe ducha znaczenie. I dla tego właśnie człowiek tu rozpoczyna walkę a walkę zwyciężką z mocami przyrody, z przewagą materji. Ztąd też to podobieństwo jego do Indji jest raczej pozorne. Jakoż w Egipcie różnice kast są ułagodzone; a obrządki religijne, ogrom pracy budowniców, dziwaczność postaci bożyszcz i te wszystkie zjawiska, będące niby odgłosem Indji, mają inne w Egipcie znaczenie.

Przecież te walki a pasowania się z mocami przyrody są tak ogromne, tak trudne i olbrzymie, że w Egipcie to zwycięstwo duchowe nie mogło być jeszcze w zupełności otrzymane; uznanie istoty ducha nie mogło być tutaj jeszcze ukończone w sobie. Jest to dopiero piérwszy szary świt poranny, zwodny, niepewny i majaczny; lud Egiptu przeczuwa, że duch jest osobą, że tedy jest wolnej woli, że wiekuiste jego jest pochodzenie, że przeto jest wyższym niż Natura. Te atoli prawdy głębokie i tak ciężkiej wagi nie rozpromieniły się jeszcze całą pełnością w Egipcie, wystąpiły dopiero na poły ze swego mroku. Stąd osobowość człowieka, wolna wola ducha i wiekuistość jego na poły są zrozumiane, a Natura nie jest jeszcze ostatecznie przemierzona.

To atoli przeczuwanie, to wrózenie sobie prawdy, obok niemocy wyjaśnienia jój w zupełności, to zatrzymanie się przed samemi progami prawd, stanowi zagadkowość Egiptu. Lud ten sam przeczuwa, że się zderza z zagadką, którą sam tylko na poły rozwiązać zdołał, że on sam sobie jest zagadką, więc nie może znaleźć sobie pokoju. Ta niepewność, to powątpiewanie miota nim i kołysze, chociaż to miotanie się i rzucanie



jest przecież inne, niż ów niepokój senny Indyów starych. Życie Egiptu zchodzi na sileniu się nad sobą, by sam siebie zrozumiał, by dla treści, która się w nim burzy, fantazyja znalazła wyrażenie stósowne, odpowiednie. Przecież gdy treść ducha tutaj sama jest jeszcze nierozdzierniona dostatecznie, gdy myśl sama jeszcze omackiem chodzi, więc i fantazyja biedzi się i mieuje i radaby to w tych, to znowu w innych formach znaleźć wyraz odpowiedni dla prawd, które się dopiero wykluwają w duchu. Fantazyja Egiptu, toć młoda dziewica głucho-niema, w której odzywa się pierwsza wróżba rodzącej się w sercu miłości; nieznanie jój uczucie ją ogarnia, miota, ciska tém sercem; ona sama siebie nie rozumie, więc ogarniona nieskończoną tęsknotą w obliczu, w łezce, w gestach zagadkowych wyjawia potęgę, która ją owładła. Fantazyja Egiptu, rozebrana miłością ducha wiekuistego, radaby wyrazić przecucie i wróżbę swoją, ale jój braknie słów jasnych, by się zamodliła do kochania swojego.

Ta zagadkowość, ta na póły ukończona praca, to zatrzymanie się przed samym progiem prawdy, ten niepokój jest całym żywotem Egiptu i piętnem jego fantazyji; jest więc powodem téj sprzeczności, w której duch Egiptu zostaje sam z sobą, a której przemódz nie zdoła.

Dziś milczą głązy, granity Egiptu, obrobione niewypowiedzianym znojem pradziadowego ludu. On po zgonie swoim nie zostawił nam w dziedzictwie pieśni, w którychby wyśpiewał uczucia swoje; jego poezya, toć są te jego budowania olbrzymie; one to są epopeją, dramatem i skamieniałą lutnią jego. Tém więcj tedy

potrzeba nam posłuchać głosów religii Egiptu, bo jak te wyobrażenia jego religijne z jednej strony są ostatecznym wyjaśnieniem fantazyi tego ludu i jój rodzym gruntem, tak téż z drugiej strony są jój żywém i wyrazistém odbiciem.

Na początku był Knef, przedświatny Bóg; on Duchem, tchem, on jest czynną potęgą, on jest powiewem, co wiekuiście przenika istnienia wszechnice; on światą tajemną siłą i mleczą; on wodzi gwiazdy po Niebie— a obrazowym znakiem i hieroglifem jego jest wąż zwinęty w pierścień, niby w wszechświatów koło. Małżonką tego Boga-Ducha jest Materya— bogini Neit, wszech Bogów macierz i wszech jestestw wiekuista osnowa.

I znów jest druga para Bogów pierwotnych: Sewech, czas, co niema granic i z niego się rodzi bytność wszelka, w nim rozplywa bytność wszelka, a jego małżonką jest Paszt, przestrzeń nieskończona, co stanęła na straży porządku i ładu wszech rzeczom; ona ksienią jestestw stworzonych (\*). Te bogi są prabogami, z nich poczęte wszystkie inne bogi, którym oddane jest władztwo nad światem, z nich pochodzą bóstwa wyrażające naturę egipską, więc Osyrys, Izys, Horus, Tyfon, Anubis, Tot i t. p. A choć te dzieje zrodzeń egipskich bogów właśnie w ostatnich czasach z całą głębią a bystrością ludzi genialnych zbadane zostały, toć przecież dla naszego celu wystarczy, jeżeli nieco bliżej przypatrzymy się tym dwom parom pierwotnych bogów. One są niby jedným bóstwem, a przecież rozdzielają się na dwie odrę-

---

(\*) Röth. Geschichte unserer abendländischen Philosophie. Tom I. str. 133.

bne pary, z których każda znów o tyle tylko jest jednością, o ile małżeństwo stanowi. Wprawdzie na reju ich jest bóg-duch, ale on sam nie jest jeszcze duchem w znaczeniu prawdziwem, on sam jest niby misterną materią okryty; ten duch jest dechem, lekkim tchem. Nadto on połączony jest małżeństwem z boginią Neit — z materią; ten stosunek więc objawia, że materia jest mu równą, że ona podobnie jest pierworodną, jak sam duch. Te cztery bogi są małżeństwem połączone, są tedy niby osobami, a przecież one, znacząc materią, czas, przestrzeń, są abstrakcją głuchą, bezosobową, są, że tak rzekę, pojęciem metafizycznym. Tak tutaj w zarodzie już spotykamy ową połowiczność, ową rozpoczętą a niedokonaną myśl. Tu jest jedność bóstwa, ale jeszcze niezupełna; duch jest w ciele, on światem władnie, a przecież ma obok siebie materią, równą sobie z prawa i z rodu. Te bóstwa są osobami, ale ich osobowość jeszcze niezupełna, niedostateczna.

Takowy charakter religii i fantazyi Egiptu silniej jeszcze przebija w tych mitach jego, w których mowa o stworzeniu świata i człowieka. Wszak i tutaj samo pojęcie stworzenia nie jest jeszcze zupełne. Świat jest niby sprawą bóstwa, ale nie sprawą samodzielną, samowolną; on jest raczej wpływem, emanacją bóstwa. Bo przyznasz, że kędy niema uznania zupełnej osobowości bóstwa, tam też niema woli samoistnej, niema stworzenia.

Posłuchaj tego mitu. Bóg-czas złorodny (Sep, Kronos) dźwignął się wojną przeciw najwyższemu bogu, a tłumy bogów poszły za wrogim czasem. Przecież bóg-duch powalił je wszystkie zwycięstwem i wrócił świa-

tu dawny ład rzeczy, i puścił na ziemię potop, by z niej zmyć grzeszne zakąły. Litując się atoli nad duchami, co wojną bezbożną nastąpiły na majestat jego, chciał im wrócić dawne niepokalanie i pogodzić je z wiekiustą potęgą. Ulepił tedy ciała ludzkie, by w kształcie człowieczym demony grzeszne mogły odbyć na ziemi doczesném życiem pokutę i odkupienie. Dla tego w samej chwili, gdy człowiek ma się zrodzić na ziemi, jeden z demonów winnych opuszcza nadgwiazdną stolicę, i pielgrzymką przez zwierzyniec niebiański, po srebrnym łuku drogi mlecznej postępuje ku ziemi. Wśród tój wędrówki atoli patrzą na niego i chuchają konstelacye gwiazd — to ich tchnienie a spojrzienia urok odezwie się później w sercu tego rodzącego się człowieka uczuciem, charakterem, więc pokieruje jego sprawami i całym ziemskim żywotem. Gdy duch połączy się z ciałem, już wtedy rozpoczyna pokutę i odkup swój, a w poniżach ziemskiej pielgrzymki, w trudach i biedach twardych, uwalnia się od onój winy przed życiem doczesném popełnionej. Śmierć jest tedy oswobodzicielką człowieka, ona wyzwala duszę z ciemnic doczesnych. Dusza, zwlokłszy z siebie ciało, staje w pałacach sprawiedliwości wiecznej, kędy Ozyrys zasiada na sędzie w duchów swoich gronie; tam, wedle wyroku jego, dusza unosi się do wiecznobłogich nieba przestrzeni i zasiada w bogów stolicy, albo wraca powtórnie na ziemię na nowę pokuty, więc na nowę cierpienia w ciele ludzkiem lub zwierzęcém, albo nawet w postaci roślinnej; a te nawroty do żywota doczesnego póty trwają, aż nie spadną ostatnie pyły winy i grzechów skalanie (\*).

(\*) R5th. l. c. str. 153 i następane.

Widzisz, ta nauka jest łącie kwiatem fantazy Egiptu, więc nacechowana właśnie temi znamionami, o których ci powyżej wspomniałem.

Otóż duch jest wiekuistym, życie pokutą a śmierć wyswobodzeniem duszy. Stąd ciała zmarłych odbierają cześć; stąd po Egipcie całym powiewają tchy niby ogromnej kośnicy, a kraj cały ojcowizną umarłych a światem grobów. Ale i tutaj Egipt zatrzymał się przed programi prawdy, bo zamiast uczcić wiekuistość ducha, w którą wierzy, on uczcił śmierć, ciała bezduszne, umarłe.

Ale jest inna jeszcze sprzeczność. Wszak widziałeś sądy nad duszą zmarłego i wyroki sprawiedliwe, tak więc znać, że człowiek jest uważany za osobę, więc za jestestwo o wolnej woli; a z drugiej strony przecież zostaje pod wpływem gwiazd! Konstellacye przyświecają mu w czasie rodzenia się jego, władają nie tylko jego losami, ale uczuciem, charakterem i sprawami jego, a tak i urzekają wolą jego i odbierają jej wolność przyrodzoną. Stąd dalsza sprzeczność; duch jest wiekuistym, jest jestestwem znającym dobre i złe, więc jestestwem rozzumném, a jednak wraze nieodpokutowanej winy ma mieć przeznaczone za mieszkanie a narzędzie swoje ciało zwierzęce! Jest to wiara w wędrowni duszy, tak potworna, tak przeciwna sobie samej. Wiadomo ci, jak to w upływie wieków sprzeczność tej nauki wyswiecił Arystoteles. Mądry Grek, wychowany w uczuciu własnej zacności i w poważaniu siebie, orzekł, że samo przypuszczenie, jakoby dusza mogła w nieodpowiedniém sobie przemieszkować ciele, jest myślą dziką i spaczoną. Tenże powiada dalej, że każda dusza wedle uspo-

sobienia swojego ma zastosowane ciało, boć takowe jest jedynie uwidomieniem materyalném duszy.

Przestanę na wykazanych już sprzecznościach, dowodzących jak to pod każdym względem lud Egiptu, już już mając dotknąć się prawdy, zatrzymuje się i odwraca się od niej, jak to zawsze, mimo męki i trudów jego, prawda jest dla niego nierozwiązaną zagadką, jak to on na poły tylko poznał istotę swoją; a choć wie, że z istoty swojej jest wyższym niż przyroda materyalna, toć przecież nie zdołał wskrószyć przemódz tej natury, ani poznać do dna, czém jest duch.

Teraz nie trudno nam będzie zrozumieć, dla czego fantazyja Egiptu jest symboliczną, dla czego symbolika jest główną i przeważającą cechą sztuki egipskiej.

Zważmy dwie ostateczności.

Jeżeli człowiek jest w zupełności jeszcze oddany w ciemność natury materyalnej, wtedy materji służy, a rzecz zmysłowa sama przez się jest dla niego bóstwem; to bożyszcze strugane, które podbiegunowy mieszkawiec niby karmi tłuszczem, tranem, upraszając sobie szczęśliwe łowy, a bije i sromoci, gdy się polowanie nie powiodło, — to bożyszcze jest fetyszem, bałwanem, bo tu ono nie jest obrazem niewidomego bóstwa, ale samo jest bóstwem; to drewno, ten kamień, którego się człowiek dotyka, jest bóstwem. Znać, że tutaj sztuki niema i być jej nie może. Inaczéj się dzieje, gdy lud jaki całą treść ducha swojego przelewa w dzieło swoje, gdy w postaci zmysłowej przez niego stworzonej świeci, promieni się duch. Wtedy (a tak było u Greków) postać zmysłowa, z natury wzięta, cała jest nieskończoności ducha wyrazem, jest zwiastunem wiekui-

stości jego; i dla tego ta postać, choć od przyrody pożyczona, jest przetopioną, przelaną w duchu, przerodzoną w ideał piękności; w niej nie pozostało takim, jakim było w naturze; nie tylko z oblicza, nie tylko z postaci całej i postawy posągu przemawia duch, ale on promieni się, świeci w szatach jego marmurowych, z włosów i rzemyków jego sandałów. I toć jest sztuka prawdziwa, toć są panowania i tryumfy prawdziwe fantazyi artystycznej nad światem zmysłowym! Egipt stanął w środku między temi dwiema ostatecznościami. Bogi egipskie— toć już nie fetysze, aleć nie są jeszcze dziełami sztuki w znaczeniu prawdziwem. Egipt o tyle dopióro przemógł naturę, że postaci jój używa za wyrażenie treści duchowej; ale jeszcze nie jest zdolny zrobić, przetopić w duchu tych jój kształtów na ideały piękności. Egipt, chcąc wyrazić myśl jaką, wybiera z pośród natury przedmiot mający jakąś własność, przypominającą tę myśl, która właśnie ma być wyrażoną; czyni tedy ten przedmiot symbolem téj myśli, biorąc go wprost jakim jest, a nie przerabiając go na dzieło piękności artystycznej. Tak powstaje symboliczność; ona właśnie jest cechą główną i charakterem fantazyi egipskiej; w symbolicie tkwi owa połowiczność, zagadkowość, sprzeczność z sobą, a przytém reflexya, rozsądek w dobieraniu symbolów (\*). Słusznie też mówiono, że

---

(\*) Tak np. kwiat Lotus, wół, krowa, skrzydła, krokodyl, kot, ptak Ibis, lew, krogulec i t. d. stają się symbolami. Jak tutaj te przedmioty nie są bóstwami wprost, nie są fetyszami, tak nawzajem nie chodzi tutaj o to, aby te przedmioty i kształty różne przeistoczyć na dzieła sztuki, ale raczej o to, aby upatrzeć w przedmiocie jakieś podobieństwo z myślą, która ma być wyrażoną. Tak tedy symbol ma rzeczywiście dwa znaczenia: raz własne swoje znaczenie, treść przyrodzoną, rzetelną; dru-

lud egipski sam jest tym sfinxem, oném własném swojém godłem ulubioném. Sfinx jest zagadką tajemniczą; on na poły człowiekiem, osobą, na poły zwierzęciem, bo głowa ludzka na ciele zwierzęcém; w nim więc godło ducha ludzkiego, wydobywające się z mocy natury.

Lubo cała fantazyja Wschodnia ma pierwiastek symboliczny w sobie, choć już początek jego jest i w Indyach, toć dopiero znajdujemy go w Egipcie w całym kwiecie swoim.

gi raz znaczenie, które mu nadał człowiek jako znakowi zewnętrznemu, np. skrzydło jest organem ptasim, drugi raz znaczy modlitwę do nieba się wznoszącą. Krowa oprócz znaczenia własnego wyraża jeszcze urodzajność życiodawczą natury, i t. p. Widzisz atoli, że to symboliczne wyrażenie się myśli przedmiotem zewnętrznym jest wielce samowolne; bo choć w tym przedmiocie jest zaiste własność, która niby odpowiada myśli, którą masz wyrazić, toć on będzie miał zaiste także inne jeszcze własności, nadające się na oznaczenie innych myśli. Nawzajem i myśl twoja, którąś rad wymówić znakiem zewnętrznym, znajdzie nie tylko w tym jednym przedmiocie, obranym przez ciebie, odpowiednie wyrażenie, ale może go dojrzyć i w innych przedmiotach zupełnie różnych od tamtego wybranego przedmiotu. Wynika stąd, że symbol sam przez się zawsze będzie tylko na poły zrozumiały, czyli będzie zagadką. Bo zagadka nie jest wcale niewiadomością zupełną; bo gdy dla kogo jest coś zagadką, ten wie zarazem, że istnieje jakaś tajemnicza prawda dla niego ukryta. Myśl Egipcyan to w jednym kształcie, to znowu w drugim, lub w trzecim szuka wyrazu myśli dla siebie, i stąd ta niepewność tego ludu, ta sprzeczność a niezgoda jego; np. słońce, Nil, rok, sprawiedliwość, rolnictwo, te wszystkie wyobrażenia mają uosobienie w bogu Ozyrysie; i na odwrót znów Ozyrys ma za symbol każdy z tych przedmiotów; dalej wszystkie te przedmioty między sobą są wzajemnym siebie symbolem. Jest to niemoc ducha znalezienia obrazu dla siebie. A to przeczcucie, co się kluje, te ciemne, głuche wróżby serca prą duszę Egiptu do wyrażenia siebie, więc do oglądania siebie w zewnętrznym przedmiocie. Wiadać atoli, że chcąc znaleźć symbol odpowiedni, trzeba rozsądku i zastanowienia, rozgarnienia.

Tak w samej rzeczy w symbolu tkwi zagadka na poły wyjaśniona — niepewność i sprzeczność z sobą, a przytém rozsądkowość i rozgarnienie, mity, więc nawet powieści, które znów niczém inném nie są, tylko symboliką rozwiniętą.



Wszak i my mamy symbolikę własną (\*). Ale nasza symbolika ma to do siebie, że obok jęj ciemnego i zagadkowego tłumaczenia się, mamy inne wyższe tryby wyrażenia treści duchowej, bo wiara chrześcijańska i długowiekowe łamanie się ducha ludzkiego w historii rozjaśniły nam własne wnętrze nasze, i nauczyły wyjawiania tęg treści czy to w serca nabożeństwie, czyli w sztuce, czyli w jasnej przezroczystej mowie.

W Egipcie pierwszy raz zderzają się te dwa światy, bo duch i natura, wiekiistość i doczesność; te dwa światy wręcz są sobie odwrótne i sprzeczne z sobą, więc zwycięstwo wiekiistości na poły tylko dokonane; i dla tego symboliczność jest jedynym trybem, którym się zdoła wyrazić treść nieskończona, budząca się w duszy tych zacnych pracowników nadnilowej doliny; ona też przejęła wskróś ich sztukę. Dotknę się tu choćby tylko najważniejszych cech tęg fantazyi, stosując do niej wypadki powyższe poglądu naszego.

Fantazyja symboliczna nie jest twórczą, ona nie tworzy, jako widziałeś, postaci piękności idealnej; dla tego

---

(\*) Znak krzyża świętego, łódź, baranek i t. p., są symbolami religijnymi; życie zwyczajne pełne jest symboliki: suknie czarne lub wesołej barwy, wianek na trumnie lub na skroniach narzeczonej młodej — lilia, róża, niezapominajka, ruta, rozmaryn, mirt; zdjęcie kapelusza, oddanie kluczy nowemu dziedzicowi, kądział lub skórka zajęcza posłana niezbyt odważnej młodzieży; czwórka siwa, arbus, pawie piórko; uderzenie w dłoń przy ugodzie, rozmowa kochanków na kwiaty używana na wschodzie, i t. d., to wszystko jest symboliką. Ale właśnie dla tego że tutaj zachodzi jeszcze zagadka, więc trzeba znać tę symbolikę, by odgadnąć jęj znaczenie. I sama natura ma swoją symbolikę, choć wyrazniejszą i mniej zagadkową: łezka, rumieniec występujący na licach, ucałowanie, i t. d.

jestestwo zewnętrzne wzięte jest wprost z natury; dla tego nawet i żywe jestestwa są symbolem, np. żywy wół Apis, żywy Krokodyl i t. d. Jeżeli zaś kształt jaki, o ile go natura przedstawia, nie wystarcza do wyjawienia myśli, wtedy po swojemu go fantazyja egipska uzupełnia; tym trybem znajdziem i tutaj głowy zwierzęce (kocie, ptasie, krogulcze, krowie) na tułowiach ludzkich, a niekiedy nawet kształt jest złożony z wielu różnych zwierzęcych postaci: — prawda, że z tego tworzą się potwory przypominające straszne bożyszcza indyjskie, ale w Indyach duch jeszcze omackiem się rzuca i śni, w Egipcie zaś jest trzeźwym, zastanawiającym się, głębszym; on tworzy z reflexyą rozumną te kształty, by-były znakiem dla myśli jego.

Ta połowiczność, to na poły uznawanie się ducha okazuje się jeszcze tutaj tym trybem, że posągi egipskie nie są więcej tak wiotkie, bezkostne jak indyjskie; owszem odznaczają się siłą, jędrnością twardą, ale za to przechodząc w drugą ostateczność są chude, długie, bez swobody; ręce, nogi sztywne, przylegające do całej postaci nieruchomiej; nadto wszystkie dokonane są wedle tego samego prawidła i typu; one nie mają indywidualności odznaczającej je między sobą; twarz ich strętwiiała, bez wyrazu, abstrakcyjna, uśmiech skamieniały, oczy nie zwrócone w pewne ognisko, one patrzą gdzieś w przepaścistą, niedościgłą dal. Ta abstrakcyjność, ten brak wyrazu jest powodem, że te posągi mogą się powtarzać jak kolumny nieskończenie wiele razy, bez sprawienia przykrego wrażenia. Pomyśl sobie, jak okropny, straszliwy byłby widok, gdyby te figury miały indywidualność pewną, gdyby były wizerunkiem

jednego i tego samego człowieka, a były, niby na ozdobę architektoniczną, ustawione jakby gościńcem długim we dwóch szeregach nieprzejranych. To powtarzanie się téj saméj twarzy, tych samych wydatnych zarysów a podobnych do siebie, byłoby zaiste nie do zniesienia, byłoby okropném.

Ale niedokouane wyzwolenie się ducha pojawia się jeszcze w tém, że ciała tych figur doskonalej są wyrobione niż ich oblicze, kędy promieni się dusza, kędy myśl o sobie przemawia, i dla tego też może tutaj kształty zwierzęce wyższej są artystyczności niż ludzkie.

Posąg stojący sam o sobie jest wyrazem swobody, która atoli nie rozwinęła się jeszcze w Egipcie; z tego przeto powodu nierównie więcej tu mają wartości płaskorzeźby, które jeszcze niby nie są wyzwoleniem od tła ogólnego przyrody; nadto w płaskorzeźbie nie chodzi o indywidualność i życie duchowe jednego pojedynczego człowieka, ale raczej o wydarzenie jakie, o fakt, np. o bitwy, o uroczystości, obchody religijne, polowania, zatrudnienia codzienne. I płaskorzeźby Egiptu są pełne cech właściwych fantazyi jego, a mianowicie onéj symboliczności. Tak zważmy, że same rozmiary są symbolem: np. w bitwach, król jest ogromnego ciała i trzyma cały pęk nieprzyjaciół za włosy, a figury wyobrażające nieprzyjaciół są drobniuchne; tak podobnie w płaskorzeźbie i malowanych obrazach brakuje perspektywy, która właśnie jest pierwiastkiem duchowym; zamiast perspektywy przedmioty dalsze umieszczone są wprost nad bliższemi; nadto wszystkie figury ujęte z profilu, cieniów niéma w malowaniach.— Nawet farby same mają znaczenie symboliczne, np. Egipcyanie

i ich konie czerwonej barwy, niewiasty żółtawe, nieprzyjacioły popielate; a bogi to błękitne, to zielone, to żółte, wedle różnych żywiołów któremi władają.

Przewaga rozsądku, praktyczności, występuje głównie w doskonałym technicznym wykonaniu; jakoż same dawne łomy kamieni do dziś dnia są podziwem wędrowców europejskich; widzimy też wielką udatność w sprowadzaniu ogromnych skalnych bałwanów ze stron dalekich; następnie doskonała technika wyjawia się i w trwałości budowania, co się obroniło tylu tysiącom lat i w tej świeżości barw obrazów, co świecą i błyszczą niby niezwiędłe kwiaty grobowe po onych pokoleniach starych.

W Egipcie spostrzedz już możesz istotnie rozwój wszystkich rodzajów sztuki; ale one tutaj jeszcze nie ściśle odgraniczają się od siebie i przechodzą nawzajem na siebie. Ściany, filary, obeliski, piramidy, od ziemi do wierzchu pokryte taką ciżbą płaskorzeźby, że nie wiedzieć, czyli ta architektura jest dla rzeźby, czyli rzeźba dla architektury. Posągi, płaskorzeźby są malowane, co tutaj było tym potrzebniejsze, że rzeźba najczęściiej jest wklęsła (bas-reliefs en creux).

Lubo ateli te rodzaje sztuki nie są rozdzielone od siebie, chociaż one wszystkie stają się wyrazem fantazy egipskiej, przecież nie trudno nam odgadnąć, że właśnie ten rodzaj sztuki najpotężniej się w Egipcie rozwinał, który ze samej istoty swojej jest symboliczny, który będąc również zagadkowy przemawia do człowieka niby głuchoniemą mową, i niby przeczuciem zwiastując o treści człowieka; jest to sztuka, co nie słowami ani postaciami, kształtami wyrażnemi, ale liniami

w przestrzeni staje się tłumaczem duszy; tym rodzajem sztuki jest atoli architektura — ona najdokładniej odpowiada fantazyi powszechniej tego ludu.

Lud egipski jest ludem budownikiem; co się waży i żyje w sercu, co się kluje i tęskni w duszy, to kamienieje w tym kraju w budowaniach olbrzymich. Bóg osobą będący nie stanął jeszcze wśród ludu tego, ale on w zagadkowym przeczuciu wróży sobie o przybyciu jego, więc mu dźwiga mieszkania i święte przybytki, gotowe do przyjęcia nadgwiazdnego gościa. Przecież nie jest zdolnym, aby mu stworzył zacy obraz jego. Rzeźbione posągi bogów nie są tu dziełem sztuki istniejącem samodzielnie, dla siebie, ale służą budowaniu, są li przystrojem architektonicznym, są środkiem a nie celem; co więc, ten brak indywidualności posągów, to wykonanie ich prawidłowe, jeometryczne, to symetryczne ich ustawienie obok budynków, nakoniec same olbrzymie wymiary tych posągów, są dowodem, że tutaj skulptura jest architektoniczną, że architektura jest sztuką przeważającą. Podobnie malowanie jest wprost ozdobą, jest ornamentyką architektury.

Miotanie się i boleści zrodzeń duchowych Egiptu pojawiają się już w samym ogromie budowania, w oniej niesłychanej pracy robotników twardych. Jak duch Egiptu nie opatrzył się jeszcze w sobie, jak nie wie jeszcze że jest osobą, jestestwem o sobie stojącym, tak i budowanie jego nie jest całością w sobie ukończoną; pilony wstępne, dziedzińce, przysionki, sale, pałace, idą po sobie i obok siebie mogą być bez końca jeszcze pomnożone, bez nadwężenia całości, bo takowej nie ma jeszcze w architekturze egipskiej. Kędy człowiek nie wie

jeszcze o myśli opatrznej Boga, władającej światem i do której się odnoszą wszystkie stworzenia, jako do ogniska swojego; póty też i w jego własnych dziełach nie będzie jedności, nie będzie całości, bo nie będzie jednej myśli, do której się odnoszą części wszystkie dzieła tego, jako do ogniska swojego i serca.

W architekturze egipskiej wszystko jest symbolem: symbolem jest i pochyłość ścian zewnętrznych przypominająca piramidy, i piramidy same, i liczba schodów, kolumn, i obeliski, i ta podsadzista powaga, uroczysta, świąteczna, i to zadumanie głębokie, monumentalne, które tu technie po głazach. Do tej architektury formy roślinne są równie prawie żywcem przeniesione, one nie nabrały jeszcze architektonicznego rysunku, ale będąc także symbolem są prawie kopijami pączków, palm, kwiatów — natura w nich nie jest przemożona!

A wszędzie znać ducha porządku i ładu; samo założenie świątyni jest jakoby symbolem uroczystych pochodów świątecznych processyj; same te przysionki, sale, pilony, obeliski, rzędy podwójne kolumn, stojące na dziedzińcu, są także jakoby symbolem uroczystości religijnych; same ich bowiem rozstawienie wskazuje któredy mają ciągnąć obchody świąteczne, oddające bóstwu pokłon i hołd.

Pieśni święte śpiewane, hymny na cześć bogów, ogłuchły, oniemiały wśród tych granitów; nie wcale nam nie pozostało z tej poezji starożytnego Egiptu; na miejsce tej umarłej poezji znamy jedynie mity religijne, z których znów najpiękniejszym jest powieść o Ozirysie i Izydzie, i o wrogu ich Tyfonie. Rozumie się, że ten mit jest allegoryą — fakta, kształty w nim występujące

odnoszą się wprost do natury Egiptu, do ciał niebieskich, do Nilu, pór roku i t. d.

Te mity atoli zanadto są znajome, bym ci je miał powtarzać; na ich miejsce przytoczę ci obrazek obyczajowy z życia Egipcyan wzięty. Pożyczam go z Herodota; a choć ta powiastka nie jest zmyśloną, bo ten zacny gaduła Herodot nie zmyśla nigdy, przecie gdy ona przechodziła z ust do ust, z pokolenia do pokolenia, więc znać, że przypadła i do fantazyi starego Egiptu. Brak więc światowej poezyi tego ludu niechaj nam zastąpi ta gawęda stara; ona bardzo stara, pewnie jedna z najdawniejszych na świecie, bo Herodot, który sam przecież urodził się bez mała na 500 lat przed Erą naszą, prawi o niéj jako o dawnéj bardzo rzeczy.

Otóż żył niegdyś w Egipcie król Rampsenit, bardzo bogaty; miał złota, srebra, klejnotów co niemiara. Pragnąc ubezpieczyć sobie jakoś te skarby swoje, rozkazał budowniczemu, by mu wystawił skarbiec niby wieżę z ciosów, któraby jedną ścianą dotykała pałacu. I stało się wedle woli królewskiej. Ale podstępny architekt potajemnie umieścił jeden z ciosów tym trybem, że bez trudu mógł być wyjętym z muru przez dwóch ludzi, albo nawet przez jednego silnego człowieka.

Niezadługo on architekt śmiertelnie zachorował; przywołuje tedy przed skonem dwóch synów do siebie, i oświadcza im, że jako dobry ojciec wiele troskliwie pamiętał o ich losie, że dbał o ich przyszłe utrzymanie; powierzył im tedy tajemnicę swoją opisując najdokładniéj on cios ruchomy. Wkrótce też umarł ojciec. Synowie zaś, nie odwlekając sprawy, nocą udają się pod skarbiec — poznali kamień, odsunawszy go

nie żałowali sobie — nabrali mnóstwo złota i powrócili do domu.

Nie lada było zadziwienie Rampsenita, gdy nazajutrz, wszedłszy do skarbcza, postrzegł głębokie szczyrbry w złocie, a tu ani zamki, ani drzwi, ani pieczęcie nie były tknięte! Zadziwienie króla codzień się wzmagalo, bo co noc bracia odwiedzali skarbiec jego; co rano tedy brakło to w worze złota, to znów jakichś klejnotów drogich. Zachodził w myśl król Rampsenit, jakby szkodzie zapobiedz. Nakoniec wziął się na sposób; porozstawiał w skarbcu sidła misternie, spodziewając się pomysłnych skutków. Gdy następnéj nocy bracia znów stanęli w skarbcu, jeden z nich spostrzegając naczynie złociste, wabiące, pokusne, zbliżył się do niego, ale wtém siatka zapadła. — «Ratuj się mój bracie! zawołał, bo co do mnie, jam już zgubiony; utnij mi głowę proszę i zabierz ją sobie, by nas nie poznano!» — Te jego słowa zdawały się być drugiemu wielce rozsądne, więc usłuchał i sprawił się wedle życzeń brata.

Z pierwszą chwilą poranku król Rampsenit wchodzi do skarbcu. Podziwienie, strach, zgrozy go porwały widząc wśród złota i klejnotów człowieka w sidłach ale bez głowy! a tu pieczęcie nie tknięte, a w murach nigdzie choéby najmniejszej szczeliny.

Nie wiedział król jakby sobie już miał począc; nakoniec po długich namysłach tak sobie poradził: kazał ciało złodzieja powiesić na murach miasta, postawił przy niém wartę, nakazując jéj aby miała ścisłą baczość na przechodzących i każdego chwytala, coby patrząc na wiszące ciało narzekał i płakał.

Matka onych dwóch braci dowiedziawszy się o tém,



nie mogła na sobie przenieść boleści z poniewierania zwłok synowskich, nastawała tedy na żyjącego syna, by, bądź co bądź, uratował ciało brata od sromoty i oddał mu pogrzebną cześć; on perswadował matce, łagodził, ale napróżno; ona mu bez ogródki oświadczyła, że jeżeli nie dopełni jój żądania, to wprost uda się do króla i wyda rzecz całą. Syn, któremu nigdy nie brakło wybiegów, zebrał osielki swoje, obciążył je łagwiami wina, i pod wieczór zapędził pod mury miasta, kiedy było powieszono ciało braterskie; gdy się już zbliżał do straży, rozprót jedną z łagwiew; wino ciekło na ziemię; on udając kłopot, przestraszenie, krzyczał, szamotał się wielce, niby rozpaczając. Co gdy widzieli żołnierze trzymający warty, przyskoczyli i pili żwawo ciekące wino. On niby się gniewa, swarzy, łaje; żołnierze jakoś go namawiają, by się w żalu miarkował, nakoniec rzecz całą obrócili w śmiechy i w żarty; więc też on udając, że się udobruchał, śmieje się i żarty stroi. I tak się niby z niemi zaprzyjaźnił, że ich jeszcze jedną łagwią uraczył, i został z niemi częstując wesoło gości; niezadługo straż na piękne spojona zasnęła. Złodziej wtedy zdjął zwłoki z muru i ostrzygł na hańbę straży brody a to z jednej strony i poszedł.

Gdy się do króla doniosło, że ciało ukradziono, i że ostrzyżono brody jego żołnierzom, unosił się od gniewu Rampsenit, a uwziąwszy się, aby koniecznie odkryć przebiegłego filuta, ogłosił publicznie, że ofiaruje córkę swoją temu, kto by jój opowiedział sprawę swoją najsromotniejszą, a zarazem najdowcipniejszą. Zmiarkował on broiciel, co się święci. Uciał tedy bratu rękę od samego ramienia, wziął ją pod płaszcz i poszedł do

królownej, szepnął jój w uszko: «Czynem moim najsromotniejszym jest ten, żem uciał głowę rodzonemu bratu, a czynem najdowcipniejszym, że mi się udało spoić wartę królewską.» Królowna w tój chwili chwyta go za rękę, chcąc przytrzymać, ale jakież jój podziwienie, gdy złodziej uciekł a ręka ucięta pozostała w jój mocy.

Król Rampsenit już teraz wielbił naprawdę rozum onego figlarnego: ~~złodzieja~~, ~~rozesał~~ uwiadomienie po wszystkich państwach z oświadczeniem że daruje karę zbrodniarzowi i suto go nagrodzi. Zaufał sprawca, stał się przed królem. Rampsenit, pełen podziwu, po długiém a głębokiém zadumaniu się, rzekł: Otoż Egipcyanie najmędrsi ze wszystkich ludów, ale ten mędrszy nad wszystkie Egipcyany; dajmy mu tedy córkę za żonę. I to się stało. Młoda para żyła długo i szczęśliwie.



## LIST XVII.

### Assyrya — Babilonia i Persya.

Wstęp.— Nemrod.— Odkrycia uczynione przez PP. Botta i Layard.— Znaczenie tych zabytków w historii sztuki.— Usposobienie umysłowe tych ludów.— Stąd cecha ich fantazyi wyrażającej się w dziełach sztuki.— Zdaje się że sztuka tych ludów jest ogniwem pośredniem między sztuką egipską a grecką.— Persya.— Persepolis, grób Cyrusa, groby królewskie.— Cecha tej fantazyi.— Zendawesta.

»Mene-tek-el-upharsin! Zliczył Bóg królestwo twoje  
»i do końca je przywiódł! Zważonyś na wadze, a zna-  
»leżonyś lekki!« (Daniel V. 25).

Te wyroki Historji, napisane palcem bożym na ścianie pałaców Baltazara, uderzyły gromem na one olbrzymie mocarstwa wszystkie, co je powiła Azya, ludzkich rodów macierz. I runęły wszystkie te państwa ludowładne, poczęte jeszcze w szarym zaraniu dziejów świata; runęły wszystkie te państwa już od dawnych lat tysięcy, i rozsypana jest ich moc; jako sen przeminęły ich pychy wielomozne, a ich tłumne narody rozwiane są jako liście jesienne.

Puść się myślą od Himalajskich śnieżnych grodów ku Europie, kędy fale śródziemnego morza wygrywają jakby wieści stare o kolejach Historji; przeleć myślą

po tych niezmiernych rozłogach, kędy bieżą Tygru i Eufratu wody, a zawieje cię zewsząd wspomnienie najstarszych ludzkich dziejów, zda ci się, że wody potężne tych rzek szepeją sprawy Ninusa, Semiramidy, Sardanapala, Nabuchodonozera, Cyrusa, Alexandra. Posłyszysz, jako echa rozlegające się po pustyni, imiona Babilonu, Assyryi, Medyi, Persidy, Fenicyi. Jakby sen pachodący zamigocą się gadki o wiszących ogrodach, o wieży babilońskiej, o królewnie Mandanie, i one powieści wszystkie, co ci były roskoszą w dziecięcych latach; wysłane z krain dziwów i cudów.

Roztwórz księgi Herodota, zacnego wędrowca, i czytaj co nam prawi o Babilonie: «Miasto to ma 480 stadiów obwodu (15 mil geogr.); jest téż ono otoczone w koło murem, a muru tego wysokość na dwieście łokci, a grubość jego na 50 łokci — w nim sto bram ze spiżu ulanych. W Babilonie jest świątnica Belusa a w środku niéj ciosowa wieża, na której zbudowali drugą wieżę, na téj trzecią wieżę, na téj czwartą, tak że aż ośm wież piętrzy się na sobie; w najwyższej wieży jest świątynia, w niéj łożo a przy niém stół złoty. Niekiedy bōżek zstępuje z nieba i sypia na tém łożu; tak twierdzą kapłani Chaldejscy, ale ja temu nie wierzę.» (\*)

Chciéj pomyślic, że ta wieża Belusa wysokością swoją przenosiła najwyższą piramidę egipską o 179 stóp, bo jéj było 800 stóp wysokości (\*\*).

Ogromniejszém jeszcze niż Babilon było miasto Ninus. W niém Semiramis pochowała małżonka swojego,

(\*) Herodot. I. skrócono 178 do 184.

(\*\*) Wieża Strasburska ma jedynie 448 stóp.

wysypując mu pomnik na  $\frac{1}{3}$  część mili szeroki; w niem szalał rozpustą Sardanapal. Lecz wszelka bliższa wiadomość o téj stolicy Azji ogłuchła. Nie wiedzieć nawet czyli to miasto Ninus jest oną Niniwą, o której Pismo S. wspomina, jako o «Wielkiem Bożém Mieście» co było tak ogromne «że było na trzy dni drogi obwo-  
du jego» a do którego wysłany był Jonasz z bożego rozkazania, by nawracał serce króla i ludu do pokuty, a w którym mieście żyło, wedle słów Proroka, więcej niżeli sto dwadzieścia tysięcy ludzi takich, «którzy nie umieli rozemnić między prawicą swoją a lewicą swoją» (\*).

Wieki minęły śpiesznym pochodem przez świat, a nikt już nie mógł wskazać, kędy się rozlegało to miasto niby mrowisko milionowe ludzkiego rodu; było zapomniane do imienia, do miejsca, na którym stało.

Dreszcze cię przejdą, gdy pomyślisz, że bajeczne, mityczne zawiązki starożytności klasycznej, bo Grecyi i Rzymu, są prawie świeże, prawie nowoczesne, w porównaniu mrocznych dziejów tych miast Assyryi i Babilonu. Pomyśl, że one wyprzedziły dwoma tysiącami lat zbawienie świata, że od czasu ich najwyższej potęgi przeleciało tysiąc lat, zanim zapadła mityczna wojna Trojańska i zabrzmiały pieśni Homera, a król Salomon dźwignął kościół swój na cześć Panu; a przeszło siedmnaście stuleciów, zanim ów młodzieniec młodzieńczej Europy, ów Macedoński Alexander, przeleciałszy świat umarł w tym Babilonie. Ba, tysiąc trzysta lat spłynęło po Ziemi od czasu, gdy te Azji siedziby były tronami starożytnego świata, aż do chwili, gdy Romulus,

---

(\*) Jonasz. IV. 1.

ów wileczy wychowaniec, założył pierwsze lepianki na pagórach Rzymu; i znów od tego Romulusa blisko tysiąc lat historii rzymskiej przesumiła skrzydłem ocieżałem, krwią spluskanem, zanim skończyła Roma. Nowy teraz świat poczęty — wykluwały się nowe państwa, nowe narody pod ciepłem miłości Bożej a prawdy chrześcijańskiej. Nastają stolecia średnie,— a jest ich dzieśnięć z okładem,—czas czarodziejskich mocy, wojen Krzyżowych i pieśni trubadurów; lśniaczej, migotnej fantastyczności, a rycerskiej i butnej awantury; czas miłostek a skruchy rzewnej, serdecznej,— czas szlachetny a pełen barbarzyństwa—nakoniec zadniała na niebie dziejowem historia nowożytna, a otworzył jej drogę Kolumb, Vasko i Magelan, co naokoło objechał Planetę. Cisnęły się odkrycia za odkryciem, wynalazki za wynalazkiem, jak się parły pokolenia po pokoleniach. A wywędrowały ludy Europy w Amerykę kupcząca, bo już ciasno téj Europie w domu, bo jej ludy w dni kilka parą przejechać ją będą mogły od końca do końca. Europie tak śpieszno z życiem i historią; ona ogromne wypadki dziejowe, które niegdyś nie pomieściły się w setku lat, ścisnęła w jednym ich dziesiątku, jak ścisnęła wielomilowe przestrzenie w kilku godzinach czasu; a dzienniki, gazety, fabryki, pisma ulotne, nowe romanse, spekulacye, przedsiębiorstwa, odkrycia, pędzą na wyścigi przez świat: każdy chwilą obecną zajęty, krząta się i biedzi prozą dnia każdego. A Assyrya, Niniwa, Babilon?—to gadki dziecięce! Zaledwie ojciec pozwala, by nauczyciel o tych plotkach prawić pacholątkom jego; bo te powieści wszystkie zmyślane przez gadułów starych, te wierutne bajeczki czynią z młodzieży niepraktycznych.

marzycieli, a tu czas goni, a tu życie prze, a tu trzeba być czujnym i mieć oczy, a oczy otwarte na rzeczywistość! bo ona tylko sama jest prawdą. Na co się komu zdadzą one obrazki senne, któremi się niegdyś durzył ów dawno zmarły świat — niedoszły w rozumie! Tak myślano lat temu dopiero dziesięć, o ile ktoś o tém jeszcze myślał. Ale naszym czasem, choć tak prozaicznym, nie braknie nigdy cudotwornych dziwów; one pukają od czasu do czasu do drzwi powszedniego, trzeźwego, rozsądnego życia, przypominając, że są cuda, o których, Hamlet powiada «ani śniło się filozofom naszym.» Za naszych dni przeszłość stara rozwarła groby swoje, a postać pośmiertna dawno zapomnianego Wschodu wystąpiła z pod ziemi i pojawiła się Europie, jak ongi ojciec Hamleta, i wystąpiła w całym ryzsztunku wojennym z mieczem w ręku, z koroną na głowie.

---

List p. Longworth z Nimrud nad Tygrem, umieszczony w Morning Post d. 3. Marca 1847 r.

«Będąc w Mosul, wielce pragnąłem odwiedzić wykopaliny w Nimrud. Radbym atoli choć kilku słowami opisać wrażenia, które mnie uderzyły wśród tych gruzów pełnych dziwu. Wszystkie te zwaliska były pogrzebane w ziemi. Aby się do nich dobyć, p. Layard kazał odkopać ziemię do głębokości 12 lub 15 stóp; tak dostał się do wnętrza pałacu zbudowanego z płyt marmurowych. Tu przedstawił się istny zamęt labiryntny przysionków, świetlic, komnat, a ich ściany wszystkie widziałem pokryte płaskorzeźbą i oném piśmem w klin pisaném; a te ozdoby i przystroje były

jeszcze wybornie zachowaue. Wyższa część murów zbudowana jest z cegieł i pomalowana w kwiaty i t. p. lśniące jeszcze najżywszą barwą. Dachy były zapewne drewniane — tu i ówdzie sterczały jeszcze z nich ułamki rozsypane.

Było to właśnie pod wieczór, gdym zstępował w te świetlice, więc długie cienie potęgowały jeszcze wrażenie, pełne lęku i grozy, tych przedmiotów, które mnie w koło otoczyły. Przyznaję, że byłem wskrós poruszony, stanawszy wśród przepysznego mieszkania starych assyryjskich królów, a nie potrzeba było przyłożenia silnego wyobraźni, by tu obaczyć zmartwychwstające widziadła zapadłej wielkości i potęgi. Widma przeszłości napełniały zewsząd ciżbą ściany, po których, mówiąc słowami Byrona «rozpostarły się mgliste skrzydła trzech tysięcy lat», one przedstawiały wędrownemu widzowi obraz onych mocarzy, co niegdyś władali tak wielką częścią tej ziemi, którąśmy dziś zamieszkali. Tutaj oni świecą w orientalnym przepychu bogato wyszywanych szat, i w tym dziwnym swoim przystroju na głowach. Tutaj widać ich sprawy i w czasie wojny i pokoju; to udzielają posłuchania obcym ludom, to walczą w bitwach lub zdobywają twierdze, to na łowach ścigają lwy i t. d. Widok takiej mnogości przedmiotów obcych, cudzych, przeniknął mnie do dna duszy. A postaci królów i ich namiestników były tak prawdy i życia pełne, i wyrobione tak piękną płaskorzeźbą, że się zdało, iż w lada chwilę wystąpią i gniewnie powstaną na zuchwalców natrętnych, ośmielających się nachodzić ich samotność. Wówczas pojawiali się potworne syryj-



skich; ciała ich ludzkie, ale z obwisłemi długimi skrzydłami a głowy o dziobach orlich. Tam znów u bramy przysionków opustoszałych wiernie trzymają straż kolosalne postaci skrzydlatych lwów i wołów o twarzach ludzkich olbrzymiej wielkości. Zdawało się, że w chwili mrocznej wieczora wszystkie te figury, te wszystkie bożyszcza dawno umarłej religii, podniosły głowę swoją ze snu długich wieków. Zaiste uczucie uszanowania, które mnie przejmowało, było podobne do uczucia hołdu, które dla nich mieli niegdyś pogańskie ich czciciele (\*).

---

Otóż jest list pisany sześć lat temu, a niezadługo po chwili, gdy pogrzebione pomniki tego dawno umarłego świata zmartwychwstały występując przed oczyma żyjących.

Zacznijmy atoli od początku.

Chwała odkrycia pomników assyryjskich należy się zaiste Francuzowi panu Botta. P. Botta dopiero i 843 r. na wiosnę opuścił Francją, przeznaczony będąc na Konsula do Mosul, miasta położonego nad Tygrysem. Pod Mosul sterczy kilka potężnych pagórków; zarysy ich są tak nadzwyczajne, że zrazu widać, iż one nie są dziełem natury, ale raczej rozsypiskiem ogromnego budowania; a gdy między ludem tamtejszym chodzi wieść, że jeden z tych pagórów jest grobowcem Jonasza Pro-

---

(\*) Ob. Austin, Henry Layard. *Niniwa i jej zwaliska*, oraz drugie dzieło: *Niniwa i Persepolis*, pr. r. Vaux asystenta przy Muzeum Brytańskim. Historia odkrycia pomników tych, które podam czytelnikom moim w skróceniu, czerpana jest po największej części z dwóch tych ważnych dzieł.

roka, więc téż te rozsypiska wszystkie uchodziły za gruzy dawnéj Niniwy «onego miasta trzech dni obwo-  
du» kędy kazał Jonasz, Boży wysłaniec.

P. Botta przeto, jako człek o szerokiém sercu a bystréj głowie, zajął się kopaniem w tych pagórah, ile mu tylko stawało czasu wolnego od spraw konsu-  
larnych;—aleć krom napisów w klin pisanych (klino-  
pismo), nie odniósł żadnéj ważniejszój nagrody za tru-  
dy swoje. Atoli samo to miejsce nie było wielce ko-  
rzystne do tego celu, bo te pagóry tak blisko znajdują  
się Mosulu, że zapewne ważniejsze zabytki, a miano-  
wicie ciosy o płaskorzeźbach, dawno już były znalezione  
przez mieszkańców i obrócone za materyał do ich  
domów.

Mimo to wszelako P. Botta nie przykrzył sobie i  
starannie zbierał okruchy cegieł i alabastru, na któ-  
rych były ślady wyrzeźbionego pisma. W rychle wło-  
ścianie przyległych wiosek znosili mu ułamki podobne,  
aż się téż zdarzyło, że jeden z nich, widząc jaką ce-  
nę P. Botta przywiązuje do tych zabytków, a słysząc,  
że radby przedewszystkiém znaleźć rzeźby, poradził mu  
żeby czynił poszukiwania w jego rodzinnej wsi Korsab-  
bad, i zapewnił, że tam przy stawianiu nowych domów,  
mnóstwo podobnych rzeczy wykopują.

Poszedł za tą radą P. Botta, udał się do onego Kor-  
sabad odległego od Mosulu na pięć godzin Karawano-  
wój drogi. W Korsabad obaczył pagórek, który na koń-  
cu wschodnim wznosił się wysokim ostrokřęgiem, za-  
chodni zaś koniec pagórka rozdzielił się na dwa ra-  
miona. Otoż w tém miejscu P. Botta zabrał się z ca-  
léj duszy do pracy, która téż najszym skutkiem

uwieńczoną została. W rychle dogrzebał się pałaców; w nich po ścianach napisy i płaskorzeźby, później posągi kolosalne, na nich ślady farb, mury ścian powiązane z wielką technicznością, rysunek rzeźb pełen prawdy i natury. List pierwszy P. Botta d. 5 Kwietnia 1843 r., donoszący światu o tak ważnych odkryciach, sprawił też we Francyi ogromne wrażenie. Rząd ówczesny postanowił nie szczędzić dla P. Botta środków, by mógł rozpocząć poszukiwania na wielką stopę. Ówczesny minister spraw wewnętrznych P. Duchatel przekazał mu znaczne summy, a P. Villemain minister Oświecenia przysłużył mu się znakomicie, wysyłając do niego P. Flandin, który sobie już był sławę zjednał w Persyi, jako znakomity rysownik;— on miał przerysować te wszystkie zabytki rzeźb, których bez skruszenia nie można wyprawić do Europy. Przeznaczono też fregatę osobną, by popłynęła do morza perskiego, dokąd miały być spławiane Tygrem te olbrzymie zabytki starych lat, a ztamtąd zawiezione do paryzkiego Louwru. P. Botta okryty był zaszczytami od rządu swego i narodu; kosztem publicznym wydane zostało dzieło pełne przepychu, obznajmujące świat cywilizowany z ważnością jego prac i mozołów. Żwawo i ochoczo postępowała teraz robota, a co chwila z ziemi wydobywano to napisy, to płaskorzeźby, to posągi ogromne, to małe figurki miedziane, to naczynia, to wyrabiania misterne na kości słoniowej, a mianowicie uderzały wyobraźnią owe gigantyczne lwy i woły skrzydlate o głowach ludzkich. Znalezione też znaczną ilość stopionej miedzi i ułamki drzewa spalonego na węgiel; stąd wnosił P. Botta, że dach był drewniany,

że był spojony gwoździami miedzianymi, a wreszcie że budynek cały zapewne zniszczony został przez pożar.

Nic też nie zdołało złamać odwagi P. Botta; żary dopiekające letnie, niezdolne nawet dla tamecznych mieszkańców, szerzyły morderczą cholere między robotnikami jego, i samego przyprawiły o niemoc długą i niebezpieczną. Przecież niezniekana, twardo kuta wola tego zacnego człowieka, przemogła wszystkie zapory zawistne, a rychło Francya i Europa ujrzała się dziedzką wielkiej części spadku po królach Assyryjskich, zmarłych przed tysiącami lat.

Nie mniej atoli, jak te wszystkie odkrycia, jak ta hartowna, niczém nieprzełamana, wytrwałość i głęboka znajomość rzeczy, idzie panu Botta na cześć jego gorąca miłość do umiejętności, obok której nie podniosła już głosu żadna drobna zazdrostka i niechęćka narodo-wa. On to Anglikowi Layard, bawiącemu właśnie podówczas w tamtych stronach, podał rady szczere, z całym wylaniem udzielając mu swego doświadczenia. Poszedł za radą i przykładem P. Botta P. Layard i zabrał się do poszukiwań; ale mniej znalazł spólczenia w swoim kraju i w rządzie swoim, i wszystkie pomysły jego, tak pełne bogatych nadziei, byłyby poszły w niewecz, gdyby jeden człowiek nie był się ujął za nim. Tym był Sir Straffort Canning; on mu wyjednał środki, które, choć nie były wcale obfite, wystarczały wszakże, aby rozpocząć robotę. Lubo później te poszukiwania odbywały się kosztem i na rzecz Muzeum Brytańskiego, przecież nigdy siły, któremi mógł rozrządzać, nie wyrównały zasobom Pana Botta. Zajmujące są słowa, któremi P. Layard opisuje stan duszy w oniej nocy, gdy

nazajutrz miał rozpocząć pierwsze prace około odkopania pomników zapadłych; była to noc gorączki trawiącej, stan, który był na poły jawem, marzeniem febralnem. Rozwijały mu się widziadła podziemnych pałaców olbrzymich, powołów kamiennych i znowu przesuwwały się przed oczami duszy figury dziwne; na kamieniu rżnięte napisy bez liku majaczyły go czarodziejskiem widmem. Zdawało mu się że już wymyślił sposoby wydobycia tych światów odkrytych z podziemnej ciemnicy na świat jasny, widny; i znów marzyło mu się, że niby błądzi po labiryntnym zamęcie świetlic i izb, korytarzy, dziedzińców, z których szukał daremnie wychodu; gdy znów nagle całe to królestwo marzeń zapadło, zniknęło bez śladu, a pracownik biedny ujrzał się samotny na mogile gruzów chwastem zarosłej. Te widzenia gorączkowe nękały go noc całą, aż złamany na siłach zasnął; nad ranem usłyszał głos służki, zerwał się z kobierca, wystąpił z chaty i zabrał się do dzieła. (*Layard I część Rozd. 2*).

Rozpoczął pracę, a jak zaś szczęśliwe były jej skutki, jak one nawet przewyższyły owe obrazy marzeniem gorączkowym zrodzone, widzieć możemy już z wyżej przytoczonego listu P. Longworth, który odwiedził w r. 1847 podziemne pałace w Nimrud, dopiero co odgrzebane przez Layarda. Nie podobna już wypowiedzieć tych zawał i trudności, z którymi pasowali się ci zacni ludzie, pracując nad odkryciem tajemnic dawno umarłych ludów. Klimat niegościenny, niedostatek, bezdroża na pustkowiach natury, zła wiara robotników, brak wszelkich, choćby najdrobniejszych, wygod życia i inne wrogie potęgi broniły, jakby zawistne demony, wstępu do

podziemnego świata; a już najzaciętszym nieprzyjacielem usiłowania był fanatyzm ciemny mieszkańców, popierany przez ciasnogłowych rządzców onych prowincyi. Przytoczę ci tu tylko jeden wypadek. Pewnego ranku Layard wracał konno do wykopaliska swojego— wtém ku niemu jak konie wyskoczyć mogły pędzi dwóch Arabów. »Śpiesz się! śpiesz się, Beju! znaleźli Nemroda! Ałlach! To istny cud! widziałem go na własne oczy moje. Jeden tylko jest Bóg!« A już nie mówiąc ani słowa, polecieli wiatrem ku namiotom swoim. Wstał Layard w głębie do szybu. Sługa jego Awad zaszedł mu drogę prosząc o podarunek na uczenie dnia tak ważnego. Spójrzył L. w koło siebie, ale widział tylko stós ogromny koszów i płaszczów, a nigdzie Nemroda. Arabscy robotnicy w oka mgnieniu rozebrali osłonę, na prędcie z płaszczów i z koszów ułożoną, i w téj chwili przed L. zjawia się ogromna głowa, gigantycznych rozmiarów. I niema się czemu dziwić, powiada L., że widok jój przerażający zmroził strachem Arabów; nie trzeba było zbyt gorącój fantazyi, by w tém zjawisku obaczyć one okropne jestestwa, które, wedle starych podań chodzących wśród tego Indu, zwolna występują z podziemnego państwa, pojawiając się śmiertelnym. A przecież ta głowa była tak okazała, tak pełna pokoju! ona, przebywszy 2500 lat pod ziemią, teraz stanęła znów na jawie dziennym!

Niezadługo słyhać było tentent koni, a Szeik-Abder-Raman z połową szczepu swojego ukazał się na brzegach wykopanego szybu. Sprowadzili ten tłum owi dwaj Arabowie, których L. spotkał w drodze. Bo zaledwie stanęli u namiotów, a już z wielkim krzykiem

rozpowiadali dziwy niesłychane; wtedy kto mógł dopa-  
dał swojej klaczy, wołając: »Niéma Boga krom Boga,  
a Mahomet jest prorokiem jego!« i wszyscy eważem  
pośpieszyli, by oglądać cud. Nie łatwo było Layardo-  
wi namówić Szeika, by zstąpił w głębie wykopalisk,  
dla przekonania się, że przecież głowa, którą widzi,  
jest istotnie z kamienia. Szeik, przypatrzwszy się jój  
długo ze wszech stron, zamyślił się głęboko. Nako-  
niec zawołał: »To nie dzieło ludzkich rąk, to jest spra-  
wą owych niewiernych olbrzymów, o których prorok—  
pokój z nim—wspomina, że byli ogromniejszego ciała  
niż najwyższe drzewa daktylowe, a ta głowa, to jeden  
z tych bałwanów, które Noe—pokój niechaj będzie z nim—  
przeklął przed samym potopem!« Na to zdanie pełne  
erudycyi zgodzili się wszyscy Arabowie.

P. L., chcąc ułagodzić umysły, wyprawił tego wie-  
czora zabawę, racząc Arabów skopowiną; a muzyka  
wędrownych grajków, którzy właśnie tamtędy ciągnęli,  
nie mało dodawała ochoty; ze wszystkich też stron  
zbiegano się przypatrzeć się onemu dziwowisku, a zara-  
zem by podzielać wesołą ochotę.

Lecz na tém nie skończyły się kłopoty; zaledwie  
owa głowa w nieobecności pana Layarda była odkopana,  
gdy jeden z Arabów, obaczywszy ją, dosiadł był czém-  
prędzej konia i popędził do Mosul; bez tchu przelaty-  
wał Bazary wołając, ile miał głosu, że Nemrod zmar-  
twychwstał!—Ogromny rozgłos po mieście. Kadi, nie-  
chętny oddawna panu L., zwołuje Muftego i Ulemów,  
by tę rzecz spólnie rozważyć ze strony teologicznój.  
Narada skończyła się na processyi uroczystej do gu-  
bernatora prowincyi Ismaila Baszy. Protestowano prze-

ciw pracom P. L. jako obrazającym ustawy koranu. Ale Kadi sam jakoś nie był pewnym, czyli odkryto obraz, czyli też kości Nemroda, co był „możnym myśliwcem przed obliczem Pańskim” a Jego Excellencya Ismail Basza znów nie mógł sobie przypomnieć, czyli ten Nemrod był prawowiernym Prorokiem czyli też ohydny niewiernym. W téj niepewności kazał polecić P. L., aby się ze szczątkami Nemroda obchodził z uszanowaniem, a zakazał wszelkich dalszych prac około nich. Po długich korowodach stanęło przecież na tém, aby na czas zawiesić roboty, póki się miasto jakoś nie ukołysze (\*).

Zaiste wystarczy już com powiedział o historyi pojawienia się tych zabytków na widok jasny cywilizowanej Europy. Nie rozwodzę się też nad poszukiwaniem komisyi francuzkiej, zajętej w téj chwili odkopaniem gruzów Babilonu. Ogromne pagóry odległe na milę od Birs-Nimrud okazują miejsce, kędy niegdyś wznosiły się budowania olbrzymie olbrzymiego miasta, a choć doszły nas najświeższe sprawozdania komisyi, przecież z nich jako i z dawniejszych znać, że praca około tych babilońskich rozwalisk dość jest niewdzięczną. Do tych czas nieznaleziono żadnej rzeźby; a kawałki cegieł malowanych, składających niegdyś jakiś obraz, są po dziś dzień całym owocem trudów i wielce znacznych kosztów. Brakuje też napisów o sprawach wojennych w gruzach Babilonu, a przecież napisy tak są gęste w ruinach Niniwy; również jest rzeczą wielce uderzającą, że nigdzie w Babilońskich roz-

---

(\*) Layard. Rozd. IV.



syiskach nie widać śladu sklepień, gdy tym czasem w Niniwie znaleziono sklepione bramy, sale, kórytarze, a na rzeźbach widać nawet mosty o łukach ciosowych.

Przepuścisz mi zaiste i bliższe opisy owych rzeźb wykopanych, i pałaców odkrytych w Niniwie, a zapytasz raczej o wartość tych dzieł sztuki, o ich znaczenie w dziejach rozwijającej się fantazyi artystycznej. Na to właśnie pytanie trudno mi wielce odpowiedzieć. Dzieła sztuki ludów staréj Azyi są dla nas zupełnie nową dzielnicą, bo dopiero od lat dziesięciu istniejąca; nie było jeszcze dość czasu, by się w nich dostatecznie rozpatrzeć; a one też uderzyły Europę zniennać takim podziwieniem, że brakło jeszcze chłodnej rozważyć, swobodnej, niezamaconej myśli do trzeźwego badania a bezstronnego sądu.

Gdy mowa o Grecyi lub Rzymie, o Egipcie lub Indyach, zdołamy prawie już, jakby na figurach jeometrycznych, wykazać na ich dziełach istotę fantazyi tych wszystkich ludów; lecz gdy patrzymy na zabytki assyryjskie, jakiś tajemniczy duch, jakieś oczy nieznanego nam świata patrzą na nas z tych postaci dziwnych, a tak pełnych majestatu a okazałości olbrzymiej. Przeczujemy, że wiele jeszcze okrętów obciążonych skulpturą i napisami popłynie do Europy, że wiele wyjdzie jeszcze na świat rycin, dzieł i opisów, że wiele głębokich znawców i badaczy złoży prace całego życia swojego na ofiarę umiejętności, zanim zdołamy sobie zdać sprawę jasną o téj fantazyi otwierającej nam nowe królestwa w dziejach ludzkiego ducha.

Wszak filozofia ze swoją szkodą przekonała się no-

wemi czasy, a mianowicie we filozofii Natury, jak to niebezpiecznie wyrokować zawczasie w jakimkolwiek przedmiocie, gdy jeszcze nie dostaje pewnych faktów.

Mam wprawdzie w tej chwili przed sobą rozłożone mapy, rysunki, ryciny, plany i t. d. assyryjskich pomników; ale wyznaję, iżbym nierad wysunąć się za rozumiale z jakimś zdaniem zbyt zuchwałém, gdy inni lepsi odemnie, a którzy nawet widzieli na oczy i dotykali się tych pomników, tak nieśmiało odzywają się ze zdaniem swoim. Przyznaję ci się, iżbym był nawet całą tę rzecz chętnie pominął, gdyby się godziło nie wspomnieć o zabytkach tak ważnych, które w tej chwili poruszyły całą myślącą Europę; gdyby się godziło przemilczeć o tym ludzie historycznym, w tych listach moich, w których sobie założyłem choć zlekka dotknąć usposobienia artystycznego wszystkich narodów i epok, które w olbrzymich historycznych postaciach kroczyły po scenie dziejowej ludzkiego rodu. Pomijając tedy nawet różnicę niniwskiej i babilońskiej sztuki, o ile ją znamy czy z rzeczywistych dzieł, czyli z podań historyków, wypowiem kilka nieśmiałych wyrazów o spólnym charakterze obu tych sztuk. Wyrazy moje tém mniej będą śmiałe, że, jako rzekłem, zdania przez znakomitych znawców rzucone są jeszcze zbyt ułomkowe, aby mogły wesprzeć mnie dostatecznie powagą. Nie chciéj tedy rozprawy mojej uważać za twierdzenia, któreby sobie rościły prawo do jakiegoś stanowczego wyrokowania o rzeczy.

Naprzód jest rzeczą niewątpliwą, że te zabytki stanowią ważne a dotychczas nieznanne ogniwo w dziejach fantazy artystycznej; one zaiste uzupełniły przerwę w historii rozwoju sztuki pięknej.

Jakież atoli jest charakter téj fantazyi przebijającéj się w téj puściźnie po tych starych pokoleniach Azyi? Patrzymy na kierunek i dążność ich duchową. Assyrya równie jak Babilon długą i przeważną potęgą panowały licznym narodom Azyi — władztwo ich było olbrzymie. Zdobyćcie sobie atoli takowéj potęgi i panowania było tém trudniejsze, jeżeli zważymy samo usposobienie tych wszystkich szczepów, które trzeba było przemódz i trzymać w karbach azyatyckiego posłuszeństwa. Nie rozprawiając obszerniej pod tym względem, zwrócę tylko jeszcze uwagę twoją na samą naturę tych krajów, na których stanęły Babilon i Niniwa. Cała ta przestrzeń niéma bynajmniej granic od natury saméj tak ściśle zakreślonych, aby one zarazem służyć mogły za obronę państw jednolitój istoty. Z tego wypływa, że tém więcéj potrzeba było siły i wewnętrznej potęgi, aby sobie wywalczyć przewagę i utrzymać się, choćby przez czas niejaki, na panowaniu tak olbrzymiej przestrzeni Azyi. I dla tego słusznie policzono te państwa do ludów czynu z okiem i duchem na zewnątrz zwróconém. Indye, usypiające w miękkich czarodziejskich marzeniach, nie złożyły nigdy litego państwa, one się jedynie zdobyć mogły na zbiór państw drobniejszych; ich właściwa historia nie wystąpiła nigdy po za obręb rodzimego kraju. A Egipcyanom, zadumanym, tonącym w sobie, łatwiej było przyjść do całości politycznej odrębnej, bo sama natura uczyniła z ich ojczyzny całość w sobie zamkniętą, a nie tylko odgradzoną ze wszech stron od świata, ale mającą nawet piętno tak osobne, tak właściwe, jak już żaden inny kraj na świecie.

Niniwa i Babilon nie kołysały się w marzeniach jak

Indyc, nie dumały nad zagadką nadświatną człowieka i natury, jak Egipcj; one były powołane do twardych spraw, do butnego działania, i, stojąc jakby na strażnicy dziejów Wschodu, czujnym zmysłem patrzyły około siebie, dostrzegając pilnie wszystkich zjawisk zewnętrznego świata.

Z tego, co rzekłem, wypływają następujące wnioski:

Te ludy właśnie dla tego, że działały, że się pasowały ze światem rzeczywistym, że dokonały spraw ogromnych, których odgłos rozlegał się po dziejach ludzkich — podawały innym narodom osnowę do dzieł fantazyi, mogły się stać przedmiotem sztuki dla obcych; ale za to same nie były ludem bogatęj fantazyi (\*). Świat zewnętrzny, rzeczywisty, tak zajmował Babilon i Assyryę, tak potężnie ich wiązał, że im nie stało czasu, by ten świat ustroić, upoetyzować w ułudne kształty.

Gdy atoli do tego świata zewnętrznego, rzeczywistego, który tak ciężko ważył w duchu tych ludów, należy również i natura w koło otaczająca człowieka, a nawet jego własna cielesność, więc już z tego ich usposobienia nowe możemy wysnuć wnioski.

Jakoż brak rozwiniętej fantazyi a przytęm znaczenie wielkie rzeczywistości i tęg istnęg natury, musiało być koniecznie powodem, że te ludy mniej idealizowały, a trzymały się raczej tego, co im rzetelna podawała natura. Wniosek ten sprawdza się też wedle mojego zdania na ich rzeźbach. Kto tylko widział te skulptury, przyznaje im nielada znajomość anatomii i znakomite studia natury. Widać wszędy że tym mistrzom

---

(\*) Vicher w Estetyce.

chodziło o naśladowanie rzeczywistój przyrody, że mieli zmysły rozwarłe na kształty, które im przedstawiał świat materyalny; oni nauczyli się natury, nauczyli się rysować. Muszkuły w tych rzeźbach, mianowicie ramię, ręk i nóg, są tak wydatne i tak ściśle wyrażone, a twarze tak pełne indywidualności, iż wyraźnie znać, że mistrze ich patrzali na rzeczywistość dla téj rzeczywistości saméj. Przekonywamy się przeto, że te figury w niczém już nie są podobne do tych twardech, architektonicznych, sztywnych posągów egipskich, eo to bez muszkułów, bez wyrazu na twarzy, a robione niby na pamięć, wedle raz na zawsze przyjętych proporcji i rozmiarów. Wszak te oblicza królów, bohaterów assyryjskich są tak nacechowane charakterem właściwym, iż znać, że są wizerunkami osób żyjących. Dziwny to widok tych głów o włosach, brodach utrefionych, wyloczkowanych z najwyższą starannością, i strojnych w czapki wysokie, a suto i dziwacznie ozdobione. Ten naturalizm sztuki pojawia się i w tém jeszcze, że, jak nam prawią wędrowcy, fizyonomie mają piętno dzisiejszych mieszkańców w owych krajach, że nawet draperye posągów przypominają sposób noszenia sukni dziś jeszcze tam używany.

Chciéj atoli baczyć, że gdy rozprawiając o tych rzeźbach mówimy o trafnym, poprawnym rysunku, o studyach natury, o umiejętności anatomii, trzeba mieć wzgląd na to, że i ta sztuka assyryjska, jak każda inna, miała epoki swojego rozwoju, najwyższego wykwit, a późniejszego upadku. A sztuka assyryjska tém więcéj zaiste ulegała tym epokom różnym, że trwała życiem tak długim i przeciągłym. Uważają atoli że stała na

szczyt swym mniej więcej na 1000 do 2000 lat przed J. Chr. Zważ, że gdy dziś robotnicy odrywali od ścian pałacowych płyty marmurowe z płaskorzeźbami, spostrzegali że te płyty były i z drugiej strony rzeźbione we figury, więc ze strony do ścian wmurowanej; przecież rzeźby te wewnętrzne były innego już stylu. Widzimy tedy, że te płyty należały niegdyś do starszych jeszcze pałaców, które rozebrano do nowszych budowli. Znawcy domyślają się, że takowe starsze rzeźby sięgają zapewne czasów Ninusa i Semiramidy!

Ale i tutaj to jest cechą wielce charakterystyczną, że ciało jest lepiej rysowane niż oblicze, które właśnie jest ducha promienną stolicą, a znów kształty zwierzęce dokładniej są wykonane niż postać ludzka.

Prawda, że na tych rzeźbach i w kształtach ludzkich i zwierzęcych widać niekiedy gwałtowne odstępstwo od natury; ale w takich razach to odstępstwo jest tak potężne, tak uderzające, że właśnie widać, że się stało z namysłu, że ma cel nadania téj postaci pewnego piętna i symbolicznego znaczenia.

Atoli i tutaj, jak na całym Wschodzie, rzeźba nie jest jeszcze sztuką usamowolnioną, ona nie istnieje jeszcze sama dla siebie, jest niby służebnicą i ornamentyką architektury; albowiem i człowiek, będący główną osnową dla rzeźby, nie jest wyswobodzony w zupełności z pod mocy natury. Przecież płaskorzeźby są, jak już powyżej widzieliśmy, dzielnie występujące; one bynajmniej nie są tak płaskie a tém mniej wklęsłe, jak to widać w Egipcie.

To zwrócenie się tych ludów do natury, do życia zewnętrznego, jak jest powodem, że ich sztuka wiernie

naśladuje naturę nie idealizując jej wcale, tak też to usposobienie objawia się jeszcze i pod innym względem. Jakoż te ludy bitne, praktyczne, żyjące życiem zewnętrznym wysoko sobie ważyły siłę przyrodzoną, fizyczną; i dla tego właśnie nogi, ręce i ramiona są tak muskularne i mocne w porównaniu z tułowiem. Podobnież blask zewnętrzny, przepych hardy, butny, widomy dla świata, jest tu wielkiego znaczenia. Rzeźbione postaci tych królów pełne są okazałości i majestatu. One tak świątecznie, uroczyście patrzą na świat, że znać jako one i władały mnogimi ludami, i składały wspaniałe ofiary bóstwu na cześć. Szaty wyszywane, bogato strojne, są pełne powagi i grozy. Patrząc na te postaci widzimy w nich jakby uosobione dzieje starego Wschodu.

Ta chęć okazałości, wypływająca z uczucia własnej potęgi i z żądzy okazania jej na zewnątrz, wyjawia się i w architekturze; ogrom pałaców, niesłychana wysokość, do której sięgają budowania Assyrii i Babilonu, i ta butność harda, głosząca ludom świata dzielność i siłę mocarzy, jest tutaj zupełnie właściwym wpływem nastroju całego ludu.

Zważ jeszcze, że gdy nad Eufratem i Tygrem człowiek żył raczej życiem rzeczywistym, zewnętrznym, a niżeli duchowym, zatem też działo się tu inaczej jak w ciężko zamysłonym Egipcie. Tam bowiem większą część rzeźby i architektury ma religijne znaczenie, a najczęściej jest hołdem śmierci oddanym; w Assyrii zaś fantazyja jest niby świecką, światową, stąd rzeźbi najczęściej fakta historyczne, wielbiąc swoich mocarzy i bohaterów. Budowania ogromne, okazałości i przepychu pełne, są właśnie pałacami, mieszkaniem tych kró-

łów i władców. Co więcej, te figury religijne są potworne, dziwaczne, bo są symboliczne; a przecież wedle sądu tych, co je widzieli — w nich znać jakiś zdrowy, rozsądny pogląd; ośmieliłbym się powiedzieć, że tutaj nawet symbolika jest harda i zuchwała, pochodząca z uznania swojej wartości. W Egipcie krokodyle, kocie, krowie, krogulcze głowy, owady rzeźbione są ważnym pierwiastkiem symbolów; w Niniwie zaś orzeł, lew, skrzydła, wół w całej potężności swojej, ciągle i ciągle wracając się na rzeźbach, świadczą jaki to ten lud hardy i bitny i butny!

Te atoli figury religijne i bożyszcza są jeszcze jaźnym dowodem, że i tutaj bóstwo nie jest pojęte ściśle jako osoba; i tutaj w duchu niema jeszcze jasnego wyobrażenia o tej jedności ducha, do której jak do ogniska odnoszą się wszystkie promienie jego.

Tę jedności doskonałej nie widać też w architekturze pałaców stariej Niniwy. Wpatrując się w jej plany a rozporządzenie wewnętrzne, znać, iż przy zakładaniu ich nie przyświecała jedna myśl przewodnia; te pałace nie są organiczną całością. Prawda, że to już nie są owe senne labiryntne marzenia w skale wykutych pieczar indyjskich; owszem jest niekiedy pewna symetria w całym rozkładzie; izby i sale często odpowiadają sobie i co do wielkości, kształtu i wzajemnego położenia swojego; ale często także możnaby ująć lub dodać mnóstwo świetlic i sal, a całości na tém nie traciła bynajmniej. Słowem, i tutaj, jak na całym Wschodzie, nie pojawia się jeszcze owa architektura, którą dopiero mogła Hellada stworzyć — architektura, w której każdy, choćby najmniejszy szczegół, odnosi się do całości



swojej, w której każdy szczegół jest zarazem przyczyną i skutkiem wszystkich innych, w której wszystkie części, choćby najdrobniejsze, nawzajem się tworzą i są wzajemnym warunkiem swoim.

Odważyłbym się orzec, że z powyższych faktów wynika, iż ta sztuka Assyrii stariej jest jakby ogniwem pośredniem między Egiptem a Grecją. I w Niniwie symboliczność jest jeszcze pierwiastkiem ciężkiej wagi, ale przecież obok niego przeważa sztuka świecka, która służy ku uczczeniu ludzi i bohaterskich spraw; figury nie są jeszcze ideałami w greckim znaczeniu, ale nawzajem nie są też tylko znakiem niemy, jałowym myśli; one mają znaczenie same przez się, one w samej rzeczy jako postaci mają wartość swoją, nie potrzebując pożyczonj symbolicznj treści.

Prawda, że ten naturalizm wyrażający się w całym kierunku tych ludów, jak z jednój strony czynił je zdolnemi i do wielkich dzieł w życiu praktycznym, tak też z drugiej strony wplótł w ich obrzędy religijne sprośność zmysłową, a co więcej, stał się przyczyną upadku tych olbrzymich państw. Po pogromach, po przemożeniu ludów w koło, zwycięzcy chętnie oddawali się rozkoszy bezmiernj, miękkości niesłychanej, zapadali w gnuśność sardanapalską, usypiając w objęciu czarodziejskich mocy zmysłowości, a tak znów stali się łupem drugiego podobnego do siebie ludu. Nie darmo też na cały świat rozeszły się wieści i do późnych pokoleń dostały się podania o rozpuszcie bez miary, o zniewieściałości bez granic życia w Babilonie. Aleć ta zmysłowość rozkołysana, to oddanie się, te zapadania się w uciechach rozkoszy materyalnych są wielce

różne od gnusności zniewieściałej owych Indyan. Bo tam człowiek jeszcze jest oczyniony bezwolnie magiczną mocą natury, która nim miota i włada, odbierając mu przytomność siebie; nad Tygrysem, nad Eufra-tem zaś zwycięzcy świata w rozkoszach zmysłowych zewnętrznych pragną nagrodzić sobie ciężkie trudy wojenne, pełne krwawego znoju. Oni teraz panami wszech-ludów w około, więc z pełną wiedzą rzucają się w ob-jęcie, w morze odurzającej rozkoszy.

Możnaby zaiste wysnuć ci cały jeszcze szereg wnio-sków podobnych, które prawie same się nam rodzą, gdy się rozpatrzymy w rycinach tych zabytków, które nam się dziś wydobywają z kośnicy ciemnej przeszło-ści; lecz myślę, że do naszego celu wystarczy, cośmy dotychczas o nich rzekli, a trudno też nam puścić się na hazard, oddając się zbyt zuchwale niepewnym a zarozumiałym przypuszczeniom.

Nie mogę atoli odwrócić się od tego dawnego wscho-du ludzkich dziejów, nie uczciwszy choć słówkiem sta-rożytniej Persyi, owego rodzinnego kraju Cyrusa, Dary-uszów i Xerxesów, choć on o wiele, wiele stuleciów młodszy od owych grodów Babilonu i Niniwy.

I Persowie, choć innego szczepu i pochodzenia, by-li również ludzie dzielni, ludzie czynu i męzkich spraw; i oni w swoim czasie zasiedli na tronie złocistym ca-łego wschodu; oni nie ustąpili żadnemu z władców zrodzonych w Azji, ich powalił duch Europy, duch nowój historyi, który się uosobił w Macedońskim Ale-xandrze. Persya padła w oném olbrzymiém pasowaniu się potęg przeszłości z przyszłością nową, do której miał należeć ludzki ród.

Dzisiaj cicho i samotnie na rozwaliskach świętego Persepolis— milcząc zasiadła historia wśród tego grobowego miasta następców Cyrusowych. W koło opuszczenie i głuchota; w szerz i w dal nie dojrzyysz żadnego innego dzieła ludzkich rąk. Niekiedy tylko słysząc krzyk szakala, lub przesunie się lis, albo lew ryknie; niekiedy słysząc rżenie koni;—to jeździec na pół dziki, lub wędrowcy z Europy, co karawaną ciągną, by złożyć hołdy podziwu swojego gruzom, które, choć w poniewierce, tak jeszcze przepychu i cudów pełne.

Na wysokim terasie marmurowym wznoszą się jeszcze licznymi gronami kolumny wysmukłe, swobodne; brusy niegdyś je łączące spadły i rozsypały się w okruchy, zostały tylko prawie zachowane one wschody prowadzące na teras, wschody najwspanialsze na świecie; takich wschodów już żaden naród w historii, żaden wiek zbudować nie zdołał! A obok wschodów lśnią płaskorzeźby bogate, świadki dawniej wielkości. Widzisz bez liku postaci tłumne, co się cisną w czterech szeregach, nad sobą umieszczonych; te figury ciągną uroczyście, to rozmawiając z sobą, to niosąc puławy, laski, berła, ozdobne naczynia i sprzęty, a są uzbrojone w pugiławy, lub łuki i miecze. Jedne z tych postaci zwyczajem Medów odziane są szerokim płaszczem, inne w obcisłych z perska sukniach a z wysoką tyarą na głowach; jedne ustrojone w łańcuchy na piersiach zwieszane, inne w koleczki i w naramienniki. Na drugiej stronie wschodów ciągną pochody świąteczne,— to uroczyste poselstwa, co od dalekich narodów niosą hołdy i cześć »królowi królów.« A pochód ich podzielony na grona osobne, z których każdemu przewodniczy mąż poważny

odziany płaszczem, w rękę trzymający laskę wysoką, u boku jego miecz. A każde z tych gron inaczej przybrane. W jedném widzisz posłów odzianych żupanem o krótkich rękawach, na nich założony pas (w sposób polski), końce krótkie pasa spadają we frenzle. Inne grono składa się z figur, których włosy ujęte siatką, broda ich krótka, nogi gołe, z płaszczykiem zarzuconym. Nagie części ciała dobrze modelowane, anatomia zachowana ściśle. A wszystkie te posły niosą bogate dary »Wielkiemu Królowi,« to klejnoty, to futra, to kosztowne materye, lub prowadzą konie pyszne, wielbłądy, woły, wozy i t. d.— i kroczą wszyscy poważnie, uroczysto.

Persepolis, choć w gruzach i rozsypaniu, jest jeszcze pełne piękności, a te piękności, pełne dziwu i cudu, stały się ofiarą nieopatrznej, słabej chwili wielkiego człowieka.

Państwo Persów już zgruchotane w bitwie pod Arbela; Persepolis wzięte. Tysiące a tysiące mułów i wielbłądów, naładowanych skarbami pałaców królewskich, ciągnie do Europy. Wojsko zwyciężkie Macedonów hula w Persepolis, nuży się w zbytkach bezdennych. Im czas bawić się i szumieć. Sam Alexander tarza się w życiu Sybarity, odurzony szalem i dziką ochotą.— W Persepolis szumi wojsko wraz z królem swoim w wyuzdaném weselu— A szlachetny Dariusz, nieszczęśliwy król Perski, ze życiem uchodzi przez pustynie głuche, bezludne; rzucił się za nim w pogoń oddział jeźdźców macedońskich— i oni go dopadną w okropnej chwili, gdy we krwi swojej konać będzie odebrawszy cios morderczy od Bessusa, powiernika swojego, który

ze wszystkich sług i przyjaciół przy nim sam jeden pozostał; tak go znajdują jeźdźcy Alexandra; jeden z nich pokrzepi umierającego wodą przyniesioną w szyszaku a Daryusz pobłogosławi i poda mu prawicę omdlałą— a wrogie twarde wojownicy zapłaczą nad królem królów a panem Azyi.— Tymczasem hucznie, szumnie, ochotno w Persepolis! Grzmi biesiada w późną noc; pieśni i żarty, kwiaty i kobiety cudnego uroku i puhary dodają ochoty weselnój— Alexander opity pychą i winem— W tém powstaje od uczyz Thais zalotnica i wyzywa go, by pożogą Persepolisa pomścił spalone niegdyś przez Xerxesa świątynie w Grecyi. I wszyscy rozgrzani puharem przyklasnęli. Sam król Alexander powstaje i zataczając się woła: »Zemsta za Grecyą« i porywa głównią zapaloną, i rzuca ją w precudne Xerxesowe pałace; za nim poszli wszyscy biesiadnicy, i wnet Persepolis morzem płomieni. Nazajutrz, po wyspaniu się, Alexander zarumienił się, rozkazał ratować— ale zapóźno. Macedonów wstyd było za króla. A był to przecież ten sam Alexander, który przez Hyrkanią aż pod Kaukaz i morze Kaspijskie posyła pogoń za Bessusem, a ujętego mordercę każe tracić straszną śmiercią; był to ten sam Alexander, który tak zacnie i szlachetnie obszedł się z matką i małżonką i dziećmi Daryusza. Wszakto Daryusz umierający, podając rękę owemu żołnierzowi co go wodą orzeźwił, rzekł: »najwyższą moją boleścią jest, że ci nie mogę wynagrodzić dobrodziejstwa twojego— ale Alexander za mnie ci wynadgrodzi, a bogowie Alexandra wynagrodzą za wspaniałomyślność wyswiadczoną rodzinie mojej; ja przez ciebie podaję mu prawicę moją.« Ten sam Alexander, co odurzony złą chwi-

ła, w popioły, w gruzy obrócił święte Persepolis, stara królów perskich siedzibę, śmiercią karze rządzcę kraju Persydy, który w nieobecności zrabował grób i zbezczescił zwłoki Cyrusa.

Ten grób Cyrusa arcy zajmujący jest pod względem architektury. Całość jest niby piramida, na której szczycie stoi domek ciosowy o dachu szczytowym, także ciosowym. Piramida jest w ten sposób zbudowana, iż ze wszystkich czterech stron prowadzi sześć stopni do szczytu, z których najniższy będący podwaliną całości jest prostokątem 44 stóp długości a 40 szerokości, a wysokości 5 stóp 6 cali. Najwyższy zaś 25' 8" dług. a 21' 8" szer. Domek na wierzchu, czyli grobowiec, obejmował niegdyś ciało Cyrusa złożone w złotej trumnie; dalej krzesło złote, dalej kosztowne klejnoty, koherce, łańcuchy, szable, drogie kamienie i t. d., słowem nieocenione skarby.

Napis był taki:

O człowieku! Jam Cyrus, perskiego państwa założyciel i władca Azji. Nie pozazdrość mi pokoju w grobie!

Następnie (wedle Strabona).

Ja Cyrus, król królów, tu leżę pogrzebiony;

Ja byłem przyjacielem przyjaciół moich,

Byłem najlepszym jeźdźcem i łucznikiem najlepszym,

Byłem najpiérwszym myśliwcem,

I byłem wszechmożny w działaniu!

Ten grobowiec wielkiego pogromcy, choć bez napisów, bez skarbów, dziś jeszcze się wznosi w sąsiedztwie Persepolis. W tej samej okolicy widać jeszcze inne groby królewskie wykute w ścianach skalnych. Na 300 stóp od ziemi widać wystawę (facyatę) archite-

ktoniczną, ona jest podzielona na dwa piętra; w dolnym cztery kolumny pół okrągłe, które miasto kapitelu zdobne w podwójne głowy jednorożca, dzwigające bogate brusy i gzymse. Między kolumnami środkowemi są drzwi z gzymsem bogatym a przypominającym architekturę Egipską. Wyższe piętro przedstawia jakieś murowanie, wielce zdobne w rzeźby; na niem trójnóg mały, na którym pali się ogień święty, obok trójnoga figura brodata, otulona płaszczem; u góry słońce, a między płomieniem i figurą u góry unosi się jeszcze jakaś inna postać dziwna, promienista.

Nie będąc ci wspominał o innych zwaliskach pomników starych Persów. To co mamy przed oczyma, zarazem z tém, co nam ich księgi religijne prawią, dostatecznie już tłumaczy nam istotę perskiej fantazyi.

I Persowie byli ludźmi czynu i oni, w świat rzeczywisty duszą zwrócenii, mniej błyszczeli własną fantazyą a raczej byli bogatą osnową dla obcej fantazyi. Com rzekł powyżej o Assyrii i Babilonie stosuje się po większej części i do Persów, z tém atoli ograniczeniem, że Persowie nierównie mniej jeszcze byli ludem—artystą, niż one stare ludy siedzące nad Eufratem i Tygrem. Ich figury wypracowane pilnie, ale nie są bynajmniej dziełem artystycznego natchnienia. A ich figury religijne o dziwacznych kształtach są to raczej rozsądkowe Allegorye. Wielkość i przepych zwycięzców świata i tutaj występuje z całym okazałym, hardym majestatem.

Krótkie dzieje państwa Cyrusowego nie wystarczyły do rozwoju dzielnego ich narodowej sztuki. Widzimy tedy jakieś wspomnienie z architektury Egipskiej;

często nam się też przypomina i Babilon i Niniwa. Bo też inaczej być nie mogło. Persowie, możni pogromcy świata, przyswoili sobie formy zwyciężonych ludów. Mimo to przecież, narodowa ich fantazyja czyli raczej właściwy smak przebija dość silnie w ich dziełach, mianowicie w architekturze. Te kolumny lekkie, cienkie w niczem nie są podobne do egipskich tak ponurych i zadumanych. A forma tych kolumn, ich kapitelów jest zupełnie perska (\*).

Więcej atoli, niż te wszystkie kamienne zabytki, wypowiedziały księgi religijne starych Persów, zwłaszcza Zend-Avesta przez Zoroastra spisana. Zdaje się wedle najnowszych badań, że nauka Zoroastra powstała po upadku Niniwy z ułamków religii assyryjskiej. Co w Assyrii było zarodem, toć rozwinął Zoroaster, czyniąc z dawnych wyobrażeń zmysłowych myśli oderwane.

Nauka Zoroastra jak sama, oparta będąc na abstrakcyach, na pojęciach ogólnych, okazuje brak fantazyi

---

(\*) Zaiste te kolumny perskie, a szczególnie ich kapitale odznaczają się najwyższą, prawie dziwaczną oryginalnością. Mianowicie są tu dwa kształty główki wielce uderzające, a które się najczęściej spotykają;— jeden z tych kształtów przedstawia essownice (ślimacznice) jońskie, ale umieszczone w ten sposób, że one nie są położone poziomo, tylko przy-czepione pionowo, więc do bocznych krawędzi kapitelu; a na każdej krawędzi są dwie takowe ślimacznice. Ta część z essownicami wyrasta niby w kielichu kwiatu, mającym tedy liście do góry zwrócone; ten kielich od spodu styka się z drugim kwiatem, którego atoli liście są ku ziemi zwieszane— a pod tym drugim kielichem dopiero rozpoczyna się trzon kolumny okrągły, żłobkowany. Drugi rodzaj główki składa się z dwóch koni, jednorożców lub wołów zrosniętych niby grzbietem z sobą; nogi przednie zwinięte pod ciałem występują poza obwód kolumny; między karkami jest ustęp, w którym umieszczano belkę. Niechaj to będzie przykładem tych osobliwych form architektonicznych. Nie opisuję już podnożów tych kolumn; one prawie również nadzwyczajne— i dla tego trudno je zrozumieć nie mając zarazem i rysunku przed sobą.



natchnionej, umiejącej obrazować treść duchową; tak równie, będąc podstawą religijną, jest niechętna wszelkiemu obrazowaniu przez sztuki piękne. Tutaj dwie potęgi występują jako władzące światem: Ormuzd, pierwiastek dobrego, światłości, użytku,—i Aryman, pierwiastek złego, ciemności. Oba pasują się z sobą walką—jest to sprzeczność, dualizm, który spotykamy na wschodzie a którego ludy jego przemódz nie zdołają. Zważ równie, że tak pojęcie światłości, dobrego, użytku, jak pojęcie złego, ciemności i t. d. nie są bynajmniej osoby rzeczywiste, postaci indywidualne; ale są to abstrakcyjne, pojęcia metafizyczne, słabo, rozłotnie uosobione w Ormuzdzie i w Arymanie—i dla tego też właśnie obie te potęgi nie mają rozwoju w żywocie swoim; do nich nie przywiązane są prawie żadne mity, opowiadające ich losy i czyny. One, jako myśli oderwane, są w sobie próżne i głuche. Ale takowe zapatrywanie się jak zrodziło światło - bożeństwo, cześć światła nie będącego osobą, tak też dowodzi, że prozaiczność rozsądkowa studziła fantazyą tego ludu, to jest fantazyą powszechną; a tém samém, widać że Persów sztuka głównie też z tego powodu nie mogła się rozwinąć.

Kładę ci tu drobny wyjątek ze Zend-Avesty; będzie on dostatecznym dla nas przykładem téj poezyi, bo cała Zend-Avesta brzmi prawie tym samym tonem (\*).

Ormuzd przemawia do Zoroastra:

»Ja wyrzeknę ci ono słowo!—słowo przeczyste, prze-  
najświętsze, słowo nieskończonej tęsknoty, co było wte-

(\*) Obacz jeszcze wyimki w wykładzie filozofii T. I. str. 345 i T. II. str. 87.

dy, gdy nie było Nieba ani wód! ani ziemi ani drzew! słowo co było przed ogniem i przed człowiekiem czystości pełnym, przed światem i wszech narodami, co z Ormuzda poczęte są!

O Zoroastrze! wymów przeczyste słowo moje, wymów je, choć cię opuści mowa, i nadzieja cię opuści na skonania łożu. Kto w państwie światów moich wymówi słowo moje i wyśpiewa je pełnym wdzięków tonem, tego dusza uniesiona będzie w górne niebiańskie przybytki. Ja Ormuzd, ja sam uczynię mu mosty szerokie ku światłościom niebiańskim—on będzie czystym, jako niebiosy czystym! i będzie świecił niebiańską światłością. Ja sam—Ja Ormuzd majestatem odziany, wymówiłem to słowo z wysokości mojej—a słowem tém wszechjestestwo czyste dostąpi Ormuzdowych światów. I teraz—i na wieczność całą, usta moje wymawiają to słowo—a błogosławieństwo ze słowa rodzi się światu.

..... Ja Niebios Pan stałem się czynnym a zniknął władzca złego. Z pośród złych, z głębi przepaści zawołał głosem: Ja nie chcę mieć myśli o dobrém, nie będę mówił o dobrém—odrzucaam precz mądrość i nie nawidzę zakonu wszechrzeczy!«



## LIST XVIII.

### Ludy Mahometańskie.

Wstęp.— Fantazy Arabów, Persów i Turków.— Fantazy perska jest głównym wyrazem fantazyi tych ludów.— Niektóre pieśń.— Mistycyzm wschodni przechodził w pantelizm i przybiera dwojaką formę w poezyi.— Sprzeczność zamknięta w każdym pantelizmie.— Nauka Mahometa i pantelizm.— Różnica pantelizmu indyjskiego od pantelizmu islamicznego.— Redagując się stąd ostateczności w duchu ludów mahometańskich.— Fantazy czarnodziejska.— Powieści Tysiąca Nocy i Jednej i ich znaczenie estetyczne.— Arabowie, ich życie, poezya i język.— Ułomek z Koranu.

**K**toś z geologów, chce podać obraz owych przemian, które nasza ziemską kulicą przecierpiała, zanim zrodziła tę dzisiejszą naturę swoją, tłómaczy się, o ile pamiętam, mniej więcej w ten sposób: wystawmy sobie w myśli Archanioła, co od czasu do czasu, opuszczając stopnie Bożego tronu, zwiedzał naszego planetę. Za pierwszym razem spostrzegł jedynie lotne tchy, pary płynące lekkim chuchem po wiekuistej światów przestrzeni; ale już te tchy i pary poczęły się ścinać, tężeć w gęstsza materyą. I znów po długim, długim czasie wysłannik Pański obaczył planetę naszego, i widział jego lądy lśniące naturą bogatą, potężną; góry, doliny, płaszczyzny poszyte w puszcze palmowe, w lasy

gęste drzew szyszkowych, a ziemię i wody pełne olbrzymich płazów: węże potworne, krokodyle i inne jaszczury ogromnego ciała pluskały się po zatokach i grzały się na słońcu, a po powietrzu latały straszliwe pterodaktyle o głowach krokodylich i nietoperzowych skrzydłach niby smocze potwory. I przepłynęły nowe a długie wieki, niby jeden Boży dzień, gdy znowu stanął Archanioł na Ziemi naszej i widział jako pod równikiem i pod biegunowem kołem, co teraz państwem wiecznych mrozów, wszystka kula ubrana była w tę roślinność przepyszną, dziś znaną za ledwie na skwaronym zwrótnikowym pasie. A po puszczech, kniejach, gajach, pasły się, goniły tłumy jeleni i stada słońców, nosorożców; rozlegały się zewsząd ryki, wycie lwów, tygrysów, niedźwiedzi; a te kształty zwierzęce były tak przesadnego ogromu, o jakim nam dziś i zamarzyć trudno. Przecież wśród tej natury, potężnej, przemożnej, Anioł nigdzie nie widział jeszcze śladu ludzkiej stopy. A tak wiele, wiele jeszcze razy po długich ustępach czasu, Anioł stawał na ziemi naszej, a coraz inną widział scenę, coraz na niej nowe odgrywały się dramaty Boże. A gdy już ostatni raz odwiedził wysłaniec niebiański naszego planetę, obaczył wielką jego dzielnicę wysadzaną, niby w klejnoty, w bogate, zamożne miasta; obaczył szerokie zbożne łąki, ludzkich rąk błogosławioną pracę, a na łąkach, na rzekach, na morzach szerokich, parą przelatywały statki i wozy, i widział Anioł po miastach wspinałe pałace, w nich rozłożone umiejętnie kości, odciski zwierząt, skamieniałe tropy jestestw olbrzymich, ślady roślin, które należały niegdyś do pierwotnej natury, i widział ludzi, co w imię nauki

zakławszy te zabytki stare, pytali je o koleje i losy dawne tój naszćj ziemskćj ojcowizny (\*).

Zdarzyło ci się zapewne, a nieraz w życiu, że po długich latach znów wstąpiwszy do domu, do mieszkania, kędyś bywał często niegdys za lat dziecięcych, zastałeś innych ludzi, inną mowę i obyczaj, inne otaczały cię sprzęty, i obrazy na ścianach inne, tylko jedne mury te same pozostały; wszystko przeminęło, gdzieś umarło; znikły też dawne marzenia i uczucia twoje. A gdy znowu, po długim lat szeregu, powtórnie staniesz w tych samych izbach, smętne dziwy ci na duszę padną gdy się rozpatrzysz w tych czasach, które znowu przeminęły; wtedy już i sam siebie nie poznasz, i już się nie doliczysz ani tych wypadków, co to nie głośnie, nie widne dla świata, a przecież tak ciężko wazą w życiu rodzin i losach pojedyńczych ludzi; nie policzysz się nawet z treścią własnych piersi twoich, bo i w nich inne mieszkańce, inne głosy, inne obrazy, inne dzieje. Te same izby pozostały, ale ludzie i ich sprawy, ich serca historia, ich koleje losu posępne i świetne przeminęły jako te cienie różnobarwne, przemykające się na ścianie, dla zabawy pacholąt małych.

Podobnie, jak z historią onych zrodzeń naszego planety i natury jego, podobnie jak z historią każdego z nas w tym powszednim żywocie, ma się rzecz z dziejami ludzkiego rodu a z obszarami świata, kędy odgrywają ludy i narody dramat swój. W liście przeszłym patrzyliśmy się na wstającą z martwych Assyrią, oną pramacierz cywilizacyi Wschodu; złożyliśmy też czesć roz-

---

(\*) Porówn. Wykład Filozofii, T. II. str. 187.

waliskom w Persepolis świętém. Teraz proszę, byś się w duchu przeniósł w inne stólecia, w inne ludy i w inną historią, zachowując atoli ten sam dom i ściany stare. Dramat odmienny—nowe aktory — sam jeden teatr pozostał z dawnych lat. Chciéj tedy od onéj pijanéj nocy, gdy macedońskie podpalacze, ze swoim królem na czele, płomieniem niweczą Persepolis, przelecieć w myśli z jakie kilkanaście wieków i rozpatrzeć się znowu w tych samych przestworach, co zaległy świat od lodowatych pałaców himalajskich aż do pobrzeżów, kędy kipią wody Śródziemnego i Czarnego morza. Patrz, jak tu gospodarzyła Historia! ona rozorała stare zagony rzucając na tę rolę swoją nową siebę, nowe ziarno duchowe, co też zeszło bujnym kłosem a bujniejszym jeszcze kwiatem—kwiatem, co lśni we wszystkie wschodniéj fantazyi barwy, jakby od klejnotów i drogich kamieni pożyczone. Dziwnym tłumem cisną się tu wprawdzie różnojęzyczne rody i szczepy, ale już najświetniéj ważą na tych przestrzeniach iślamickie ludy. O ich fantazyi wypada mi dziś pomówić, a tak już skończymy rzecz o téj zachodniéj Azji, więc i o Wschodzie całym; bo o świętych pieśniach, co brzmiały na Syonie, i o budowaniu Jerozolimskiego kościoła zamawiam sobie rozprawę w innym miejscu, co zacień odpowie treści takowéj.

Fantazyja mahometańskiego Wschodu zajaśniała troistym promieniem, bo fantazyja arabską, perską i turecką; a choć każda z nich świeci właściwą barwą, to przecież spólna jest ich istota. Téj istoty spólnéj nie zbyt trudno się nam dopatrzeć; bo gdy fantazyja Persów przewyższa ogniem swoim fantazyja Arabów i Turków, więc też ona jest pod wielu względami najdobitniejszym

wyrazem fantazyi islamijskiej; a gdy znowu ze wszystkich rodzajów poezyi perskiej sufizm czyli poezya mityczna stała się najwyższym jej szczytem, zatem też w tym rodzaju znajdziemy właśnie najwyraźniej ducha, który jest spólnym tłem fantazyi tych ludów. Co w innych rodzajach poezyi Persów, co w pieśniach Arabów i Turków jest dopiero lekkim potrąceniem i przepowiednią, — stanie się rozwiniętym w zupełności pojawiającym w poezyi śpiewaków Sufi. Posłuchajmy więc na przód ich głosów, niechaj nam wyspiewają pieśnią rzewną najgłębsze serca swojego tajemnice.

Znacie wieść o żeglarzu siwym, ona stara wieść?  
O żeglarzu, co wiele setek mil i żywot cały przepłynął  
na Oceanu wodach?

Miał żeglarz ten pacholę drogą, uroczę jak słońce  
w południe, lubę jak księżycę spojrzenie, gdy kołysząc  
się na wieczornym obłoku patrzy na świat; pachole było  
z różami na licach i z narcyzem w oku: postać jego  
niby powiewny cyprys młody.

Pobożnym był ojciec — był i z pozorów i z treści  
pobożnym. Niewinności rajskiej był syn, a czysty jako  
wiosny poranny dech!

I znów miał na oceany dalekie puścić się ojciec siwy;  
a gorącą miłością wiedziony, kochanie swoje, syna pra-  
gnął z sobą zabrać na oceany dalekie.

U brzegów nadmorskich cizbą tłoczy się lud, i pła-  
cze żegnając się kupców grono; płacze, bo im tak bo-  
lesne, braci, rodziców, przyjaciół, kochanki, uściśnie-  
nie ostatnie.

I zawiął wiatr od Wschodu i na okręt cizbą śpie-  
szą tłumy wędrowne, a tłumy zestrachane drogą, bo

droga tak daleka! Siadł na okręt i żeglarz stary a przy nim pacholę młode. Strzałą ścigał okręt wiatry, strzelał w świat daleki!

I rzekł młodzieniec: o Ojczy drogi mój, dla czegoś poświęcił morskiej fali, pokój cichy, luby żywota? Na wodach nie stanie nigdy miły dom, nie zakwitną nigdy na morzach ogrody!

Na to Ojciec: Patrz jak rzeško, jak śmiało za zyskiem biegnie świat! Jak unosi człeka na wsze strony zarobku zwawa ochota! Wszak po trudach, po morskich trwogach czeka nas roskosz, czeka nas cześć i wszystko życia wesele.

O ojczy mój! nie będzie z tego trudu ani czci, ani wesela. Sława i radość rodzą się z mary, rozplývają się marą! Biada, biada nam! Nie dobra mowa twoja, ojczy mój. Puść mnie na lądy! puść mnie na brzegi!

Duszy mojej kochanie, woła żeglarz siwy, wszak droższym mi jesteś niż wszech światów skarby! Złoto i srebro obok ciebie marnym dla mnie prochem. Wszędzie i wszędzie widzę tylko ciebie. Dla mnie Księżyc i Ziemia, słońce i Niebo są jedynie oblicza twójgo zwierciadłem. Gdy ty mnie porzucisz, porzuci mnie z tobą żywota dech! Wszak to jedynie z miłości ku tobie pędzę po falach i ścigam burze wichrowe!

Na to młodzieniec: Ojczy mój drogi, nie znasz, ach! nie znasz tajemnie przepaści. Ja ci objawię światło prawdy bezwzględnej. Jestem Simurg — Tronem moim nieskończoności szczyt. Z tych morskich topieli bije dla mnie objawienia zdrój! W morskich otchłaniach ujrzałem bezwzględnej prawdy oblicze!

Duszo duszy mojej, zawołał ojciec, wstrzymaj te



mowy. Czyliż pragniesz niedoświadczone moje pacholę mądrością górować nad starce! Bezwzględna prawda! Ona zaiste nie igraszką pacholąt młodych. Niechaj ci starczy przykazania i zakonu powaga!

I znów młodzieniec: «Ojcie! nie odwiedziesz mnie, nie odwiedziesz z drogi mojej! Oczu moich już nie odwrócę od ojczyzniego domu! Te morskie igry są dla mnie wzorem, jak się zniweczyć mam. Ja na własném jestestwie mojem kładę depcąc stopę! Miłości płomienne ognie, to przewodniki moje! Precz rozumie — ty nie jesteś mi potrzebą! Ja idę za miłości ścieżką, za miłością wiekuistą! Bo Jeden—Jeden tylko jest żądzą moją — wszystko inne strącam z siebie, śpiesznie rzucać po za siebie. Jednego tylko widzę, śledzę żarów jego spójrzenia.

Wtedy ojciec uniesiony gniewem: — Młodzieńcze! gdy nie umilkną bezbożne mowy, wtrączę cię w morskie bezdenie! Choć jesteś najdroższym żywota mojego klejnotem, przecież brak ci rozsądku, tobie nie przystoi bezwzględność, tobie niechaj starczy wiary powaga.

Miłością opojony młodzieniec, tak mu odpowie: wiedz, iż we wszelkim duchu ukryty drzémie wiekuisty kochanek. Wiedz, że ja sam sobie pojawiłem się jako wszechżywota Ocean. Ciebie i istnienie wszystkie widzę w duchu moim. Dla czegożbym nie miał głosić widzenia! Wszak to nie moje jestestwo przemawia przeziemnie. Ja sam znikam w obec siebie i mojami słowami przemawia Bóg. Tyś mię chciał strącić w morskie topiele — nie odwlekaj ojcie! Gdy sam już rozplynąłem nieskończoności falą, fala będzie mi żywotem. Ojcie, ja sam jestem kochankiem, ze serca tryska mi

prawdy zdroj. Prawda mi się pojawiła. Słuchaj, co prawda przemawia! «Zachód twój jest wschodem twoim. » W okresie Przestrzeni i Czasu jeńcem jest duch. Rzuć się w nurty Boże, a rozwiązane będą węzły wszech »zagadek ducha.« Więc istnienie moje tonie w Bogu, jak tonie w morzu wody kropelka.

Tak woła i rzuca się z krzykiem radości w Oceanu bezdenie! — Cisną się tłumne majtki, załamując ręce i płacząc z boleści, i widzą że młodzieniec luby zniknął w wodach, jako znika śniegu płąt w słońca promieniu. Stanął ojciec i patrzy, utopiwszy oczy w wodne prądy — i stanął i patrzy. Wtém z głębin piersi jęknął westchnieniem, mileży i duma i myśli, i nagle się zrywa, potoczył wzrokiem do koła, zbliżył się na brzeg statku,— rzuca się sam w morskie topiele i przepada w kipiących bałwanach. Ogłuchnął strachem okrętowy lud i stanął nieporuszony — stanął zakłęty, jak osadzony w muszli morskiej nieruchomy pereł rząd.

I znów inny głos zabrzmiał w zachwycie gorącym:

»Jam świata duchów sokołem! Jam opuścił wysokości niebiańskiego tronu. Chwycony łowów pragnieniem, wpadłem w sieci ziemskiej bytności—ujęty ziemską postacią! Jam uleciał z gniazda mojego na Niebo!

I znów trzeci głos tęsknoty śpiewa:

»Śledziłem wizerunku duszy mojej, a nikt nie podał mi duszy mojej obrazu. Wtedy zawołałem, o duszo moja! Znajdź wszech-stworzeń zwierciadło, a zaiste w zwierciadle tém znajdziesz i obraz twój!« (\*)

---

(\*) Inne jeszcze podobne przykłady: Wykład Filozofii. T. I. str. 110, 376, 377.

Tam znowu inny wieszcz odurzony życia rokoszą,  
«winem» ziemskiej uciechy, śpiewa:

Śpieszno róży, śpieszno, by się z nicestwa narodziła  
wszechistnienia cudem!

Fiołek kornie róży bije czołem, i modli się do róży  
hołdem rzewnym:

Pójdź ze mną przyjacielu mój; spełnij wesoło po-  
ranny wina puhar!

Nie odkładaj do jutra radości uciech, nie zwlekaj ich  
do żywota końca.

Znajdź sobie lubie kochanie, reszta nie warta i pu-  
stój łupiny!

Nawróć do ogniochwalstwa wiary, bo tym ogniem  
jest miłość wrząca, a płomieniem życie.

Dech grobowy, dreszcze mroźne ziębią pokutnika-  
dom.

Słuchaj, czego uczy wiosna luba; ona od wieków  
jedynym świata prorokiem młodym!

Czujesz świeże jój powiewy? Roztwórz im piersi  
twoje, one same jedne są wszech prawdy tehem!

Ten powiew, to miłości duch, to zbawienia dech;  
on miłości rokoszą, co płynie od woni milionowych  
kwiatów!

---

Powiedz, jaki to duch, co żyje w tych pieśniach  
dziwnych, tak rzewnych i gorących, tak tęsknych a niby  
przepaścistój głębi. Te głosy wszystkie, choć tak różne,  
są dziećmi jednego, spólnego im wszystkim ducha, bo  
jak pieśń ostatnia żąda, aby człowiek zapomniał siebie  
w rokoszy ziemskiej i w weselach tutecznego świata,  
i radzi ulotnienia duszy w woniach kwiatów, w miło-

ści i w powiewach wiosny młodej; tak tamte pierwsze są spotęgowanym, tęsknym mistycyzmem, którego najwyższą mądrością jest rozplynienie w onej bezdeni abstrakcyjnej, którą nazywa Bóstwem.

Jakoż w tym mistycyzmie wschodnim człowiek, tęskniąc do Boga, traci siebie, zapomina, że jest istotą w sobie osobną; a gdy się ten mistycyzm spotęguje, już wtedy istota ludzka miesza się z istotą Stwórcy, w niej ginie niby tchem lekkim, niby kroplą w topielach oceanu, w którym się rozplywa istnienie wszelkie.

Czyli zaś to stracenie siebie nastąpi z ulotnienia istoty człowieka w rozkoszy ziemskiej (w materyalizmie), czyli to znikanie własnej jednostki wyniknie z utopienia siebie w istności najwyższej, zawsze i w każdym razie takowe usposobienie ducha, o ile będzie spotęgowane do najwyższego stopnia, stanie się panteizmem. W każdym bowiem razie człowiek traci wiedzę jasną o różnicy jestestw duchowych a materyalnych, w każdym razie spłyną dla niego jestestwa wszystkie w jeden ogół, w jedno istnienie, kędy już nie będzie rozdzielenia jednostkowych jestestw od siebie; w każdym razie zniknie jasna wiedza o Bogu-stworzycielu wszech rzeczy, będącym przytomną opatrnością we wszech jestestwach a istniejącym przecież samoistnie, jako osoba, za światem, i po nad światem jestestw stworzonych.

Zaiste, z tych powyższych pieśni wieszczów perskich patrzy na nas panteizm z całą straszliwością, który, już to uwieńczony różami, oddycha słodką ich wonią i brzmi w pieśni zakochanego słowika, kipiącym puharem natchnienia upaja myśl człowieka, wabi i nęci do weselnych życia godów; już to znowu strąca z sie-

bie co tuteczne i ziemskie a prze do okropności samobójstwa. Tu wszystko się mąci i miesza: gwiazdka i robaczek, listek i duch, przyszłość i przeszłość, nędma i potęga ludowładna; tu wszystko spływa w jeden ogół, w jedno istnienie, tu wszystko obraca się hasem kołowrotnym. Panteizm, jakby wir na oceanie wszechistnienia, każdą bytność do siebie ciągnie, porywa, zatacza ją kołem szalonym, a na bezdeniach tego wiru czatuje, jako topielec wrogi — nicestwo, i patrzy oczyma na człowieka, co, jak ów żeglarz młody, płynie na okręcie doczesności, na morzu żywota, a panteizm wabi i nęci człowieka, by się rzucił w morze wszechistnienia, co bije wiekiustą falą. Tu cały świat kręci się dzi kim, bezprzytomnym szaleńcem, jakby owym tanem zapamiętałym derwiszów mahometańskich.

Mówiąc o Indyach wspomniałem, że jedynie prawdziwa filozofia, umiejętność rzetelna, zdoła powalić panteistyczne stanowisko, wykazując nielogiczność jego. Zrozumiesz, że nie tutaj miejsce do głębszych a gruntownych rozwojów, co by wykazały kłamstwo takowego zapatrywania się w samém założeniu, w samych węglach jego. Dla naszego celu wystarczy, jeżeli wytkniemy wypadki niedorzeczne, do których prowadzi panteistyczność wszelka, i sprzeczności, w jakich ona staje sama z sobą we własnym swoim rozwoju, i jak te sprzeczności przechodzą w obyczaj, życie i odzywają się potężnie we fantazyi tych ludów. Jakoż ta panteistyczność, nie odróżniając dostatecznie jestestw duchowych od materyalnych, a tém samém nie odróżniając ściśle Stwórcy od rzeczy stworzonych, raz uważa jestestwa li jako nie mające znaczenia, patrzy się na nie jako na bańki wodne,

które przez chwilę błyszcą przepychem barw tęczy, i świecą i promienia, a wnet prysną, strzelą kropelką i rozplyną w nicestwie; drugi raz ta panteistyczność przypisuje tymże jestestwom ogromną wagę, bo ściera różnice rozdzielające je od wiekuistego jestestwa, będącego zdrojem wszech rzeczy.

Stąd wynikają z kolei wręcz sobie przeciwne odwrótności, bo raz hołdowanie rzeczom ziemskim, więc rozsądek prozaiczny; drugi raz pogardliwe odwrócenie się od rzeczy tutecznych, więc owa miłość panteistyczna do istnienia ogólnego, bezdenne — miłość, co jest podobna do »skonania motylka w płomieniu świecy z tęsknoty za światłem.«

W téj miłości panteistycznej człowiek, jak ów młodzieniec w powieści, kładzie stopę, »na własnym istnieniu swoim.« A tak człowiek, nie uznając żadnej bytności jednostkowej, mając je wszystkie i siebie samego za czeze mary, może zawołać: »Precz rozumie! ty nie jesteś mi potrzebnym.«

Zaiste rozum nie jest potrzebny panteizmowi, bo rozum ma właśnie to przeznaczenie aby nie mącił rzeczy różnych, by je rozdzielił a potem dopiero wskazał, jak one nawzajem mają się do siebie, jak one, choć tak różne, i właśnie dla tego, że są różne, wiążą się cudną harmonią z sobą i podlegają wiekuistym prawom, niezmiennym i pełnym mądrości ustawom. Tego wszystkiego nie czyni panteizm, a nie wiedząc o Panu wszech światów, co jest ogniskiem wszelkich stworzeń swoich, nie pojmuje téj harmonii jestestw, co choć różne od siebie, wiekuistymi prawami nastrojone są jakby do jednego głównego tonu, co brzmi w nieskończoności.

Panteista maćci wszech rzeczy ład i szyk; on uznaje różnice jestestw, ich stopnie jako przechodnie, rozplynne pojawy, znosi więc wszelkie różnice, wszystkie szczeble, maćci wszystko z sobą, a tak nawet zaciera różnicę zachodzącą między nim samym a owym ogółem wszech rzeczy, i w tym ogóle przepada zawrotną, pijaną miłością. Ale ta miłość sama jest kłamstwem i sprzecznością sama z sobą, więc sprzecznością z rozsądkiem. Bo miłość jest znalezienie, widzenie siebie w inném jestestwie, jest tedy jednością dwóch jestestw udzielnych, jest jednością różnic, a różnicą w jedności. Dla tego miłość siebie samego jest tak obrzydliwa, tak wstrętna, bo jest nielogiczna, bo tu jestestwo samo siebie kocha, bo w téj miłości niéma różnic dwóch lub więcej jestestw, co jest warunkiem miłości wszelkiej. Miłość więc a tęsknota onego młodzieńca do wiekuistości, ta miłość, w której przepada i ginie jednostka jego, w której ginie wszelka różnica, nie jest miłością, ale właśnie grobem wszelkiej miłości, jest miłością skłamaną! jest to »pochodnia, co świecąc sama się trawi.«

Rozumiem, że dostatecznie ci wykazałem sprzeczności, w których sama się gmatwa i sidła panteistyczność wszelka. Nie może też być inaczej, bo gdzie założenie błędne, tam kłamstwo, niby grzech pierworodny, zdradza ciągle nowe kłamstwa i sprzeczności. Niechaj sobie wrzekomi uczyiele co chcą baja, to pewna, że żadne rozumowanie nie trafi samo z sobą do końca, nie rozdziernie zagadek świata, jeżeli za węgiel swój nie położy wiedzy o Bogu, który jest jedném ogniskiem mądrości wiekuistój, osobą, do której się wszystko odnosi, jak to uczy wiara Chrześcijańska, a podaje każ-

da filozofia prawdziwie umiejętna, wypiastowana na jej łonie.

Niechaj człowiek wie, że w głębi ducha jego przemieszkuje wiekiistość, ale niechaj oraz wie, że ten nieskończony pierwiastek w nim jest ziarnem bożem, które Pan Niebios włożył w serce jego, by je rozwinął zacnością, by poznał siebie, by wiedział o Bogu, i swoim stosunku prawdziwym do Ojca na Niebie, o prawdziwej miłości. Mistycyzm panteistyczny wschodu patrzy się w siebie, patrzy w głębie piersi swoich; lecz w nich widzi jedynie otchłań jasności, co go oślepia; w tych światłach on nie widzi treści, nie przeczuwa, że ta światłość bije od skrzydeł Anioła, co się z miłości zamknął w sercu człowieka, nie wie, że ten anioł jest tylko wysłannikiem Pańskim, zwiastunem miłości nieskończonej, której nie zdołają ogarnąć gwiazdziste przestrzenie. Na tych ogromnych rozłogach starego wschodu człowiek nie wie jeszcze że na miejsce doczesności zstąpiła owa niebiańska miłość bez granic, że ona w cierpieniach i skonie ziemskim nie utraciła wiekiistej istoty swojej.

Zrozumiesz zaiste, że byłoby pewnie wymuszonem naciąganiem rzeczy, gdybym, przechodząc dzieła téj wschodniej fantazyi, chciał wszędzie w nich wytykać panteistyczność, boć ona zaiste znaleźć się tylko może w ostatecznym wysoku fantazyi tych ludów wschodnich; ale za to proszę cię, byś nie wypuszczał z pamięci tych sprzeczności dotkniętych powyżej, które właśnie wyrosły z tego samego gruntu, z którego rozwinęła się owa panteistyczna dążność,— te właśnie sprzeczności posłużą nam, jakem już rzekł, do zrozumie-



nia i żywota tych ludów i dziejów ich państw i obyczajów ich, a mianowicie ich fantazyi. Zanim atoli zabiorę się do roztoczenia takowego, uważmy jeszcze, skąd się mógł zrodzić ten panteizm wśród nauki Mahometa, która przecież tak twardo i potężnie stanęła przy wierze w jednego, w jedyne Boga?

Mahomet! to poeta-prorok i zakonodawca! on zachwytem proroczym tchnął na naród dopiero co pastercki żądzą podbojów; on Wschód uczynił zdobywcą połowy cywilizowanego świata; moce płomienne jego nauki stopiły duszę różnorodnych ludów jakby w jedną całość. Mahomet zwołał je wszystkie pod spólny sztandar wiary, on wyswobodził te ludy od guseł i zaboronę. Tego wszystkiego zaiste dokazać zdołał Mahomet, ale nie zdołał przecież sięgnąć do najgłębszego gruntu serca ludzkiego!

Mahomet głosi, że Bóg jest Bogiem, że tylko Ałlach jest Bogiem, że on sam jednym prawdziwym Bogiem, który sam na sobie przestaje; on wspomina nawet o Aniołach, i maluje barwą gorącą, palącą i zgrozy ostatecznego sądu i rozkosze rajske; a przecież te nauki jego nie mogły wystarczyć, one nie napełniły treścią ducha ludzkiego, one nie zamieszkały wszystkich toni serca, więc mimo téj jego nauki ogromna próżnia pozostała w sercu. Dla czego? Bo Bóg Mahometa jest abstrakcją, bo wyobrażenie o Bogu nie jest u niego rozwinięte, bo Ałlach jest tylko bóstwem (numen) bez dziejów bożych, jest pojęciem oderwanem bez dalszej, roztoczonej treści. Więc też to pojęcie tak ubogie nie mogło już przeniknąć, przejąć wskrós człowieka i ogarnąć wszystkich stron uczuć i serca jego.

Patrz, my, cośmy wypiastowani wiarą Chrześcijańską, my od kolebki do grobu żyjemy jakoby w atmosferze wiekiowości, nią oddychamy, nią żyjemy, nią czujemy. Ona przeniknęła wskrós całe jestestwo nasze, nasza wiara ma treść nieskończoną, ma dzieje; każdy czyn nasz, każde uczucie, każda myśl znajdzie odpowiednią prawdę w zasadach wiary, które łączą ogniem świętym Niebo i ziemię, wiekiowość i doczesność. Inaczej w islamizmie: w nim nie ma bożych dziejów, on w istocie swojej zupełnie jest podobny do wiary tych, którym się zdaje, jakoby już ogromnie wiele wyrzekli, gdy przystają na byt »istności najwyższej« (être suprême!), i rozumieją że taką abstrakcją zdołają zastąpić bożą Historią na Niebie i Ziemi. Ale, kto jedynie wie i jedynie wierzy, że jest »istność najwyższa,« ten rzeczywiście mało bardzo wierzy i mało bardzo wie, i sam mimowolnie wyznaje, że u niego niegłęboko w rozumie, ani głęboko w sercu. Ubogi ten na duchu, kto, jakoby na jałmużnie, przestaje na wiedzy, na wierze o »istności najwyższej,« na téj biednej i jałowej abstrakcyi. Ta nędza umysłowa tém więcej litości godna, że on żyje przecież w świecie chrześcijańskim, w świecie wiary i wiedzy i umiejętności głębokiej, a nie korzysta z tych ogromnych zasobów duchowych, których się dosłużyła cywilizacya świata łamaniem się i pracą tylu wieków.

Podobnie oderwaném pojęciem jest Ałlach islamicki, i właśnie ta abstrakcyjność jego, jakem dopiero rzekł, jest powodem, że ta wiara nie zapełnia wszystkich tęsknot serca ludzkiego, że nie przenika wskrós uczuć, które tak są bogate, tak nieprzebranéj treści. Dla tych

uczuc i tęsknot nieskończonych nie wystarczy bynajmniej ono wieczne, ekliwe powtarzanie: **Bóg jest jeden! Bóg jest wielki! A Mahomet jego prorokiem!**

Weź koran do ręki. Mimo ognia a wrzących barw, mimo tego, że z każdej Sury (Oddziału) patrzą na ciebie niby żarem chłonnae oczy proroka, że czujesz z nich bijący na cię oddech skwarnej pustyni; przecież nie lada trudem jest to czytanie w tej grubej księdze, w której powtarzają się te same ogólniki, te same wyobrażenia bez dalszego rozwoju a powtarzają się bez końca. Do znękania czytasz a czytasz treść tę samą, rdzeń książki zawsze jedna i ta sama, bo abstrakcyjna i głucho, choć ustrojona w przybory obce, bo w ułamki poetów arabskich, bo w upoetyzowane powieści biblijne. Prawda, że cała osnowa koranu jak żarzewie działa na palną, chwytłą fantazją tych wschodnich ludów, ale nie przenika ich serca, nie zagrzewa ciepłem życiodawczém, jednostajném od kolebki do śmierci.

Trzeba innéj jeszcze treści, aby zaspokoić wszystkie te ciche wróżby w duszy, aby nie zostawić w niej głuchoty a ciemnie nierozświeconych, a tęsknot nieukończonych.

Z tego abstrakcyjnego a jałowego pojmowania Bóstwa wynika, że człowiek w tej wierze czuje się luźnym, że wyobraźnia jego, nie trzymana na wodzy, buja bez miary, miota się, ciska, że duch człowieka przerzuca się z jednéj ostateczności w drugą a w tej burzy serca nie ratuje go wiara jego, która tak pusta i bez treści w sobie.

Następnie baczmy, że Bóstwo Koranu tak abstrakcyjne, ogólne a nierozwinięte ani w myśli, ani w uczu-

ciu człowieka, z istoty swojej już zbliża się do głuchego, beztreściwego, abstrakcyjnego ogółu, który jest dnem wszelkiego panteizmu, i który, jak widzieliśmy powyżej, równie z siebie rodzi to rzucanie się bez końca, to miotanie się po sprzecznościach wręcz sobie odwrótnych. Zrozumiesz jeszcze bliżej to wyrodzenie się wiary Mahometa w mistycyzm panteistyczny, gdy zważysz, że wyobrazenie tak beztreściwe bóstwa, tak słabo rysujące osobowość jego, wnet się musiało rozpląnąć, ulotnić w pojęcie bezosobowe, rozpląnąć w ogół bezdenny. Albowiem dążność panteistyczna wszędzie tam się rodzi, gdzie się ulatnia wiara w Boga będącego osobą.

Zważ, jak z jednej strony islamizm nie był mocen wstrzymać bujania fantazyi, jak, podając jedynie słabe zarysy osobowości Bożej, sam stał się potuchą mistyczności, wyradzającą się w panteizm; tak z drugiej strony ta mistyczność była oddziaływaniem (opozycyją) tych szczepów, które się opierały idei Mahometa. A kto wie, azali przypomnienia z dawniej perskiej wiary, z oniej nauki oderwanój o dwóch pierwiastkach: światłości, więc dobrego, a ciemności, więc złego, które także są abstrakcją głuchą, nie przyczyniły się do całego stanowiska duchowego? Wyznaję atoli, że, o ile sądzić mogę, ten wpływ nie jest jeszcze dziś dostatecznie wyjaśniony.

Tak ten mistycyzm panteistyczny zapowiada, że tu spotkamy powawy, przypominające dzieje człowieka w Indjach; ale znowu trudno nie postrzedz zrazu ogromnej różnicy zachodzącej między światem nadgangesowym a życiem islamičkih ludów. Wszak inny jest panteizm

indyjski a inny ten, który się rozwinął u mistyków mahometańskich: tamten jest jakby marą pierwotnej niemocy ducha, oczynionego magią demonów natury, ten zaś zrodził się z zapadania ducha w sobie i z nieskończonej tęsknoty jego, pojawił się na łonie nauki, kładącej przecież za węgiel a podwalinę wiarę w jedyne Boga; tamten jest niby złém marzeniem, cisnącém piersi ludu, którego całe życie samo jest ciężkim, kłamliwym snem, ten zaś jest filozofią, zachwytem narodów, które żyją na jawie i żyją w czynach i dzielności rycerskiej, w uczuciach gorących, namiętnych. Lecz jak w Indyach, tak i na wschodzie Mahometańskim miotają się ostateczności wręcz sobie przeciwne—bo duch i materia, świat oderwany a rzeczywisty, głuchy ogół a świat jednostek pojedynczych, rozkosze ziemskie a nadświatne dzielnice, fantastyczność bezmierna, nie mająca ładu ni praw, a rozsądek prozaiczny, powszedni, codzienny. W Indyach atoli te ostateczności są wskrós pomączone z sobą, są dziką mieszaniną jakby dwóch różnorodnych płynów w naczyniu zamkniętych, które, gdy je gwałtownie zakłócisz, rozbijają się na cząstki osobne, chaotycznie z sobą pomączone, a które przecież połączyć się z sobą nie zdołają. W mahometańskim świecie obie te ostateczności podobne są do tych dwóch płynów, gdy się już ustoją, a każdy, zlewając cząstki swoje, do czysta się od drugiego odgraniczy.

Zaprawdę, przypatrując się, choć pobieżnie, życiu, obyczajom meşleminów, wszędzie znajdziesz one ostateczności wręcz sobie przeciwne obok siebie i po sobie istniejące, i ściśle od siebie odłączone. Człowiek w islamizmie zapada w abstrakcyą głuchą, dumając a nie

myśląc tonie w bezdeni, co nie świeci, nie grzeje. Stąd ta cisza duchowa tak głęboka, ten pokój uroczysty duszy, ta świąteczna mężka powaga, owo zadumanie, co tak lekce sobie waży troski i zabiegi światowe i pogardza tą grą ulotną żywota, zdając się na fatalizm wszechmożny. Znienacka atoli w tę ciszę bezwietrzną, w ten wrzekomy chłód duszy, w tę obojętność wpadnie iskra, a już, jakby błyskawicą, zajmą się palne uczucia człowieka; on się zrywa gnany żarem wewnętrznych płomieni, pędzi wichrem uraganów na pogrom świata, i gromi świat. Ale w rychle gaśnie w sobie, usypia, i znów tonie w miękkiej bezczynności pieszczotliwego życia.

Islamita to przestaje na małym, miarkuje i kieźna swoje ochoty i przemaga zacnym mężstwem niedostatek i głód, to rozplywa się w rozkoszach zmysłowych, pieści się i kołysze ziemską uciechą, stwarzając około siebie urocze światy; chętnie nawet wzywa sztucznych sposobów (opium), zapada w marzenia, przenosząc się w krainy czarodziejskie uludnych fantastycznych widziadeł, kędy, jakby we śnie, giną wszelkie prawa rozsądku, wszelki ład i rozumowy związek wszech rzeczy, a kaleidoskopem tu przesuwają się świat, hasając dziwnym zamętem.

Islamita hardy, niekiedy okrutny, dumnie spogląda na cały ludzki ród, poniewiera nim; bo ludzie, to jednostki marne, nie mające znaczenia. A często znów z milczącym sercem sam zstępuje z wysokości władzy na poniżej biedy, obojętnie nawet nakazanej śmierci się oddając i samego siebie za nie waząc.

Moslemin, to wśród rzeczywistego życia mierzy,

liczy i waży rzeczy najprozaiczniejszym rozsądkiem; to znów się szarpnie, zerwie nitki, co go ze światem powszednim wiąza, a wolny i swobodny jak ptak, cały świat czyni ojczyzną swoją, i na »latawcu wiatronogim ściga sępy« i skwary piaszczyste, ale ściga i goni bez celu.

Tak tutaj wieczne kołysanie się ducha między dwiema ostatecznościami, tu niema praw stałych, pewnych, tu niema trwania, tu wszystko migoce się, błyska i gaśnie. Wszak nawet dzieje same, te żywoty samych państw, są tak migotne i majaczne, jak dzieje duchowe pojedynczych ludzi. Wspomnij te kalifaty w średnich wiekach, co jakby brylantem błyszczały w ciemnej nocy, a świeciły od Bagdadu przez Azyą, Afrykę, aż w głęboką Hiszpanią, a w rychle znów niespodzianie rozprysnęły się w iskielki płomieniste i zgasły. Dzieje ich to istne bajki arabskie w których nie ma trwania, stałości. Te dzieje tém dziwniejsze, że przecież te państwa arabskie były piastunami umiejętności europejskiej w średnich wiekach; wszak to ówczesne arabskie kalifaty słusznie patrzyły się na ludy zachodu, jako na nieobłąskawionych, grubych barbarzyńców. Przecież ci Arabowie byli wielkimi lekarzami; oni to rozwinęli matematykę, fizykę, astronomią, oni nauczyli się starych Greków, oni pisali komentarze nad filozofią Arystotelesa. Wiesz, jedni z ich mędrców zabrali się do koranu, filozofią go rozświecając; co więcej, byli i tacy między nimi filozofowie, co w uniesieniu najwyższego zachwytu pragnęli spłynienia z Bogiem, a tak głosili światu naukę panteizmu i rozwarli bezdenne jego przepaści. Nastaje też między Ara-

bami filozofia zaprzeczająca wszelkie prawidła, wszelkie ustawy świata; wedle nich wszystko, co się dzieje w świecie, tak fizycznym jak duchowym, dzieje się z chwilowego, Bożego dopuszczenia. Człowiek, wedle téj nauki mógłby być tyli, co góra; a owad tyli, co słoń; ptak mógłby być zwierzęciem ssącym; że się nie tak dzieje, to jedynie dla tego, że taki niby zwyczaj przyjęty w stworzeniu, ale przyczyny rozumowej niema żadnej, niema żadnych praw rozumnych, stałych, trwałych.

A tak sama nawet filozofia mahometańska roztworzyła furtkę do państwa czarodziejskich dziwów, do fantastycznych widziadeł.

---

Znasz Babią Górę, Tatrów sąsiadę, co się szarzy i garbi na rąbku Krakowskiego nieba; ta góra— to od czasu do czasu gospoda onéj staréj czarownicy, co ją zimą zowią, co tak nienawistna wszystkiemu co młode i piękne, skoczne i radośne, kochające i kochane. Ona tam milczkiem siedzi przyczajona i czyha na chwilę sposobną; więc znienacka, zanim się spodziewiesz, okryje się płachtą z brudnéj ciężkiéj mgły, zjedzie na doliny nasze i w jednéj nocy pozabija wonie i kwiatki, poszarpie liście i zioła, pogasi światła i barwy. Darzemnie broni natura te swoje dzieci lubę, wnet i ona, urzeczona od staréj złośnicy, zaśnie ciężką śpiączką. I śpi i marzy natura; śni o swoich kwiatkach i barwach, woniach i światłach, a śpi póki jéj nie przebudzi powiew wiosny młodej.



Teraz zima broi na dworze i ziębi; słuchaj jak szumi i jęczy i straszy! A tęskno ci w izbie i samotno i ekliwo, bo nam podobno gorzej jeszcze, niż naturze, drogi bracie mój; przecież do niej wróca światła i kwiaty, wróca i barwy i wonie, ale duszę naszą urzekła inna jeszcze czarownica i uniosła światła i kwiaty, co nam świeciły i kwitły niegdyś na wiosnę żywota naszego, a te światła i kwiaty podobno zwiędły i zgasły już niepowrotnie, na zawsze. Lecz nie dajmy się czarom złowrogim! brońmy się urzeczeniom, nie myśląc o nich; bo wiesz, choć ci czasem samotno i ekliwo, zaproś w gościnę inną czarodziejkę dobroczynną, co ci pokaże sztuczki magiczne, gry dziwne, wymyślne, i tak cię zajmie, zabawi, że ani się spostrzeżesz, a już wieczór zimowy, co tak długi i tęskny, przeminął, i zapomnisz na chwilę o światłach, o kwiatkach, co zgasły, co zwiędły niepowrotnie.— Ta wróżka, to wymyślna, kapryśna poetów i mistrzów pani; te biedaki są jęj oddane w jętwo i w służby potulne; a dla nas zaś ludzi powszednich ta ich pani jest nadworną zabaw naszych mistrzynią! Ale pozwólno jęj stroić sztuczki, pozwól gadać, bajać, i zmyślać, a wnet się tak spoufali, że tych jęj figlów nie będzie ni końca ni miary; ona drwinkami za gościnę i twoje dobroduszne przyjęcie zapłaci. Ona, jak prawia, umie i zadać niekiedy kropli na odmłodnienie, z fabryki onego hrabieza francuzkiego hulaszczęj pamięci, a jeśli zagra na skrzypkach, to ci poruszy w sercu skoczne lekkoduche figurki z dawnych lat. Więc nie gniewaj się, pofolguj tęj bałamutnej psotnicy, pozwól broić tęj wróżce figlarnęj; boć to ona jest *fantazyą*, a ona zaiste ważne piastuje dygnitarstwo w świecie duchowym—ona nam barwi, co

szare, spleśniałe, a złoci, co tak biedne i ubogie w życiu. Wszak ta fantazyja podobna do swierczka w kominie: póki ona się odzywa, toć znać żeś nie przemarzył do szczytu, że tam w sercu jeszcze ciepło, że tam choć jeszcze iskra w popiele. Nie broń téj psotnicy lubéj progów twoich, owszem niekiedy pomóż jéj dokazywać i broić! A jeżeliby ci brakło weny, a jejmość fantazyja się miała zdrzémac na piękne, toć zrzuc pychę z serca i siadaj między dziatwę, poigraj z pacholećmi, a fantazyja znów się rozbudzi w tobie, a odświeżysz się na sercu, na myśli, i uspokoisz nie jedne bolejące serca rany. Bo dziatwa, to istic pany na zamkach czarnoksiężkich; ona to w królestwie cudów i dziwów, jakby w domu swoim. Dla nich nie istnieje porządný w świecie ład, w ich duszy złocisto, skoczno, chichotno, a tak dziwnie, jak na tym ich sadzie godowym krakowskim, co u nas w każdą wilią Bożego Narodzenia, niby bajeczka czarodziejska, z okrzykiem radości od pacholeć witalany. Patrz, co się dzieje w ich duszy, gdy sosienka przyniesiona z bielańskiego boru, zabłyśnie w jabłuszka, orzechy złoczone, gdy na gałązkach jéj, zamiast szyszek, zahustają się wiarusy wąsate, warkoczne Marynki krakowskie z cukru, i skaczą uwiązane dzieciątka i rybki ich z Wisły sąsiadki, i świecą barwiste stoczki, a w pudełkach i pudełkach pełno dziarskich utarów i groźnych piechórow. Posłuchaj, co się tam migocze, mieni, w tych główkach małych. W oczach, w myśli przesuwają się światki, co sobie drwi z rozsądku, drwi z powszedniego ładu świata; więc téż one tak chciwe gadek o niestworzonych rzeczach. I dla tego właśnie, gdyś sam znudzony drobną, wymokłą prozą ży-

cia, siadaj między działawą i praw im historyjkę, na przykład tym trybem: —

• Otóż tedy, jak wam powiedziałem, dzieci, Sindbad biedny zostawiony był samuteńki na owęj wyspie odludnej. Chodził biedak a chodził gorzko płacząc a desperując, a tu w koło ani śladu żywój duszy; wdrapał się nawet na drzewo wysokie i patrzył na morze, ale tu ani śladu statku, tylko fale bezmierne a niebo głębokie. Już go ostatnie strachy przejęły, gdy zobaczył tuż nad brzegiem jakąś kulę ogromną; zbliżył się, patrzy, obszedł ją w koło i zmierzył krokami, a było jój ze sześćdziesiąt kroków, a była ona biała, miękka i gładka. Stanął tedy, dumał i myślał, coby to być mogło? Wtedy zniennać jakby zmierzch nocny padł na świat; zdało mu się że jakąś chmura gęsta słońce zaćmiła, ona z szumem i hukiem przylatuje bliżej a bliżej; wtedy ze strachem poznał Sindbad, że ta chmura to nie chmura, ale ów olbrzymi ptak Rokk, (Skala) o którym tyle nagadali mu niegdyś podróżni, i domyślił się że ta kula, to pewnie jaje Rokkowe! I zgadł — Ptak spuścił się na jaje, by je wysiedzić, a jak siadł toć i Sindbada przykrył sobą. Wpadł tedy biedak na myśl śmiałą a szczęśliwą, bo rozwinawszy z głowy zawój, co tehu przywiązał się do ptasiego uda, co było tak ogromne jakby pień najstarszego dębu. Ledwie to zrobił a jużci tu zrywa się Rokk i unosi z sobą Sindbada tak wysoko, że i świata już nie widać; więc leci przez wiele lądów, i leci, leci przez morza, a spuszcza się tak szybko, tak nagle, że Sindbadowi tehu nie stało. Otóż przecież Rokk już na ziemi. Sindbad czémprędzej odwiązuje się od nogi, wtém widzi, że, i t. d.

Dalszy ciąg téj historyi znajdziesz w zbiorze gadek, co je zowią «Tysiąc Nocy i Jedna.»

Te powieści słusznie uważane są za najcudniejszy a najwięcej charakterystyczny kwiat arabskiej fantazyi. Dla téj fantazyi fraszką, bajką, konieczny rzecz szych, w niéj przypadkowość rozigrana założyła władztwo swoje. Ta fantazyja samowolnie sobie gospodarzy w świecie a uśmiechająca się kuglarskim figlem wywraca, maści jestestw porządek; to wywoła węze skrzydlate co się przemienia w cudną piękność panie, strojne w złoto i klejnoty drogie, to czarem w kamienie przemieni ludność wesołego miasta, to stworzy komnaty sypialne oświecone, jakby lampą, blaskiem ogromnego brylantu, to wyprowadzi z morza olbrzyma zazdrośnego; on w szkatułce, którą trzyma pod pachą, chowa najulubieńszą kochankę swoją i t. d. A jak ta fantazyja drwi sobie ze znaczenia istotnego każdej pojedynczej rzeczy, które wplata w powieści swoje, tak też i »całość takowéj powieści niema znaczenia głębszego; dar»mobyś w niéj śledził jakiegóś głównej myśli a dążności »moralnej, obyczajowej, nie spodziewaj się tutaj nawet »ani satyry, ani allegoryi na dnie tych powieści» (Göthe); rozumiałbyś, że one są jako ptaszki, co śpiewają bezświadomie z całą duszy swobodą, bo im tak miło i lubo śpiewać na nic się nie oglądając; są to wdzięczne drwiny ze świata i z ludzi, za które gniewać się nie można.

Choć te powieści arabskie nie mają rozumowego gruntu pod sobą, choć pisane są jakby dla pacholąt małych, przecież w nich żyje ukryty głęboki a samorodny fantazyi prawdziwój pierwiastek, i dla tego właśnie one i starszych tak czarują niewypowiedzianym urokiem.

Chcesz-li podpatrzeć ich zrodzenia, to pamiętaj, że i tutaj gospodarzą owe dwie powyższe ostateczności wręcz sobie przeciwne. Tutaj naprzód wylatuje na scenę fantazyja jakby upojona zachwyceniem tanecznicą, i w szale, drwiącym z rozsądku, wywraca zamętem jestestw naturę, a w zapustnej wesołej ochocię hula i buja i stwarza sobie światek cudów i dziwów i awantur, i rozsypuje, jakby do strojnego sadu, złociste owoce, dziewczęta, rybki i wojaki na gałęziach rosnące. Gdy atoli swojego dokona, już znika jak przyszła, i ulatuje, aby znów gdzieindziej puszczać się na figle i sztuczki, i drwinki. Wtedy występuje z kolei na scenę rozsądek rozważny, prozaiczny, i zbiera skrętnie one złociste, dziwaczne dary lekkoskrzydłej psotnicy, i wiąże je w sad, co równie jest bez korzeni i nie ma gruntu pod sobą, i przyczepia na nitce do gałązek jego te dziwy świeciste, obstawi świeczkami, a tak i powieść gotowa. Jednak, ten sam rozsądek, co tak chłodny i trzeźwy i rozważny, gdy obaczy własną swoją robotę gotową, pełną dziwów błyskotnych, mieniących, sam odurzeje widokiem swojej sprawy, sam się opoi, i puści się tanem zawrotnym w koło dzieła własnego, tanem ochotnym, fantastycznym, oczyniony czarodziejstwem, które sam wywołał. Tak tutaj one dwie ostateczności nigdy nie wiążą się w organiczną całość, one nie przenikają się z sobą; i jakby w somnambulizmie to rozsądek czuwa na jawie, to jakieś jasnowiedzenia z kolei panują nad człowiekiem; a oba te stany są ściśle od siebie oddzielone.

Otoż i żywot i kraj Arabów jest taką powieścią cudowną; i tutaj nie ma nic stałego, trwałego; wszystko

jest dziwem łśniącym, mieniącym. Człowieka w kapryśnej, samowolnej swobodzie przez życie całe podrzuca fantazja; całe życie jego jest awanturą, przypadłością, hasem zapustnym. Dziewica arabska zaślubia się swojemu kochaniu, a gdzieś daleko, daleko staje się matką, a gdzieś indziej znów wychowuje dzieci swoje, i znów gdzieś daleko umiera. Jakby w powieści czarodziejskiej nikt nie zgaduje, co się zdarzy, zanim słońce nazajutrz spadnie na widnokręgu pustyni.

Ta pustynia zaległa w koło świat, ona niema, cicha, niekiedy tylko po pagórach jałowych, po piaszczystych równinach przelatują głosy; jęką—konają gdzieś w niedosłyszanej dali. Niekiedy znowu przez ćmę kurzawy patrzy się na świat słońce obumarła, zżółkła twarzą, a po ziemi hulają wzniesione w słup i palą się chmury piaszczyste, ciemną purpurą, niby pożarem natury, a pędzą szalejąc, kręcą się i wirują, i szukają wędrowców, by w ich krwi i skonie znalazły ugaszenie pragnienia! Dygoce strachem zdjęty tygrys, przycisnęła się do ziemi hyena z cicha szlochając, ryknął zgroza lew a płazy jadowite zwinęły się w skalnych szczelinach; natura odegrywa straszliwy a fantastyczny dramat. Ale patrz, wśród pustyni skwarniej, jakby wyspa na oceanie głuchym, zieleni się i uśmiecha szczęściem błogiem oaza, ojcowizna czarodziejskiej rozkoszy. Palmy rozkochane lekkim wspaniałych liści szeptem powierzają sobie miłości swoje. Gaje migdałowe posyły pagóry tchnące rosą świeżą, a figi gęstolistnych gałęzi spletem rozpięty namioty, kędy brzmią wdzięczne ptasie pieśni. Tam znów daktyle związały się w strojne bukiety, a wśród murawy łąk kwiecistych płynie stru-

myk, i cieszy się i raduje, że on tego wszystkiego szczęścia i wesela sprawcą cudownym. Gdy w koło na pustyni głucho i pusto a skwary duszne życie wyssały, gdy tam ciąży niemota cicha jakby na natury cmentarzu, w oazie tak lubo, wdzięczno, rozkoszno, żeć się już здаje, że ona błogiem, sennem widziadłem wędrowca, mdlejącego wśród piasków skwarynych nieużytej pustyni.

Przecież choć na oazie lubo i błogo, choć tu przyroda ustrojona jakby do ślubu ze szczęściem, a choć na pustyni cicho i skwarno, Arab kocha sercem gorącym tę pustynię żarzącą. Wszak on jój dziecięciem, ona jego światem, on w niej jakby w domu swoim; tu mu zdrowo odetchnąć, i puścić się za słońcem, za gwiazdami na rumaku lotnonogim. I tygrysy i węże, lwy i chmury piaszczyste, i wszystkie strachy pustyni są dla niego fantastyczną poezją, a walka ze śmiercią to rycerskie dla niego igry i turnieje, jakby lekka gimnastyka, gdy pójdzie o płatne z innym wrogim szczepem, co również synem pustyni, z którym jeszcze od pradziadków toczy się bój zemsty śmiertelnej, krwawej. Bo na pustyni zemsta nie umiera nigdy; ona wołaniem tajemniczym rozplywa po pustyni głuchej, umarłej »nią dygoce grot żelazny łaknący krwi, ona błyszczy i żarzy się w oku rumaka, zemstą tchną kości poległych, zbielełe na piasku żółtym.« Tu nie prawo, nie sądy rozstrzygają spór, ale męstwo, ale rycerskie zuchwalstwo; tutaj człowiek jest jednostką niczém nie krępowaną, nie uznającą praw ogólnych; więc pędzi i biegnie, kędy go unosi serce kipiące a fantazja w duszy żarem paląca.

Gdy boje na chwilę ucichną, gdy i pustynia zaśnie w koło, a gwiazd nocnych tłumy, jakby pochodnie, ja-

snością przezystą zapłoną na niebie; wtedy, około ogniska Araba, rosną powieści i gadki i pieśni; wtedy, miłość i śmierć, przeszłość i przyszłość, i natury dziwy, i męztwa zuchwałe cuda, odziane w szaty urocze poezyi, jakby wdzięczne geniuszki rozchodzą się od ognisk we wsze strony pustyni, siejąc kwiaty duchowe po jej piaskach jałowych. Kwiaty te, niedojrzane wzrokiem doczesności, mienią się cudem, stają się widome, żyją niezwiędłym życiem; gdy na nie spojrzysz okiem fantazyi, wtedy te puste, umarłe, nieme arabskie rozłogi, te cmentarze głuchej natury, stają się czarodziejskim ogrodem.

Nie trudno tedy już zrozumieć, że fantazyja Arabów wypada z piersi wieszczów najradziej poezją liryczną. Bo w samej poezyi lirycznej żyje cała swoboda uczuć człowieka, w niej jednostkowe piętno jego znajduje wyrażenie swoje, w niej wieszcz jedynie sam od siebie zawisł, nie zna co względy i więzy zewnętrzne. Dla tego też, gdy się Arab zabierze, by wyśpiewać grzmiającą epopeją czyny pełne chwały szczepu swojego, już obrazy tej epopei stają się liryzmem, stają się raczej odbiciem osobistych uczuć śpiewaka, niż opisem zewnętrznych wydarzeń. Bo ta fantazyja, luźna i wolna, nie rada się stosować do zewnętrznego świata. Albo też, jeżeli opowiada i kreśli zewnętrzne wypadki, toć znowu z taką swawolą, z takim żartem z ustaw wiążących naturę, iż to opowiadanie staje się właśnie ową cudotworną arabską powieścią z Tysiąca Nocy i Jedna.

Równie z tego, co rzekłem, wyraźnie znać, że tutaj nie ma nawet mowy o dramacie, bo figura dramatyczna jest sobą samą, działa wedle siebie; wypada te-



dy aby poeta dla tych figur rzekł się sam siebie, aby treść wewnętrzną swoją uosobił na zewnątrz, nadał jój ciało i uczynił ją niby niezawisłą od siebie; lecz te wszystkie warunki dramatu są wbrew przeciwne tój lotnej, gorącej, niczém nieumiarkowanej fantazyi, która, li na własnej osobistości oparta, wylewa się gwałtem niby dzikie wody wśród burzy i grzmotów. Z tych powodów też nie tylko Arabowie, ale żaden lud mahometański nie ma dramatu, ani go mieć nie może. Daremnie tedy niedawno rozumiano, że odkryto dramat między ludami temi; te słabe kompozycye są może nawet o wiele niższe, niż dyalogi średniowiekowej Europy. Obaczmy też później, mówiąc o fantazyi romantycznej średnich wieków, że tam podobne zjawiska występują, bo i tam liryczność przeważa, i tam człowiek nie ma oczu rozwartych na świat zewnętrzny, i tam duch tonie w sobie, stwarzając sobie własną rzeczywistość fantastyczną. Obaczmy atoli również, że wielka zachodzi różnica między romantycznością ludów mahometańskich a chrześcijańskich, której przeoczyć się nie godzi.

I uważ, ta bujająca, szalejąca fantazyja Wschodu, znienacka znów rzuca się w drugą odwrótność, i staje się prozaiczną, rozsądkową, czasem nawet pedancką uczycielką. Obok liry kipiącej warem, palącej się jasnym płomieniem, obok czarodziejskiego świata powieści, stają zbiory ogromne przysłów, maxym, rad, sentencyi, a są tłumy nieprzejrane tój dydaktycznej poezyi; jakoż jeden z tych zbiorów zawiera ich siedm tysięcy. To przerzucanie się z jednej ostateczności w drugą tłómaczy się już samo przez się z powyższych ogólnych zarzysów ducha islamicznych ludów.

Nie trudno też wywróżyć kształt tych poezyi, a mianowicie téj ognistéj liry. Myśli, uczucia wylatują słowami niby błyskawice; wyrazów nie wiele, ale też za to biją jakby gromem (\*). Te pieśni podobne szkicom wielkich malarzy — kilka rysów śmiałych, butnych, farby zuchwałe niby na hazard rzucone, co palą się, goreją, promienią — wystarczą do zupełnego obrazu. Zrozumiesz tedy również, że w ludzie rozsypanym na szczepy, hulającym w pierwotnej swobodzie po nieprzejrzanej przestrzeni ojczyzny, poezya jest prawie cała poezya gminną, fantazyą powszechną, wszechbytną; ona rośnie jak dzikie kwiaty w całym przepychu swojej siły świeżej, rodzimój. Arabia późno dopiero, a to tylko przelotnie i niedostatecznie, zaznała wpływów świetnych dworów, co iściły przepych, czarodziejstwo, o którym gwarzyły powieści cudotworne; ta świetność przemijających ognisk nie uczyniła nigdy doprawdy poezyi w Arabii dworską poezyą; ona z istoty nigdy nie przestała być sprawą narodu całego, sprawą ogólną, spólną wszystkim. Poeci tedy walczą z sobą o prym wśród nieprzeliczonej cizby ludu; chwała poetyckiego zwycięstwa jest chwałą ich szczepu, w obec wszystkich szczepów. Na wstępie do bożnicy Kaaba w Mekce zawieszono były siedm pieśni wyszytych złotemi głoskami na perskich makatach; one niegdyś odniosły nagrodę w obec nieprzejrzanych tłumów ludu, które rok rocznie gromadzą się na targach w mieście Okkadh. Przy téj fantazyi

---

(\*) Hammer Purgstall: Literatur-geschichte der Araber. Wiedeń, 1853. To dzieło jest podobno najważniejszém ze wszystkich prac nowszych, a odnoszących się do literatury arabskiej. Téj też książki radziłem się głównie wspominając tu tak zlekka o poezyi i języku Arabów.

poetycznej ludu, co jest jego powietrzem, którym oddycha — krwią, która mu w sercu tętni — czyliż dziwno, że spory prawne, tak między pojedynczemi osobami, jak między szczepami odbywały się mocą wszechwładnej u nich poezyi. Rzecznikami stron bywali poeci; oni pieśnią wysławiali zacność, chwałę, męstwo i dzielność i słuszność swoich klientów; i sędziami sprawy byli wieszczowie szerokiej chwały, a wygrana stała się tryumfem poety-rzecznika i nagrodą jego wieszczego natchnienia.

Tak tedy poezya arabska jest kopalnią bogatą, nieprzebraną drogich kamieni i złota dla Europy, znachodzącej coraz nowe a nowe cuda i dziwy. Pomyśl sobie, że w szczupłym przeciągu czasu sto czterdziestu lat, licząc ich sto przed Hedżyrą a czterdzieści lat później, śpiewało 300 poetów, między którymi było 16 królów, a 45 poetek; a tak i w następnych stuleciach mienia się i rodzą i bujają coraz to nowi wieszczowie, i rosna jakby gęstym gajem czarodziejskiej poezyi. (\*).

Pytasz atoli, jakże się miała ta bujność poezyi, ten świat śpiewów i pieśni do nauki i wiary proroka?

Mahomet, zakonodawca-prorok, zanurzył ten czysty precudny język arabskiej pustyni w krynicy wiary, a nadając mu formę stałą, uświęcił go, natchnął szlachetnością pełną wzniosłego uroku. I trafnie i bystro rzekł temi dniami jeden z najcelniejszych badaczy i znawców arabskiej literatury (\*\*): «język starego Egiptu i Persów i Medów, Sauskryt i święta mowa Hebreów, dawno przebrzmiały w rzeczywistości. Cienie jednych

(\*) Hammer 1 c.

(\*\*) Hammer 1. c. przedmowa str. XVIII. Wien, 1853, in 4to

z tych języków zakłète są w napisach rzeźbionych, po grobach, w budowaniach zapadłych, i zaledwie wskrzeszone być mogą szczęśliwym trafem i mocą czarodziejską badaczy; inne z tych języków żyją tylko w księgach uczonych i plątają się marą po szkołach. Ale język arabski żyje życiem niezwałtoném, żyje wieczną, nigdy nie zgasłą młodością w dziełach poetów i w ustach ludów; on rozwinął panowanie swoje po ogromnych przestrzeniach trzech części świata, a był nawet czas, gdy ta mowa arabska była panującą w świecie duchowym, bo w dzielnicy nauk i umiejętności, i zajęła tron wszechwładny, opuszczony wtedy przez język rzymski, ów język pogromców starych ludzkich dziejów.» Patrz, jak to geniusz Mahometa ciężko zawazył w duszy tych ludów! on do szczytu wytepił mity stare z pogańskich lat, a przecież, jak wspomniałem, nie zdołał wytepić z serca swoich ludów miłości gorącój do gadek i powieści cudotwornych. Bo on, choć się gniewa że go nazwano poetą, jest sam wielkim poetą.

W Al-Koranie, jak rzekłem powyżej, obok rdzeni prozaicznój jego zasad głównych, obok jałowego rozsądkowego pojmowania, widzimy powieści biblijne, ale cudnie ubrane w pałace, żarzące barwy fantazyi arabskiój; te powieści są upoetyzowane, wystrojone do niepoznania. A tak i tutaj widać owe ostateczności świata islamickiego obok siebie istniejące: bo rozagę, namysł, obok namiętności płonącój, bo chłód rozsądkowy obok porywającój, zataczającój się wyobraźni. Mógłbym ci przytoczyć wyjątki z nie jednój Sury (oddziału) Koranu na poparcie mojego orzeczenia, ale trudno mi wystąpić po za obręby listu tego. Nie mogę się atoli oprzeć chęci

uczestowania cię choć ułomkiem drobnym owych dziejów miłośnych Jussufa i Sulejki, osnutych na treści Koranu przez Czami, jednego z poetów Perskich. A wyróżnie nam z tego korzyść dwojaka, bo obaczysz jak Koran obchodzi się z powieścią biblijną, a przytém będziesz miał przykład poezji perskiej, o którejbym ci jeszcze choć w krótkości pragnął wspomnieć. Zrozumiesz przecież, że jedynie mam na myśli, aby ci podać ogólne kontury ducha i fantazyi tego ludu, a dla tego chciałbym te wyjątki uważać jedynie za okruchy okruchów tego prześlicznego poematu. Zrozumiesz równie, że nawet nie mogę rościć sobie prawa, aby te ułomki uchodziły za tłumaczenie, bo do tego trzebaby umieć języki wschodnie, a zarazem być poetą; a ja ani do jednej, ani do drugiej z tych zalet nie mam pretensyi.

Jussuf, o którym tu mowa, jest to Józef biblijny, syn Jakóba Patryarchy; a Sulejką nie kto inny, tylko pani Putyfarowa. Mahomet poświęca całą dwunastą Surę Koranu historii Józefa, którą po swojemu amplifikuje, zdobi i stroi, a tak zaciera pierwotne, pełne prostoty i rzewności, opowiadanie Pisma Ś. Zaczyna od chwili, gdy niby Józef powiada do Jakóba: O ojcie mój! Jam widział we śnie jedenaście gwiazd oddających mi pokłon! I widziałem, jako mi się kłaniał księżyc i kłaniało się słońce!—Synu mój! odpowiada Jakób, nie wspominaj o widziadle tém braciom twoim, bo szatan jest ludzkich serc zaprzysięgłym wrogiem! Tobie zaś te widziadła senne niechaj będą wróżbą, że Pan ukocha cię miłością najwyższą i udzieli ci wiadomości wyjaśnienia ciemnych wyroków. Pan łaskę swoją uczyni świetną na tobie i na pokoleniu Jakóbowém i t. p. Kończy zaś Koran na

chwili, gdy rodzice, przybywszy do Egiptu i stanawszy w obec Józefa, chcą upaść do stóp jego, by okazać mu uwielbienie swoje, ale Józef wstrzymuje ich, w rozczuleniu oddaje zgrzybiałym starcom cześć, na tronie ich sadzając.

Poeta perski Czami trzyma się wprawdzie Koranu w opowiadaniu swoim, ale obiera sobie za ognisko pieśni nieszczęśliwą miłość Sulejki do Jussufa, chcąc wyświecić jaskrawemi barwy, jako Jussuf polegając na ufności w Bogu jest niepokonanej siły duchowej; ale słaba niewiasta, nie mająca oparcia w sobie, miota się bez ratunku na falach namiętności swojej, aż i jej serce zostaje ukojone wiarą prawdziwą. Taką dążność bowiem prawie powszechnie przypisują téj powieści.

Ale widzę, że list ten jakoś zbytby mi urosł, wolę tedy zachować sobie do przyszłego listu historią o Jussufie i Sulejce i wszystko co mi jeszcze o fantazyi ludów islamicznych mówić wypadnie.



## LIST XIX.

### Ludy Mahometańskie.

(Dalszy ciąg).

Powieść Jussuf i Sulejka.—Fantazya Perska.—Schachnâme.—Dwojakie pieśni wieszczów perskich, a mające spólne tło.—Ułamki z obu tych rodzajów.—Malarstwa, rzeźby, dramatu nie ma u tych ludów.—Cechy ich budowania.

**Dopisek.** Rzut oka na listy i stanowisko całego tego dzieła.

»Noc była, noc cudna jak żywota jasny dzień; noc szczęściorodna jak młodości błogi wiek. I ptaszek śnił, i rybka w wodzie spała snem a umilkły nawet spracowane wieści dzienne. W świecie całym, w tój przedziwnój altance bożego ogrodu, same gwiazdy, same jedne z oczkiem otwartém chodziły po niebie! Noc ukradkiem uniosła wartom bacność czujną, i milczały dzwonów zawiązane usta. Nocny ptak roztoczył lotów śmiałe miecze, a maki zasypały grodowej straży oczy. Jeszcze nie wzywają miunaretów głosy na modlitwę Panu!«

»W tój nocy wdzięcznej spoczywała na łożu Sulejka miouusta, snu słodycze pokryły jój oczu narcyzy.

Dziewica używała wężłowi włosów wonnych fale, a łoże ustroiła postacią, jakby zwojem wdzięcznych róż. Zmysłowe jęj oczy tonęły we śnie lubym, lecz jaśniały drugie niewidome serca oczy! Zdawało się jęj, że widzi przed sobą młodzieńca obraz.— Młodzieńca? O nie! to widziadło przezystego ducha! Oblicze jego, jaśniejące promienną światłością, niebiańskim hurysom odebrało rajskie uroki i czarownych wdzięków moce. Cyprysu wzrost, tak wolnością swobodny, zdaje się być niewolnikiem obok postaci młodzieńczej. Kędziorzy spływają po ramionach cudnych, jako więzy, co krępują rozumu potęgę! Przed blaskiem czoła jego skłania się kornie twarz słońca świecista. Łuki oczów jego to ołtarz modlitw świętych, to namiot ambry, co cieniem mroczy zasypianie lube, pełne rozkoszy cichęj. Oblicze jego, to Bożych Edenów księżycowa poświata; od rzesów biją w serca strzały! . . . . .

»Gdy jęj oczy ujrzały to z nieba zjawienie, już jakby gromem zapłonęło serce miłością. Światłość jego lica i wdzięki nadziemskiej postaci związały ją serc tyśiącem. Ona już w świecie nie widzi innego istnienia, krom jego uroków. Bujuje rozkwita miłości gałązka w jęj sercu osadzona. Oblicze jego ogarnia jęj duszę ogniami, co chłona i cierpliwość i ufność wiary.« . .

»Już noc, owo ciemne pacholę, ulciała światu, już kur na poranie zawołał radośnie, a słowik pieśnią rzewną podniósł z róży pączka obłonkę, już fijołek i jażmin w rosy kropelce omyły główki swoje; a jeszcze Su-



lejka spoczywała na łożu snem słodkim złożona. To nie sen! To błogie zmysłów odurzenie, to radość i podziw lubej, błogięj, przemarzonej nocy.«

»Zbliżają się niewolnice urodne i całują rączkę śnieżną; ocknęła się—jój ocząt para szczęściem upojona, szaty spadły z jój oblicza, jako obłoki wschodu przed słońca promienistą twarzą. Ona patrzy w koło, bez śladu rozplynęła postać pięknoica! Sulejka w sobie stula uczucia, niby w pączku młodym; boleścią chwycona, jak róża liście, tak ona chce podrzeć szaty swoje, ale rękę wstrzymuje, wstyd ludzi utrzymuje jój stopę na umiarkowaniu progach. W sercu kryje tajemnice swoje, jak szyb górski kryje rubiny płonące. Ona tak słodko przemawia do niewolnic grona, dusza jój zali się cierpką boleścią; gdy łagodnie i lubo płyną z ust jój mowy, jój uczucie bucha iskier tysiącem. Daremnie widzi inne młodzieńcze postaci, daremnie,—na wieki jój serce przykute do sennego obrazu. Wszak w tych miejscach, kędy ona bawi, stało widziadło lube, co jój serce uniosło. W niém jedynie spoczęło ukojenie jój duszy, w niém utopiła wszystkie pragnienia serca; a gdy to serce przemówi uczuciem, toć do drogiego przemawia widziadła!«

»Do nocy, do téj oblubienców przyjaciółki, do nocy, co stróżą tajemnic kochanków, zwracały się najdroższe jój duszy tęsknoty. Bo gdy dzień podnosił opo-  
nę rzeczywistego świata, już noc spuszczała zasłonę na niebiańskie zjawienia. I nadeszła noc!—Sulejka podobna arfie, zgięta w sobie, oparta o cierpień mury, zamiast w struny, nawiązana w strugi łez, co, do dźwięku duszy nastrojone, brzmiały zalem serce przenikając,

i wygrywały całą gamę tonów boleści tęsknej. Obraz kochanka unosi się przed duszą jęj, perłami wysypują się z ust boleści słowa, perłami ciekną łzy z oczu cudnych. »Powiedz, o powiedz, któreż głębie górskie zrodziły cię o klejnocie drogi mój! Dla ciebie to, dla ciebie oczy moje perełki leją; ty wziąłeś mi serce a nie wyrzekłeś nawet twojego imienia, ani kędy twój dom. Któż mi powie imie twoje, któż mi wskaże ojczyzny twojej ślady! Jeżeli królem jesteś, powiedz, jakże zowią stolicę twoją. Jeżeliś promieniem księżyca, powiedz, kędyż twoich wdzięków tron! O! niechaj nie cierpi nikt, com przecierpiała biedna! Serce straciłam, i straciłam kochanka serca mego. Widziałam obraz twój, on mi zabrał sen, wycisnął z serca krew, i krew z oczu wycisnął! Jam bezsenna, uczucia moje zostały w pożarach gorejącej miłości. Ja byłam różyczką na kwiecistej młodości niwie, byłam świeżą, cichą, jak strumień błęgiego żywota; nigdy mnie nie zawiął wichur srogich, ani ciernie nie zraniły stopki mej. Ty jednem spójrzaniem oddałeś mnie burzom, a cierniami boleści usłałeś łożę moje! a przecież ja tkliwsza jestem na ciernie, niż róża listek!«

»Tak wzdycha nieboże aż do świtu zarania, i oskarża wizerunek kochanka fantazyą zrodzony. I uleciała noc.«

Tym trybem cudna ta powieść roztacza się w swoim uroku; poeta opisuje teraz, jako niewolnice spostrzegając odmianę w Sulejce, radzą a radzą między sobą: jedna mówi, że to oczynienie; druga, że ją urzekł Diw (niby jeden z czeladzi wrogięgo Arymana), trze-

cia, że zapewne czarnoksiężnik jaki umatnił ją w sidła; czwarta zgaduje, że to miłości brzemie. Mamka Sulejki, trapiąc się zbiednieniem drogiej dziewicy, nalega na nią i zaklina, by jej prawdę wyznała. Sulejka wtedy opowiada jej sen swój. Mamka potajemnie udaje się do ojca; ten zdziwiony jej słowami, nie wiedząc jednak jak temu radzić, rzecz całą zdaje na Bożą wolę. I drugi raz zjawia się jej we śnie Jussuf. Wtedy miłość gwałtowna tak wstrząsa jej duszą, że Sulejka oddana okropności obłąkania. Ojciec zwołuje radę, a uchwała, aby nałożyć biednej miłośnicy kajdany — kajdany złote wysadzone rubinami, perłami i t. d. Jussuf zjawia się po raz trzeci, lecz teraz już widziadło czarowne, poruszone rzewnym, tkliwym błaganiem, oświadcza że mieszka w Egipcie, gdzie piastuje godność Wielkiego Wezyra. Sulejka wyzdrowia, zdejmują z niej kajdanki złote.

Nie zadługo rzeczywiście przybywają posłowie z Egiptu, prosząc o rękę królowy dla egipskiego wezyra. Z rozkoszą w sercu wybiera się Sulejka do narzeczonego. Przepyszny wjazd jej do Egiptu. Ale jakąż jej boleść i rozpacz, gdy, wiedziona tęsknotą miłosną, przez szparę namiotu obaczyła wezyra. To szpetny Putyfar! to nie obraz czarujących wdzięków we śnie trzykrotnie widziany!

Tymczasem Jussuf, od braci zaprzędany, przybywa do Egiptu; puszczonej na sprzedaż publiczną, kupiony od Sulejki. Przecież jej wdzięki nie poruszają serca jego. Oskarża go przed małżonkiem. Lecz niemowle przemawia, zaświadczając niewinność młodzieńca. Stąd plotki i bajki po mieście. Panie, znajome Sulejki, wię-

ły jęj sławę na złe języki, stąd złośliwe komeraże, docinki i dowcipy. Sulejka pragnie ukarać obmównice. Zaprasza więc te panie do siebie na ucztę pełną przepychu. Po obiedzie dano wety. Sulejka zaś każdą z dam uraczyła pomarańczą; bo jęj barwa ciemnożółta jest lekiem na zazdrościwą niechęć. Potém Sulejka tak przemówiła do dam: »O wy panie, wdzięków pełne! Wy, co jesteście najwyższej piękności wieńcem! dla czego zaprawiacie goryczą usta moje, za to zem ujęta gorącą miłością ku słudze mojemu! Gdyby on spójrzanie wasze zapełnił światłością uroków swoich, zaiste wina moja byłaby mi przebaczona!«

Panie wszystkie proszą i nalegają, by im przecież ukazała Jussufa, zapewniając, że go już kochają, choć go jeszcze nigdy nie widziały. Sulejka wyprawia po niego niankę. Ale Jussuf głuchy na prośbę. Wtedy Sulejka śpieszy sama do niego, błaga i błaga rzewnymi łzami i zaklina rzewnie, by nie rzucił na nią hańby i sromu ostatniego w obec wszystkich niewiast całego Memphis. Nakoniec Jussuf, litością poruszony, zezwala by go ustroiła w szaty przepyszne, co wzmogły jeszcze uroki jego i wzniosły je do piękności, »dla której już niema wyrazu.«

»Z ukrycia występuje piękności najwyższy skarb, rozkwitniony we wdzięki jako pole róż kwitnących. Gdy niewiasty ujrzały to pole róż kwitnących, już każda z nich uszczknęła spójrzania różę, a to spójrzanie zabrało szczęście jęj żywota; każdej wypadła z ręki uzda krępująca wolą. Wszystkie, uchwycone podziwem tych uroków, oniemiały i skrzepły mrozem, jak gdyby już umarły!«

Panie, w tém osłupieniu i zapomnieniu siebie, za-

miast rozkroić pomarańcze, kaleczą sobie pałuszki. Teraz wszystkie ujmują się za Sulejka, radzą by Jussufa skruszyła więzieniem. Zaledwie to uczyniła, gdy ciężki żal przejmując jój duszę. To posyła do niego niankę swoją, to sama wychodzi na wzniosły szczyt swojego pałacu, by choć ujrzyć dach więzienia Jussufa—Wyratowanie jego z karni—Putyfar umiera — Sulejka buduje dom za miastem obok drogi, którą codziennie przebywa Jussuf, i rozkosz jój gdy słyszy choć tętęt konia jego.—Ale Jussuf ciągle nieczuły—Wtedy Sulejka odstępuje pogaństwa i nawraca się do wiary prawdziwego Boga, tak staje przed Jussufem, on przyjmuje ją tklawie; za pośrednictwem prośby jego Pan wraca jój pierwszą młodość i dawne wdzięki. Nakoniec z bożego rozkazania Jussuf pojmuje ją za małżonkę—zobopólne szczęście;—Jussuf umiera — z żalu po nim umiera i Sulejka—Uwagi moralne poety,— koniec.

Otóż jest treść jednej z tych nowszych powieści perskich, które nas od czasu do czasu dochodzą, jakby woń z wieńca wschodniej poezji.

Ta fantazja perska jest córą arabskiej; ona też ognista, o krwi płomienniej, lecz o sercu lekkim, radośnym; znać, że ona nie wyrosła na pustyni dzikiej, głuchej, że ją wychował dwór, niby dziecię lube, pieszczone. Jój upłynęło życie wśród różanych ogrodów, wśród pałaców, najświetniejszych przepychów Szacha, kędy rycerskość i wdzięk niewieści są przystrojem najwyższym. Nie dziw tedy, że ta fantazja, co tak z natury gorąca, namiętna, przecież umie miarkować gwałtowność swoich uczuć i nie ubliży nigdy dobremu wychowaniu i wytwornemu smakowi; a mimo tego nie jest wymuska-

na, czezą formą, ale pełną świeżości i życia. Com tedy powyżej rzekł o arabskiej fantazyi, znajdziesz i pierwiastkiem w Persyi; ale ten pierwiastek przybiera się tu w kształty nowe niesłychanego uroku i rozwija się we formy poetyczne, różnobarwne. Poezya perska jest teraz jakby ogrodem cudownym, w którym duch roz-  
tula się różnobarwnym, czarownym kwiatem i w krzewy wonne, w których brzmią chórem pieśni słowicze. Ogród takowy raz tylko zjawił się wieczną wiosną w dziejach świata, bo w Persyi.

Przecież już najcudowniejszego władztwa dostąpiła poezya, gdy szlachetna postać Mahmuda zasiadła na stolicy Persyi. Po kraju; między ludem płatała się jeszcze tłuszcza zabobonów i guseł pogańskich, gdzie nigdzie nawet strasznyło jeszcze widmo częściej bezwiar-  
ny. Mahmud znał potęgę drzemiące w głębi duszy swojego narodu, znał jego tajemnicze tchy; więc czarno-  
księstwem poezyi pragnął rozpłoszyć upiory pogańszczy-  
zny, i wskresić one moce śpiące w piersiach ludu. W rychle przeto królewski gród otacza się zastępem czterystu wieszczów; oni pieśnią mają zdobyć serce człowieka i zawładnąć duchami. Wiara otula się w złoto-tkany poezyi płaszcz, wieńczy się różami i zaśpiewa-  
ła ludowi cześć Bożą i chwałę Proroka. A gdy tak zeszyły mgły ciemne z duszy, gdy serca zapłonęły wia-  
rą koranu; Szach tej samej wszechmocnej potęgi chciał użyć, by te serca zapukały jeszcze uczuciem perskiej ziemi i miłością do perskiej sławy.

Od pradziadowych stóleciów lud przechowywał księ-  
gę starą w tysiącnych odpisach. Była to zbutwiała kronika— Bastanname; w niej od porannych dziejów

przechowane były wieści mglistych starych lat i święte podania o bohaterach wielkiej przeszłości zmarłych; w niej złożony był cały żywot Persyi, niby zasuszony kwiat. Mahmud, zagrzany chęcią wskrzeszenia z grobu staréj historyi, zamierzył przetopić ją w poezyą, a wszystkie koleje Persyi, jéj wielkie czyny i wielkie imiona rozwinąć przed ludem, jakoby obrazem, w jednéj ogromnéj epopei,—w Szachnamie. Wybiera tedy siedmiu ze swoich wieszczów, każdemu wyznacza jakiś ustęp z onéj kroniki; pragnął bowiem doświadczyć ich geniuszu, zanimby któremu z nich powierzył dzieło całe.

Nadszedł oznaczony dzień. Jeden ze siedmiu wieszczów, Ansari, czyta pracę swoją; pieśń zachwyca potęgą fantazyi, wdziękiem niewysłowionym harmonii. Pieśń ta to grzmi niby gromów łomot, to znów z cicha kwili i płacze, albo też świeci cudownéj piękności obrazem. Szach zachwycony mianuje wielkiego poetę księciem wieszczów, oddaje mu berło duchowe, by panował w państwie duchowém, otacza go dworem pełnym świetnego przepychu, czyni wielkim kapłanem poezyi i najwyższym sędzią w piękności krainie. Nie jest to dziwne, jedyne zjawisko w dziejach ludzkich, to dostojęństwo wieszczów! Jakoż utrzymuje się ono i w późnych pokoleniach; obok Szacha, panującego nad wolą ku ziemi zwróconą, władnie poeta-król nad myślą i uczuciem, które z wiekuistości ród swój wiodą i do niej tęsknią.

Wieszcz-zwycięzca Ansari, choć otoczony chwałą i najwyższym zaszczytem odziany, daremnie się broni smętkom i żalom, co mu na duszę padły. Czyliż on podejmie się dokonania olbrzymiego dzieła? czyliż ule-

gnie pragnieniu przeistoczenia całych dziejów perskich na epopeję, a tak może na szanie wystawi sławę promienną, już tak szczęśliwie zdobytą. I lekliwo mu i trwożno na duszy, i tonie w zadumaniu, myśląc, któremuby z wieszczów miał oddać lutnię złotą. I duma i marzy, a z ciężkiem brzmieniem na sercu pewnego wieczora usiadł z dwóma poetami, przyjaciółmi swoimi, wśród cieniów wdzięcznego ogrodu. W koło ptaszki stroją zalecanki różom, i kwiaty tęskne patrzają się miłością ku sobie, i brzmia po krzewach ciemnych pieśni, i szmerzą wieczorne powiewy i prawią strumieniom gadki swoje, i dech kochania i poczui powodzią zalewa świat, a co żywo cieszy się życiem lubem. Wtedy grono troiste poetów spostrzeża młodego wieśniaka, który butnym krokiem ku nim się zbliża. Ansari, zwracając się ku niemu z uśmiechem, rzecze: Braciszku mój! do wieszczów jedynie wieszczom wolny wstęp!—I ja poeta jestem, zawołał gość. Wtedy Ansari wprost z natchnienia zaczyna pieśń wierszem, jeden z przyjaciół jego dodaje wiersz następny, a drugi z poetów tworzy wiersz trzeci; lecz wtedy, jak błyskawiczną improwizacją, wpada nieznajomy, i z ust jego wylewa się ciąg dalszy rozpoczętej pieśni. I jak czarem uderzył w dusze słuchaczy oniemiałych, bo i wiersz przedziwnej harmonii, i treść jego wyjawia głęboką znajomość ojczystych dziejów. Tym wieśniakiem - poetą jest ów *Ferdusi*, najcudniejsza gwiazda na niebie perskiej poezji. On był synem ogrodnika w mieście Tus, który służył u zamożnego człowieka; tak sama młodość jego wypastowana była w ogrodach, wśród kwiatów.

Wnet młody poeta deklamuje przed Sultanem uło-



mek z dziejów perskich. Sułtan słucha i milczy i znów słucha; te wiersze zdały się być wołaniem z nadludzkich światów. Taka była ich moc czarodziejska i urok oczyniający, że Sułtan w końcu, podziwieniem i rozkoszą natchniony, rozkazuje płacić za wiersz każdy pieniądz złoty i poleca Ferdusemu napisanie całej epopei Szachname.

Byłoby co prawić, gdybym ci zechciał roztoczyć koleje, które przeżył Ferdusi w życiu; słowem, było to życie poety. Tu owieńczony chwałą mieszkał w złocistych pałacach, piastowany będąc od szczęścia, to na wygnaniu błąka się o głodzie, ścigany wrogą nienawiścią.

Przytoczę tylko ostatni akt téj rzewnej i pełnej smętku komedyi. Ferdusi, po wielu biedach, żyje przecież cicho, skromnie, ale w pokoju, w mieście Tus, kędy niegdyś kolebka jego stała, a żył ze swoim zgrzybiałym nauczycielem Essedi. Nie długo przed śmiercią rzekł do starego przyjaciela swojego: «Nie mnie już tak nie trapi i nie ciąży na duszy, jak myśl, żem nie zdołał ukończyć Szachnamy, brakuje tylko jeszcze czterech tysięcy wierszy, ale ich nikt nie dorobi w duchu moim i w myśli całości!»

ESSEDI. Uspokój się, podejmę się ukończenia dzieła, byle mi żywot starczył.

FERDUSI. Choć żywota może nie zabraknie, aleć sił ci nie stanie.

ESSEDI. Ukończę, jeżeli się to zgodzi z wolą Bożą!

I poszedł Essedi i nie było go widać przez dobę całą; poczem przyszedł. — Dokonałem dzieła! zawoła, i doprawdy w dwudziestu czterech godzinach napisał 4000 wierszy precudnych. Ferdusi umarł spokojnie.

Tymczasem Sułtan wypuścił już od dawnych lat z pamięci osiwiatego wieszca. Raz atoli w przytrudnej sprawie zapytał Wezyra o radę. Wezyr odpowiada wyimkiem stosownym ze Szachnamy. Sułtan pyta o wieszca. Wezyr wymownie i z ciepła za nim przemówił, dodając że Ferdusi żyje starcem samotnym w Tus. Wtedy Sułtan rozkazuje obładować dwunastu koni indygiem, perłami i klejnotami, i posyła je w darze opuszczonemu poecie. Karawana, wchodząc do bramy miasta Tus, spotyka orszak pogrzebowy, niosący ciało wieszca. (r. 1030).

Siostra jego odmówiła przyjęcia przysłanych skarbów.

Zaiste, ten blady obrazek z życia poety jest prawdziwym przyczynkiem charakterystycznym do dziejów fantazyi na Wschodzie. Zda się, że w tej Persyi same powiewy roznoszą nasiona poezyi; że rosa, że słońca spojrzenie, że ptaszków szczebioty wywołują pieśni. Tutaj ziemia i niebo, wody i lądy grają i nucą, a epeja olbrzymia, wspaniała, ogarniająca życie całego narodu i szereg długich wieków, rodzi się w chwili jak żarcik poetyczny, lekki niby motylek lub sen poranny.

Widziałeś, jak się poemat Szachnamy zawiązał, jak wyrósł w pieśń niepodobną już do żadnej innej na świecie; w niej wszystko, com tylko rzekł powyżej o fantazyi Wschodu, znalazło wcielenie swoje. Powiedziałbym, że może mimo wiedzy, mimo woli samego wieszca ten dech panteizmu technie niewidomie w tym dziwnym, fantastycznym świecie tego poematu. Szachname nie objęła sobą ani szczegółowego historycznego zdarzenia

ani też nie ma za ognisko jednej figury głównej, ale sięga zrodzeń pierwszego człowieka i ogarnia całe eposki dziejowe i lat tysiące; a choć tu wypływają najaw figury heroiczne jak np. Rustana i Alexandra Macedońskiego, choć Sułtan zdaje się być ogniskiem Persyi i i pieśni samój, to przecież prawdziwym bohaterem i tłem jest tutaj potęga dziejów, co choć niewidoma, niespostrzeżona, włada ludzką historją, ale włada nią jako abstrakcyja bezosobowa, niby idea bezświadoma siebie, a nawet złamana w sobie na dwa pierwiastki: jednym z nich jest światłość, moc wyrażająca się Persyą, Iranem; drugim ciemność, to jest ludy wrogie Turanu; jest to jakby odgłos daleki owój walki Ormuzda i Arymana— światła i ciemności.

I tutaj moc wyobraźni zapustnej wzywa na rozkazy swoje gryfy i węże skrzydlate, ptaki cudowne, smoki i czarodzieje, twierdze i grody z miedzi kute; tutaj tłumem cisną się przez scenę postaci mieniające się, co błysną, zaświecą nadprzyrodzoną potęgą i znowu ulatniają się bez śladu, jakby pochłonięte w dziejowych bezdeniach. I nawzajem, właśnie znów dla tego, że te figury i bohaterzy mają tylko przelotne znaczenie, że nie mają ogólnych prawd w sobie, coby je podtrzymywały, któreby je wiązały, więc też one na sobie wyłącznie się opierają, oddając się osobistemu natchnieniu. Stąd te figury tak samowolne, butne, tak zuchwałe, rycerskie, śmiałe; słowem, zradza się postać romantyczna a fantastyczna perskiego Pelwana. Pelwan toć prawie awanturniczy europejski rycerz średnich wieków; i jego najwyższym skarbem rumak i broń dzielna, lśniaca; jego żywiołem łowy i bitwy, igry rycerskie i pieśni. Nie-

dostaje mu atoli wiary chrześcijańskiej i brakuje mu jeszcze drugiego potężnego pierwiastku, który tak wszechwładnie odzywa się w rycerzu chrześcijańskim, nie dostaje mu bowiem miłości, bo ta nie zdradza się nigdy bez czci dla niewiast. Obaczmy, jak już rzekłem, później różnice między światem romantycznym średnich chrześcijańskich wieków, a romantycznością ludów muzułmańskich.

Jak figury atoli pojedyncze, jak natura cała nie uznaje w Szachname prawideł, tak też i wypadki płynące po sobie, jakby senne fantasmagorye, nie łączą się z sobą w organizm ściśły. Nad temi dziejami nie czuwa opatrność! Jeszcze w pierwszej swojej części Szachname, wyśpiewując mity i mgliste podania, jednoczy je choć z lekka tchem geniuszu; ale gdy zapuści się następnie w czasy historyczne, gdy Iskander (Alexander Macedoński) zjawia się na scenie, już mimo magii poetycznej barwiącej, złocącej dziejowe wypadki, obrazy coraz luźniejsze wypadają z za kulis fantazyi. Epopeja płynie ciągle wspaniałym nurtem geniuszu, lecz podobna do nabrzmiałej dzikiemi wodami rzeki, zalewa powodzią w koło świat i unosi bez ładu i szyku łupy, co znajdzie na wywrotnej swojej drodze. Tu wszystko się ciśnie dzikim pędem; uderzają o siebie wypadki, jedne z nich przepadają w toni, drugie puszczają się falą w dal, aż nakoniec wszystko znika — i Epopeja dobiegła ujścia swojego!

Znać przeto, że i sama ta Epopeja nie stanęła na gruncie prawd ogólnych, estetycznych. Słusznie może czynią ci, którzy porównali Ferdusego z Homerem; lecz pamiętajmy, że on jest Homerem, ale dla Persów tylko.

Nie spodziewaj się w Szachname mistrzowskiego zestrojenia szczegółowych części w jedną całość niby w posąg cudny, jak to widzisz w każdej z osobna pieśni greckiego wieszca, którego natchnienie poetyckie było też najwyższą mądrością, tworzącą od razu jakby gromem plau, na którym osnuł każdą z nieśmiertelnych pieśni swoich, niby całość dla siebie istniejącą.

Zważ, to panteistyczne tło, które dopiero nieśmiało przegląda po przez obrazy Szachname, występuje już niezadługo później wprost w postaci samodzielnej i wyjawia się nawet w postaci dwoistej, a wręcz sobie odwrótniej. (\*).

Dawno już powiedzieli estetycy, że śpiewacy perscy rozdzielili się jakby na dwa chóry, mające wręcz sprzeczne sobie dążności, tchnące nawet niechęcią ku sobie, a przecież ich poezye mają wspólne panteistyczne źródło. Z jednej strony stoją wieszce, oddający się całą duszą tutecznym rozkoszom; oni pływają po morzu ziemskich radości, nuca i kochają się, bawią się i śpiewają miłość i wino, i róże i wszelkie światowe wesele. Z drugiej strony słyhać chór mistyków, owe głębokie tony i poważne, onych uroczystych Sufi, co ująwszy Iślamiizm

---

(\*) Odsyłam czytelnika do wyjątków Szachnamy, tłómaczonych przez P. Lucyana Siemieńskiego, tak świetnym talentem, a umieszczonych w Bibl. Warsz. w Zeszytach Wrześniowym r. 1853 i następnych. Zdaje mi się, że nie można dość podziękować p. Siemieńskiemu, że nam podał choć w ulomkach ten cudowny poemat, a oddał w tak mistrzowskim tłómaczeniu, jak gdyby było pisane pierwotnie po polsku. P. S. niema atoli powodu uniewiniania się iż nie znając pieśni woryginalnym języku zabrał się do tłómaczenia tego, bo nam nie chodzi bynajmniej o dosłówny przekład pieśni, ale o uchwycenie ducha całości, a nadto długoby wypadło czekać zanimby się znalazł orientalista, będący zarazem poetą równym p. Siemieńskiemu.

w najgłębszym znaczeniu swoim, wynieśli z topieli jego miłość dla nieskończoności, pragnienie wrzące, kipiące zlania własnej istoty z bożą istotą w jedność nierozdziel-  
ną; co tuteczne, co ziemskie, nie ma dla nich wagi i znaczenia, bo w nich prze i woła owa miłość nieogarniona, a nie daje im spoczynku i folgi w życiu. Mnieby się zaś zdawało, że te dwa chóry rzeczywiście śpiewają jedną i tę samą pieśń, choć ją śpiewają z innego tonu! Bo powiedz, czyliż oba te grona mistrzów nie są zwiastunami jednej i tej samej myśli? Oba pragną zapomnienia siebie, utopienia swojej jaźni; jedni atoli nurzą ją w powodzi szczęśliwości doczesnej, w bezkłopotnej, bezchmurnej wesołości ziemskiej, drudzy zaś pograżają ją w otchłaniach wiekuistej bezdeni, w której, jakby w oceanie głuchym, jaźń rozpływa kochaniem rzewnym, rozpływa kropelką, bańką znikomą. Gdy tamci w urokach niewiasty, w kochaniu się, w puharze wina znajdują błogie zapomnienie troski i żywota, i rozpływanie własnej istoty, przeciwnie u wieszczów mistycyzmu, kochanką, w której znajdują siebie, jest abstrakcja wiekuista, a winem jest odurzenie ducha, opojenie się ducha stworzonego na myśl jedności swojej ze wszech-  
istnieniem.

Przecież zważ, że i mistycyzm, choć tak rzewny i zamętny, nie jest przecież ponurym, jest on radością zachwytną, weselem serca, godzący się z sobą i z istnieniem wszech rzeczy, wyśpiewując sercem lekkim tęsknoty swoje. Tu nie ma tych tonów smętnych, grobowych, które tak mrozą i straszą w Indyach; tu panuje jakieś ohoce, wesołe oddanie się przeznaczeniu i pogodzenie się z losami.

Mimo tego, zwykle estetycy i badacze literatury, choć uznają fakta, nie uznają spólnego tła obu tych dążeń; mniemam atoli, że kilka przykładów usprawiedliwi i wyjaśni do syta powyższe rozumowanie.

Chciej tylko jeszcze zważyć, że ten mistycyzm ma różne stopnie swoje, i że, rozwijając się stopniowo coraz silniej, na szczycie swoim staje się dopiero mistycyzmem panteistycznym. Przykłady, które ci teraz przytoczę, będą uzupełnieniem tych pieśni, które położyłem ci na początku listu tego.

Słuchaj, co śpiewa Hafis, naczelnik Samtego, pierwszego orszaku wieszczów.

«Płyną z nieba słodkie wonie, tulą duszę lube rajskie tchy! Gdy w jaśni górnej tonę okiem, ekliwo mi na świecie tym! Duszo moja! roztocz skrzydła twoje. Uleć, uleć na rajskie jasne szczyty! Biada, biada ci! W koło ciebie kraty, w koło ziemskiego jęctwa szranki!

Ale nie—nie chcę skarżyć się, nie chcę żalić się. Nie chcę lecieć na rajskie jasne szczyty; niechcę, choćby pękły kraty, choćby padły ziemskie szranki!

Bo co piękne, co kochane, co drogie sercu, jedynie kwitnie na samej ziemi tej! Owe rajskie, jasne szczyty, zwierciadła tylko cienie blade ziemskich rozkoszy, i dla tego ci tak tęskno do jasnych niebios szczytów! Choć cię wabi próżnia głucha, choć cię ludzi bezden cicha, ona nęgodna i zmiętego listka róży!

Po grodzie nieskończonych światów gospodarzy myśl, nieznająca granic, nieznająca więzów myśl! Ona wysokości zawrótnie i przepaści bezdenne zwiedziła skrzydłem lotnym, a puszcza się na wyścigi z wichrami wszystkich burz.

Lecz biada jój! Harda myśl jękała niepokojem cierpień pełnym; ona walczy sama z sobą—ona chora! Biedna myśl! Ona czuje, że dla niej tak głuchy, tak próżny ten wielki świat! ona też nie zdoła znaleźć spoczynku! biedna myśl! A miłości tak lubo, tak miło w komnatce małej!»

Jednak podobno więcej, niż te wszystkie próbki, świadczy za naszym zdaniem co następuje:

Niechaj pierzchnie jaźń i siła jój,  
 Miłość włada — precz jaźni samolubna!  
 Ulatuj ze mnie, gdy błśnie miłości oko!  
 Najcudniejszą pięknością jest istota twoja, gdy rozplynie w uczuciu bez granic!  
 Jakże smętny, juk i ponury jest przepych jaźni hardy!  
 Niechaj się w popioły spali serce miłością ujęte!  
 Niechaj je wiatry rozwieją!  
 Zwiastując w obec świata, jak wielką jest miłości potęgą!

Gdy na wstępie do ostatniego listu położyłem ci pieśń Altara należącego do drugiego grona wieszczów, zatem wystarczy, jeżeli uzupełnię ci rzecz krótkimi wyimkami z Czeladin Rumi, gdyż on najwyższym poetą mistycyzmu panteistycznego, co rozwiany jest od brzegów świętego Gangesu aż do Bosforu. Pieśni Czeladina nastrojone do dźwięku wszechświata, do tonu, którym gwiazdy obiegają słońce i grzmia mórz bałwany, a szepece owadek błyszczący w porze miłości swojej. Rozpiąwszy gorące loty fantazyi, wieszcz uderza niemi jakby akordem pełnym, unosi się do wysokości wiekuistych, a pędzi go a wiedzie przez nieskończoność burza uczuć i pożar gorącej duszy. Przecież i na wysokościach nadgwiez



czesności życie, kędy tylko wieszcz widzi nieskończoność bezdeni — pieśń jego pełna majestatu i dziwnego uroku.

Nie pytaj co miłość, co być kochanym, nie pytaj;  
Nie poznasz tajemnicy, gdy nie przemówi do ciebie miłość sama.

---

Gdy słońce błyśnie w ziemskie ciemnice,  
Powiedz — czém kagańca płomyk biedny ?  
Gdy w obec ciebie stanie przyjaciel Bóg, coś go kochał sercem  
rzewném,  
Powiedz, na co tobie posłańca od niego !

---

O duszo moja zamieszkuj w duszy Bożej,  
Duszo moja, czyliż bez ojcowizny nie tęskno, nie ckiwo ci ?

---

W nurtach trosk dopija się miłość szczęśliwości wina !

---

Znasz ty powód świata stworzenia ?  
Z miłości pojawił się w nicestwie Bóg !

---

Gdy dusza cofnie się z duszy ;  
Dusza będzie martwą jak bez duszy ciało !

---

Tajemnie tysiące pojawiają się w duchu,  
Których nie dowidzi oko, nie dosłyszysz ucho.

---

Był gęslarz wiekiem znękanym, troską zbiedzony.  
Nie stało zarobku — chleba zabrakło biednemu. I wziął  
lutnię, a sercem modlitwą wezbraném westchnął. Szedł  
i szedł na cichy, święty cmentarz Medyny. Przemówił  
ze łzami : «Tu usłyszysz moje granie Bóg ! Ałłach ! nie-  
chaj ci będzie dźwięczne moje brzdąkanie biedne !» Dłu-  
go, długo brzmią struny jego — on płacze — pada na

lutnią — i, zasnął; boleść przyniosła mu sen. W tej chwili zapomniał, że go jeszcze więzi ziemskie jęctwo. Wyzwodził na wolność grajka sen — wyzwodził na wolność śpiewaka, wyzwodził i lutnią jego.

Wyzwolony był od ciała, wyzwolony od pełnego boleści świata! W duchów krainie wyrosły skrzydła duszy jego. Więc z radością zaśpiewał: «O! na tych niwach rozkoszy, pozwólcie bym został, o przyjaciele moi! bym pozostał na wieki—na wieki! Jakże byłbym szczęśliw na tym nieskończonej wiosny świecie, upojony weselem, na róż i tulipanów łonie! Wędrowcem byłbym bez stóp, bez skrzydeł; tu bez ust spełniałbym najwyższych uciech kielich! z myślą wolną od trosk, z sercem wolnym od mąk bawiłbym się z niebian jasnym gronem. Okiem zamkniętym widziałbym światy! Bez rąk zbierałbym róż i tulipanów zwoje, jako wodny ptak nurzyłbym się w słodyczy morzu; w zdroju Hiobowym spółkałbym duszy skazy!

### TANIEC DERWISZÓW.

(*Tamburyny bębnią.*)

Ja bóstwa ptak! — *Bakrabaku!* (tamburyny).

Odurzony jedności winem! — *Bakrabaku,*

Ja drogą zbawienia i modlitwą i psalterzem, *Bakrabaku!*

Ja tajemnic głębie znam, *Bakrabaku!*

Ja jestem wiekiustym losem, i upojonym słowikiem — bębnię  
*Bakrabaku!*

Choć od ludzi zrodzony, od wieków treścią modłów jestem, *Ba-  
krabaku!*

Ja jestem chorobą i lekiem!

Ja jestem wszechświatów zdrojem! ja mędrce na drodze i sza-  
leństw wątkiem, *Bakrabaku!*

Ja proszkciem w słońcu jestem! *Bakrabaku!*

Ja nie jestem mną, ja we własném ciele nie jestem mną, *Bakrabaku!*

Ja jestem Szachem i żebrakiem, księżycem i niebem, ja środkiem i celem, *Bakrabaku!*

Ja jestem płomieniem i lampą, jestem i kołującym niebem, światłem i blyskiem; ja i porankiem i wieczorem jestem, *Bakrabaku!*

Ja słońcem wiary, ja jestem pewnością zaprawdę! Jam niewiarą i wiarą, a bębnię, *Bakrabaku!*

Dość tych przykładów — Mniemam, że nikt téj poezyi mistycznój nie odmówi ogromnój, przepaściśtéj głębi, a formy cudownój. O ile zaś treść jój ma w sobie śmiertelny zaród błędu, toć z lekka już wykazałem na inném miejscu, mówiąc o panteizmie mistycznym islamiczkiego Wschodu, którego właśnie ta poezya jest wykwitem najwyższym. Jakoż gdyśmy rozprawiali o poezyi arabskiej, widzieliśmy, że ta fantazyja islamicznych ludów, rodząc się z wyłącznój, osobistój treści człowieka, lekce sobie waży prawa obowiązujące świat zewnętrzny i prawdy opierające się na samój istocie przedmiotów, i dla tego nigdy nie była zdolną do stworzenia dramatu. Dramatu nie miała poezya arabska, i perska także mieć go nie mogła, bo ta, choć rozwinięta we formy tak różne a czarodziejskiej piękności, wybujała przecież tak silnie panteizmem, który właśnie wszelką osobowość ulatnia, który wszystko zlewa w jedność nieskończoną, a tém samem jest wręcz przeciwny figurom dramatycznym, opartym na sobie i na własnój treści wewnętrznej, osobowój.

Z téjże przyczyny znać, że i malarstwo i rzeźba nie mogły być sztuką odpowiednią téj fantazyji mahometańskich ludów. Widząc obraz malowany, islamista odwra-

ca się od niego ze wstrętem, wyrzucając malarzowi, że uczynił ciało nie mogąc mu nadać życia!

Inaczéj z architekturą. Tutaj nie występuje już osobowość na sobie oparta, tutaj najcichsze duszy dźwięki i głosy grzmiące we wnętrzu człowieka występują na zewnątrz tężejąc w budowaniu, szepcąc linią lekką, misterną, swawoląc arabeskiem, uderzając potęgą swoich kolumn i wznosząc się łukiem śmiałym, misternym. W architekturze też islamici, a mianowicie Arabowie wyrobili sobie styl osobny, właściwy.

Rozumiem teraz, że pojmowanie nasze fantazy mahometkańskich ludów dostatecznie się już wyjaśniło przykładami z poezyi Persów i Arabów; dla tego poezją Turecką pominąć mogę, a to tém więcéj, że ona jest ich córą a naśladownicą wdzięczną; trudno mi atoli opuścić świat fantazyi islamićkiej, by choć okiem nie rzucić na tę jego architekturę tak fantastyczną, butną, igrającą tak swawolnie, a przecieź tak lubo i wdzięcznie.

Wiesz już, jak w duchu Mahometanina dwa światy wręcz sobie przeciwne, dwie sprzeczności odwrotne, graniczą z sobą, nie przejmując się atoli nigdy organiczném życiem; tutaj proza rozsądkowa myśli, liczy i mierzy obok tanów szaleń opojonej fantazyi; tu zrzenie się mistyków, tęskniące do światów nadgwiazdnych, obok wesołości hulającej z lekkim sercem po ogrodach ziemskiej rozkoszy; tutaj gnusność leniwa, tonąca w beczynnych marzeniach obok gwałtownych mocy, co porywają wojownika w dal nieznaną na podbój świata. Tutaj, mimo ścisłych przepisów wiary, dusza człowieka z całym tłumem swoich uczuć, żądz, pragnień i marzeń znajduje nieskończone dla siebie pole; tutaj Ko-

ran sięga po tradycje do Pisma Świętego, a to podanie, tak prostoty pełne, tak poważne, ubiera w błyszczące szaty rozpalonej fantazyi; tu wiesz Ferdusi kronikę, historią swojego ludu i macedońskich bohaterów oświeca płomieniem bengalskim swojej poezyi, a tak puszcza je niby widziadła fantastyczne latarni magicznej przed zdumione oczy czytelnika. Podobna też jest cecha mahometańskiej architektury. A widzimy tę cechę nawet w meczetach, więc w architekturze religijnej, a przeto w tym rodzaju budownictwa, który, będąc najwyższym ze wszystkich, jest właśnie najdzielniejszym środkiem do rozwoju właściwego stylu w każdym narodzie. Wszak i tutaj duch islamizmu nie mógł się wyrzec swojej istoty bujnej, lśniacej czarodziejstwem. I tutaj znajdujemy te dwie sprzeczności, te dwie ostateczności, które, jakby niewidoma nić, przechodzą przez żywot mahometańskich ludów. Pierwiastkiem prozaicznym, rozsądkowym są w budowaniu meczetu różne jego części przeznaczone do różnych obrządków religijnych; te części objęte też są wyraźnymi prawidłami. Podobnie atoli jak obowiązki przepisane przez Koran, owe modlitwy, posty i jałmużny, nie tamują swobody nieskończonej, która podżega płomienne namiętności wyznawców jego, tak też owe zimne przepisy i prawidła do budowania meczetów są jedynie ogniskiem prozaicznym, około którego puszcza się lekkoducha, wolnoskrzydła fantazyja, stwarzając bajeczne, czarnoksiężkie budowania swoje. I zważ, te przepisy tém mniej tamują polot zuchwałej, twórczej wyobraźni, że lubo one oznaczają części meczetu, nie podają jednak prawideł, wedle których te części winny być obok siebie umieszczone. Stąd też kształt

tych bożnic to przypomina stare bazyliki chrześcijańskie, to znów zakrawa na bizantyńskie budowanie, to wręście mieni się w inne formy; i dla tego też właśnie mahometanizm, podbiwszy świat z taką łatwością, przyswoił sobie świątynie ludów zupełnie różnej wiary (\*), i dla tego także właśnie w meczetach, z umysłu stawianych, daremniebyś nawet śledził środka, ogniska architektonicznego, do którego by się odnosiły wszystkie te części budynku, któreby imać i zbierać je wszystkie w jedność i całość; tego silnego wskrós przenikającego ogniska nie ma meczet, jak go nie ma wiara Mahometa, jak go nie ma Szachname. Tutaj kopuły, nawy, nisze, dziedzińce, wodotryski, kolumny, arkady, przysionki zbiegły się z sobą bez koniecznego związku. Przechadzając się po meczecie nie spostrzegłbyś braku, gdyby zniecka jedną z tych części unióś czarodziej, który je postawił. A gdy właśnie fantazyja architektoniczna nie czuje tu prawideł wiążących, przeto cała wylewa się powodzią ornamentów, ona cała staje się dekoracją. Ta architektura jest strojnicą wykwiutną, pełną ozdób, krygów i floszków zalotnych, ale strojnicą wybornego smaku, graczy lekkiej, cudnej.

Jako atoli zadanie i przepisy nie krępują fantazyi, tej pięknej, ognistej i płochiej córy pustyni arabskiej, tak też nie ściskają jej względy na statykę i prawidła mechaniki. Ciężkość, bezwładność materyi, jej nieużytość a uporne dążenie ku ziemi — to żarty, to fraszki dla tej fantazyi; i słusznie powiedziano, że onaby rada budo-

---

(\*) Porów, np. dzieła Ramée, Kunglera Historyą sztuki, mianowicie Schnaasego Historyą sztuki T. III, do str. 328.

wać się na obłokach, stawiać minarety swoje w powietrzu a z promieni słonecznych splatać sobie kopuły.

Gdy w architekturze starego Egiptu znać ciężkie brzemie granitów cisnące tak poważnie i uroczyście na podpory swoje; gdy w Grecyi, jak obaczymy później, ciężące masy a siły dźwigające najcudniejszą są nawzajem do siebie zastosowane i zestrojone pełną wdzięku harmoniją, a ten zestrój wyraża się jawnie we formach architektonicznych; w islamickim budowaniu na to właśnie sady się sztuka, aby ukryć, schować prawa materji, aby odjąć jęj ciężkość, brzemię, i tak omajaczyć widza czarodziejstwem. Słowem, jak bajeczka czaroksięzka, arabska, drwi sobie i żarciki stroi z praw ogólnych przyrody, tak architektura, jęj odpowiednia, drwi sobie ze wszelkich ustaw statyki i mechaniki. Gdy w staręj Grecyi wiele zależy na tém, aby części, członki architektoniczne, zrodzone samą już przez się potrzebą techniczną, wystąpiły wyraźnie na zewnątrz i stały się zarazem strojem i ozdobą budynku; islamicka fantazyja, jakby ją wstyd było słuchać prawideł technicznych, maskuje architektoniczne części i swawoli sobie z niemi, drażni się z techniką, udając, że ją sobie lekce waży. O przykłady nie trudno.

Przypatrz się łukowi maurytańskiemu, co wznosząc się w kształcie »podkowy« wyraźnie sobie drwi z ciężenia materji. Narysuj sobie koło, odetnij z niego małą część, co zostanie, niby ta większa część, jest maurytańskim łukiem. Widzisz jak tutaj oba końce łuku, spoczywające na podporach swoich, zamiast od razu, jak to zwykle bywa, dążyć do połączenia się u góry, wbrew temu naturalnemu prawu z początku wznos-

sząc się, oddalają się od siebie, rozchodzą się, a tak swawolą sobie i żartują z brzemienia, które dźwigają, a dopiero później, jakby sprężyna wygięta, strzelają ku sobie, zmienacka się imając i wiążąc. Te arabeski, to są figle genialne, których nazwa sama przypomina ich pochodzenie od téj fantazyi, co igra pracując, a pracuje igrając. Patrz, jak te linie biegną wstęgami, jak się łamią, rzucają, splatają z sobą, potem się nawzajem puszczać zdradzają figury geometryczne, jakby przez maga kreślone. Tu utworzyły wielokąt, odleciały od siebie, niby gniewając się na siebie; ale zalotnice znów się dopadły, i, obiegłszy gwiazdkę, znów od siebie uciekają; w tym zaś szale zamętym swoich tanów mają przecież tyle przytomności, że unikają kąta prostego i przekątnei, a w tym niby nieładzie swoim przypadkowym mają wyrachowanie misterne, więc też rysują wzorki niesłychanego wdzięku. Te linie swawolne, figlarne, strojące sztuczki i psotki, one iście są łamigłówką dla myśli, coby je chciała odgadnąć; i słusznie też twierdzą estetycy, że te arabeski czy to prostokreślne, czyli kolistą drogą bieżące, mogły się tylko zrodzić w dowcipie misternym, wywiczonym na algebrze, a subtelnój filozofii grecko-arabskiej. A dodaj do téj gry linij znowu kombinacye ich barwy, gdy zabłysną to purpurą, to błękitem, śnieżną bielą lub złotem, czy fioletem, a przyznasz, że tutaj na jaw wypływa ona dwoistość duchowa, jako obok brojącej, bezuzdnej, kapryśnej fantazyi, stanął rachunek matematyki, co różne myśli wiąże i kombinuje (\*).

---

(\*) Schnaase l. c. 331.



Rozumie się, im wyżej stanęło chwałą życie islamu, tém pełniej rozwinęła się ta cecha jego fantazyi w architekturze; tak odbywszy to budowanie jakby młodsze epoki swoje w Azji i Afryce, nakoniec roz tuliło się całym przepychem w Hiszpanii, a mianowicie w Grenadzie. Tutaj ta fantazyja dosięgła własnego szczytu swojego i jako czarnoksiężnica zbudowała Alhambrę, to złociste guiazdo swoje. Jak powieść z tysiąca nocy i jedna, świecą tutaj te pałace maurytańskich królów i zagrzewają serce sprozaiczniałej Europy, jakby śpiewką rusałek z dawnych lat. Wśród krzewów mirtowych i róż, wśród tchu cytrynowych i pomarańczowych drzew, wśród ziemskiego rajy natury stanęła Alhambra, jakby poezyi klejnot, a ciągle, ciągle żyje ta jój poezya w podaniach, w powieściach gminnych, co, jako kwiaty przeszłości, świecą i wonią niby mirtów krzewy, niby cytryn i laurów gaje; te podania pną się, jako stubarwny powój, po ścianach, po kolumnach, po stropach złocistych, i płyną, i mówią i szepcą, niby śpiewy ukrytej miłośnicy, cudnej, uroczej. Boć tutaj i życie było niegdyś poezją rozkoszną, tu brzmiały maurytańskich i chrześcijańskich rycerzy turnieje, w obec ogniookich piękności wschodnich; tu marzeniem rozpływała myśl rycerzy po wojennej chwale i czynach wielkich. Teraz wszystko ucichło; niekiedy tylko sły chać skrzydełko jaskółki, co pilnuje pałaców starych, jakby czekając dawnych gospodarzy, sły chać strugę srebrną wodotrysku, co szepce z cicha, tęsknie jak przed staremi laty. Przewodnik w sukniach żebraczych a z powagą granda pokazuje na posadzce ślady krwi; to krew wymordowanych Abenceragów, a było ich trzydziestu

sześciu, a wymordował ich Boabdil okrutnik, co i za-  
 zdrość srogą zwrócił przeciw Sultance o urokach cu-  
 downych; więc też pokazują ci tchnące rozkoszą miesz-  
 kanie niegdyś Zoraidy i prawią ci jako rycerze chrze-  
 ścijańscy walczyli na ostre, świadectwo dając o nie-  
 winności Sultanki; jak oszczercy krzywdę opłacili  
 krwią i życiem, jak ona sama rozpaczą zdjęta utopiła  
 pugiłał w piersiach śnieżnych (\*). I pięknie też i do  
 twarzy téj architektury w tym uroku powieści daw-  
 nych, co ją niby powiewy wieczorne, niby rumieńce  
 zachodu otulają w koło. Tonąc myślą w tym świecie  
 dziś umarłym, znajdziesz jakby komentarz do niego  
 w kształtach téj architektury. Tu biegną kolumny ja-  
 spisowe, cienkie, lekkie, eteryczne, niby kwiatu łądyga—  
 tu wyrosła jedna kolumna, tam łączy się z drugą, a  
 one podtrzymują ściany jakby dekoracya, jakby kobier-  
 ce haftowane w prześliczne wzory. Tam znów fanta-  
 styczne sklepienie łamie się we formy dziwne, a u skle-  
 pienia niby stalaktyty wieszają się sople dziwnie wy-  
 rabiane, rzeźbione; ondzie znów ściana na wylot dzier-  
 gana w koronkę, a przez koronkę z kamienia świeci ja-  
 sny nieba błękit. Zewsząd grają z czarodziejska bar-  
 wy jasne, świeciste i zestrzajają się z pozłotą bogatą;  
 kopyły wiążą się dziwną tkanką i awanturują się w nie-  
 widzialne nigdy kształty; miejsce gzymsów zajęły na-  
 pisy poetyczne, a litery ich splatają się wdzięcznie  
 z arabeską kapryśną, jak obrazki w powieści zmienia-  
 ją się kolumn kapitele, a kórytarze, a świetlice, a sa-  
 le zalane wiecznie mieniającem się światłem, a przecież

(\*) Alhambra a przedewszystkiém legendy do niej przywiązane opi-  
 sał pięknie W. Irving.

tak lubém i harmonii pełném. Zaiste, tutaj niby uleciały wszelkie względy na konstrukcyą, na moc, na istotę ziemską materyi; tu niéma ogniska spólnego, całości organicznój, tu pierzchły pedantyczne reguły rozsądkowe, tu fantazyja igra, bawi się i figluje, a przecież tu harmonia uczuć wszędzie rozlana; fantastyczność rozmaitości pełna nie razi, nie jaskrawi się, jest to taniec swawolny, figlarny gieniuszków lubych.

Jeżeli się znajdziesz w jakiejś świetnój europejskiej stolicy na operze czarnoksiężkiej, patrzysz w koło siebie i w górę i w dal: stupłomienne świeczniki potopem jasności zalewają salę; u góry i u dołu, z prawej i z lewej, zasiadły grona strojnych pięknych dam, i cały elegancki świat, co zostawił na chwilę te kwaski żywota i szczypliwe kłopotki w domu, a tu jak może pojawia się z twarzą bezchmurną i postawą świąteczną. A gdy muzyki zdroje wytrysną potokiem, gdy uwertura mistrzowskiej kompozycyi zaleje budynek, gdy jój fale spłyną z falami światła i ozdób świecistych, malowanych bogatěj sali, gdy skapiaą tłumy widzów nurtem eterycznym; wtedy do reszty z nich zabiorą biedki, spłócą kurzawy domowe; a dopiero gdy z nagła podłeci kórtyna i postawi cię wśród czarodziejskiego świata, to zabłyśnie budowanie przez duchów stawiane, a w koło ogrody cudowne, w kwiatach kołyszą się śpiące, zakłete królewny; spuszcza się z obłoków całe niebo zaludnione huryszek wdzięcznych ludkiem, a rycerze i cuda, tańce i śpiewy, i barwy i stroje i muzyka tak otumanią duszę, tak napojem zawrótnym zmysły odurzają, że nie możesz dać rady sobie, że się trudno upamiętać i pochwytać w nawale tych wrażeń; dopiero

gdy znajdziesz się znowu w czterech ścianach domu twojego, kędy szaro a prozaicznie, gdy tłum rzeczy powszednich drwi, wydrzeźnia i żartuje sobie z ułudą twoją, wtedy się zdaje snem ta opera i te widziadła skoczne, te śmiechy i barwy i cuda i dziwy! Takież uczucie nas przejmuje, gdy złożywszy plany, rysunki, wizerunki Alhambry, kończymy rzecz z tym światem Wschodnim, i z tym tłumem dziwnych jego gadek, a nawracamy do powszednich, codziennych zatrudnień.



## D o p i s e k.

Czasem i dobrze gdy wędrowiec, przebywszy jakąś część drogi swojej, zatrzyma się, spocznie i spójrzy myślą wstecz za siebie, by sam przed sobą zdał sprawę, o ile w tej podróży swojej zdołał odpowiedzieć celowi, który sobie zamierzał wybierając się z domu w świat. Takowe bowiem policzenie się z sobą zdradza mu dwojakie a nie lada korzyści; bo jeżeli się poczuwa do popełnionych błędów, już łatwiej na przyszłość uchronić się ich zdoła; jeżeli zaś spostrzeże że zamierzonej pracy, ile sił swoich, sumiennie a uczciwie dokonywał, toć już uspokoiwszy się w sobie ze złejszém sercem i z Bogiem ruszy w dalszą wędrowkę. Tak i mnie podobno przydać się może, jeżeli teraz porachuję się z treścią tych listów moich, dotychczas napisanych, i sam siebie zapytam, czylim się też uścił z zadania wziętego na siebie? Bo widzisz, bracie mój, ja myślę że

w ocenieniu słuszném każdej pracy mniej chodzi o oznaczenie bezwzględnej jój wartości, jak raczej o to, aby ją porównać z nią samą, więc z myślą główną, z której wzięła zawiązek swój, a zatém z celem, który swój książce położył sam pisać.

Tak tedy nasuwa się przedewszystkiém pytanie, czyliim rzeczywiście w tych powyższych listach moich wywiązał się z zamiaru wyrażonego w owym piéwszym, wstępnym liście moim? a mianowicie czyli ta praca rzeczywiście odpowiada dzisiejszemu stanowisku nauki, czyli na prawdę jest choć nie obrazem, tedy przynajmniej odbiciem się pojęć filozoficznych o estetyce, ustalonych już w świecie umiętnym? Powtóre, czyli sposób wykładu jest właśnie zastosowany do czytelnika, który, lubo rad zapoznać się z tém wszystkiém co różnie i kwitnie w dziedzinie społecznej nam umiętności, zajęty atoli będąc odrębném powołaniem, niema ani swobody, ani sposobności po temu aby się sam pracowicie rozpatrywał we wszystkich pojawach umysłowych? Słowem, czy te listy moje są zastosowane do ciebie, jako do czytelnika, który, wykształciwszy się wielostronnie, niemasz atoli, jak powiadasz, pretensyi liczenia się do ludzi uczonych z powołania— i pragniesz, czytając książkę, znaleźć nie mozoł dla siebie, ale folgę i rozerwanie umysłu po zatrudnieniach powszednich?

Czyliim zaś zadosyc uczynił obydwóm tym warunkom, nie mam żadnej pewności, wiem tylko że, ile mnie stać było, pragnałem dokonać tego dwoistego mego zadania.

Nie litowałem pracy, ani trudu aby te listy były iście odgłosem społecznej nam literatury; obeznałem

się z pracami najcelniejszych pisarzy o sztuce, ze wszystkimi nowszymi dobytками w różnych gałęziach wiedzy, będącemi w jakimś stosunku do treści tych listów; korzystałem tedy ze wszystkich zasobów literatury powszechnej, o ile takowe były mi przystępne; uadto, obróciłem na użytek własny wszystko co mi nastęrczyły ustne rozmowy z artystami i znawcami sztuki, lub własne zapatrywanie się na arcydzieła piękności.

Zrozumiesz atoli, że lubo mam we czci należnój znakomite powagi, przecież wypadało je o tyle jedynie uwzględnić, o ile się zgadzały z własną myślą moją zasadniczą, więc ze stanowiskiem mojem filozoficznem, z którego się zapatruję na sprawę sztuki pięknej. A mając ciągle na baczności, że listy moje nie są bynajmniej przeznaczone dla czytelnika, będącego z powołania uczonym, przywodzę głównie tylko te dzieła, które wedle mnie najwięcej się nadają do oznajomienia młodych lubowników z ogólnym rysem sztuki i jój Historji (\*). A jak pewien jestem że człowiek uczony, który się dorobił głębszój znajomości Estetyki, niewiele dowie się z tych listów moich, tak znowu mam nadzieję że czytelnik, za jakiego ty siebie uważasz, nie bez użytku przebiegnie tę pracę moją. Bo rozumiem że forma jój nie jest przytrudną, ani też nieprzystępną dla głowy, mającój ogólne wykształcenie. Ztąd pozwalałem

---

(\*) Niekiedy zniewolony jestem przywozić własną książkę „Wykład Filozofii;” powodem tego naturalnym jest właśnie to, iż książka ta równie jak i listy niniejsze są wpływem jednego i tegoż samego stanowiska filozoficznego, że cały mój pogląd na sztukę piękną jest wprost wypadkiem tych zasad ogólnych, które wyłożyłem w owem dziele systematycznem i ściśle umiejtnem.

sobie nieograniczonej swobody pod względem formy i trybu całego wykładu, dając tokowi rzeczy własne indywidualne piętno i barwę swoją, a to tém bardziej, zem się i pod względem treści tych listów nie czynił bezwarunkowym naśladowcą obcych prac i myśli, zem nie tracił zgoła swojej niezawisłości, zem wcale nie był przerabiaczem cudzych zdań i poglądów. Może więc czytając te listy znajdziesz rzeczywiście jakieś rozerwanie i odpocznienie umysłowe. Spodziewam się zaś tego tém śnieliej, że sam kręśląc je doznaję w tém zajęciu folgi i ochłody po codziennem poważniejszém zatrudnieniu. Nicch ciebte tedy nie dziwi że tu i ówdzie dotykam się może za lekko przedmiotów ogromnej treści, i że tak często puszczam pióro dokąd je usposobienie chwilowe poniesie. Jeżeli to nie dobrze, mniejsza moja w tém wiua, bo korzystam z dozwolonej mi formy listów, tak wielce w tym względzie dla mnie dogodnej, a nadto życzliwe przyjęcie pierwszego ich tomu dodało mi otuchy, bym i w dalszym ciągu téj pracy nie krępował się ściśle przedmiotem, ale kreślił niekiedy co mi doba na serce lub na myśl przyniesie.

Co do drugiego wydania pierwszego tomu, mało tam miejsc odmiennych, mniej jeszcze wyrzuconych, ale za to wiele dodanych. Pomnożyłem bowiem ów tom niektórymi ustępami, które wedle pierwotnego założenia mojego miały być dopiero objęte w następnym ciągu rzeczy, a które po późniejszym rozmyśle stosowniejsze znalazły miejsce w pierwszym tomie. Co się zaś tyczy ustępów odmienionych lub opuszczonych, wyznaję że te są głównie takowe, które się do polemiki literackiej odnosiły. A lubo mam przekonanie zem w tych nau-

kowych sporach nie ubliżył nikomu, bom sobie samemu nie chciał ubliżyć, przecież myślę że od tych ostatnich lat dwunastu wiele się w pismienictwie polskiem zmieniło! Dziś podobno nastał czas, w którym wszystko rodzące się z miłością przytulić wypada, w którym każdy człowiek poczciwy chucha na to wszystko co się kluje i rozwija, cieszy się każdym kielkiem, z którego się kwiatu lub owocu spodziewać może; a co więcej, dziś małoby się kto znalazł, coby go można godnie na krzesło sędziowskie literatury posadzić, choć jest natłok takich co sami się na nim radzi sadowią; lecz ja ani do pierwszych, ani do drugich nie należę. A z resztą, cóż przyszło literaturze z owych krytyk jakie najczęściej pojawiają się u nas? one jeszcze nikogo nie nie nauczyły, nikt im się poddać nie chce. Kwasy, gniewy, zawiści zjadliwe, a często bardzo kłótnie i niegrzeczności wzajemne są najczęściej całą korzyścią, całym ich owocem. Na widok tych boksów smućą się ludzie poczciwi, śmieje się gawiedz, źli się cieszą, a diabeł swoje broi. Dla tego też zamiast ujmować zasługi moim współpracownikom w téj winnicy pańskiej, wolę witać serdecznie i życzliwie każde usiłowanie i radować się tém co dobre i piękne, gdzie tylko je znajdę, przebacząc już słabostkom, które przecież w każdym ludzkim usiłowaniu pojawić się muszą. Niechaj kto chce zajmuje się chwastkami i osetem, jeżeli mu ta strawa tak po sercu, niechby nam tylko nie włączili w szkodę, jak to często bywa, i nie tratowali uczciwego zasiewu na téj roli, tak bolesnym a krwawym skropioném znojem.

Żal mi tylko żem w ciągu tych listów nie miał dość sposobności wspomnienia jeszcze o tych wszystkich pi-



sarzach i artystach naszych, co urosli na radość nam i chwale, a zaprawdę niemała jest ich liczba. Żal mi tego, ale to dla mnie, nie dla nich; bo mnie pominęła pora tak miła dogodzenia uczuciom moim, dla nich zaś te wspominki moje może byłyby obojętne. Bo jak najhałaśliwsze wychwałki nie zdołają ochronić od zapomnienia dzieła, co się już umarłe na świat zrodziło, tak też nagany niesprawiedliwe, kłamliwe i czernidła, zwykle z lichęj głowy lub krzywego serca się lęgnące, nie dokazą swojego, i, jak każde złe, rozbija się o mękę Bożą.

Nie niemaj atoli że ja o tém wszystkiém dla tego tak prawie, że myślę jakoby w tych listach moich nie było licznych uchybień a ważnych pomyłek. Każdy pisarz najlepiej podobno zna co nie dostaje pracy jego, a zwykle już bardzo jasno postrzega błędy i usterki w niej jakim czasie po wydaniu jęj na świat. Więc ja jeden nie mogę być wyjątkiem, i źleby już ze mną było, gdyby mi przyszło na takie zuchwałę a śmieszne zarozumienie. Bo mam to przekonanie, że autor uważający swe dzieło za doskonałe ma słusność, ale co do siebie tylko, bo dowodzi że on sam już nie doskonalszego stworzyć nie zdoła, że się już zatrzymał na równi z książką swoją; ale nie ma słusności co do przedmiotu samego, bo on będzie rość i rość jak wszystko co ludzkie, jak wszystko co duchowe. Jeżeli taki pisarz zarozumiały jest jeszcze młodym, tedy z niego nie będzie pociechy, bo już nie urosnie; jeżeli starszym, wtedy znać że już z pola zchodzi. Zważ tedy jakieby to było strapienie dla mnie, gdybym już nie mógł spostrzedz niedostatków w pracy mojej! Lecz gdy ich się sam już

dopatruję, jakże tu wymagać po innych, aby takowych nie widzieli! Prawda! ale każdy autor ma prawo do sprawiedliwego sądu, ma prawo aby go przedewszystkiém ocenił i zważył «sąd parów» czyli sąd ludzi, którzy, na podobném pracując polu, znają już wszystkie téj pracy kolce. Nadto jeszcze każdy autor ma prawo tuszyć sobie, że trud jego życzliwie, serdecznie przyjęty będzie, i dla tego wdzięczny ci jestem, jeżeliś sobie nie przykrył czytając dotychczas napisane listy moje, a zarazem proszę, abyś się z równie życzliwém sercem zabrał do następnego tomu.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.



## TREŚĆ LISTÓW

ZAWARTYCH W DRUGIM TOMIE.

---

### DZIEJE ARTYSTYCZNEJ FANTAZJI.

#### LIST XI.

##### *Fantazyja i bliższy jój rozbiór.*

Wstęp, stronica 5.— Wspomnienia przeszłości nie są samém przypomnieniem, 9.— Fantazyja posagiem ducha ludzkiego, 10.— Fantazyja, mądrość, cnota, 12.— Fantazyja i rzeczywistość, 14.— Fantazyja jako czynność duchowa wszystkim ludziom spólna, 17.— Fantazyja strojąca rzeczywistość, 19; ale takowa fantazyja nie jest jeszcze fantazyją artystyczną, 24.— Warunki, aby być mistrzem i powołanie mistrza, 27.— Walka mistrza z trudnością techniczną, 37.— Henryk Statler, 40.— Jeżeli treść dzieła będzie pierwój w myśli poczęta niż forma, wtedy nie zrodzi się dzieło sztuki, 41.— Rzeczywistość mogąca być treścią dla sztuki, 42.— Allegoryja nie jest dziełem prawdziwój fantazyji, 46.— Chwila natchnienia jest chwilą rodzenia ideału, 49.— Zdanie Platona, 55.

#### LIST XII.

##### *Fantazyja i bliższy jój rozbiór.*

(Ciąg dalszy.)

Kompozycya, 57.— Natchnienie i kompozycya i w innych dziełach duchowych człowieka, 60.— Ogólne zasady estetycznej kompozycyi, 66.— Kompozycya charakterów 72— Przykłady

z Korzeniowskiego, Rzewuskiego, Kraszewskiego i Chodźki, 75.— Dalsze uwagi nad kompozycją, 79.— Powod częstych wad w kompozycyi i przykłady z malarstwa i muzyki, 83.— Improwizacya — Deotyma, 84.

Talent i geniusz, 95.— Powołanie geniuszu, 101.— Stosunki jego do świata, 102.— Rozmaitość fantazyi artystycznej, 103.— Stąd podział jój. Treść listów następnych, 104.

## LIST XIII.

### *Historya Powsteczna i Historya Fantazyi.*

Wstęp, 105.— Opatrzność i dzieje ludzkie, 107.— Znaczenie ludów, państw i okresów w Historyi, 113.— Ludzie historyczni, 117.— Historya fantazyi i rozwój dziejów ludzkich, 119.— Fantazyja każdego ludu jest wyrazem jego treści wewnętrznej, 121.— Szczyt historyi i poznawanie fantazyi u każdego ludu, 122.— Różność ludów pod tym względem, 125.— Stosunek natury materyalnej do fantazyi ludów, 129. Wpływające stąd różne epoki w historyi fantazyi, 132-145. O zadaniu listów następnych, 145.

## LIST XIV.

### *Historya Fantazyi u różnych ludów.*

#### LUDY WSCHODU.

##### Chiny.

Wstęp, 149.— Ulica Kantonu, 154.— Malarz chiński, 155 — Teatr, 160.— Muzyka, 162.— Komedia, 164.— Nauki u Chińczyków — Astronomia, 165. — Wojskowość, 165. — Brama tryumfalna, 166.— Zabawy, 167.— Budowa świątyni, 169.— Obrazy religijne, 171.— Ogrody, 175.— Brak treści wewnętrznej w człowieku, 180.— Moralność, 182.— Rodzina i Państwo, 183.— Formy zewnętrzne, 186.— Dramat chiński, 187.— Lira i Powieść chińska, 193.

## LIST XV.

##### Indye.

Wstęp, 199.— Natura Indyi.— 207.— Jój przewaga nad człowiekiem, 212.— Kasty, 214.— Pokutniki i pielgrzymki, 217.

Gminna i artystyczna fantazyja u Indyan, 222.— Bagawidgita, 223.— Wnioski wypływające z téj pieśni, 228.— Pojęcia religijne tłómaczą zjawiska zewnętrzne, 229.— Panteizm indyjski, 230.— Mitologia, 232.— Wypadkiem tego usposobienia jest fantazyja odpowiednia, 233.— Cecha téj fantazyji w rzeźbie, architekturze, poezyi i muzyce, 238.— Sakontala, 253.

## LIST XVI.

### Egipt.

Wstęp, 260.— Natura Egiptu i historia, 264.— Teby, groby (Hypogee) tebańskie, 268.— Zwaliska Teb, 272.— Memnony, 279.— Piramidy, 281.— Labirynt, 282.— Usposobienie duchowe Starego Egiptu i wynikająca stąd symboliczność jego fantazyji, 283.— Cecha rzeźby i architektury egipskiej, 291.— Gadka stara, 300.

## LIST XVII.

### Assyrya — Babilonia i Persya.

Wstęp, 304.— Nemrod, 308.— Odkrycia uczynione przez PP. Botta i Layard, 310.— Znaczenie tych zabytków w historii sztuki, 318.— Usposobienie umysłowe tych ludów, 320.— Stąd cecha ich fantazyji wyrażającej się w dziełach sztuki, 321.— Zdaje się, że sztuka tych ludów jest ogniwem pośredniem między sztuką egipską a grecką, 326.— Persya, 327.— Persepolis, grób Cyrusa, groby królewskie, 328.— Cecha téj fantazyji, 332.— Zendawesta 333.

## LIST XVIII.

### Ludy Mahometańskie.

Wstęp, 336.— Fantazyja Arabów, Peńsów i Turków, 339.— Fantazyja perska jest głównym wyrazem fantazyji tych ludów, 339.— Niektóre pieśni, 340.— Mistycyzm wschodni przechodzi w Panteizm i przybiera dwojaką formę w Poezyi, 344.— Sprzeczność zamknięta w każdym Panteiz-

mie, 346.—Nauka Mahometa i Panteizm, 350.—Różnica Panteizmu indyjskiego od Panteizmu islamskiego, 353.—Rozdzające się ostateczności w duchu ludów mahometańskich, 354.—Fantazyja czarodziejska, 357.—Powieści Tysiąca Nocy i Jednej i ich znaczenie estetyczne, 361.—Arabowie, ich życie, poezya i język, 362.—Ułomek z Koranu, 370.

## LIST XIX.

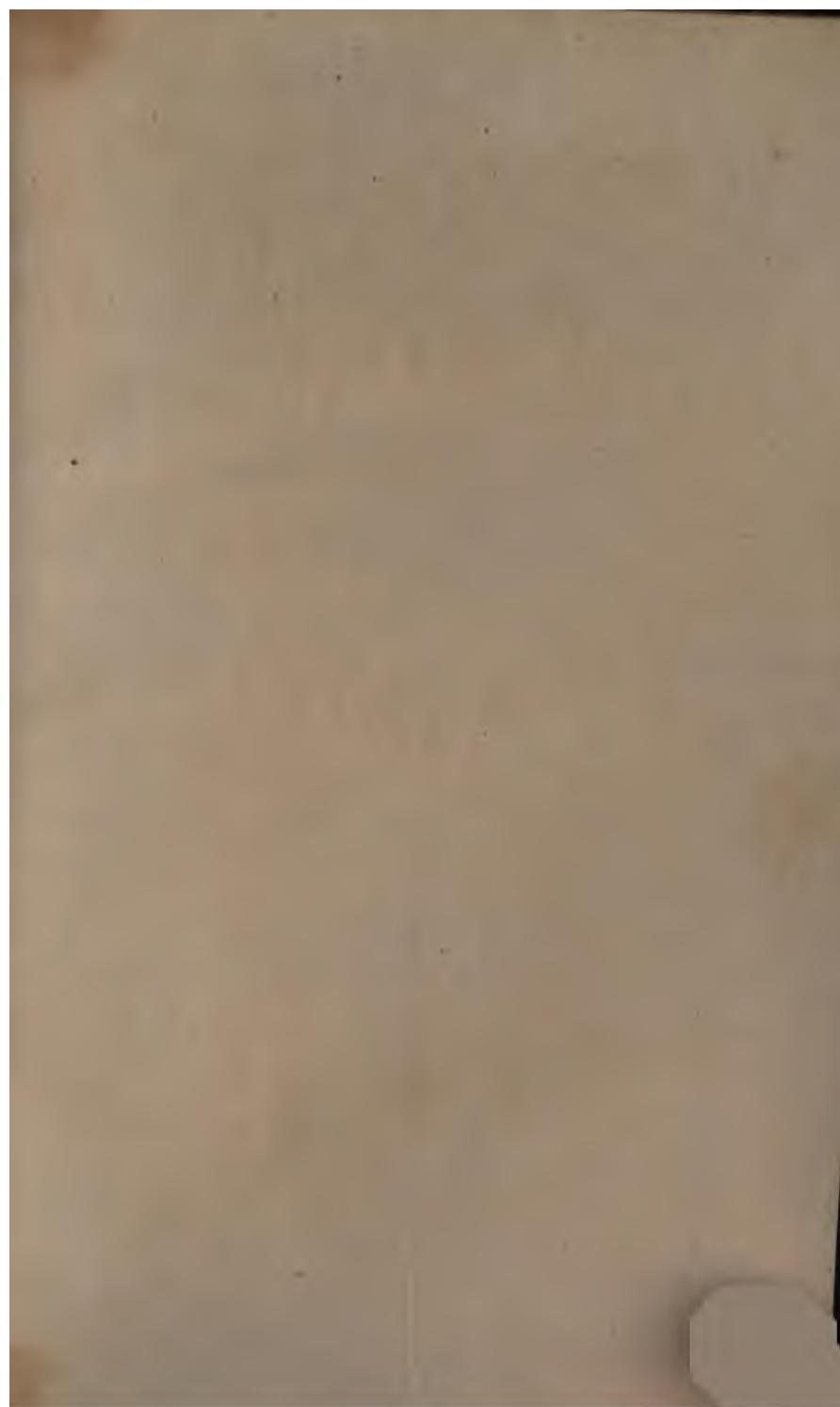
### Ludy Mahometańskie.

(*Ciąg dalszy.*)

Powieść Jussuf i Sulejka, 372.—Fantazyja Perska, 378.—Szachname, 380.—Dwojaki pieśni wieszczów perskich, a mające wspólne tło, 386.—Ułamki z obu tych rodzajów, 388.—Malarstwa, rzeźby, dramatu nie ma u tych ludów, 392. Cechy ich budowania, 394.

DOPISEK. Rzut oka na te listy i stanowisko całego tego dziełka, 401.







105 / 112

Stanford University Libraries



3 6105 024 616 497

190/138

9/3

NX65

K7

1855

V.2

STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES  
STANFORD AUXILIARY LIBRARY  
STANFORD, CALIFORNIA 94305-6004  
(650) 723-9201  
salcirc@sulmail.stanford.edu  
All books are subject to recall.  
DATE DUE



